

Garth Stein

The book cover features a central illustration of a person in a dark, long-sleeved coat and a wide-brimmed hat, standing in a field of tall, thin, dry grasses. The person's hair is blowing in the wind, and their arms are slightly out. In the upper right background, a small, dark silhouette of a bird is in flight. The overall color palette is muted, with greys, browns, and a touch of purple in the text.

CIEN
KRUCZYCH
SKRZYDEŁ

Garth Stein

CIEŃ
KRUCZYCH
SKRZYDEŁ

Przełożyła
Jagna Rapciak

Wydawnictwo
Nasza Księgarnia



Tytuł oryginału angielskiego
Raven Stole the Moon

Copyright © 1998 by Garth Stein.
Copyright renewed © 2010
by Bright White Light LLC.
All rights reserved.

© Copyright for the Polish edition
by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2012

© Copyright for the Polish translation by Jagna Jaskuła-Rapciak, 2012

Projekt okładki Krzysztof Kibart

Cover images © Soulofautumn|Dreamstime.com,
© Vtupinamba|Dreamstime.com

You Can't Always Get What You Want
and *Monkey Man* written by Mick Jagger and Keith Richards.
Copyright © 1968, renewed 1998 ABKCO Music Inc.
All rights reserved.

Dla mojej mamy, która nauczyła mnie opowiadać



Akákoschi!

Zobacz!

ZAMKNEŁA OCZY I UTRZYMYWAŁA SIĘ pod wodą. Wydychała powietrze. Otworzyła oczy, kiedy w piersi pojawił się ból. Spojrzała w górę. A może po prostu rozchylić usta i połykać wodę? To by wystarczyło. Płuca zamiast tlenu wypełniłby płyn. Ale zamiast tego wynurzyła głowę i odetchnęła.

Jenna nie miała dość silnej woli, żeby się utopić. Kiedyś słyszała, że to fizycznie niemożliwe. Zawsze wygrywa wola przetrwania. Nie pozwala utonąć. Inaczej ze strzeleniem sobie w skroń, instynkt samozachowawczy człowieka nie przewiduje skutku wystrzału. Naciśnięcie spustu, kula w głowie. To prostsze. Gdyby nasz instynkt był bardziej przewidujący, wielu ludzi nadal by żyło.

Wyszła z wanny i owinęła się grubym ręcznikiem. Długie kręcone włosy związała elastyczną opaską. Zaczęła nakładać makijaż. Szczególną uwagę poświęciła krostce na policzku. Na litość boską! Pyszcze w wieku trzydziestu pięciu lat?

Powieki pokryła brązowym cieniem, a usta szminką. Nabrały głębszej, karmelowej barwy. Zaakcentowała kredką górną wargę,

aby ją powiększyć. Dolna wyglądała wystarczająco ponętnie. „Wydmij usta, kochanie. Usuń nadmiar szminki. Cmok, cmok”.

Jenna odwiesiła ręcznik i wyszła z łazienki. W sypialni nie zastała nikogo. Ruszyła więc do pokoju, uruchomiła sprzęt i wsunęła do odtwarzacza płytę Rolling Stones *Let it bleed*. Ósmy kawałek. Włączyła go i zaczęła tańczyć.

„Well, I am just a monkey man, I'm glad you are a monkey woman, too”. Wyrzuciła ręce nad głowę i kręciła się w kółko na palcach. Wracając do sypialni, wciąż tańczyła. Robert, w czarnym garniturze, białej koszuli i jasnym krawacie, siedział na krawędzi łóżka. Zdążył już wciągnąć lewą skarpetkę i lewy but. Zawsze wkładał ubrania w dziwnej kolejności.

Spojrzał na Jennę. Pochyliła się nad mężem, otoczyła go ramionami, a potem odsunęła się i zrobiła wysoki wymach nogą.

„Monkey woman, woman, too”.

- Świetnie - bez zapachu skomentował jej starania. - Może coś byś na siebie włożyła?

Jenna tańczyła dalej.

- Przestań - rzucił, sięgając po prawą skarpetkę. - Musimy iść. Nie chcę się spóźnić.

Znieruchomiała.

- Dlaczego zawsze mnie powstrzymujesz?

- A dlaczego ty swój seksowny taniec zaczynasz zawsze przed wyjściem? Uwielbiam takie pąsy, ale przed pójściem do łóżka. - Robert, zajęty prawym butem, nakręcał się coraz bardziej. - W nocy taka nie jesteś. Zachowujesz się prowokująco tylko wtedy, kiedy seks nie wchodzi w rachubę. O co w tym chodzi?

Spojrzał na Jennę. Stała przed nim bez ruchu.

Uznał jej milczenie za swoje zwycięstwo i ruszył w stronę drzwi.

- Proszę, przygotuj się - powiedział łagodniej. - Jest dziewiąta. Kiedy dotrzemy na miejsce, nikogo już nie będzie. - Odwrócił się i zniknął w korytarzu.

- Chciałam tylko poprawić sobie nastrój przed tym głupim przyjęciem - mruknęła Jenna i przeszła przez pokój do swojej garderoby.

W porządku. Jeżeli Roberta denerwuje jej seksapil, doceni go ktoś inny.

„I saw her today at the reception, a glass of wine in her hand. I knew she was gonna meet her connection, at her feet was a footloose man”.

Zdecydowała się na czarną spódnicę. Przy każdym ruchu jej uda seksownie zaznaczały się pod materiałem. Roberta to złości, ale może spodoba się jakiemuś miłemu młodemu mężczyźnie?

Zapięła stanik *push-up*. Lekko unosił piersi. Włożyła stringi, które zawsze kojarzyły jej się z seksem. Ale dzisiaj seksu nie będzie. Nie szkodzi, zaspokoi się sama. „A może powinnam znaleźć sobie kochanka? - pomyślała. Włożyła obcisły sweter bez rękawów, wsunęła wysokie buty. - Czy piersi nie za bardzo sterczą?”. Z krzesła stojącego przy toalecie zdjęła skórzaną kurtkę i zgasiła światło.

Roberta zastała w kuchni. Stał na krześle i przeszukiwał szafki.

- Jestem gotowa - powiedziała.
- Dobrze, daj mi sekundę.

Wdrapał się na blat i zajrzał do górnej szafki. Wyglądał jak szop pracz grzebiący w śmietniku.

- Czego szukasz?
- Świec. Pamiętasz, gdzie je położyliśmy?
- W jadalni. Do czego są ci potrzebne?

- Nie, nie tamte. Chodzi mi o świece na *Jarcait**.

* Świeca na Jarcait – tzw. świeca rocznicowa lub świeca pamięci. Według żydowskiego zwyczaju znicz taki zapala się codziennie o zachodzie słońca przez siedem dni po śmierci bliskiej osoby, a następnie w każdą rocznicę jej odejścia (przyp. red.).

Ach tak. Świece pamięci.

Robert szperał dalej.

- Znalazłem.

Pokazał jej brązową papierową torbę i usłyszała dźwięk objających się zniczy. Szklaneczki wypełnione woskiem, z niebieskimi naklejkami ze srebrnym napisami. Jej tata zawsze zapalał taką lampkę w przeddzień rocznicy śmierci dziadka.

Robert zerknął na Jennę z dezaprobatą.

- Tak będziesz ubrana?

Zszedł z blatu. Dziewczynie zakręciło się w głowie. Kark jej zdrętwiał, stopy miała jak z ołowiu. Robert postawił jedną ze świec na talerzu i zapalił. Jenna obserwowała męża w milczeniu.

Kiedy świeca zapłonęła, Robert podszedł do Jenny i chwycił ją za rękę.

- Dzisiaj jest ten dzień.

Ten dzień.

Druga rocznica.

Drugie urodziny jego śmierci.

Można utonąć nawet w kałuży błota. Wystarczy mocno uderzyć o ziemię. Jak brat babci, kiedy był mały. Dostał huśtawką w głowę. Ocean. Rzeka. Wanna.

Ale nie można samemu się utopić. Nie. To zdarza się tylko tym, którzy tego nie pragną. Zawsze dostaje się to, czego się nie chce.

Oczy Jenny zaszyły łzami. Robert przyglądał się żonie, nie rozumiejąc. A ona płakała czarnymi łzami rozmazanego tuszu. Jej wargi drżały przy każdym oddechu. Wyglądała tak ładnie. Tak ładnie się ubrała na przyjęcie z okazji rocznicy śmierci syna.

Gorące czarne krople spadały na podłogę.

Nie mogła się ruszyć, ręce i nogi miała jak z waty. Bobby patrzył na nią. Coś krzyknął. Powiedział: „Mamusi, mamusi”. Litr wody waży kilogram. Sweter napęczniały od wody wydaje się ważyć tonę. Ściąga w dół. Instykt przetrwania nie działa dość inteligentnie, aby poradzić sobie ze swetrem i z butami do wspinaczki. Grube ubranie ciąży jak kamień. Ciągnie na samo dno. A tam niczego nie można zbudować. Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen.

JOHN FERGUSON stał na nabrzeżu obok hydroplanu. Obserwował sylwetkę zbliżającą się na niebieskim boston whalerze. Odgłos silnika łodzi wdzierał się w poranny spokój Alaski. Przestraszone stadko gęsi zerwało się do lotu.

Fergie zaśmiał się pod nosem. Musiał zapłacić jakiemuś Indianinowi pięć patyków, żeby ten zbadał to miejsce. Na spotkaniu rady miasteczka Klawock ludzie zaproponowali, żeby Fergie zadzwonił do doktora Davida Livingstone'a. Cieszył się wielką sławą w okolicy.

- Czy szamani używają tytułu „doktor”? - zażartował John Ferguson i zrozumiał, że uraził prawie wszystkich zgromadzonych.

Okazało się, że szaman faktycznie ma tytuł doktora. Ech, szkoda gadać.

Łódź była oddalona o dwanaście metrów. Ku zdziwieniu Fergiego doktor Livingstone okazał się dość młodym i przystojnym Indianinem, a nie pomarszczonym starcem w *canoe*. Wymienili pozdrowienie na odległość, a tymczasem boston whaler dotarł do brzegu. Indianin wyskoczył z łodzi.

- Ferguson? - zapytał, mocując cumę.
- Doktor Livingstone, jak przypuszczam.

Fergie pracował nad tym projektem już jakiś tydzień. Bardzo chciał się tym pochwalić, ale trochę kępował się Livingstone'a. Chyba bez potrzeby, bo doktor się uśmiechnął.

- Po prostu David.

Szaman sięgnął po kilka starych tobołków z grubego płótna, które położył na przystani. Fergie nie wiedział, czy pomóc Livingstone'owi, czy też poczekać. Co, jeśli zawiniątka mają jakiś związek z indiańską magią? A jeśli skala je swoim dotykiem? Z zażenowaniem przestępował z nogi na nogę. Obserwował uważnie Davida.

- I co myślisz? Jakies pierwsze wrażenia? - zapytał z nadzieją. - Czy duchy Tlingitów nawiedzają to miejsce? - Fergie starał się wymówić indiańską nazwę poprawnie.

Nie chciał sprawiać wrażenia źle poinformowanego. Ale kiedy usłyszał, jak wypowiada to prawdziwy Indianin, zrozumiał, że nazwa powinna brzmieć bardziej gardłowo, że należy artykułować ją tak, jakby w ustach miało się duży kęs jabłka.

David skończył z bagażami. Wyprostował się. Był wysoki, miał jakiś metr osiemdziesiąt wzrostu, czarne włosy do pasa i okrągłą, łagodną twarz. Dużymi orzechowymi oczami bacznie przyglądał się rozmówcy.

- Ferguson, co właściwie wiesz o Tlingitach?

- No więc... - Ferguson spodziewał się takiego pytania, więc pilnie przestudiował wstęp do *Encyklopedii Indian Ameryki Północnej*. - Wiem, że Tlingit i Haida, dwa największe plemiona w tym regionie, zajmowały się rybołówstwem i kłusownictwem. Handlowały też z Rosjanami i z Brytyjczykami. Pod koniec dziewiętnastego

wieku rząd zakazał im używania swojego języka i zlikwidował zwyczaj potlacz*.

* Potlacz - ceremonialna biesiada Indian płn. -zach. wybrzeży Ameryki Płn., w czasie której gospodarz niszczył i rozdawał część swojego mienia. W ten sposób zdobywał prestiż społeczny oraz potwierdzał swoją pozycję człowieka zamożnego. Indianie z plemienia Tlingit wierzyli, że utrata honoru i prestiżu równoznaczna jest z utratą duszy (przyj. red.).

- Nie, to nie do końca prawda - zaprzeczył Livingstone. - Można powiedzieć, że rozumiesz literę prawa, ale nie jego ducha.

Ferguson westchnął głośniejsz, niż zamierzał. Ponad ramieniem Livingstone'a spojrzął na ośnieżone błękitne szczyty na horyzoncie.

- Rząd niezupełnie to zrobił - oświadczył David. - Po prostu podzielił Indian na cywilizowanych i barbarzyńców. Tych drugich wysłał do rezerwatów. Dopiero w ten sposób uśmiercił nasz rodzimy język i tradycję potlacz.

Ferguson pokiwał głową. Dopiero poznał Livingstone'a, a już miał wątpliwości, czy go polubi. Był to interesujący człowiek, ale jego pewność siebie nie budziła sympatii Fergusona.

David uklęknął i rozwinął jeden z tobołków. Wewnątrz znajdowały się sznury koralu i zwierzęce łapki.

- A co wiesz o naszych wierzeniach? - zapytał szaman. - Znasz indiańskie legendy?

Ferguson postanowił nie ryzykować. Nie chciał się ośmieszyć. Czasami milczenie jest najlepszą obroną. Energicznie potrząsnął głową.

- Rozumiem. Nic nie wiesz, ale mimo wszystko uważasz, że duchy Tlingitów nawiedzają to miejsce?

No tak. Tamten znowu go przyłapał. Fergie chciał powiedzieć Davidowi, co naprawdę myśli. Że cała ta sprawa to jeden wielki

wrzód na dupie. Że zdecydował się na wezwanie szamana, ponieważ grupa japońskich inwestorów chciała wyłożyć sporą kasę na inwestycję, ale naciskała, żeby teren został „oczyszczony z duchów”. Fergie wiedział jednak, że nie powinien tego mówić. A przynajmniej nie prosto w oczy.

- Cóż, wolałbym wiedzieć więcej, ale usiłuję przygotować na lipiec ten teren dla kilku potencjalnych klientów... nie miałem czasu.

- Nie usprawiedliwiał się, Ferguson. To było zwykłe pytanie. Chciałem się tylko zorientować, na czym stoimy.

Szczerze spojrzenie Davida sprawiło, że Ferguson poczuł się niezręcznie. Aby zatrzeć złe wrażenie, dodał:

- Fakty wyglądają tak. Nasi klienci pragną z jak największym szacunkiem potraktować historię tego miejsca i dziedzictwo Tlingitów. Nie chcą po rozpoczęciu prac dowiedzieć się nagle, że zaistniała... no, trudna sytuacja...

- Sytuacja delikatna z punktu widzenia prawa? Czy raczej coś w stylu nawiedzonego hotelu z *Lśnienia*?

Ferguson szukał odpowiednich słów. Facet naprawdę trafił w sedno.

- Hmm. Powiedziałbym, że chodzi o jedno i drugie.

David uśmiechnął się szeroko.

Fergie miał dosyć. Nie cierpiał rozmawiać z tymi ludźmi. Zawsze mówił przy nich coś niestosownego. Podczas rozmowy z przedstawicielem jakiejś mniejszości człowiek zastanawia się nad każdym słowem. I mimo największych starań wychodzi w końcu na białego rasistę.

- Coś ci powiem, Ferguson - zaproponował mu nagle David. - Ty masz prawników, więc powiedz im, żeby użyli swojej potężnej magii, a ja użyję swojej. Co powiesz na taki plan?

Ferguson odetchnął z ulgą.

- Jeśli o mnie chodzi, brzmi dobrze. Zdaję się na ciebie. Bądź co bądź, to ty jesteś doktorem.

David rozpakował kolejny tobolek. Ferguson dostrzegł fragment poroża jelenia.

- Co dokładnie zamierzasz zrobić z tymi duchami? Pytam z ciekawości...

Szaman podniósł wzrok.

- Zamierzam ubrać się w pióra, potrząsnąć grzechotką i rozrzucić wokół trochę czarodziejskiego proszku. Jestem przecież Indianinem, więc co innego miałbym zrobić?

To powiedziawszy, parsknął śmiechem. Ferguson ze zdziwieniem mu zawtórował.

JENNA PRZEBRAŁA SIĘ W PROSTĄ czarną garsonkę. Zmyła z twarzy smugi rozmazanego makijażu, zmieniła ubranie, a przeszłość pogrzebała w najciemniejszym zakątku swojego umysłu. Tam, gdzie jej miejsce. Tam, gdzie się nigdy nie zagląda. Bo i po co? „Nie zadawaj trudnych pytań, to nie usłyszysz kłamstw”.

Stała na tarasie apartamentu przy Public Market i przyglądała się pustej ulicy. Za jej plecami chłopcy w białych liberiach serwowali dania na srebrnych tacach. Ładne mieszkanie. Sporo kosztowało. W budynku mieściło się tylko sześć takich z ogromnymi tarasami. Z każdego tarasu rozciągał się wspaniały widok na zatokę. Robert nie należał do tej ligi.

Mieszkali tu Ted i Jessica Landisowie, pośrednicy sprzedający nieruchomości bogaczom. Mieli dwóch dorosłych synów - jeden studiował, a drugi prowadził własny biznes. Michael. Kiedy był mały, pewnie mówili do niego Mikey.

Był chłodny lipcowy wieczór. Znad zatoki wiał lekki wiatr. Takie jest Seattle latem. Suche powietrze i miły chłód. Lata piękne, ale zimy ponure. Za dużo pada. Dobrze, że nie ma śniegu, jak w Cleveland.

Jenna przyglądała się promom sunącym po wodzie. Na horyzoncie błyszczały światła Alki Point. Oparta o balustradę, sączyła wino. W pobliżu kręcili się jeszcze jacyś ludzie, ale nie miała ochoty na pogawędkę. Ach. Rodzina Jefferiesów. Dwie córki. Thompsonowie. Tylko syn. Ale ona i tak musi dbać o linię. „Dlaczego nie możemy być chude jak Demi Moore? Wystarczy wsadzić tych wszystkich frajerów na steper, a będą szczęśliwi” - pomyślała.

- Jenna! - ciszę rozdarł donośny głos.

Christine Davies. Z Mercer Island. Domek letni na Hood Canal. Bobby byłby dzisiaj w wieku jej synka. „David Davies. Jakie sprytnie krótkie imię i nazwisko. Sam je wymyślił? Podobno jest bardzo mądry. Czy już zapisaliście go na uniwersytet? Słyszałam, że to najmądrzejszy mały kosmita zrodzony z humanoida. Napij się jeszcze, nie wyglądasz, jakbyś miała dosyć”. - Dziewczyna kpiła bezlitośnie w myślach z podchodzącej kobiety.

- Szałowa garsonka. Niesamowita! Kupujesz ubrania za miastem? Ja chodzę do Barneya, ale nigdy nie widziałam u niego takich rzeczy. Wyglądasz cudnie. Chciałabym mieć twoje biodra. Schudłaś?

- Nie, Christine. - Jenna zmusiła się do grzecznego uśmiechu. - Ale dziękuję. Jak miewa się mały David?

- Och, może chciałabyś wziąć udział w akcji charytatywnej i kupić od niego trochę miętówek? Właściwie zajmuje się tym nasza najstarsza córka, Elizabeth. Za sto pudełek dostaje bon towarowy do Nordstrom. Uwielbia ubrania, ale nienawidzi się targować. Mają więc z Davidem układ. David sprzedaje miętówki, a Elizabeth dzieli się z nim nagrodą. David musi sprzedać tylko dwadzieścia pudełek więcej. Wspaniale prowadzi swoje interesy. Peter jest przekonany, że

pewnego dnia zajmie się sprzedażą nieruchomości. Wiesz, miętówki, takie czekoladki. Tylko cztery dolary za pudełko. Wszystko w słusznej sprawie.

- A co to za sprawa?

- Słucham?

- No, ta akcja charytatywna.

- Och, nie wiem - powiedziała Christine zdumiona pytaniem. - Myślę, że chodzi o niepełnosprawnych umysłowo. Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie, skoro sprawa i tak jest słuszna?

Christine wyrwał się suchy śmiech. He, he, he. Chrapliwy śmiech. Taki trochę skandynawski. Jenna próbowała ukryć kwaśny grymas, ale nie była pewna, czy jej to wyszło.

- Jasne, Christine, wezmę pięć.

- Pięć? Świetnie. Jaka jest twoja tajemnica, Jenno? Wyglądasz tak szczupło.

- Ścisła dieta. Woda i miętówki.

- He, he, he.

Christine spowaźniała. Położyła dłoń na ramieniu Jenny. Lekko kołysała się na wietrze.

- A tak serio, Jenna. Jak twoje samopoczucie?

- W porządku.

- Chyba ci trudno o tej porze roku.

Spojrzenie Christine wydawało się rozkojarzone. Rybie. W kąci-ku jej ust pojawiła się plamka białej śliny. Zęby były przebarwione. Oddech cuchnął omletem z wędzonym łososiem.

- Chyba ci bardzo trudno.

Jenna wyobraziła sobie, że w głowie Christine mieszka wielki małż. Pulsujący wór zasysający wodę tylko po to, żeby się poruszać.

Głowa Christine na dnie oceanu. Głowa jak mięczak. Jednym uchem zasysa, a drugim uchem wypływa wodę. I tak za każdym razem, kiedy najpierw na kilka cali wynurza się z mułu, a następnie znowu w nim grzęźnie.

- Na szczęście mam Roberta.

Rozgwiadza wskakuje na głowę Christine. Podważa czaszkę i wysysa soczystego małża. Wysysa brejowaty mózg Christine.

- Och, wiem. Co by się z nami stało, gdyby nie rodzina?

- Wybacz mi, muszę wracać do niego. Nie pozwól, żebym wyszła bez czekoladek.

Cmok, cmok.

Jenna prawie się zakrztusiła, kiedy owionął ją oddech Christine. Omlet kalifornijski, czyli ostrygi, jajka i małże.

Ruszyła w kierunku Roberta, który przy barze zabawiał grupkę ludzi z branży. Tacy to mogą wypić. „Kiedy się martwisz, że stracisz pracę, zawsze się spinasz. Jaka jest sytuacja rynkowa? Dwadzieścia cztery dolary za metr i ani centa mniej”. Jenna się skrzywiła.

Obserwowała, jak Robert gestykułuje i opowiada trzem mężczyznom jakąś historyjkę. Mieli mniej więcej po trzydzieści lat. Jedni odnosili większe sukcesy niż inni, to oczywiste. Wszyscy na studiach uprawiali lekką atletykę. W świecie nieruchomości to bardzo ważne. Teraz mogą odlewać się razem i mówić: „Wiesz, jak grałem w Huskies, wtedy gdy chodziliśmy na kręgle do Rose Bowl, mogliśmy się urznąć i zgarnąć kilka dziwek na Western Avenue. Zobacz, widać stąd tę ulicę. Chłopie, gdybyśmy wtedy kupili...”.

Robert miał na koncie najwięcej sukcesów z nich wszystkich. Jeździł najdroższym autem. Mieszkał w najnowocześniejszym domu. Miał najlepszą, najmądrzejszą i najpiękniejszą żonę. I jeszcze dwa

lata temu był ojcem najlepszego, najmądrzejszego i najpiękniejszego dziecka. Ale to wszystko się skończyło, prawda? Ile trzeba czasu, żeby się pozbierać po tragedii? Wieczność. A i to za mało. Dziecko jest istotą. Krwią z krwi. Kością z kości. Życiem z życia. To twoja krew w innej krwi. Twoje życie. Najgorsze, co może spotkać człowieka, to utrata dziecka.

Robert dostrzegł Jennę i przywołał ją gestem. Jego trzech wstawieni kumple zmierzyli kobietę wzrokiem.

- Jenna, kochanie, podejdź tutaj. Opowiadałem im, jak pojechaliśmy do Cleveland. Pamiętasz, jaka byłaś zła, że nie ma choinki?

- Nie byłam zła, tylko zawiedziona.

Mężczyźni się roześmiali.

- Byłaś wkurzona - rzekł Robert. - Była tak wkurzona - zwrócił się do kumpli - że ułamała gałązkę z drzewa rosnącego na dziedzińcu i ustawiła ją w pokoju. Nasza własna choineczka.

Mężczyźni śmiali się coraz głośniejszymi głosami. Trzech gojów. Dlaczego Robert popisuje się swoim żydowskim pochodzeniem? Czy myśli, że to czyni go lepszym? Może.

- Jenna naprawdę to zrobiła! Ma korzenie żydowskie, amerykańskie i indiańskie. Pomyślcie tylko! Może wziąć pół roku wolnego z okazji świąt religijnych. W przyszłym tygodniu mamy potlach. Całe miasteczko jest zaproszone!

Trzy głowy prawie eksplodowały ze śmiechu. Jenna zauważyła, że pory na twarzach mężczyzn poszerzyły się i zaczęły wydzielać cuchnącą mieszankę potu i tłuszczu. Ci faceci nie zestarzeją się z wdziękiem.

Spojrzała na szklaneczkę w dłoni męża. Była pełna lodu i whisky.

- Rozumiem, że to ja dziś wieczorem jestem kierowcą?

Robert zamilkł. Trzej koledzy zrobili głupie miny - typowe w sytuacji, w której ktoś z towarzystwa wpada w tarapaty. Zasłonili usta dłońmi, żeby powstrzymać śmiech.

Robert odwrócił się gwałtownie do Jenny i spojrzał na nią.

- O co ci chodzi?
- Nic. Po prostu nie będę więcej piła.
- Opowiadałem coś...
- Mów dalej, to było zabawne.
- ...i przerwałaś mi. Gdzie się podziało twoje poczucie humoru?
- Chciałam wiedzieć, czy mogę wypić jeszcze jedną lampkę wi-

na.

- Bzdury! Nigdy nie wypijasz drugiej lampki wina! Przerwałaś mi i dobrze o tym wiesz.

- Robert...
- Przerwałaś mi.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem. Trzej faceci prysnęli. Teraz na środku pokoju stali tylko Robert i Jenna, skupiając na sobie uwagę gości. Wszyscy widzieli, że on karze ją za złe zachowanie.

- Przestań - powiedziała cicho. - Nie rób tego na oczach ludzi.

Robert złapał Jennę za ramię i wyprowadził z salonu. Zapukał w drzwi od łazienki, otworzył je i wepchnął żonę do środka.

- Dlaczego mi to zrobiłaś?
- Ale co?
- Poniżyłaś mnie przed kumplami.
- Nie potrzebowałeś mojej pomocy - stwierdziła. Usiadła na zamkniętej desce klozetowej i skrzyżowała nogi.

Starła się udawać spokojniejszą, niż była w rzeczywistości.

- Suka! - rzucił Robert. Jenna zamrugwała. Nienawidziła tego słowa, a on dobrze o tym wiedział. - Mogłaś zostać w domu. Wiedziałaś, że nie wytrzymasz na tym przyjęciu, tak?

Jenna szybko podniosła wzrok.

- Co to ma znaczyć? Dlaczego miałabym nie wytrzymać?

- Bo jesteś wściekła, że zapaliłem świeczkę dla Bobby'ego. Teraz się odgrywasz. Typowe.

- Typowe?

- Tak, typowe. Ty p o w o nie możesz uporać się ze swoim poczuciem winy, a ja typowo mogę. Ale to nie m o j a wina, że ty ciągle czujesz się winna. To nie m o j a wina, że ja sobie z tym poradziłem i potrafię zachowywać się jak normalny człowiek. Zapalam świecę. I wiesz co? Lubię to robić, bo to mi pomaga. Jeżeli nie możesz tego znieść, wielka szkoda.

Jenna przygryzła wargi. Powstrzymała się, żeby nie zaatakować. Nie chciała, aby pijany Robert wciągnął ją w wojnę na słowa, której nikt nie wygra. Konfrontacja w toalecie Landisów. Krew na podłodze. Wstała i otworzyła drzwi.

- Napij się jeszcze. To sprawia, że stajesz się atrakcyjniejszy w moich oczach.

Robert wpatrywał się w nią gniewnym wzrokiem. Czysta głęboka nienawiść.

Jenna wróciła na taras.

Potrzebowała świeżego powietrza. Musiała uporządkować myśli. Upokarzająca wymiana zdań w łazience przyprawiła ją o zawrót głowy. Głęboko odetchnęła. Nie miała zamiaru się smucić. Nie miała zamiaru dopuścić do tego, aby Robert po raz drugi tego samego dnia sprawił jej przykrość. Nie ma mowy.

„Nic się nie stało. Uspokój się. On jest pijany. To on ma problem” - powtarzała sobie w duchu.

Po kilku minutach rzeczywiście się opanowała. Powściągnęła emocje, tak jak chowa się żywność w plastikowym pojemniku.

Wróciła do mieszkania. Przy barze wypila szklankę wody Perrier. I tak nie miała ochoty na drugi kieliszek wina. Robert miał rację. Chciała przerwać jego idiotyczną opowieść. Pod wpływem alkoholu mówił zbyt głośno i śmiał się za donośnie. To wprawiało Jennę w zakłopotanie. Nie wspominając o tym, że upił się na tak ważnym przyjęciu. Tutaj dobijano targów. Tutaj pielęgnowano przyjaźnie. Jej mąż, który przestawał z pijanymi facetami o niższej pozycji zawodowej, sprawiał wrażenie jednego z przegranych.

Dawniej Robert zazwyczaj odstawał od grupy. Na plus. Był dobrze poukładany, jak mawiał ojciec Jenny. Dobrze wyglądał. Nie pił zbyt wiele. Nie mówił zbyt wiele. Nie myślał zbyt wiele. Dobrze wykonywał swoją pracę. Miły żydowski chłopiec.

Ojciec Jenny też był Żydem, chociaż nigdy się z tym nie obnosił. Cieszył się, kiedy poznała Roberta, chociaż nie robił sobie złudzeń, wiedział, że nie wychowają dzieci w zgodzie z tradycją. Chciał tylko, żeby na świat przyszedł kolejny Żyd.

Jednak nawet ojciec Jenny był zaskoczony, że rodzina Roberta nie ubiera choinki. Gwiazdka była częścią amerykańskiej tradycji, nie miała nic wspólnego z religią. Wszyscy Amerykanie obchodzą Boże Narodzenie.

„Najłatwiej być tolerancyjnym religijnie, kiedy nie jest się zbyt religijnym” - mawiał. I nie oponował, kiedy dali synowi imię po Robercie. Nie wierzył, że to przynosi pecha.

„Przesady! - stwierdził. - Robert to dobre imię”.

Jenna ocknęła się z zadumy. Stała w pustym korytarzu prowadzącym do różnych pokoi. Rozejrzała się. To z pewnością coś na kształt rodzinnego muzeum. Na ścianach wisiały zdjęcia rodziny Landisów. Setki fotografii, począwszy od czarno-białych wizerunków dziadków, po nowe portrety maleńkich dzieci. Jenna szybko przebiegała wzrokiem wystawę. Bale maturalne. Śluby. Zdjęcia ze Świętym Mikołajem. Wakacje. Zatrzymała się na dłużej przy fotografii Teda Landisa i jednego z jego synów, który mógł być wtedy w wieku Bobby'ego. Uwieczniono ich na przystani. Jezioro lśniło w tle od popołudniowego słońca. Chłopiec trzymał rybę. Jenna nie mogła oderwać wzroku. Zwykła fotografia. Zwykłe wydarzenie. Chłopiec i jego tata. Takie zwyczajne. Każda rodzina ma podobne zdjęcie. Wielu ojców zabiera swoich synów na ryby. Ale nie każdy jedzie w tym celu na Alaskę. Nie każdy wyrusza do Thunder Bay. Nie każdemu tonie syn.

- Jenna.

Podniosła wzrok. To była Christine. Miętówki.

- Wychodzimy.

Christine złapała Jennę za ramię i zaprowadziła ją do pokoju.

- Czy Robert jest pijany?

- To dość prawdopodobne.

- Bo mówił o... Bobbym. Wiesz. O tym, co się wydarzyło. Jezu, to nigdy się nie skończy. Jenna zamknęła oczy i głęboko odetchnęła.

- To nasza rocznica - powiedziała.

- Naprawdę? Myślałam, że pobraliście się zimą.

- Rocznicą śmierci Bobby'ego.

Christine zamarła w ciemnym pokoju. Za oknem na horyzoncie błyszcząły światła miasta. Pomarańczowy blask latarni rzucał

przedziwną poświatę na twarz kobiety. Patrzyła ze współczuciem, jakiego Jenna się po niej nie spodziewała. Jej żal był prawdziwy.

- Och! Przykro mi. Tak bardzo mi przykro.

Przytuliła Jennę, która poddała się uściskowi kobiety o mózgu małża. Zaczęła płakać. Czowała przerażenie. niesprawiedliwość. Zapach perfum i odór ciała. Szorstkie dłonie Christine na swoich włosach. Zapory pękają. Powódź.

Musiała minąć dłuższa chwila, zanim usłyszała głosy ludzi w pokoju. Ktoś wchodził, ktoś wychodził, Christine kogoś przeganiała. Głaskanie. Ponieważ to naprawdę boli. Naprawdę. To rana jak każda inna. Złamane ramię wkłada się w gips. Na ranę ciętą zakłada się szwy. Na złamane serce wylewa się łzy.

Jenna usiadła. Christine wciąż była obok. Przyglądała się jej i jednocześnie zerknęła na zegarek. Jakby prosiła o wybaczenie. Mąż patrzył na zegarek. Miło z jej strony, że została tak długo.

- Poradzisz sobie? Musimy wracać na wyspę.

Jenna pociągnęła nosem.

- Przepraszam. Miałaś rację. To trudny moment w roku.

- Peter chce już iść. Powinam się zbierać. Mogłabym zostać z tobą. Może powinnam. Wzięłabym taksówkę.

- Nie, nie trzeba. Już mi lepiej. Byłaś taka miła. Wstyd mi. Naprawdę. Miętówki. Nie zapominaj o miętówkach.

Jenna chwiejnie stanęła na nogi. Znalazła torebkę i zajrzała do środka. W jej portmonetce nie było pieniędzy. Ale był portfel Roberta. Mąż nie nosił go przy sobie, bo tworzył na garniturze nieeleganckie wyrzucenie. Wyjęła dwudziestodolarowy banknot.

- Daj mi pięć pudełek.

Christine popatrzyła na Jennę z uśmiechem.

- Co za szczerść. Dobra z ciebie dziewczyna.

Wyjęła pięć opakowań miętówek z większego kartonowego pudła. Wzięła pieniądze, ucałowała Jennę w policzek i wyszła.

Została w pokoju sama. Schowała portfel do torebki. W torebce zauważyła kluczyki od samochodu. Zawahała się na moment. Po chwili znalazła kwit parkingowy. Wstała i wyszła z pokoju.

To nudne przyjęcie wciąż trwało, chociaż zbliżała się północ. Jenna przystanęła na chwilę. Miała rozmazany makijaż i czerwone oczy. Do piersi przyciskała pięć pudełek miętówek. Robert nadal rozmawiał z kolegami. Wciąż pił.

Jenna odetchnęła głęboko. Na dobranoc.

I wyszła.

Tak po prostu.

DOKTOR DAVID LIVINGSTONE wyglądał raczej na wariata niż na szamana. Stał na przystani. Włosy związał w kitkę. Oczy miał zamknięte, a ręce uniesione jak do modlitwy. Był nagi, jeśli nie liczyć bokserek z tureckim wzorem, butów do biegania i naszyjnika - rzemyka ozdobionego frędzlami. Na rzemyk nawlekł mały zwitek z giemzy. Przed nim leżał szamański strój, rozłożony na kawałkach grubego płótna. Ferguson marzył za siebie i za Davida; nie było szczególnie ciepło. Ale wydawało się, że doktor nie czuje zimna. Bezgłośnie poruszał wargami i powtarzał jakieś słowa.

- Jesteś stąd, Ferguson? - zapytał wreszcie, pochylając się i podnosząc spódniczkę ze skóry jelenia, przystrojoną paciorkami z kości słoniowej.

Mężczyzna pokiwał głową.

- Z Wrangell.

David związał spódniczkę w pasie, a potem wciągnął przez głowę coś w rodzaju poncza ze skóry jelenia. Na spódniczce i ponczu wymalowane były czerwone oraz czarne postacie.

- Mogę zadać ci pytanie? - spytał Fergie.

- Jasne.

- Często to robisz? No wiesz... Często pracujesz dla firm?

David zachichotał.

- Dosyć często. Chociaż zwykle nie wywołuję duchów.

- To znaczy?

- Pracuję dla przedsiębiorstw rybackich. Przepowiadam, w którym miejscu pojawią się w sezonie ławice. Albo błogosławię łodzie i statki. Raz zatrudniła mnie firma od wyrębów, żebym przeprosił w jej imieniu duchy, bo podczas wycinki dużej części lasu pracownicy zabili setki sów.

- Cholera.

- Smutne jest to, że zatrudnili mnie w ramach marketingu. Nie obchodziło ich, co naprawdę zrobię. Mogłem na przykład wyrecytować w języku Tlingitów słowa piosenki o Mary i o jagniątku. To dla nich było bez znaczenia.

- Aha - mruknął Ferguson, kiwając poważnie głową. – I co, wyrecytowałeś?

Nie mógł się oprzeć pokusie zadania tego pytania. David się uśmiechnął.

- Nie, bo nie można go przetłumaczyć. Na Alasce nie ma jagniątek, więc nie ma też na nie odpowiedniego słowa.

- Jasne.

David jednak nie odpowiedział na pytanie Fergusona: co mianowicie wyrecytował? To było istotne. Nawet jeżeli Ferguson nie wierzył w indiańskie obrzędy, to jego inwestorzy owszem. A on miał obowiązek spełnić ich życzenie. Nie płacili pięciu tysięcy dolarów za wymamrotanie dziecięcej rymowanki.

David włożył wisiołek z pazurami niedźwiedzia. Na głowie umieścił dziwną koronę zrobioną z rogów kozła połączonych paskami skóry.

- Znasz historię tej okolicy, Ferguson?

„W końcu sensowne pytanie” - pomyślał Fergie. Z tym sobie poradzi.

- Najpierw była tu wioska rybacka zasiedlona przez Rosjan. Nazywano ją Mikoff Bay. Na początku dwudziestego wieku zmieniła się w tętniące życiem miasteczko z fabryką konserw i z ładną, głęboką zatoką, która stała się bezpiecznym miejscem dla łodzi. Mogły w niej przetrwać sztormy. Ale potem nadszedł wielki kryzys, a następnie wojna. Maszyny z fabryki konserw przetopiono na bomby i to był koniec tego miejsca.

- Bardzo dobrze.

- A teraz grupa, dla której pracuję, chce tu stworzyć wielki kurort rybacki. I na szczęście zmieniają też nazwę. Na Thunder Bay.

- Dobrze brzmi, jak sądzisz? Ale zapomniałeś, Ferguson, o jednej sprawie. Być może najważniejszej.

- Mianowicie?

- Rosjanie, Brytyjczycy, Amerykanie. Oni nie zasiedlali miejsc niczych. Rosjanie budowali swoje forty zwykle obok wiosek Tlingitów. To ułatwiało prowadzenie handlu.

- Rozumiem.

- Wtedy wybuchła epidemia i oczywiście większość Indian zmarła. Zostali tak zwani napływowi.

- Zgadza się.

- Jestem pewien, że twoi inwestorzy obawiają się duszy jakiegoś Indianina, która mogłaby wymordować ich gości.

Ferguson nie mógł zaprzeczyć.

- A więc - powiedział szaman z westchnieniem - bierzmy się do pracy.

Pochylił się i wyciągnął z worka ostatni przedmiot. Była to intrygująca, przypominająca procę grzechotka, zrobiona z czaszki

jakiegoś małego ssaka. Czaszka wisiała na skórzanym rzemieniu pomiędzy rogami jelenia. Paski udekorowane paciorkami zagrzechoły, gdy David zaczął potrząsać tym niezwykłym przedmiotem.

Osadę zbudowano na zboczu góry wyrastającej z wody. Budynki wyglądały, jakby stały jeden na drugim. Poniżej, wzdłuż doków, ciągnął się rozległy deptak. Widać stąd było hydroplan i łódź Livingstone'a.

Ta okolica idealnie nadawała się na kurort. Fabrykę konserw, największy budynek, jakiś czas temu odnowiono i przekształcono w dom kultury. W dawnym sklepie wielobranżowym sprzedawano teraz sprzęt rybacki i pamiątki. Wszystko tu dostosowano do potrzeb turystów. Tylko że żadnych turystów nie dało się zauważyć. Jedyne przybyszami byli budowlańcy, którzy przez ostatnie miesiące pracowali w Thunder Bay dniami i nocami. Od 1948 roku nie osiedlił się tu żaden nowy człowiek.

Fergie wskazał Davidowi nabrzeże.

- Pięknie tu, prawda?
- Naturalnie.

Fergie nie potrafił powiedzieć, co David sądzi o pomysłe budowy kurortu. Odnosił wrażenie, że Indianin nie do końca go popiera. Możliwe, że Livingstone pomagał mu tylko dla pieniędzy. Nie było w tym oczywiście nic złego. Wszyscy odwiedzali Thunder Bay wyłącznie po to, żeby zarobić.

- Słyszałeś coś o Kruku, Ferguson?

Fergie pokręcił głową.

- Nic.
- Kruk opiekuje się Tlingitami. To on stworzył słońce, księżyc, oceany... Właściwie wszystko, co istnieje. Na świat sprowadziło go

cierpienie. Ale żeby porządnie opowiedzieć tę historię, muszę cofnąć się do...

...POCZĄTKU, DO CZASÓW, kiedy żył pewien wielki wódz, człowiek silny, dumny i poważany przez swój klan. Miał piękną żonę, którą bardzo kochał. Był jednak nieprawdopodobnie zazdrosny - nie wierzył w wierność swojej małżonki. Wciąż obawiał się, że ktoś ją uwiedzie i wykradnie. Dlatego zawsze, kiedy wyruszał na polowanie na foki, zamykał kobietę w skrzyni. Skrzynię zaś podwieszał na krokwiach domu, aby nikt nie mógł jej dosięgnąć.

Pewnego dnia wódz przyłapał żonę na tym, jak wymienia spojrzenia z jednym z jego siostrzeńców. Wpadł we wściekłość, chwycił nóż i odciął siostrzeńcowi głowę. Aby nie dopuścić do cudzołóstwa, zabił też pozostałych siostrzeńców.

Na wieść o mordzie siostra wodza pogrzyżała się w żalu. Rok wcześniej, podczas polowania, zginął jej mąż. Teraz nie miała nikogo, kto zająłby się nią na stare lata. Była zrozpaczona. Poszła do lasu, żeby odebrać sobie życie.

Kiedy wędrowała przez knieje w poszukiwaniu miejsca, w którym mogłaby to zrobić, spotkała starca. Nieznajomy zapytał, dlaczego kobieta tak bardzo rozpacza, ona zaś wszystko mu wyznała. Stary człowiek wysłuchał opowieści o zazdrości oraz o okrucieństwie jej brata. Kiwając głową, powiedział, że postępowanie wodza było niegodziwe.

- Idź na plażę podczas odpływu i znajdź okrągły kamyk - nakazał kobiecie. - Rozgrzej go w ogniu. Czekać, aż stanie się bardzo gorący. Wtedy go połknij. Nie martw się, nie wyrządzi ci krzywdy.

Siostra wodza zrobiła to, co nakazał jej starzec. Kiedy połknęła kamyk, zaszła w ciążę. W lesie niedaleko plaży zbudowała szałas, w którym postanowiła zamieszkać i w którym urodziła syna.

Syn wyrósł na piękne dziecko.

To właśnie był Kruk.

FERGUSON I DOKTOR weszli do domu kultury. Fergie miał nadzieję zrobić wrażenie na Davidzie.

Wnętrze, o bardzo wysokim suficie, było wykończone jedlicą zieloną, nadającą mu głęboki ciepły kolor i zapach. Pośrodku znajdowało się wielkie okrągłe palenisko, a nad nim grill na ryby i wiatrak wentylacyjny. Rożen dzielił konstrukcję na połowę w taki sposób, że nad ogniem bez trudu mogła zmieścić się nawet największa zwierzyzna. Długie, drewniane, wieloosobowe stoły miały stwarzać atmosferę wspólnoty.

- Bardzo ładnie - pochwalił David i zaczął się rozglądać.
- Wypruliśmy sobie dosłownie żyły przy budowie tego domu - stwierdził Ferguson, zadowolony z osiągniętego efektu. - Naprawdę chcemy, żeby ludzie tu przychodzili i spędzali razem czas.
- Tak, dzisiaj ludzie niechętnie spędzają czas z innymi. Każdy na wyciągnięcie ręki ma wszystko, telefon, telewizję, pizzę dostarczaną do domu i podsuwaną pod sam nos. Jak można mówić o społeczności, skoro wszyscy są aspołeczni?

David podszedł do paleniska.

- Działa?
- Pewnie.
- Chciałbym rozpalić ogień. Musimy złożyć duchom zmarłych ofiarę z jedzenia.

Ferguson wskazał mu drewno składowane przy jednej ze ścian. Sam wpadł na pomysł, żeby trzymać opał w środku. Dzięki temu drzewo zawsze było suche, a goście wiedzieli, że nie grozi im przemarznięcie.

- Tlingitowie nie wierzą w niebo wysoko w górze - powiedział nagle David. - Wierzą, że kiedy człowiek umiera, jego dusza rozpoczyna podróż. Udaje się na drugi koniec wyspy albo krętymi drogami na drugą stronę wody. Do Krainy Umarłych. Ale wszyscy zmarli i tak zawsze są blisko nas. Podlegają tym samym prawom co my. Jeżeli wioska cierpi głód z powodu nieudanych polowań lub marnych połowów, zmarli również są głodni. Dlatego przy każdej okazji trzeba nakarmić ich czymś z własnego talerza. Najchętniej posilają się strawą wrzuconą do ognia. Pamiętaj, Ferguson, droga do serca zmarłego wiedzie przez jego żołądek. Nakarm duchy, a one przestaną cię nawiedzać.

Fergusonowi spodobał się ten pomysł. To będzie nowa tradycja w Thunder Bay. Przy każdym posiłku ofiara z jedzenia. Dwie pieczenie na jednym ogniu: niech zmarli będą zadowoleni, a żywi zaintrygowani. Ludzie będą go podziwiać za to, ile wie o kulturze Tlingitów.

Ale to później.

Teraz Fergie musiał pomóc Davidowi w rozpaleniu ognia.

MATKA KRUKA UMIEŚCIŁA pod jego językiem kamyk, który uczynił chłopca niezniszczalnym. Dwa razy dziennie kąpała syna w lagunie, żeby szybciej rósł.

Kiedy Kruk mógł już samodzielnie biegać po lesie i pływać w oceanie, zrobiła mu łuk i strzały do polowania na ptaki, zające, lisy i wilki. Kruk zawsze okazywał należny szacunek zabijanym

stworzeniom. Tak uczyła go matka, która ze skór martwych zwierząt szyła okrycia. Jej syn był mądrym i szybkim myśliwym.

Pewnego popołudnia chłopiec ustrzelił dużego białego ptaka. Okrył się jego piórami i natychmiast poczuł nieodparte pragnienie latania.

Tymczasem potężny wódz wioski usłyszał o swojej siostrze i o jej synu - wytrawnym myśliwym. Wysłał jednego ze swoich ludzi, żeby zaprosił siostrzeńca w odwiedziny. Matka ostrzegła Kruka przed tą wizytą. Opowiedziała mu o potwornych czynach swojego brata. Pomimo ostrzeżeń Kruk postanowił odwiedzić wuja, a matce kazał nie martwić się niepotrzebnie.

Kiedy przestąpił próg domu wodza, ten próbował zabić Kruka tym samym nożem, którym zamordował jego braci. Ale kiedy chciał podciąć siostrzeńcowi gardło, zęby noża się ułamały.

Wtedy wódz poprosił Kruka, żeby pomógł mu naprawić *canoe*, i uwięził go podstępem pod łodzią. Myślał, że Kruk nie wydostanie się z pułapki i utonie podczas przyływu. Ale krewniak wodza z łatwością przepoławił *canoe* i pojawił się w domu wuja. Rzucił mu do stóp dwie części łodzi.

Wtedy wuj zażądał, żeby siostrzeniec pomógł mu złapać kałamarnicę na obiad. Kruk ukrył za pazuchą maleńkie *canoe*. Kiedy mężczyźni wypłynęli na morze w poszukiwaniu zwierząt, wódz wrzucił siostrzeńca do wody i uciekł. Liczył na to, że chłopiec utonie. Ale młodzieniec powrócił do wioski na swoim małym *canoe* szybciej niż wuj. Kiedy wódz wszedł do domu, Kruk zamknął drzwi od zewnątrz i wezwał morskie fale, aby utopiły nikczemnika.

Posłuszne wody wezbrały. Kruk na białych skrzydłach uleciał w przestworza. Pofrunął tak wysoko, że dziobem wbił się w niebo.

Pozostał w górze przez dziesięć dni. Kiedy woda opadła, oswobodził się i wrócił na ziemię. Wszyscy mieszkańcy wioski, wraz z matką Kruka czekającą na syna w lesie, zostali porwani przez fale. Kruk się zasmucił. Potop, który miał pomścić jego braci, jemu również przyniósł nieszczęście.

JENNA WYJECHAŁA Z GARAŻU apartamentowca na First Avenue wielkim, czarnym bmw 850i. W pełni zautomatyzowanym. Kiedyś Robert wcisnął przycisk alarmu i wszystkie okna oraz szyberdach się otworzyły. Nie można było ich zamknąć. Awaria komputera. Musieli pojechać do miasta na specjalistyczną diagnostykę, żeby sprawdzić, co jest nie tak. Okazało się, że to wadliwy czip. Tysiąc dwieście dolarów. No cóż, kiedy wydaje się siedemdziesiąt tysięcy na samochód, trzeba pamiętać, że czip może kosztować tysiąc dwieście. Jenna miała volkswagena jetę z 1987 roku. I która z maszyn rzadziej trafiała do serwisu?

Ruszyła w stronę uniwersytetu, drogą przez wzgórze. Następna w lewo i już będzie w domu na Capitol Hill. W pięknym starym domu ze starymi oknami z ołowiowego szkła. To Jenna właśnie lubiła w nim najbardziej. Ołowiowe szkło.

Architektura Seattle jest zjawiskowa, zwłaszcza na Capitol Hill.

Jenna czekała na zmianę świateł. Włączyła radio. Szum w tle. Dźwięk radiowych fal. Dwa podekscytowane głosy z bostońskim

akcentem trajkotały o tym, w jaki sposób przepłukiwać gaźnik. Zanieczyszczenie sadzą? Przedmuchać. „Dlaczego skręcasz w prawo? Chyba masz coś nie tak z głową”.

Jenna pozwoliła sobie na brawurową jazdę, maksymalnie wykorzystując możliwości samochodu. Było coś pociesznego w facetach, którzy tak się pasjonowali silnikami.

Przemierzała miasto i próbowała wyobrazić sobie, jak zareaguje Robert, kiedy zorientuje się, że nie ma jego wozu. Co zauważy najpierw: zniknięcie samochodu czy Jenny? W jej torebce leżał portfel Roberta. Może mąż uzna, że zabrała go przez przypadek. Chyba że jest zbyt pijany, żeby na to wpaść. Dostanie napadu furii? Nie. Nawet pijany nie traci panowania nad sobą.

Jenna przypomniała sobie, że na siedzeniu obok ma pięć pudełek miętówek. Sięgnęła po jedno z nich. Kiedy podniosła wzrok, zdała sobie sprawę, że pojechała za daleko i znajduje się przy wjeździe na autostradę. Teraz mogła wrócić wyłącznie jednopasmówką. Za nią był jakiś samochód - nie miała wyboru, nie mogła zawrócić. Za chwilę powinna jednak skręcić na Montlake.

Nagle przyspieszyła. Wystraszyła się dźwięku, który zabrzmiał jak strzały oddane z pistoletu laserowego w grze wideo. Wykrywacz radaru. Spojrzała w lusterko wsteczne. Nic. Nawet nie przekroczyła prędkości. Wymyślają samochody dokładnie tak samo jak gierki komputerowe. Tylko po to, żeby mężczyźni mogli się rozerwać. Pik-pik-pik. Nadchodzi! Nurkuj, nurkuj!

Zjechała na prawy pas.

W radiu dwóch facetów od samochodów znowu zaczęło gadać.

Jaka to przyjemność mknąć po otwartej drodze. Każdy powinien tego spróbować. Napraw auto. Wyprowadź je. Samochody lubią się

poruszać. Jak psy ganiające po łące za piłką. Kochają to. I tak jak o psy, trzeba troszczyć się o samochody. Zabierz swój pojazd na weekendową przejażdżkę, a przekonasz się, że jego prowadzenie jest jedną z niewielu przyjemności, jakie ci pozostały. Wyłącz telefon. Włącz muzykę. Rozpuść włosy. Od razu poczujesz się lepiej. Wszystkie problemy wydadzą ci się mało istotne. Tak, jazda samochodem to najlepsza terapia. Lepsza od jogi, bo mniej boli. Dobranoc wszystkim. Dobranoc wszystkiemu. Jenna wyłączyła radio i minęła swój zjazd.

Pojechała dalej na północ.

ZJADŁA BEZMYŚLNIE prawie pół pudełka miętówek. I poczuła, że strasznie chce umyć zęby. Minęła godzina, odkąd wjechała na autostradę. Auto cicho mrucało, chociaż pędziło sto trzydzieści kilometrów na godzinę - lubiło szybką jazdę.

Jenna także poczuła się lepiej, tak jak mówili ci z radia. Była zrelaksowana i wypoczęta, chociaż było po drugiej nad ranem. Ani razu nie pomyślała o Robercie. Przez moment zastanowiła się tylko, czy on pomyślał o niej.

Pik-pik-pik. Znow gra wideo. Jenna puściła pedał gazu. Auto zwolniło do dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Była na drodze sama. Skąd ten radar?

Nagle błysnęło przed nią niebieskie światło. Serce Jenny podskoczyło. Czujnik radaru oszalał. Pik-pik-pik. Zaczęła hamować, wreszcie się zatrzymała.

Policjant z ręką na pistolecie ruszył w jej stronę. Gdy zaczęła otwierać drzwi, doskoczył gwałtownie do samochodu. Wyszarpał broń z kabury i kopniakiem zatrzaskał drzwi przed Jenną. Przez

szybę wycelował pistolet w jej głowę. Podniosła ręce, a wtedy on nakazał jej gestem, żeby otworzyła okno. Długo to trwało, zanim znalazła właściwy przycisk.

- Zgodnie z przepisami w przypadku zatrzymania należy opuścić szybę, włączyć światło wewnątrz samochodu i położyć obie dłonie na kierownicy.

Jenna przytaknęła gorliwie.

- Może pani włączyć światło?

Popatrzyła na niego przestraszona. Nie miała pojęcia, gdzie jest włącznik. Znowu przebiegła wzrokiem wewnątrz pojazdu. Wykrywacz radaru pikał jak szalony.

- Ale najpierw proszę wyłączyć wykrywacz radaru.

- To auto męża. Nie wiem...

- Nad lusterkiem wstecznym.

Jenna spojrzała w górę i rzeczywiście dostrzegła przełącznik.

- A detektor znajduje się na konsoli obok dźwigni zmiany biegów.

Sięgnęła ręką i wyłączyła alarm.

- Przekroczyła pani prędkość.

- Tak, wiem. Już mówiłam, że to samochód męża... Nie jestem do niego przyzwyczajona. W moim robi się hałas już przy siedemdziesięciu kilometrach na godzinę... A ten... Ten jest naprawdę cichy.

Policjant z uśmiechem schował pistolet.

- Przepraszam, jeśli panią przestraszyłem. Kiedyś na tej autostradzie ginęło wielu funkcjonariuszy. Musimy zachować ostrożność. Zwłaszcza w nocy. Dokąd pani jedzie?

- Do domu.

- Czyli?

- Do Seattle.

- To w złym kierunku. Seattle jest na południe stąd.

Ups. Przyłapano.

- Piła pani alkohol?

- Nie. Mąż i ja... pokłóciliśmy się i chciałam uciec.

- Uderzył panią?

- Nie, ale...

- A chciał?

- Nie, nie. To nie tak. - Jenna płątała się w wyjaśnieniach. - To naprawdę skomplikowane. Po prostu chciałam uciec. I tyle.

- Ma pani jedzenie na ustach.

Jenna, zażenowana, zerknęła do lusterka i zobaczyła, że pobrudziła się czekoladą. Wytarła usta dłonią. Czy policjant spostrzegł, że się zarumieniła? Mimo woli zaczęła się śmiać. On jej zawtórował.

- To czekoladki miętowe. Chce pan jedną?

- Dziękuję, jestem na służbie.

Oboje znów się roześmiali. Facet był naprawdę miły. Czy kobiety fantazjują o mężczyznach w mundurach?

Zadzwoił telefon pokładowy. I nie przestawał dzwonić. Jezu. Jenna popatrzyła na policjanta i z zakłopotaniem wzruszyła ramionami.

- Chce pani odebrać?

- To pewnie mój mąż. Zastanawia się, gdzie podział się jego samochód.

- I słusznie. Dlaczego pani nie odbierze i nie powie mu, że jest bezpieczna?

Jenna skinęła głową. Podniosła słuchawkę. To faktycznie był Robert.

- Jenna, gdzie się, u licha, podziewasz?! - krzyczał.

- Jestem w samochodzie.
- Co ty powiesz, Sherlocku? A konkretnie?
- Niebawem będę w domu. Chciałam tylko pobierać myśli.
- Dlaczego zostawiłaś mnie na przyjęciu? Co z tobą?
- Nic się nie stało. Nie martw się.

Rozłączyła się, gdy zaczynał zadawać kolejne pytanie. Znowu spojrzała na policjanta. Późna noc z gliną na autostradzie. Można by z tego zrobić niezły film. Porno. Panie władzo, zrobię w s z y s t k o , żeby tylko nie dostać mandatu. Po prostu w s z y s t k o .

- Tym razem dostanie pani tylko ostrzeżenie - odezwał się mężczyzna. - Od tej chwili niech pani zwraca uwagę na prędkościomierz, dobrze? A jeśli nie czuje się pani zbyt pewnie, proszę jechać prosto do domu albo zatrzymać się w motelu. Jasne? Nie powinna pani jeździć sama o tej porze.

Odsunął się od szyby i ruszył w kierunku swojego samochodu. Jenna, niewiele myśląc, wystawiła głowę przez szybę i zawołała:

- A może jednak jedną czekoladkę? Są pyszne!

Zatrzymał się i odwrócił. Miał ładny profil i sympatyczny uśmiech. Nazywał się McMillan. Takie nazwisko widniało na identyfikatorze. Potrząsnął głową.

- Nie, ale dzięki za propozycję.

Wsiadł do auta. Jenna również uruchomiła silnik i wjechała na drogę. Znowu zadzwonił telefon. Nie odebrała. Kiedy umilkł, wyobraziła sobie wygenerowany komputerowo głos, który odezwał się w słuchawce.

„Przepraszamy, wybrany abonent jest w tym momencie nieosiągalny. Po usłyszeniu sygnału proszę zostawić...”.

ZJECHAŁA Z AUTOSTRADY W BELLINGHAM. Czowała się zmęczona i głodna. Zatrzymała się na stacji benzynowej, żeby zatankować. Kupiła też kilka paczek prażonych orzeszków i coca-colę, żeby dostarczyć sobie jakichś kalorii. Krótka droga do domu okazała się nagle całonocną przejażdżką. Jenna stała pod baldachimem fluorescencyjnych żarówek. Sztuczne słońce. Elektryczna rzeczywistość.

Wdychała odurzające opary i obserwowała przeskakujące na dystrybutorze cyfry. Zapach benzyny sprawiał, że czowała się bezpiecznie. Może dlatego, że w każdym miejscu na świecie był zawsze taki sam? Albo dlatego, że benzyna symbolizowała podbój natury przez człowieka? Ludzie kopali głęboko w powłokach Ziemi, pompowali czarną breję na powierzchnię, gotowali ją w aluminiowych kontenerach tylko po to, żeby można jej użyć w bmw. Ewolucja człowieka zalaływała benzyną.

Było w pół do trzeciej, kiedy Jenna wjechała do centrum miasta. Nie bardzo wiedziała, dokąd dalej. Dom czy motel? Problem rozwiązały znaki - pokierowały Jennę w stronę nabrzeża. To był właściwy kierunek. Nowiutkie niebieskie znaki oznajmiały wszystkim, że to,

czego szukają, znajdą właśnie na nabrzeżu. Jenna zaufała drogowskazom. Zatrzymała się w końcu na Harris Avenue.

Na pomoście panowało ożywienie. Łodzie przyplwały i odpływały, trwał załadunek i wyładunek. Ale Jenna nie wyszła z auta. Woląca poczekać do świtu.

Odchyliła lekko siedzenie, po czym otworzyła coca-colę i orzeszki. Zaśmiała się do siebie. „A więc to jest ta podróż, której nigdy nie odbyłaś? Miałaś to zrobić na studiach. Wsiąść do samochodu i ruszyć przed siebie. Spać w aucie, jeść byle co”. Nagle poczuła się nieswojo, nie była jeszcze taka stara, żeby z rozrzewnieniem wspominać czasy młodości.

Jej powieki zrobiły się ciężkie. Ziewnęła. Znak przed samochodem wskazywał Alaska State Marine Highway, komunikacyjnego giganta, który łączył Alaskę z czterdziestoma ośmioma stanami.

Jenna zapomniała, że to działo się właśnie tutaj, w Bellingham. Kiedy babcia wyjeżdżała z Seattle, zwykła podróżować Alaska State Marine Highway. Niebieski prom Columbia z flagą Alaski nad kominem: Wielkim Wozem i Gwiazdą Polarną. Podczas trzydniowej podróży babcia siedziała na dużym fotelu w holu pasażerskim. Uwielbiała to. Cały czas rozmawiała z ludźmi, nawiązywała nowe przyjaźnie, słuchała. Nigdy nie latała samolotem, dopóki po raz ostatni nie wyruszyła do Wrangell. Ale wtedy i tak musiała zająć miejsce z tyłu. Leżała na noszach. Jenny przy niej nie było.

Babci amputowano nogę, ponieważ wdała się gangrena. Oprócz gangreny niszczył ją rak. Tak mówił lekarz. Staruszka długo żyła w ogromnym bólu. Jenna wyobraziła sobie jej przeżarte chorobą narządy wewnętrzne. Przypomniała sobie, jak wozila babcie na wózku po szpitalnym holu, jak brała ją na przejazdkę, a ona pokrzykiwała:

„Hej, facet! Hej, facet!” Mama mówiła, że w ten sposób babcia wzywa Boga. Prosi, żeby oszczędził jej bólu. Hej, facet. Bóg to facet. Faceci pachną benzyną. Bóg pachnie jak szpitalne środki dezynfekujące. Było tam tyle starych osób przepełnionych bólem. Wszystkie nafaszerowane lekami tak, że nie wiedziały, co się dookoła dzieje.

Jeden z lekarzy powiedział, iż będą musieli odciąć babci nogę na wysokości uda. I dodał, że jest mniej niż pięćdziesiąt procent szans na to, że kobieta w tym wieku obudzi się z narkozy. Może też nie przeżyć samej operacji, która i tak prawdopodobnie nie powstrzyma postępu zakażenia. Po prostu babcia zaśnie. Na zawsze. Miała wtedy dziewięćdziesiąt sześć lat. Żyła pełnią życia.

Mama Jenny się nie zgodziła. Kazała lekarzowi wypchać się z jego pomysłem eutanazji w białych rękawiczkach. „Nikt nie uspi mojej mamy. Hej, facet, zabierz ten ból”.

Babcia pragnęła wrócić do domu. Na Alaskę. Wszyscy oprócz mamy uważali, że to głupie. Mama wiedziała jednak, że babcia czuje nadchodzącą śmierć. Że chce umrzeć we własnym domu, w którym mieszkała przez dziewięćdziesiąt sześć lat. Urodziła w nim jedenaścioro dzieci. Pożegnała zmarłego męża. Dlaczego ktoś miałby jej odmówić? Dlaczego, u licha, ktoś miałby się sprzeciwić?

Wsadzili więc babcię do samolotu w jej ostatnią w życiu podróż.
Umarła jakieś dziewięć miesięcy później.

We własnym domu.

*

JENNA OBUDZIŁA SIĘ O SZÓSTEJ. Słońce wlewało się do wnętrza samochodu przez tylną szybę. Ustawiała siedzenie w normalnej

pozycji, po czym wysiadła z auta. Kręgosłup miała zupełnie sztywny. Przeciągnęła się więc, wdychając świeże, poranne powietrze. Po drugiej stronie ulicy zauważyła kawiarnię Starbucks. Poczula, że jest głodna.

Usiadła przy długim barze, skąd widziała ulicę. Piła kawę i jadła muffinkę. Patrzyła na ludzi którzy czekali w kolejce tylko po to, żeby wyrzucić z siebie superszybkie zamówienie. Super-dużo-odtłuszczona-bez-pianki-podwójna-mokka-bezkofeinowa-cappuccino-na-wynos-bez-wieczka-na-kubku. Cholera. W jaki sposób ludzie odkrywają, co lubią? Przez lata zawężają możliwości. Jak to później zapamiętują? A dziewczyny stojące za barem? One wszystko pamiętają - każde zamówienie. Jak to robią? Jest tego tyle, co na greckiej kolacji. Podwójne-chude-mocchachino-chityl-chiko-chinie-chimów-chinic-chio-chipian-chice. Masz pomysł? Zarób bilion dolarów.

Para młodych hipisów siedziała przy barze obok Jenny. Birkenstocki i plecaki. Mieli nie więcej niż osiemnaście lat. Wyglądali na zakłopotanych i zmartwionych. Chłopak nerwowo przeszukiwał bagaż dziewczyny.

- Nie ma ich tutaj.
- Gdzieś muszą być.
- Już sprawdzałam. Zniknęły. I co teraz?

Hipis podrapał się w głowę.

- Niech to szlag, Debbie. Muszą gdzieś być.
- Wiem, że je zgubiłam. Po prostu to wiem.

Debbie zaczęła płakać. Chłopak próbował ją pocieszyć.

- Złapiemy okazję. Na autostradzie Akan. Albo jakiegoś stopa w Winnebago.

- Willie, jestem załamana.

Debbie rozplakała się jeszcze bardziej. Willie niezgrabnie ją przytulił.

Jenna poczuła, że Willie powinien obdarzyć Jennę miną: „Odwal się, kobieto”. Ale tego nie zrobił.

- Ile kosztują bilety? - zapytała nagle.

- Że co?

- Ile pieniędzy potrzebujecie?

Zdziwiony Willie najpierw popatrzył na Debbie, a potem na Jennę.

- Nieco ponad dwieście dolców...

- Zafunduję je wam.

Debbie zerknęła na Jennę przez opadające na twarz włosy. Willie zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

- Dlaczego?

Jenna wzruszyła ramionami.

- Ponieważ być może nigdy więcej nie będziecie tędy przejeżdżać. A jeśli przegapicie prom, może coś straciecie. Na zawsze. A tego nie chcę mieć na sumieniu.

Debbie zaśmiała się cicho, pociągnęła głośno nosem. Uśmiechnęła się do Jenny jak do anioła. Dzieciaki. Bobby pewnego dnia też wyjechałby z dziewczyną na kilka miesięcy. Pływałby promem, wsiadałby do łodzi, wysiadałby z niej w przygnębiających małych miasteczkach, jadłby hamburgery, podczas deszczu spałby w namiocie. Cieszyłby się życiem.

Cała trójka wyszła z kawiarni i poszła w stronę przystani. Jenna i Willie szli obok siebie, a dziewczyna za nimi. Robiło się coraz cieplej. Zapowiadał się kolejny piękny dzień. Na nabrzeżu było rześko i kolorowo. Fale połyskiwały w słońcu. Jenna uśmiechnęła się pod

nosem. Uświadomiła sobie, że prawdopodobnie wygląda jak wariatka: ubrana w pognieciony czarny żakiet, z rozmazanym makijażem na twarzy, proponuje jakiejś dziewczynie kupno biletu na prom.

Nad świeżo wymalowanym pomieszczeniem z okienkiem kasowym w ścianie wisiało wielkie logo portu. Na pozostałych ścianach widniały malowidła totemów północno-zachodnich Indian. W poczekalni znajdowało się niewiele osób - ktoś spał na krześle, jakaś rodzina siedziała na podłodze wśród bagaży, a dozorca w milczeniu zmywał podłogę w kącie.

Willie zatrzymał się i rzucił Jennie pytające spojrzenie. Debbie zrobiła to samo.

- Mówiła pani poważnie?

Jenna kiwnęła głową.

Chłopak, jakby przekonany, ruszył w stronę okienka. Jenna i Debbie patrzyły na niego, kiedy gestykulując, rozmawiał z kasjerką. W pewnej chwili odwrócił się do nich i powiedział:

- Wychodzi dwieście sześćdziesiąt pięć z podatkiem.

Jenna wyjęła portfel i podała kasjerce visę. I tyle. Willie wziął bilet, po czym wszyscy troje wyszli na zewnątrz.

- Wielkie dzięki. Jeżeli poda mi pani swoje nazwisko i adres, odeślemy pieniądze.

Jenna się uśmiechnęła.

- Nie trzeba.

Willie zaszurał nogami. Uścisnął dłoń Jenny.

- No to bardzo dziękujemy. Bardzo.

Ręką wskazał duży biało-niebieski prom na nabrzeżu. Debbie wydawała się rozluźniona. Jenna pogłaskała ją po policzku.

- Udanej podróży.

Wróciła na ulicę. Doszła do końca nabrzeża i wtedy się odwróciła. Dziób promu wystawał wysoko ponad wodę. Columbia. Na jego pokładzie pływała babcia. I Jenna w szkole średniej, kiedy wybrała się w odwiedziny do babci ze swoją koleżanką Patty.

Jenna zastanawiała się, co stało się z domem jej babci we Wrangell. Była pewna, że nikt tam nie mieszka. Front Street, w dół od doku. Wielki, stary, piętrowy dom. Kiedy dotarły tam z Patty, górne piętro, bardzo zrujnowane, było zamknięte. Babcia zresztą i tak już nie mogła chodzić po schodach. Od tamtej pory Jenna nie widziała tego domu. Od siedemnastu lat. Chciała go zobaczyć dwa lata temu, kiedy razem z Robertem i Bobbym jechali do Thunder Bay na brzezienną w skutki wycieczkę, która nieoczekiwanie skończyła się wcześniej, nie zatrzymali się jednak we Wrangell.

Jenna spojrzała na zegarek. Wpół do ósmej. Nagle zapragnęła wsiąść na prom i popłynąć na Alaskę. Raz jeszcze zobaczyć Wrangell. Raz jeszcze pospacerować uliczkami małego miasteczka. Dlaczego miałyby tego nie zrobić? Dlaczego miałyby nie pojechać na urlop do miejsca narodzin swojej matki i babki? Powie Robertowi, że musi wyjechać na kilka dni. Zrozumie. Nie, chyba nie zrozumie.. Do chrzanu z nim.

Przygryzła wargę, patrząc na morze. Widziała mewy groźnie krążące nad jej głową. A potem ruszyła prosto do kasy.

- WIĘC JAK TO DZIAŁA TAK NAPRAWDĘ? - Zawołał Ferguson ze swojego miejsca przy palenisku. Ciepło płomieni przyjemnie grzało mu plecy.

David potrząsał grzechotką, sprawdzając ściany, belki i okna.

- Jak co działa?

- Ta cała magia.

- Mam tu wygłosić wykład dla początkujących szamanów?

Ferguson wzruszył ramionami.

- Po prostu interesuje mnie, co teraz robisz?

- Podziwiam sztukę budowlańców. Dobrze zamocowali belki nośne.

- Ale, no... czy... Zamierzasz wymówić jakieś zaklęcie?

David parsknął śmiechem, przedzierając się przez labirynt ze stołów. Na blatach leżały krzesła ustawione do góry nogami.

- Jeszcze nie. Może wcale nie będzie takiej potrzeby.

Podszedł do paleniska. Zdjął jedno z krzesel ze stołu i usiadł naprzeciwko Fergusona.

- Posłuchaj. Świat jest pełen ludzi i duchów. Duchy mają swoją

energię. Niektóre nie wydzielają jej zbyt wiele, dlatego nie można ich wyczuć. Ja dla odmiany jestem kimś, kto wydziela mnóstwo energii i reaguje na moc innych. Jestem jak sonar. Wysyłam fale, które odbierają umarli. Jeśli naruszę ich przestrzeń, na pewno dadzą mi znać. Ty nie masz tyle energii co ja. Ale kiedy w jednym miejscu zbierze się wielu ludzi, na przykład całe miasto, jako grupa staną się zauważalni. I problemy gotowe. Rozumiesz?

- Jasne - powiedział Ferguson, chociaż wcale nie był tego taki pewien. - Ale właściwie dlaczego wydzielasz tyle energii?

- Jako szaman wiele razy wchodziłem w kontakt z duchami, którym odbierałem energię. To moje duchy opiekuńcze. Tak zwane *yeks*. W tym woreczku gromadzę ich moc. - David wskazał skórzaną torebkę na swojej szyi.

- Co w niej jest?

- Języki. Nie całe, rzecz jasna. Kawalki języków. Dokładnie tyle, aby duchy wiedziały, że przejąłem ich energię. Kiedy zdejmę woreczek, stracę swoje siły.

- Ja też tak bym mógł?

David zachichotał.

- Gdyby ktoś inny niż szaman założył sakiewkę mocy, oszalałby.

- Naprawdę? To znaczy?

- Zaczęłyby majaczyć. Albo nagi biegałby po lesie z rozwianym włosom. Jadłby żaby. Ludzie z wioski opowiadaliby o kimś takim historii przy ognisku i straszyli nim dzieciaki.

- Wielkie dzięki. Nie chcę straszyć dzieci. Ale co będzie potem? Gdy duchy już cię wyczują, zaczniesz wypowiadać zaklęcia?

- Tak naprawdę to nie są zaklęcia - powiedział David. Długo

szukał odpowiednich słów. - One są dobre dla duchów o mniejszej energii, takich, nad którymi szaman może zapanować. Co innego, gdy jakiś potężny duch zamieszkuje teren, który uważa za swoją własność. Może zacząć utrudniać ci życie. Może odstraszać zwierzęta. Może nawiedzać to miejsce, straszyć i tak dalej. Wtedy próbuję wynegocjować zawieszenie broni. Staram się obłaskawić ducha, schlebując mu. Obiecuję, że ludzie co roku będą składać mu ofiarę.

- A jeśli to nie zadziała?

- Wtedy albo muszę się poddać, albo stanąć do walki. Jeśli wybieram walkę, wzywam na pomoc duchy, które mi pomagają - to właśnie ich języki trzymam w sakiewce.

- Rozumiem - mruknął Ferguson.

Przez chwilę się zastanawiał, czy David tego wszystkiego nie zmyśla. Może to jakieś bzdury. Chociaż bardzo interesujące. Indiańskie duchy były bardziej namacalne niż chrześcijańskie. Ferguson nigdy nie potrafił sobie wyobrazić pojedynku księdza z diabłem, chociaż widział coś takiego w *Egzorcystcie*. Może w przypadku Indian wszystko wygląda podobnie?

- Rozumiem - powtórzył. - A co pan zrobił w sprawie tamtych sów? Przeprosił pan duchy?

- Tak.

- I potem wszystko było w porządku?

- Nie, bo przecież ta firma wezwała mnie tylko po to, żeby zamieszczono artykuł w gazecie. Nie dotrzymała umowy i nie złożyła ofiary.

- I co się stało?

- Ziemia się osunęła i trzeba było porzucić cały projekt.

- Poważnie? Duchy to zrobiły?
- Tak.
- Czyli to były złe duchy?
- Nie.
- Ale przecież wszystko zniszczyły!

David westchnął. Za dużo pytań. Ale Ferguson przynajmniej chciał się czegoś dowiedzieć.

- Plemię Tlingit nie zna ani dobra, ani zła - wyjaśnił. Wstał i dorzucił do paleniska jeszcze kilka polan. - Otóż...

...ŻYŁ SOBIE WIELKI WÓDZ, który w trzech skrzynkach ukrył słońce, księżyc i gwiazdy. Nikomu nie pozwalał ich dotykać.

Kruk słyszał wiele opowieści o tych skarbach. Tak wiele, że zapragnął je zdobyć.

Wiedział, że wódz ponad wszystko kocha swoją rodzinę. Miał córkę, o którą bardzo dbał. Kruk postanowił przybrać postać nienarodzonego jeszcze wnuka wodza. A mógł zamienić się we wszystko.

Najpierw stał się źdźbłem trawy. Mocno przywarł do brzegu miseczki, z której piła dziewczyna. Córka wodza czuła, że coś wpadło jej do gardła, ale było za późno. Zaszła w ciążę. Gdy nadszedł czas, urodziła chłopca. Nikt nie podejrzewał, że jest nim Kruk.

Wódz bardzo się cieszył z wnuka. Kochał go najbardziej na świecie. Ale chłopczyk płakał i płakał. Chciał dostać jedną z cennych skrzynek wodza. Ten nie potrafił mu odmówić.

Kruk zabrał więc skrzynkę na dwór, a kiedy ją otworzył, wszystkie gwiazdy umknęły na niebo. Wódz się zasmucił z powodu utraty skarbu, jednak nic nie powiedział.

Pewnego dnia Kruk znów zaczął płakać. Chciał w ten sposób zdobyć drugą skrzynkę. Wódz dał mu ją niechętnie, zakazując uchylania wieka. Ale Kruk wyniósł skrzynkę na dwór, otworzył ją i wypuścił na niebo księżyc.

Trzeciej skrzynki, która skrywała słońce, najcenniejszy skarb, wódz nie chciał dać do zabawy wnukowi. Płacz i lament Kruka nie zmiękczyły jego serca. Kiedy jednak chłopiec przestał jeść i pić, kiedy zachorował, mężczyzna uległ. Ostrzegł jednak wnuka, że jeśli zdejmie wieko, zostanie ukarany.

Kruk wyszedł na dwór, zamienił się w ptaka i odleciał z trzecią skrzynką. A kiedy leciał w ciemnościach, zaczął wołać ludzi. Gdy usłyszał, że mu odpowiadają, otworzył skrzynkę, z której umknęło słońce i oświetliło wszystkie krainy. Od tamtej pory na świecie panuje światłość.

- ROZUMIESZ, FERGUSON? Kruk nie dał nam słońca, księżyc i gwiazd tak po prostu. Musiał je najpierw komuś ukraść.

- Nie nadążam.

- Zabieranie jest złym uczynkiem. Ale dawanie jest uczynkiem dobrym. A więc czy Kruk był dobry, czy zły?

Ferguson poczuł się jak dziecko.

- I dobry, i zły.

- Otóż to. Teraz możesz zacząć poznawać wierzenia Tlingitów. Duchy trzeba szanować. Należy obchodzić się z nimi sprawiedliwie. W przeciwnym razie mogą stać się mściwe. Ale sprawiedliwie traktowane, potrafią być bardzo szczodre.

- Dobra - odparł nieco przytłoczony Ferguson. Nie znalazł lepszej odpowiedzi. Miał już dosyć.

- Jestem tutaj, bo tego chciałeś - kontynuował David. - I mam nadzieję, że nie wezwałeś mnie tylko na odczepnego, żeby miejscowi byli zadowoleni.

- Nie - odpowiedział szybko Ferguson, odwracając się plecami do Livingstone'a i zbliżając dłonie do ognia. - Nie.

DZIEWCZYNA POLICZYŁA WIESZAKI i otworzyła białe drzwi.

Po wejściu do przymierzalni Jenna rozebrała się i zaczęła przymierzać ciuchy. Dżinsy, bielizna, skarpetki, staniki, swetry i śliczna sukienka do kostek. Wiedziała wprawdzie, że tam, dokąd się udaje, nie będzie potrzebowała takiej kreacji, ale zapragnęła ją mieć - zgrabnie w niej wyglądała. Tylko dlaczego, do cholery, to robi? Kupuje całą kolekcję ubrań Banana Republic. Tak postępują tylko uciekinierzy. Ludzie, którzy się boją.

A ona się bała. Bała się jak szalona. W końcu do niej dotarło, że kupiła bilet i że ma zamiar wsiąść na prom, który zabierze ją do Wrangell na Alasce. Na miejsce zbrodni. Choć nie do końca. Miejsce zbrodni znajdowało się o kilka kilometrów na południowy zachód od Wrangell. W Thunder Bay.

Jenna miała poczucie, że jakiś wir wciąga ją głęboko pod wodę. To wzywała ją przeszłość. A przecież sobie obiecała, że już nigdy nie pojedzie na Alaskę.

Dwa lata temu opuściła miejsce, w którym wyrwano jej serce i zabito jej duszę. Duszę, która utonęła razem z jej dzieckiem. Jenna

obiecała sobie wtedy, że nigdy tam nie wróci. A teraz, w przebieralni sklepu Banana Republic, słysząc za ścianą narzekania jakiejś licealistki, która nie mogła poradzić sobie z przymierzaniem kilku rzeczy jednocześnie, zrozumiała, że zmieniła zdanie.

Tak bardzo się bała.

Jednak strach nie mógł jej powstrzymać. Wyszła ze sklepu ubrana w nowe dżinsy, koszulkę, sweter i skórzaną kurtkę. Na nogach miała sportowe buty. Resztę rzeczy dźwigała w plecaku: kolejną parę dżinsów, szorty khaki, zapasowe koszulki, skarpetki, bieliznę i długą sukienkę.

Czarną garsonkę, która tak bardzo podobała się Christine, wyrzuciła do kosza na śmieci.

W perfumerii kupiła kosmetyki niezbędne podczas podróży. Sprzedawczyni pozwoliła jej skorzystać z łazienki na zapleczu. Wreszcie umyła zęby i uwolniła się od kleistego, muffinkowokawowego posmaku w ustach.

Dotarła do portu o wpół do dziesiątej. Na prom wjeżdżały samochody, wchodzili pasażerowie. Jenna nieoczekiwanie zaczęła cieszyć się z tej podróży. W tym samym momencie poczuła, że powinna porozmawiać z Robertem. Zauważyła budkę telefoniczną i postanowiła zadzwonić do domu. Sygnał rozległ się cztery razy, aż wreszcie odezwała się automatyczna sekretarka. To dziwne, gdzie Robert mógł się podziewać? Oby tylko jej nie szukał. Zostawiła krótką wiadomość, po czym się rozłączyła. Podeszła do trapu i stanęła w kolejce.

Na niższym poziomie panował mrok, który rozpraszało przydymione zielone światło. Zapach spalin wywołał u Jenny lekkie mdłości. Benzyna pachniała przyjemnie, ale spaliny okropnie. Pasażerowie przesuwali się wzdłuż zimnego pokładu. Podążali za jasnożółtymi

linkami prowadzącymi do dwóch wind.

Jenna wraz z dwudziestoma innymi osobami dotarła na samą górę promu. Wszyscy natychmiast wysypali się do holu. Popychali się i potracali. Jenna nagle sobie przypomniała, o co chodzi w tym pośpiechu. Na promach są hole pasażerskie z dużymi fotelami, które tak uwielbiała jej babcia. Ale większość ludzi woli pokład słoneczny wyposażony w dodatkowe grzejniki chroniące przed nocnym chłodem. „Cholera - pomyślała Jenna. - Powinnam była kupić koc”.

Ruszyła za wszystkim na pokład słoneczny. Była to duża, stalowa przestrzeń pokryta zieloną wykładziną. Tylna część, od strony rufy, została otwarta. Jedną trzecią powierzchni od strony dziobu zajmowało otoczone miodowym szkłem pomieszczenie przypominające wielką szklarnię. Boczne ściany i dach chroniły pasażerów od wiatru i deszczu. Jenna zauważyła, że miejsce w ciągu krótkiej chwili wypełniło się podróżnymi, którzy zaczęli rozkładać śpiwory na z trudem zdobytych miejscach. Zauważyła też kilka leżaków. Niestety, zajętych. Na niższym, otwartym pokładzie obozowicze rozbijali namioty.

Jenna westchnęła. Na pierwszy rzut oka widać było, że kiepsko zaplanowała tę podróż. Nie miała ani śpiwora, ani koca, niczego. Nie zachwycała jej wizja nocy na pokładzie i w kurtce. „Może w środku jest jeszcze jakieś wolne miejsce?”. Pobieгла schodami w kierunku dziobu.

Hol do spania! To zakrawało na kpiny. Po pierwsze, był całkowicie wypełniony ludźmi. Wszystkie miejsca zajęte, a pasażerowie palili papierosy. W pomieszczeniu wisiała gruba chmura rakotwórczego dymu. Jenna nie mogła złapać tchu.

Po drugie, ryk z kilku telewizorów powieszonych pod sufitami. I statyczny obraz, który im towarzyszył. Koszmar.

Przygnębiona Jenna udała się do baru. Kupiła kawę i banana, po czym usiadła przy stoliku. Podniecenie zniknęło. Popatrzyła na zegarek. Za kwadrans jedenasta. Jeszcze nie jest za późno, żeby zejść na ląd i wrócić do domu. Wyprawa! Głupi pomysł i tyle. „Nigdy nie słuchaj instynktu - zawsze się myli”. Wzdrygnęła się na myśl, że mogłaby spędzić na promie trzy dni bez miejsca do spania.

- Hej!

Jenna podniosła wzrok. Willie i Debbie.

- Nie wiedzieliśmy, że płynie pani tym samym promem. Uśmiechnęła się.

- Nagła decyzja. Impuls.

- Super.

- Nie jestem pewna. Nie mam śpiwora, a na całym statku nie ma już miejsca do spania.

Willie wyszczerzył w uśmiechu zęby i popatrzył na Debbie.

- Niech pani się trzyma nas. Jesteśmy na górnym pokładzie.

- Raczej wysiądę. Popłynę innym razem.

- Nie ma mowy. Może pani zająć mój leżak.

- Willie już pływał promami - wyjaśniła Debbie. - Zna tajne przejście na górę. Zdobył dla nas dwa leżaki pod dachem.

- Może pani zająć mój. Będę spał na pokładzie.

- Wykluczone. Nie mogłabym.

- Nalegam. Mam karimatę. Nic mi nie będzie. Już tak spałem.

Zresztą wolę pokład. Zdobyłem leżaki ze względu na Debbie.

- Bez takich stereotypów. Dziewczyny też mogą spać na pokładzie.

- Oczywiście - zaśmiał się Willie. - Jak pani skończy kawę, proszę przyjść na górę. Zajmie pani mój leżak. Prom i tak odpływa za minutę, już za późno, żeby zejść na ląd. To co? Czekamy na górze.

Willie i Debbie popatrzyli na Jennę w oczekiwaniu. Jenna się uśmiechnęła.

- Zgoda.

Odwzajemnili uśmiech i wyszli z baru. „Przynajmniej nie spędzę tej podróży samotnie” - pomyślała.

Kiedy prom ruszył, wyszła na pokład. Uważała, że statki wypływające z portu skłaniają do refleksji. Może ze względu na Titanica? A może ten powolny, majestatyczny sposób podróżowania do miejsca przeznaczenia każe zastanowić się nad tym, co człowiek zostawia za sobą i dokąd podąża? Samoloty poruszają się zbyt szybko. Samochody angażują zbyt wiele uwagi.

Jenna opuszczała Seattle. Zostawiała Roberta. Swoją dom i swoje życie. Nie miała nawet aparatu fotograficznego. Ale to bez znaczenia. Jej kariera fotograficzki skończyła się dawno. Ostatni raz robiła zdjęcia na Alasce. Dwa lata temu, kiedy zginął Bobby. Po wszystkim zmusiła się, żeby wywołać ostatnią kliszę. A potem sprzęt fotograficzny wart kilka tysięcy dolarów leżał na dnie szafy i pokrywał się kurzem. Nie była w stanie go dotknąć.

Prom znajdował się już o sto jardów od przystani, kiedy Jenna poczuła nagły żal. Nie ma odwrotu. Port, do którego zawinie za dwa dni, to Prince Rupert w Kanadzie. Potem Ketchikan i na końcu Wrangell. Postanowiła, że najpierw odwiedzi dom babci, a później - jeśli zechce do końca wykorzystać bilet - zajrzy do Skagway. A

może nie. Nie wiedziała, jak zniesie pobyt na Alasce. Na ostatnie zdjęcia, które zrobiła w Thunder Bay, nie mogła patrzeć.

Poszła na górny pokład i zajęła leżak Williego. Wszędzie było pełno ludzi i śpiworów. Niektórzy koczowali przy lodówkach z piwem, inni grali w karty przy dźwiękach radia. Ktoś drzemał, ktoś czytał, ktoś jadł. Jenna zauważyła, że wszyscy są ubrani w kolorowe podróżnicze ciuchy. Ci, którzy płynęli po prostu na wakacje, mieli na sobie fioletową lub czerwoną odzież syntetyczną, ekwipunek z logo firmy Patagonia i nowe buty. Prawdziwi globtroterzy natomiast ubrani byli w wełniane lub flanelowe koszule oraz w znoszone dżin-sy. Wyglądali jak wielbiciel *grunge'u*. Gdyby byli muzykami, zdobyliby popularność.

Jenna oparła się na leżaku. Basenowy model. Lepkie, plastikowe paski przyczepione do aluminiowego szkieletu. Nie miała śpiwora, w którym z pewnością byłoby jej wygodniej. Po chwili zrozumiała, że wcale go nie potrzebuje. Poczwała się bardzo zmęczona. Pod żółtym szkłem zrobiło się tak ciepło. Zasnęła prawie natychmiast.

KIEDY SIĘ OBUDZIŁA, słońce już zachodziło. Niebo było pochmurne, chociaż na horyzoncie widać było pomarańczową wstęgę zachodzącego słońca. Willie leżał w śpiworze i czytał. Debbie zniknęła. Na pokładzie panowała cisza. Terkot silników powodował wibracje podłogi.

Jenna była rozkojarzona. Mdlilo ją. Nie lubiła drzemek. Zawsze czuła się po nich niedobrze. Przez kilka chwil leżała nieruchomo. Próbowwała się pozbierać. Gdy Debbie wróciła z kilkoma paczkami precelków, usiadła.

- Długo pani spała - powiedziała z uśmiechem dziewczyna.
- Mamy coś dla pani - dodał Willie, pociągając Debbie za nogawkę. Dziewczyna wyciągnęła z kieszeni papierowe zawiniątko.

- Naprawdę, nie trzeba...

- Trzeba - odparła Debbie. - Była pani dla nas taka miła.

Odwinęła papier, który skrywał srebrny amulet na czarnym rzemyku. Podała go Jennie. Miał piękny, misternie rzeźbiony wzór.

- Kupiłam go od starej Indianki, którą poznałam w barze - powiedziała dziewczyna.

- Prawdziwe srebro - dodał Willie.

- Piękny. To ryba?

Amulet przedstawiał stworzenie, które rzeczywiście wyglądało jak dziwaczna ryba z łapkami i dwoma pyszczkami. Mniejszy pyszczek tkwił w większym, jakby został połknięty.

- Nie, mówiła, że to coś innego. Wydro-coś. Zapiłam - wyjaśniła Debbie. Pogrzebała chwilę w kieszeni i wyciągnęła karteczkę. - To się nazywa kuszta.

- Kuszta? To znaczy?

- Indiański duch. Wzięłam ten amulet, bo przypominał mi panią. Jenna uśmiechnęła się i podniosła wzrok.

- Pomożesz mi go założyć?

Debbie zawiązała skórzany rzemyk wokół szyi Jenny. Bardzo jej pasował.

- Kuszta... - powiedziała Jenna. - Brzmi tajemniczo.

- Indianka opowiedziała mi związaną z nim historię, ale nie zapamiętałam szczegółów. Chodziło chyba o kradzież dusz. Nie do

końca zrozumiałam. Ta kobieta była interesująca, ale trochę dziwna.

- To bardzo miło z waszej strony. Dziękuję.

Jenna musnęła policzki Debbie i Williego. Ładny drobiazg. Zastanawiała się, ile kosztował. Delikatnie ujęła wisiorek w dłoń. Kusz-taka. Cóż to za duch? Może znajdzie staruszkę, która sprzedała amu-let Debbie, i zapyta o jego znaczenie? Kusz-taka.

- UMIERAM Z GŁODU - wymruczał Ferguson, zapalając kolejnego papierosa. Było wpół do jedenastej, ściemniało się, a on od lunchu nie miał w ustach nic prócz fajek. Morzył go sen, stopy mu zmarzły. Zjadłby miskę chilli. Gorącego, z cebulą, serem i czerwoną fasolą.

Livingstone nie pozwolił mu zapalić światła. Ogień w palenisku był jedynym źródłem światła i ciepła. Ale to był ogień Livingstone'a, ogień, który podtrzymywał i do którego nie pozwalał zbliżyć się Fergusonowi. Od samego rana David oddawał cześć płomieniowi. Najpierw długo się w niego wpatrywał, a później chodził wokół paleniska, mamrocząc dziwne słowa. Tylko raz spojrzął na Fergusona. Ferguson uznał, że powinien dołożyć polano do ognia, ale Livingstone go powstrzymał. I znowu odpłynął. Był bardzo daleko. Wyglądał jak ślepiec z serialu *Kungfu*, który nazywał postać Davida Carradine'a Pasikonikiem. Livingstone znów zaczął krążyć wokół ognia, tym razem z kocem uniesionym nad głową. Przy każdym kroku podskakiwał. Indiański taniec. Nie ma co. Fergie widział już wielu tańczących Indian. Ich podrygiwania nie robiły na nim wrażenia. Nie

przypominały baletu ani jakiegokolwiek tańca z określonymi sekwencjami kroków i figur. Z jego perspektywy grupa facetów z wyduętymi brzuchami biegała w kółko i od czasu do czasu się zderzała bez żadnego porządku. Fergie pomyślał, że prawdopodobnie oglądał złych tancerzy, lecz - jak się okazało - byli jednymi z najlepszych. Ale może tak to powinno wyglądać. Kilku grubasów, którzy objają się o siebie.

- Jestem głodny - powtórzył głośniejszym głosem.

Tym razem David zareagował. Przestał się kręcić i popatrzył na Fergiego.

- To cię zabije - powiedział, wskazując papierosa Fergusona.

Uśmiechnął się krzywo. Wzrok miał odległy, nieobecny.

- Brak żarcia. To mnie zabije.

- Wzięłeś śpiwór, tak jak prosiłem?

- Jest w samolocie - odparł Fergie.

- Ale jedzenia nie przyniosłeś?

- Nie sądziłem, że spędzimy tu noc.

- Uprzedzałem, że to może potrwać - odparł David.

„Dziwne - pomyślał Fergie. - Wydaje się taki luźny, zrelaksowany. A rano był spięty”.

- Ile to jeszcze zajmie? - spytał.

- Tyle, ile trzeba.

- Rano będą tu pracownicy. Lepiej zdążyć ze wszystkim do tego czasu.

- O nie - powiedział David, siadając nagle. Odwrócił swoją twarz od Fergiego, potarł ją rękami, rozłożył skóry wokół siebie i popatrzył w dal. - O nie - powtórzył. - Nie, nie, nie. Żadnych robotników. To nasze miejsce. Nasz ogień. Nikogo więcej.

- Ale oni muszą pracować.

- Nie.

David się położył. Uderzał głową o podłogę. Fergie się skrzywił, ale szaman chyba tego nie zauważył.

- Tylko my możemy tu być. I one o tym wiedzą. To nasz dom. - Wypowiadając słowo „dom”, niemal zawarczał. Jego głos stał się gardłowy jak u zwierzęcia. - Nie będę jadł ani spał, dopóki nie przyjdą.

- A kiedy przyjdą?

- Kiedy będą gotowe.

Wtedy David zamknął oczy i z jego gardła zaczęły się wydobywać dziwne dźwięki. Jeszcze bardziej mroczne. Jeszcze bardziej chrapliwe. Ferguson, sfrustrowany i trochę zaniepokojony, zgasił papierosa i wstał.

- Przyniosę śpiwór - powiedział.

Na zewnątrz mżyło. Zmarznięte stopy Fergusona zaczynały drętwieć.

Mężczyzna wyciągnął z samolotu śpiwór i popatrzył na miasto. Jedyne w domu połyskiwało pomarańczowe światło. Niebo miało szaroniebieski odcień, a chmury jaśniały delikatnie od ostatnich promieni słońca. W powietrzu unosiła się woń cynamonu. Ferguson z jakiegoś powodu przypomniał sobie ojca. Szczupłego mężczyznę o czarnych włosach i o zielonych oczach. Irlandzki czarnuch. Złośliwy sukinsyn.

Każdego roku, w październiku, jeździł z kolegami na polowanie i przywoził do domu na zimę jednego łosia lub nawet dwa. Fergie marzył o łowach z ojcem. Ciągle był jednak za mały. Nie nadążyłby za wszystkimi. Aż wreszcie, kiedy miał jedenaście lat, ojciec go z sobą zabrał. Fergie był tak podekscytowany, że nie spał przez trzy noce.

Obóz był pełen mężczyzn. Śpiwory przemokły od wilgotnej mgły i deszczu. Stopy marzły. Ojciec wrzeszczał, żeby trzymał się grupy. Chwila odpoczynku. Usiedli na pniu i wtedy podeszła do nich kłepa z łosakiem. Fergie chciał zastrzelić oboje, ale ojciec nie pozwolił. „Są bezbronne. Zabijamy tylko samce - powiedział. - Samice i małe puszczone wolno”. Wtedy zaczęli strzelać do byka, a on wreszcie padł. Ojciec Fergiego zawiesił stworzenie na drzewie i odciął mu głowę, żeby reszta krwi spłynęła na ziemię. Potem nożem rozplątał brzuch łosia. Flaki wypadły na ziemię. Zapach cynamonu zniknął. Zastąpił go smród parujących wnętrzności.

Fergie się odwrócił. Na widok ojca grzebiącego w trzewiach łosia, na widok jego dłoni brudnych od krwi, nie mógł powstrzymać nudności. Fergie wymiotował, a ojciec się śmiał. „Co ty? Rzygasz, dzieciaku? Rzygasz, dziewczynko? - powtarzał. - Skurczybyk waży ze sto kilo”. Pakował plecak, pocił się i przeklinał.

Zadaniem Fergiego było trzymanie latarki. Robiło się ciemno. Musieli wracać już do ciężarówki. Fergie nagle upuścił latarkę. Rozbiła się. Ojciec uderzył syna w twarz, aż z nosa poleciała mu krew, a kiedy się odwrócił, dostał jeszcze w potylicę. Mocno. „Nie odwracaj się ode mnie, ty mały kutasie” - powiedział ojciec.

Fergie znowu się odwrócił i kolejny raz dostał w twarz.

„Jeżeli będę musiał zostawić tutaj tego łosia, stłukę cię, gówniarzu” - ostrzegł.

Ferguson wyprowadził ich więc z lasu, powstrzymując łzy i trzęsąc się ze złości oraz strachu. A za nim szedł ojciec z martwym łosiem. „Będziesz płakać, mała dziewczynko? Kupimy ci różową sukieneczkę. Popłaczesz jeszcze? Nie ma tu mamusi? No dalej, płacz”.

Ostre szczeknięcie kojota wyrwało Fergusona z zamyślenia. Spojrzał na ciemny las. Coś się nagle poruszyło, gałęzie zaszeleściły, a

Fergie dostrzegł błysk zwierzęcych oczu. To coś równie nagle zniknęło.

Ferguson wzruszył ramionami. Wspiął się z powrotem do domu kultury. Chciał już wracać do siebie, żeby się wyspać. Tak porządnie, na prawdziwym łóżku. Thunder Bay wymagała zbyt wielu wyrzeczeń. Noc spędzona w towarzystwie szamana wypędzającego złe duchy to kolejne poświęcenie. Ale na końcu tęczy znajduje się garniec ze złotem. Ferguson wiedział, że jeśli przygotuje kurort dokładnie na pierwszego lipca, otrzyma sporą premię, za którą sprawi żonie wymarzoną kuchnię. Tę, którą jej obiecał, gdy piętnaście lat temu kupowali dom. Taką z podłogą z szerokich desek i z wyspą kuchenną, chociaż nie miał pojęcia, czemu taka wyspa miała służyć. Gdyby wreszcie skończyli remont, może nawet zaprosiliby tego Livingstone'a na kolację. Dobrze mieć Indianina za przyjaciela. Facet wydał się w porządku. Mogłoby być zabawnie. Popijaliby piwo i śmiali się z nocy, podczas której uciekali przed złymi duchami w Thunder Bay.

ROBERT JAK W KAŻDĄ NIEDZIELĘ pojechał samochodem Jenny na Brodway do Reality Café. Bez zastanowienia kupił dwie kawy i dwie muffinki. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że niepotrzebnie, bo przecież jego żona zniknęła. Nie, nie miał ochoty na jej porcję. Rytuał staje się nawykiem. Miał nadzieję, że Jenna wróci do domu.

Rano Robert zadzwonił do jej rodziców, ale oni nie mieli pojęcia, dokąd mogła się udać. Sally zapytała wprost, czy wydarzyło się między nimi coś, co wytrąciłoby Jennę z równowagi. Domniemanie winy, typowe dla amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości. Oczywiście to musiała być jego wina. Powiedział, że nie, nic złego nie zrobił, że jego zdaniem Jenna jest przygnębiona z powodu Bobby'ego. Bez przerwy.

Po śmierci ukochanej osoby przechodzi się przez wiele stadiów żalu. Złość, zaprzeczenie, rozpacz. Robert nie przywiązywał do tego dużej wagi. Żal to żal. Niektórzy radzą sobie z nim sami, a inni potrzebują wsparcia. Ci, którzy im pomagają, rozszarpują wszystko na drobne części. Na kawałeczki. Każdy z nich analizują osobno. A kiedy to zrobią, człowiek podobno czuje się lepiej.

Ale Robert nie sądził, by żal należało dzielić na części.

Jenna zaś potrzebowała kogoś, kto rozbije jej ból.

Najgorzej radziła sobie w fazie zaprzeczenia. Budziła się w nocy i wstawała, by sprawdzić, co u Bobby'ego. Włączała światło w jego pokoju i dopiero po chwili uprzytamniała sobie, że synka już nie ma. Robert znajdował żonę siedzącą na podłodze w pokoju chłopca. Patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem. To było najgorsze. Sprawiało, że Robert czuł się bezsilny. Niczego nie mógł naprawić. Nic nie mógł zrobić. Nic.

Potem nastąpiła kolejna faza. Robert nie wiedział, czy istnieje na nią fachowe określenie. Telewizor grał na okrągło. Jak można nazwać to stadium? Programy Lettermana, Conana O'Briana i stacja E! włączone przez całą dobę. Dwadzieścia cztery godziny. Robert przeniósł się do drugiej sypialni. Nie umiał spać w hałasie.

Brali udział w terapii rodzinnej. Robert wciąż nie wiedział, jak dać się w to wciągnąć. Terapeuta, specjalista od związków, spowodował, że on i Jenna kłócili się jeszcze częściej. „Musicie wszystko przepracować” - twierdził. Idiota.

Problem z psychiatrami polega na tym, że nie mówią, k i e d y nastąpi poprawa. Wciąż pytają o pieniądze. Prawdziwy lekarz ma konkretny plan: antybiotyk przez czternaście dni i po infekcji. Terapeuci natomiast mówią, że to nie takie proste. Że potrzeba czasu. No pewnie. Dokładnie tyle, ile potrzeba na wybudowanie nowego skrzydła domu. To w końcu kupa forsy. Gdyby terapeuta zaczął naprawdę leczyć, wyleciałby z biznesu i nie kupiłby nowego jachtu. Potrzebował pacjentów uzależnionych od siebie.

Kiedy Robert przeniósł się do pokoju gościnnego, okazało się, że Jenna nie może zasnąć sama. Przepisano jej valium, które popijała winem. Zrobiono z niej ćpunkę. Prawdziwą ćpunkę. I co? Musieli

znaleźć kolejnego specjalistę, by wyprowadził ją z uzależnienia. I jeszcze jednego, by poradziła sobie z odwykiem. Ale nie od valium, tylko od pierwszego terapeuty! Terapeutę specjalizującego się w leczeniu skutków terapii prowadzonej przez niekompetentnych terapeutów. Ubezpieczenie zdrowotne tego nie refunduje.

Na koniec zażyczyli sobie, by Robert widywał się z jeszcze innym terapeutą. Miał mu pomóc w uporaniu się z problemami Jenny. Problemem Roberta byli jednak terapeuci, a nie Jenna.

Stary volkswagen się zatrząsł, kiedy Robert zwolnił. Skręcił na podjazd. Wysiadł. Zamknął drzwi biodrem. Pokonał dwa schodki z cegły i znalazł się na tyłach domu. Dostał się do niego z trudem. W jednym ręku trzymał kawę, a w zębach torebkę z muffinką. Kiedy postawił rzeczy na kuchennym stole, usłyszał pikanie automatycznej sekretarki. Pobiegł do sypialni, podniósł słuchawkę, ale było już za późno. Ktoś, kto dzwonił, nagrał wiadomość i się rozłączył.

Robert nacisnął przycisk *play*. Głos, który usłyszał, brzmiał nerwowo, a jednocześnie podejrzanie wesoło i pogodnie. To była Jenna.

- Cześć, to ja. Gdzie jesteś? Słuchaj, przepraszam za poprzednią noc, ale... Ja... Nie będzie mnie kilka dni. Muszę się na trochę wyrwać. Nie martw się. Zadzwonię, kiedy tylko będę mogła. Kocham cię.

Robert czuł, że serce mu łomocze, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Jeszcze raz odsłuchał wiadomość.

Jenna znajdowała się gdzieś na dworze. Wyraźnie słyszał, że się spieszy, że jest rozkojarzona. „Przepraszam za poprzednią noc. Muszę się na trochę wyrwać”. To nie miało sensu. Jeżeli było jej przykro za wczoraj, powinna wrócić. „Muszę się na trochę wyrwać”.

Od czego? Od kogo? Od Roberta? Dokąd jedzie? Może dzwoniła z lotniska. Nie, wtedy nie słyszałby ptaków.

„Nie martw się. Zadzwoń, kiedy tylko będę mogła”. Co to ma znaczyć? Podstawą rozwiązywania problemów małżeńskich jest rozmawianie o nich. To nie ma sensu. Jenna uwielbiała rozmawiać o problemach. Tygodniami mogła roztrząsać trudności w ich związku. Nie wyjechałaby tak po prostu. Nie potrafiła sama spać. Tak bardzo bała się samotności, że potrzebowała kogoś w nocy przy sobie. Nie wróciła wczoraj do domu, nie wzięła ubrań. Ani nic innego. Dokąd mogła się wybrać?

Do rodziców. Ukrywają ją. Poleciała do Nowego Jorku i jest z rodzicami.

Nie, to także nie ma sensu. Musiałaby czekać na samolot do rana. Teraz byłaby na pokładzie. Nie mogłaby zostawić wiadomości. Chyba że użyła telefonu pokładowego. Ale przecież samolot nie leci z otwartymi oknami wśród stada gęsi. Gęganie. Stado mew. Robert podniósł słuchawkę i wykręcił numer rodziców Jenny w Nowym Jorku. Odebrała jej matka.

- Witaj, Robercie. Masz jakieś wieści?
- Zostawiła wiadomość.
- Wiadomość? Nie było cię?
- No wiesz, muszę coś jeść.
- Nie mógłś zamówić czegoś do domu?

Mówiła jak rodowita mieszkanka Nowego Jorku.

- Słuchaj, Sally. Jenna zostawiła wiadomość, która brzmi bardzo dziwnie. Powiedziała, że wyjeżdża na kilka dni. Nic ze sobą nie wzięła. Dokąd mogła pojechać? Powiedz mi prawdę. Czy ona jest w drodze do was?

- Jeśli nawet, to nas o tym nie powiadomiła. A to nie do pomyślenia. Po co miałyby lecieć do nas? Czy między wami dzieje się coś, o czym nie wiemy?

- Nie. Mówię ci, że zeszłej nocy jej odbiło. To było jakieś załamanie. Tak jak kiedyś.

- Robercie...

To był mężczyzna. Myron. Jej ojciec.

- Cześć, Myron, nie wiedziałem, że jesteś na linii.

- Na drugiej. Sugerujesz, że zaczęła znowu brać jakieś świństwo?

- Niczego nie sugeruję. Przedstawiam fakty. Przyczyny i skutki. Zrozum to.

- Robercie, błagam - wtrąciła Sally. - Przecież wiesz, że od roku nic nie bierze.

- Muszę być szczery. Ja już naprawdę nie wiem, co robi Jenna.

- Jesteś pewien, że nie została uprowadzona? - zapytał po chwili Myron. - Mówiłeś, że wiadomość brzmiała dziwnie.

- Dziwnie. Ale nie aż tak. Zresztą kto pozwoliłby porwanej zadzwonić?

Zapadła cisza. Porwana? To absurdalny pomysł. Kto miałby ją porwać? Czy to w ogóle możliwe?

- Robercie, może powinieneś zadzwonić na policję i zapytać, jak złożyć zawiadomienie o zaginięciu. A potem do nas oddzwon.

Znowu cisza. Odezwał się Myron.

- Robercie, zadzwoń na policję.

Robert się rozłączył. Porwana? Szaleństwo. Ale każde inne wytłumaczenie było tak samo niedorzeczne, więc kto wie? Zadzwonił na policję.

KIEDY FERGUSON SIĘ OBUDZIŁ, na zewnątrz nadal było ciemno, a ogień przygasł. W palenisku pozostały pojedyncze żarzące się szczapy. Nigdzie nie było widać Livingstone'a. Fergie zdziwił się, że David wyszedł bez słowa. Może chciał zaczerpnąć świeżego powietrza.

Na dworze lało. Fergie stał w drzwiach. Słuchał, jak krople uderzają o liście drzew. W ciemności usiłował wypatrzeć, co dzieje się na wodzie. Czy łódź Davida wciąż jest przycumowana? Ale było zbyt ciemno. Zaklął, włożył nieprzemakalną kurtkę, wziął latarkę i wyszedł sprawdzić co i jak. Czyżby Livingstone się poddał?

Łódź wciąż znajdowała się w porcie, David nie odpłynął więc na dobre. Prawdopodobnie włączył się po lesie, szukając duchów albo lichu wie czego. Fergie z niepokojem ruszył na wzgórze. Zdawało mu się, że coś lub ktoś go obserwuje. Deszcz ograniczał widoczność, a słabnące baterie dawały coraz mniej światła.

Fergie wyrósł wśród dzikiej przyrody, gdzie nie było miejsca na strach przed ciemnością. Mimo to teraz trochę się bał. Davida ani śladu. A zatem Fergie został sam, wiele kilometrów od najbliższego

miasta. Bez jedzenia i bez telefonu. Pomyślał, żeby odpalić jeden z generatorów. Miałby więcej światła. Przypomnił sobie jednak, że David nie znosi elektryczności. Tylko ogień. Ferguson wrócił więc szybko do domu kultury i zamknął za sobą drzwi na zasuwę. Dorzucił więcej polan do ogniska i postanowił czuwać do rana.

RANO W DOMU KULTURY stawili się gotowi do pracy budowlańcy. Właśnie tutaj mieli zazwyczaj swoje zbiórki, tutaj spędzali przerwy i chronili się przed deszczem. Teraz czekał na nich Ferguson. Powiedział, że dzisiaj nie mogą tu zostać, ponieważ pewien specjalista wprowadza bardzo ważne modyfikacje, które mają poprawić komfort korzystania z budynku.

Robotnicy nie byli zadowoleni, ale niewiele mogli na to poradzić. Musieli go posłuchać, bo był głównym wykonawcą. Postanowili, że mimo deszczu poczekają na przyjazd kierowników i na wyznaczenie kolejnych zadań.

Przez resztę dnia Fergie posłusznie pilnował ognia i wyglądał powrotu Davida. Pomyślał, że daje mu dwadzieścia cztery godziny. Jeżeli Livingstone nie zjawi się do następnego ranka, skontaktuje się z władzami. Trzeba będzie rozpocząć poszukiwania. Kiedy Ferguson zapalił kolejnego papierosa, sam sobie pogratulował tego, że w samolocie zawsze trzyma zapasowy karton kentów. Nie powinno ich zabraknąć na najbliższą noc. Szkoda, że nie ogrzeją marznących stóp.

Od jednego z robotników wydebił kanapkę z tuńczykiem. Na chwilę zaspokoił głód. Nie był pewien, jak długo zdoła wytrwać bez pożywienia.

Cieszył się z obecności robotników. Nie chciał spędzić kolejnej nocy samotnie przy palenisku. Zrobiło mu się przykro, gdy usłyszał wycie syreny oznajmiające koniec dnia pracy.

Nastał wieczór. Ferguson siedział cicho przy ogniu. Na dworze lało.

Nocne niebo nie wydawało się bardzo ciemne. Nabrało głębi. Ferguson pomyślał, że to halucynacje z głodu. Do północy miał wrażenie, że za oknami przemykają nieznajome cienie, a wśród drzew błakają się tajemnicze kształty. W pewnej chwili - był tego niemal pewien - zobaczył wpatrującą się weń parę oczu. Zdawało mu się, że ktoś go śledzi. Spróbował przepędzić strach sposobem Davida. Kręcił się wokół paleniska, mamrotał niezrozumiałe monosylaby i nieskładne zdania. Czuł wyraźnie, że buchający od czasu do czasu ogień chroni go przed tym, co na zewnątrz. „Nikogo tam nie ma - przekonywał siebie. - Nikogo. To tylko małe ludziki w twojej wyobraźni”.

Wrażenie nie ustępowało. Usłyszał drapanie w okno (może to gałąź rozbijana przez wiatr?), a później szelest. Jakieś zwierzę, pewnie kojot. Dlaczego tak nerwowo reagował na dźwięki? Wiedział, że słyszy naturalne odgłosy lasu. Doszedł do wniosku, że wszystko przez zmęczenie i głód. I samotność. Cholerne odosobnienie. Nadmiar nikotyny w organizmie też raczej nie pomagał. Ferguson miał świadomość, że racjonalnym myśleniem próbuje oswoić lęk.

Kiedy usłyszał łomot, jakby wielkie zwierzę zeskoczyło z dachu, serce podskoczyło mu do gardła. Ogarnął go strach, musiał sprawdzić, co się dzieje. Tylko w ten sposób mógł się uspokoić. Musiał wyjść w zimną i ciemną noc. Musiał się dowiedzieć, co jest na zewnątrz. Musiał się przekonać, co jest prawdą, a co podsuwa mu

wyobraźnia. Tylko w ten sposób można przejść przez życie.

Wziął latarkę. Otworzył drzwi. Wyszedł w noc.

Tylko wiatr i deszcz.

Okrążył budynek. Nic nie zauważył. Żadnego ruchu. Żadnych przemykających cieni. Pomyślał po raz kolejny, że jest przemęczony. Dla pewności, że wszystko w porządku, postanowił obejść budynek raz jeszcze.

Zaczął od tyłu. Brodził w bocie po kostki. Tym razem zauważył jakiś ruch. Przy budynku na ziemi leżało zwierzę. Nie widział dokładnie, co to jest. Było duże, miało owłosiony grzbiet i długie kończyny. Światło latarki okazało się zbyt słabe, żeby Ferguson mógł dokładniej się przyjrzeć.

Zwierzę się poruszyło. Miało krótką sierść błyszczącą w deszczu. Zawarczało. Żyło, ale najwyraźniej ktoś je zranił. Ferguson podniósł z ziemi jakąś gałąź i dzgnął nią stworzenie. Szczeknęło i złapało ją w zęby. Ferguson cofnął się przerażony.

To chyba był David Livingstone.

Fergie zrobił krok do tyłu i patrzył z niedowierzaniem na... na co właściwie? Nigdy nie widział nic podobnego. Stworzenie leżało na boku i ciężko dyszało. Ferguson przykucnął. Wyciągnął rękę. Liczył na to, że się dowie, z czym naprawdę ma do czynienia, kiedy odwróci to coś, ale zwierzę nagle kłapnęło szczękami i wbiło zęby w ramię mężczyzny. Niewiele myśląc, Fergie zamachnął się latarką. Rozległ się skowyt bólu. Potem Ferguson zamachnął się jeszcze raz, a potem znów, aż stwór znieruchomiał.

Fergie odwrócił go na grzbiet i oświetlił latarką. Zobaczył twarz Davida, jednak nietypowo spłaszczoną. Dziwaczne wąskie łapy

wyrastały mu z klatki piersiowej. Całe ciało pokrywała krótka szczecina. Mężczyzna postanowił zawlec potwora do domu kultury. Na wszelki wypadek - gdyby jakimś cudem to naprawdę był David. W środku spętał mu liną nogi i ręce. Następnie przywiązał sznur do krzesła, które ustawił przy palenisku.

Czekał.

Stworzenie ocknęło się z wrzaskiem. Z przerażającym krzykiem wściekłości. Ferguson zaczął panikować. Czy to był David, czy ktoś zupełnie inny? Nie miał pojęcia, czy uwolnić swoją ofiarę, czy znowu ogłuszyć.

Nieoczekiwanie stwór się uspokoił i popatrzył na Fergusona tak, że mężczyźnie ciarki przeszły po plecach.

- John, rozwiąż mnie - powiedział cicho.

Fergusona zmroziło. Patrzył w wielkie czarne oczy.

- John, rozwiąż mnie - powtórzyła postać.

Ferguson wbrew wszelkiemu rozsądkowi poczuł, że powinien posłuchać. A kiedy się zbliżył, ta istota uśmiechnęła się i powiedziała:

- Grzeczny chłopiec.

Wtedy serce Johna zamarło. Głos Davida tak nie brzmiał. To był głos ojca Fergusona.

Zmrużył oczy w ciemności i wtedy ją zobaczył. Tę pociągłą twarz z zakrzywionym nosem i wąsikami. Ze szczeliną zamiast ust. Głęboko osadzone oczy ojca czarne jak węgiel. I głos pełen pogardy.

- Grzeczny chłopiec - powtórzył stwór.

Ojciec ciągle to powtarzał, kiedy Fergie zrobił coś, co potrafi zrobić każdy kretyń. „Grzeczny chłopiec”. Nie chciał słuchać, ale był jak zahipnotyzowany. Jakby to owłosione ciało z twarzą ojca, mówiące jego głosem, zupełnie go zaczarowało.

Wyciągnął scyzoryk. Zaczął rozcinać sznur. Gruby sznur. Nie mógł go przerwać. Nóż się ześlizgnął i Ferguson zranił się w kciuk. Przyłożył palec do ust i zaczął ssać ranę. Krew była gorąca. Bardzo gorąca. I nagle wszystko stało się jasne. Poczuł, że odzyskuje nad sobą kontrolę. Jakby zrzucił z ramion ciężki płaszcz. Wstał. Istota popatrzyła na niego ze złością.

- Rozwiąż mnie, idioto. Jesteś zbyt głupi, żeby zrobić to, co ci każe?

Ferguson stał, milcząc, nad owłosionym stworem. Nagle wróciły gniew i złość na ojca, na którego pogrzeb ostentacyjnie nie poszedł, rozżalenie, że ten człowiek zmarnował życie jemu i jego matce.

Podniósł latarkę. Wiedział, że czymkolwiek jest stworzenie przywiązane do krzesła, próbuje nim manipulować. Przepelniony wściekłością, mruknął:

- Przepraszam, Davidzie.

A potem uderzył go w głowę.

Istota straciła przytomność. Ocknęła się o wschodzie słońca i była z powrotem Davidem Livingstone'em. Człowiekiem. Szamanem, który stoczył walkę z niewyobrażalną siłą. I przegrał. Ale ocalał i nie zmienił się w kusztakę. Zapłacił jednak wysoką cenę - o czym jeszcze nie wiedział.

FERGUSON O NIC NIE PYTAŁ. Nie chciał wiedzieć. Wolał zapomnieć o tej nocy. To były sny i halucynacje. Ludzie nie zmieniają kształtów. Takie rzeczy nie dzieją się naprawdę.

Mężczyźni milczeli w drodze do przystani. David wydawał się zadowolony, że Ferguson nie zadaje niewygodnych pytań. Był oszołomiony i chyba nieco złamany. Rozbity. Przez jego skroń

przebiegały dwie duże pręgi. Sprawiał wrażenie obolałego. Wszedł na łódź i zapuścił silnik.

- Wyślesz mi raport i fakturę? - spytał Ferguson.

Livingstone podniósł wzrok i tylko pokiwał głową. Skierował łódź na zatokę.

Ferguson uruchomił hydroplan. W ciągu dwóch ostatnich dni wiele przeżył. Ale odpychał od siebie niewygodne myśli. Pewnego dnia przy jakiejś okazji zastanowi się nad wszystkim. Co przydarzyło się Livingstone'owi? Wiedział, że zapewne nigdy nie pozna prawdy.

Ocean przypominał jezioro - jego powierzchnia była gładka i równa. Pchnął dźwignię przepustnicy i zwiększył prędkość. Uniósł się w powietrze. Spojrzał z maszyny w dół i dostrzegł łódź Davida kierującą się na północ. Nim znów skierował wzrok przed siebie, zdążył wymazać z pamięci niepokojące wydarzenia. Myślał tylko o kąpieli, o piwie, o chilli. Te trzy rzeczy znał i rozumiał.

DRUGI DZIEŃ PODRÓŻY DOBIEGAŁ KOŃCA. Jenna stała na pokładzie Columbii i podziwiała gwiazdy. Wiał coraz silniejszy i chłodniejszy wiatr. Zapięła kurtkę i szczelnie się nią otuliła. Znalazła na promie odosobnione miejsce, jedyne, gdzie mogła przez moment pobyć sama ze sobą.

Dobrze się czuła na promie. Mogła trzymać się na uboczu, a jednocześnie wiedziała, że wokół jest wielu ludzi gotowych pomóc, gdyby tego potrzebowała.

Spojrzała w gwiazdy i odetchnęła świeżym powietrzem. Wiedziała, że ucieczka była słuszną decyzją. Ale nagle zapragnęła towarzystwa kogoś, kogo kocha się z wzajemnością. Mogliby schronić się od chłodu w swoich ramionach. Mogliby wolno sączyć gorącą czekoladę. Mogliby chuchać w dłonie i się całować. On rozpiąłby swoją kurtkę, a ona wtuliłaby się w niego.

Tak zrobił Robert wiosną, dwa lata temu. Ukrył Jennę przed światem pod wiatrówką. Całowali się, patrzyli w gwiazdy, a zamiast czekolady pili wino. Gdyby tylko Steve Miller im nie przeszkodził... Gdyby tylko na nich popatrzył i zdecydował, że jednak nie będzie im przeszkadzał, Bobby mógłby żyć. Nie, to nieprawda. „Nie powinnaś

tak myśleć. Bóg wezwał Bobby ego i nie mogłaś temu zaradzić”.

Wszystko zaczęło się właśnie wtedy, na przyjęciu na łodzi, kiedy płynęli wzdłuż wybrzeża Seattle. Był gorący początek czerwca. Jenna i Robert stali na pokładzie skupieni na sobie. Ludzie szeptali, jaką wspaniałą są parą.

W tamtym okresie Robert był inny niż wszyscy. Jego koledzy od nieruchomości siedzieli w kajucie i podlizywali się grubym rybom. On został na pokładzie z żoną. I za to go szanowano - za to, jak ją traktował. Często mówił Jennie, że ją kocha. Często całował ją przy stole w obecności kolegów. Czasem wracał do domu w porze lunchu na małą popołudniową rozkosz. Kiedy to było? Zaledwie dwa lata. Bobby miał pięć lat, a oni byli małżeństwem od ośmiu. Stare dobre małżeństwo. Przyjaciele się rozstawali, a Robert i Jenna byli odporni na wszystkie kłopoty, które rozdzielały młode pary, jakby płynęli inną łodzią niż reszta. Nawet rozmawiali o kolejnym dziecku. Mieli nadzieję, że urodzi się dziewczynka.

Steve Miller zawołał Roberta i Jennę. Nigdy specjalnie go nie lubiła. Był po trzydziestce, miał za sobą rozwód i chlubił się tym, że przezornie przed ślubem kazał podpisać żonie intercyzę. Jego hobby to było szybkie prowadzenie porsche. Ludzie plotkowali, że zawdzięcza swoją muskulaturę operacjom plastycznym. Robert lubił Steve'a, ale nie cierpiał, gdy ten nazywał go szefuniem.

- Hej, szefuniu.
- Witaj, Steve.
- Jenna, jak się miewasz, skarbie? - Steve pocałował ją w policzek.
- Cześć.
- Wyglądasz olśniewająco. Chciałbym mieć taką dziewczynę jak ty. Też zabierałbym ją na łódź.

Steve objął Roberta ramieniem. - Bob, muszę z tobą chwilę porozmawiać, jeśli można. Chodzi o interesy, a także o przyjemności.

Zakręcił się tak, że znalazł się pomiędzy Jenna a Robertem.

- Jestem związany z wpływową grupą inwestorów. Postawiliśmy na kilka ważnych projektów, które bardzo nam się opłaciły. Wszyscy w Seattle chcieliby stać się częścią naszego bractwa, ale - jak to się mówi - wielu jest powołanych, lecz mało wybranych. Ty zwróciłeś naszą uwagę. Poproszono mnie, abym zaprosił cię do kolejnego przedsięwzięcia.

Nagle urwał.

- Szefuniu, zdaje się, że masz na ustach trochę szminki.

Jenna polizała kciuk i wytarła dolną wargę Roberta.

- Na Alasce jest pewne opuszczone miasteczko. Znajduje się na Wyspie Księcia Walii na południowym wschodzie.

- Rodzina Jenny pochodzi z Alaski. Z miasteczka Wrangell.

- Poważnie?

- Tak, Jenna jest w jednej czwartej Indianką z plemienia Tlingitów.

Steve podniósł dłoń, naśladując indiańskie pozdrowienie.

- Howgh! W każdym razie jest to stare miasteczko rybackie, które teraz zmieniamy w ekskluzywny kurort. Nasza grupa współpracuje z japońskimi inwestorami. Założyliśmy z nimi spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością, żeby sfinansować ten projekt. Nazywamy to miejsce Thunder Bay. Udział wynosi sto tysięcy dolarów.

Robert uniósł brew.

- A teraz, Bobby, zanim westchniesz, że nie masz stu tysięcy dolarów, pozwól, że powiem ci dwie rzeczy. Po pierwsze, chętnie dołączymy cię do tej grupy inwestorów, która zainteresowana jest

mniejszymi działkami. Pięćdziesiąt tysięcy, dwadzieścia pięć, wszystko jedno. Po drugie, jeśli zgłosisz akces, otrzymasz darmowe wakacje. Pozwól, że wyjaśnię. Nasza grupa dobrze wie, że chodzi o spore pieniądze. Dlatego zdecydowaliśmy się na dużą promocję. Otwieramy kurort na tydzień w lipcu i zapraszamy przyszłych inwestorów, żeby spędzili z nami czas za darmo. To pozwoli ludziom poczuć, jak wspaniała może być Thunder Bay. Darmowe wakacje dla ciebie i rodziny. No dalej. Jennie i małemu na pewno się to spodoba.

Robert popatrzył na Jennę z błyskiem w oku. Udzielił jej się jego entuzjazm.

- Wygląda na niezłą zabawę.
- Owszem. Ten projekt wytyczy nowy kierunek w turystyce i w rekreacji. Zauważ, ludzie lubią przebywać wśród dzikiej przyrody, prawda? Ale sama przyroda to mało. W końcu każdy ma ochotę na dobre żarcie. Każdy, kto wraca na noc do hotelu, marzy o gorącym prysznicu i o butelce dobrego wina. Mam rację? W Thunder Bay zatrudniamy wyśmienitych kucharzy. Ale o żywność starają się sami wczasowicze. Polują na zwierzynę i łowią ryby, a potem jedzą to, co zdobyli. Przygotowane przez najlepszych szefów kuchni. Mamy profesjonalnych przewodników po terenie. Oporządzają zwierzynę. Aromatyczny *châteauneuf-de-pape* ze świeżą dziczyzną. Białe *hermitage* ze świeżym pstrągiem. Brzmi nieźle, prawda?

Robertowi napłynęła ślinka do ust, ale starał się nie okazać nadmiernego zapału.

- A jeśli zrezygnujemy? Nie sądzę, żebyśmy w tej chwili mogli zaryzykować taką sumę. Nawet dwadzieścia pięć tysięcy to dla nas dużo.

- Słuchaj, szefuniu, rozważ to, bo grupa inwestorów jest bardzo aktywna i chce cię wciągnąć na swoją listę. Powiedz po prostu, że jesteś zainteresowany. Jeżeli nie zainwestujesz teraz w ten projekt, zrobisz to za jakiś czas. Prawda jest taka, że to oni inwestują w ciebie. Jesteś na liście zaproszonych. Uznaj to za przywilej.

Jenna czuła, że Robert jest zainteresowany propozycją. I rzeczywiście, miejsce wydawało się ciekawe. Prince of Wales Island. Thunder Bay. Będzie musiała sprawdzić na mapie.

Robert rzeczywiście napalił się na pomysł Steve'a Millera. Urzekła go przede wszystkim wizja samodzielnego zdobywania posiłków. To tak, jakby w restauracji trzeba było obrać sobie ziemniaki na frytki. No cóż. Robert myślami znajdował się już w Thunder Bay.

Jenna odwróciła się, żeby popatrzeć w dal. Miasto na horyzoncie wyglądało przepięknie. Romantycznie. Ale komu w głowie romanse, kiedy ze strzelbą w jednej dłoni, a z wędką w drugiej tropi zwierzynę na wykwintne dania popijane świetnymi winami. I to za darmo.

LIST NADSZEDŁ CZTERY DNI PÓŹNIEJ. Był krótki i treściwy.

Drogi Panie Ferguson!

Podczas swoich badań odkryłem niekontrolowaną aktywność duchów w Pańskim kurorcie. Zalecam niezwłoczne zaprzestanie inwestycji w Thunder Bay.

David Livingstone

Ferguson rzucił list na biurko i ukrył twarz w dłoniach. Cholera. Nie tego teraz potrzebował. Do pierwszego lipca pozostały zaledwie dwa miesiące. Jeśli nie dostanie pozytywnego raportu od Livingstone'a, pojawią się problemy finansowe.

Nie chciał prosić inwestorów o większy kredyt. Co innego robić interesy, ściskając dłoń przyjaciela, a co innego dobijać targu z zagranicznymi inwestorami.

Było za późno, żeby znaleźć innego szamana, a gdyby nawet, to czy Ferguson mógł mieć gwarancję, że uzyska inną odpowiedź?

Wykręcił numer do Davida. Będzie go musiał trochę przycisnąć. Niech napisze kolejny list, w którym zapewni, że w Thunder Bay nie ma żadnych duchów.

Livingstone odebrał telefon.

- Davidzie, słuchaj, o co chodzi z tym listem?
- To nie list, to ekspertyza - odparł szaman.
- Ale to mi nic nie mówi.
- Mówi wystarczająco dużo.
- Nie mogę iść do inwestorów i powiedzieć, że rezygnujemy z projektu, ponieważ tak nam każe jakiś szaman.
- Myślałem, że po to mnie zatrudniłeś.
- Zatrudniłem cię po to, żebyś rozwiązał problem. Żebyś wygonił duchy.

Nastąpiła długa cisza.

- Nie potrafię - powiedział w końcu David.

Ferguson się zirytował. Nie lubił, kiedy ludzie odmawiali. W biznesie budowlanym wielu było takich. Czy mogę budować na tej glebie? Nie. Czy mogę to zrobić za taką kwotę? Nie. Kiedy w końcu wszystko przemyśłą, odpowiedź zawsze jest pozytywna. „Nie” to standardowa, automatyczna odpowiedź.

- O co chodzi? - naciskał Ferguson. - Chcesz więcej pieniędzy? O to chodzi? Davidzie, powiedz mi. Jaki masz problem?

- Jaki? Byłeś tam przecież.

Ferguson nie zareagował.

- Sam przecież widziałeś, co się stało!

Ferguson nadal milczał.

- Posłuchaj, to miasto zbudowano na czyjejś własności. Dlatego jest nawiedzone. Przez duchy. Przez bardzo silne duchy. One nie

chęcią, żeby budowano kurort. Mam to napisać czarno na białym?

Ferguson jęknął. Co za pechowy projekt. A teraz jeszcze ten arogancki doktor-czarodziej.

- Musi być jakiś sposób.

- One się stąd nie ruszą. Ale wy możecie. Chcesz mojej rady? Przenieście budynki dwie mile w dół, bliżej brzegu. Wtedy będziecie bezpieczni. Oczywiście dopóki ktoś nie zgubi się w lesie.

- To jakieś szaleństwo.

- Mnie to mówisz? Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem.

- Przecież jesteś szamanem. Nie możesz rzucić zaklęcia albo co?

- Zaklęcia? Ferguson, wyostałem się stamtąd tylko dlatego, że mi pozwoliły.

Fergie jęknął. Nie tak miało być. Livingstone miał po prostu oczyścić to miejsce, czy co tam się robi.

- Twierdziłeś, że nie wezwalesz mnie tylko po to, żeby uspokoić miejscowych - przypomniał David.

- I mówiłem prawdę.

- A więc dlaczego?

Ferguson wahał się nad odpowiedzią. W końcu wykrztusił:

- Bo inwestorzy tego chcieli.

- A więc ty nie wierzysz w obecność zmarłych. Nigdy nie wierzyłeś.

Ferguson milczał. Co mógł odpowiedzieć na taki zarzut?

- Słuchaj, Ferguson - powiedział w końcu David. - Zapłaciłeś za moją opinię i otrzymałeś ją. Zamknij dzisiaj to miejsce i znikaj. Jeżeli otworzysz kurort, stanie się coś złego. Niech to licho, coś złego

już się stało, chociaż to nie ma nic wspólnego z tobą.

- Co takiego? Mógłbyś wyrażać się ściślej?

David z początku nie chciał odpowiadać. To w końcu nie była sprawa Fergusona. Ale uznał, że jego osobista tragedia powinna stanowić przestrożę dla innych.

- Dziś rano moja żona poroniła - oznajmił.

Ferguson nie wiedział, co powiedzieć.

- Przykro mi, ale co to ma wspólnego...?

- Niech to dla ciebie będzie znak, Ferguson.

No cóż, to koniec. Ferguson zrozumiał, że nie ma sensu naciskać.

Wreszcie znalazł wymarzoną robotę. Miał być kierownikiem projektu. A potem przejść na emeryturę. Zarabiał więcej niż kiedykolwiek w życiu. Kupił nowy silnik do hydroplanu. Odłożył trochę na konto emerytalne. Chciał wziąć pożyczkę na remont domu. Zasłużył na to. Czasami człowiek świadomie bierze gówniane prace, bo uznaje, że w końcu niczym nie różnią się od tych dobrych. No cóż, to już koniec. Teraz wszystko będzie jak dawniej. Zawsze cierpiał niewygody i jadł fasolę z puszki. Marzył o dobrym życiu. Z a s ł u ż y ł na nie. Na wakacje w Meksyku. Na łóżko, które nie zapada się pośrodku. Na kuchnię, w której jego żona mogłaby gotować. Inni mają tyle pieniędzy. A teraz, kiedy i Ferguson mógłby trochę dorobić, wszyscy chcą mu je zabrać. To nie w porządku.

Pieprzyć Tlingitów. Już i tak prawie wymarli. I pieprzyć Japończyków. Oni zarobili pieniądze, oszukując Amerykanów. Pieprzyć ich wszystkich. Poronienie żony Livingstone'a nie ma nic wspólnego z Thunder Bay. Podniósł list, który wysłał mu David. „Niekontrolowana aktywność duchów”. To też pieprzyć. List miał nagłówek

z nazwiskiem szamana i jego podpis. Ferguson nawet się nie zawa-
hał. Magia kopiarki. Kiedy pismo przejdzie przez faks, nikt nie zau-
waży różnicy. Nowy dokument.

Drogi Johnie!

*Z radością informuję, że kurort Thunder Bay jest wolny od duchów. Mo-
je śledztwo nie wykryło nic niezwykłego, macie więc moje błogosławieństwo
na dalszą budowę. Nie mogę doczekać się, kiedy kurort zostanie otwarty,
kiedy będę mógł przyjechać, żeby obcować z dziką przyrodą w komforto-
wych oraz eleganckich warunkach. Powodzenia!*

David Livingstone

„To ciężkie czasy, John - pomyślał Ferguson. - Dlatego wymaga-
ją radykalnych działań”.

TELEFON WYRWAŁ ROBERTA ZE SNU. Mężczyzna odwrócił się i zerknął na zegarek. Szósta rano.

- Z panem Rosenem proszę - powiedział niski głos.
- Kto dzwoni?
- Sierżant Wald z wydziału policji w Bellingham.

Robert zerwał się i usiadł na łóżku.

- To ja. To znaczy Robert Rosen, słucham.
- Panie Rosen, znaleźliśmy dwudrzwiowe czarne bmw 850i rocznik dziewięćdziesiąty czwarty zarejestrowane na pana nazwisko.
- Tak, to mój samochód. Czy była w nim moja żona?
- Słucham?
- Miałem nadzieję, że w samochodzie znajdowała się moja żona.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Pojazd sprowadzono wczoraj rano na policyjny parking. Właśnie sprawdziliśmy go w rejestrze. Figuruje jako zaginiony. Czy ktoś go ukraść?

- Nie. Moja żona zniknęła w sobotnią noc razem z samochodem i od tamtej pory nie odezwała się do mnie. Policjanci powiedzieli, że mam na razie zgłosić zaginięcie wyłącznie samochodu, bo z

powodów proceduralnych nie mogą jeszcze przyjąć zgłoszenia zaginięcia osoby.

- Rozumiem. Pański pojazd nie został zniszczony. Nic nie wskazuje też na morderstwo. Został po prostu porzucony.

- Jak dawno temu?

- Już powiedziałem, trafił do nas wczoraj rano.

- Są w nim może jakieś ślady obecności mojej żony?

- Nie, proszę pana.

- Dobrze. Dziękuję za telefon. - Robert chciał się rozłączyć.

- Czy odbierze pan dzisiaj swoje auto?

- Dzisiaj?

- Doba na policyjnym parkingu kosztuje dwadzieścia pięć dolarów plus opłata za holowanie.

- Nie wiem. Chyba nie dzisiaj. Raczej jutro.

- To będzie dodatkowe dwadzieścia pięć dolarów.

- Cóż, zapłacę, ile trzeba.

Robert uśmiechnął się pod nosem. Dwadzieścia pięć dolarów. Taniej niż miejsce garażowe.

- Przyjmujemy płatności kartami Visa i MasterCard.

- Świetnie.

Odłożył słuchawkę. Nie było samochodu. Nie było Jenny. Teraz auto się odnalazło, ale Jenna nie. Może została porwana? Zgłosić zaginięcie. Tak, jasne, policja na pewno okaże się pomocna. Tak jak wcześniej jakiś funkcjonariusz wyrecytuje to, co zazwyczaj: „Jeśli pańska żona jest pełnoletnia, może samodzielnie zdecydować, że odchodzi. Policja nie ma obowiązku wszczęcia poszukiwań”. W grę nie wchodziło ani morderstwo, ani porwanie dla okupu. To oznaczało, że zwyczajnie postanowiła odejść. „Może samodzielnie zdecydować”. To Ameryka, nie Chiny.

Robert poszedł do kuchni i włączył ekspres do kawy. Zastanawiał się, czy mogło go spotkać coś bardziej frustrującego. Nie przywykł do sytuacji, w których tracił kontrolę. Nie przywykł do siedzenia przy telefonie w oczekiwaniu, że ktoś zadzwoni. Musiał iść do pracy. Musiał udawać, że wszystko jest w porządku. To było denerwujące. Ale w pracy przynajmniej mógł na chwilę oderwać się od wszystkiego. Mógł zrobić bałagan na biurku, mógł poczuć przygnębienie na widok stosu dokumentów czekających na ułożenie, mógł czekać, aż przytłoczy go nadmiar zadań, na których wykonaniu będzie musiał całkowicie się skoncentrować. Mógł przestać roztrząsać sprawy, których nie rozumiał. Mógł przez chwilę nie zadawać sobie pytań „gdzie?” i „dlaczego?”. Zwłaszcza „gdzie?”. Gdzie Jenna jest i co, do diabła, kombinuje? I dlaczego? On naprawdę nie zrobił nic złego, prawda? Tak, najgorsze były pytania, na które nie znał odpowiedzi. Wziął gazetę sprzed domu. Przeglądał ją, popijając kawę. Nagłówek: *Samochód uderzył w drzewo. Troje studentów nie żyje*. Nagłówek: *Najgorsza susza od dziesięciu lat*. Nagłówek: *Starcie członków sekty z FBI*.

Robert drgnął. Sekta. Co robią ludzie, kiedy ukochana osoba łączy się z sektą? Postępują jak John Wilson. Wysyłają kogoś za tą osobą. Kilka miesięcy temu Steve Miller powiedział Robertowi, że John Wilson, ich przyjaciel, prawnik, miał problemy z córką. Wyjechała na studia, związała się z sektą i zniknęła. Wilson był wstrząśnięty. Wynajął detektywa specjalizującego się w takich sprawach, który odnalazł jego córkę i sprowadził do domu. Policja by tego nie zrobiła, bo dziewczyna była pełnoletnia. Musiał szukać pomocy gdzie indziej.

To jest właściwa odpowiedź. Po co biernie czekać, skoro można działać? Gdyby Jenna wyjaśniła Robertowi, dlaczego i dokąd

musiała wyjechać, w porządku. Ale to, co zrobiła, zakrawało na szaleństwo. Wstała i wyszła. Mogła się zgubić. Mogła spróbować czegoś niebezpiecznego. Mogła wpaść w kłopoty. A jeśli leży w jakimś rowie, jeśli ją zamordowano?

Robert przestał mieć wątpliwości. Sięgnął do teczki leżącej na stole kuchennym i wyciągnął elektroniczny notes marki Rolodex. Znalazł. W. John Wilson. Wykreślił numer. Usłyszał zaspány głos.

- John? Tu Robert Rosen. Przepraszam, że dzwonię tak wczesnie, ale mam poważny problem i potrzebuję twojej pomocy.

Robert opowiedział Johnowi wszystko, najlepiej, jak umiał.

- No cóż, Robercie, facet, którego zatrudniłem, był prawdziwym ekspertem. Odnalazł Cathy i zrobił, co trzeba. Teraz wszystko z nią dobrze. Mieszka w domu, śpi w swoim dawnym pokoju. Ten człowiek naprawdę wie, co robi.

- Jak mu się to udało?

- Zakazał zadawania jakichkolwiek pytań. Powiedział wyraźnie, że w takich sprawach cel uświęca środki. I szczerze mówiąc, miał całkowitą słusność. Czasami ogień zwalcza się ogniem, wiesz?

- Kogoś takiego mi trzeba.

- Drogo nas kosztował. Powinieneś o tym wiedzieć, zanim podejmiesz decyzję.

- Pieniądze nie mają znaczenia. Muszę odszukać żonę.

- Zaczekaj. Znajdę jego numer.

Robert stukał nerwowo palcami o blat stołu. Teraz, gdy działał, czuł się o niebo lepiej. Jenna musi gdzieś być. Nie mogła tak zwyczajnie zniknąć. A detektyw zdoła ją odnaleźć. Bo gdyby wyjechała na kilka dni, Robert znałby miejsce jej pobytu i wiedziałby,

że u niej wszystko w porządku. Ale gdyby ją p o r w a n o - lub przytrafiłoby się jej coś gorszego - wtedy musiałby coś zrobić. Charakter mężczyzny określają jego czyny. A Robert chciał być postrzegany jako ktoś, kto działa.

DOCHODZIŁA PRAWIE DRUGA NAD RANEM. Jenna stała na pokładzie parkingowym i czekała, aż prom zacumuje w porcie we Wrangell. Nie miała pojęcia, że dotrą na miejsce tak późno. Ale to w końcu bez znaczenia. Pragnęła wysiąść i odetchnąć świeżym powietrzem, poczuć ziemię pod stopami. Zdążyła pożegnać się z Debbie i Williem. Wyglądali na zasmuconych, kiedy powiedziała im, że wysiada w nocy. Willie zszedł do baru i kupił kilka czekoladowych ciastek. Życzyli sobie nawzajem powodzenia i szczęśliwej dalszej podróży.

Usłyszała głośny zgrzyt. Zobaczyła, jak od strony portu z przeraźliwym jękiem otwierają się wielkie, metalowe drzwi. Stalowe przekładnie się szczyły. Z hałasem maszyn zmieszało się szczekanie psów przewożonych na pokładzie parkingowym. Drzwi otwierały się bardzo powoli. Obserwowała przesuwające się przed jej oczami wybrzeże. Statek był jakieś pięćdziesiąt jardów od lądu i płynął równoległe do plaży. Nagle usłyszała głośne dudnienie. Poczula wibracje śruby napędowej przechodzącej na wsteczny bieg. Kolejny przeraźliwy hałas. Pokład trząśł się tak mocno, że Jennie wydawało się, że

za chwilę rozsunie się pod jej stopami. Prom zwolnił i zbliżył się do lądu.

Starsza kobieta, jedyna pasażerka, która wysiadła z Jenną, stała kawałek dalej. Była mała i pulchna, miała długie, siwe i proste włosy, a twarz brązową i pomarszczoną jak miękka skórzana torebka. Białe oczy zerkały spod grubych brwi. Obok kobiety stały dwa wielkie worki marynarskie, plecak ze stelażem i drewniane pudelko. Jennę zdumiał jej bagaż.

Nagle staruszka na nią popatrzyła. Jenna odpowiedziała uśmiechem i skinęła głową, ale kobieta nie zareagowała. Wpatrywała się w Jennę przez moment, a później skierowała wzrok w ciemność.

Za szeroko otwartymi drzwiami promu pojawił się port. Jenna dostrzegła wielką naprężoną linę przewiazaną przez knagę na pomoście. Mężczyzna na kei operował elektrycznymi przyciskami, które obniżyły rampę na wysokość pokładu parkingowego. Jeden z pracowników promu zagwizdał na Jennę i na staruszkę, po czym pomachał do nich. Jenna szybko podeszła do drzwi i po rampie skierowała się na ląd.

Przejście ze środowiska czysto mechanicznego w czysto naturalne było porażające. Jenna czuła się tak, jakby wkraczała do innego świata. Kiedy ruszyła nabrzeżem, owiało ją chłodne powietrze. Jej wzrok powoli przyzwyczajał się do ciemności. Las przed nią wydawał się dziwnie spokojny. Cisza, tak odmienna od hałaśliwych odgłosów promu, jakby ją pochłaniała.

Na prawo widać było domy, a tuż za zakrętem zaczynało się Wrangell. Jenna pamiętała tamtejszy hotel i modliła się, żeby nadal był czynny.

Na czystym niebie świecił księżyc.

Po drugiej stronie portu stało jedynie kilka domów rozproszonych wśród drzew. Ale w centrum miasteczka budynki znajdowały się bliżej siebie. Wszystkie wyglądały tak samo marnie: dwupiętrowe, z zakrytym gankiem, obite sidingiem, z bitumiczną dachówką. Ten na wprost Jenny był w okropnym stanie. Odpadający tynk, okna zabite deskami, łuszcząca się farba. Od razu rozpoznała stary dom babci.

Niewątpliwie był opuszczony od wielu lat. Ale wciąż miał w sobie coś szczególnego. Jenna przypomniała sobie, jak przyплыnęła nocą do Wrangell jako licealistka. Przypomniała sobie, co poczuła, gdy zobaczyła babcię siedzącą w koszuli nocnej na ganku; gdy zobaczyła starą kobietę czekającą na wnuczkę, kołyszącą się w bujanym fotelu, rozmawiającą sama ze sobą. Poczuła się wtedy nieswojo. I to uczucie teraz powróciło, choć babcia Jenny od dawna nie żyła. Podobnie jak jej dom, zamknięty na głucho od prawie dziesięciu lat.

Tymczasem starsza pani z promu dogoniła Jennę. Z trudem niosła cały swój bagaż. Pomysłowo połączyła sznury obu worków i ciągnęła je za sobą jak wózek. Ale wciąż ugiwała się pod ciężarem reszty. Jenna poczuła się zobowiązana do pomocy.

- Daleko pani idzie?! - zawołała. - Może mogłabym pomóc?

Kobieta zatrzymała się i podniosła wzrok. Przez chwilę rozważała propozycję. Wreszcie wskazała palcem przed siebie.

- Do przystani w mieście - odparła.

Jenna złapała jeden z worków, próbując go podnieść. Szybko zrozumiała, dlaczego staruszka woli ciągnąć swój bagaż. Był potwornie ciężki. Powlokła więc worki za sznur i podążyła za kobietą.

Szły w milczeniu. Wkrótce Front Street przeszła w nieduży plac. Po lewej stronie Jenna ujrzała sklepiki na Main Street. Po

prawej - gmach na palach stojących w wodzie. Dostrzegła napis: Stikine Inn. Poczowała ulgę, ponieważ hotel wyglądał na otwarty.

Gdy dotarli do przystani, staruszka przystanąła.

- Zaczekam tutaj na syna.

Jenna puściła sznury. Była zmęczona, cieszyła się jednak, że mogła pomóc. Oparła się o balustradę.

- Dziękuję - powiedziała starsza pani.

- Nie ma za co. Czy będę jeszcze potrzebna?

Kobieta pokręciła głową. W ciemności Jenna próbowała się przyjrzeć jej twarzy, ale spowijał ją cień.

- Chyba spróbuję znaleźć jakiś pokój - powiedziała.

- Zatrzymasz się w tym hotelu?

- Mam taką nadzieję.

- To miłe miejsce. Trzeba zadzwonić dzwonkiem, żeby obudzić Earla. Śniadanie jest za darmo, tylko za jajka płaci się dodatkowo.

- Słucham?

- Jeśli będziesz chciała jajka na śniadanie, musisz dopłacić. Ja zawsze jem jajka na śniadanie.

- Dziękuję za radę.

Jennie wydawało się, że kobieta straciła nagle dla niej zainteresowanie. Była rozkojarzona i rozproszona.

- Czy na pewno tutaj chciała pani przyjść? - zapytała podejrzliwie Jenna.

Kobieta nie wyglądała wcale jak ktoś, kto dotarł w miejsce przeznaczenia. Jenna wolała mieć pewność, że staruszka nie rozminie się z kimś, kto czeka na nią w innym miejscu.

- Syn odbierze mnie rano. Zaczekam tutaj.

- Rozumiem - powiedziała Jenna. - W takim razie dobrej nocy.

Jenna odwróciła się, żeby odejść, ale kobieta ponownie się odezwała.

- Skąd masz ten naszyjnik?

Jenna odruchowo położyła dłoń na srebrnym amulecie.

- Dostałam go w prezencie od znajomych.

Staruszka pokiwała głową.

- Zrobił go mój syn.

Jasne. Jenna zrozumiała, że to ona jest dziwną Indianką, o której mówili Willie i Debbie. To od niej kupili naszyjnik.

- Jest piękny - powiedziała. - Może mi pani wyjaśnić, co przedstawia?

Staruszka dotknęła amuletu i przez chwilę trzymała go w palcach.

- Kusztakę.

- Ale co to takiego? Jakaś postać z opowieści Tlingitów?

Kobieta usiadła na swoim bagażu.

- Tak. Kusztakami straszy się dzieci, aby nie oddalały się od domu. Masz papierosa?

- Przykro mi, nie palę. Ale co właściwie robią te kusztaki?

- To duchy. Ludzie-wydry. Mają wielką moc. Jeżeli się w to wierzy oczywiście. Doglądają wody i lasów i zabierają zagubione dusze. A ty? Wierzysz w nie?

- Nie wiem. Nigdy wcześniej o nich nie słyszałam.

Jenna przypomniała sobie mit mówiący o mężczyźnie, który ożenił się z niedźwiedzicą. I drugi - o chłopcu, który zabił potwora i spalił jego cielsko, stwarzając w ten sposób komary.

- One kradną dusze. Sprowadzają ludzi do swoich wiosek i przemieniają ich w następne kusztaki.

- Naprawdę? A skąd się wzięli ci ludzie-wydry?

- To było po potopie, który sprowadził Kruk, żeby zabić złych

ludzi i oczyścić świat. Ale nie mógł ukarać złych, nie krzywdząc jednocześnie dobrych. Zginęli więc wszyscy. Nawet matka Kruka, co ogromnie go zasmuciło, bo bardzo ją kochał.

Kobieta wyciągnęła z worka paczkę papierosów i zapaliła. Jenna się uśmiechnęła. No tak, cudze smakowałyby lepiej.

- Pewnego dnia, już po potopie, Kruk chodził po plaży i zbierał kamienie. Nagle usłyszał, że ktoś wyśpiewuje jego imię, i zaraz ujrzał kilka wydr bawiących się na piasku. „Kto mnie wołał?” - zapytał Kruk. „Usiądź na moim grzbiecie - powiedziała jedna z wydr - a zabiorę cię tam, dokąd cię wzywają”. „Utopię się” - odrzekł Kruk. Bał się wody, ponieważ nie umiał pływać. „Nie lękaj się - zapewniła go wydra. - Ze mną będziesz bezpieczny”. Kruk dosiadł zwierzęcia. Bardzo starał się uważać podczas drogi, ale szybko poczuł zmęczenie i zasnął. Przebudził się w wiosce pełnej ludzi.

Zaraz potem zobaczył własną matkę. Bardzo ucieszył się ze spotkania, ponieważ był przekonany, że ona nie żyje. Zapytał, skąd wzięła się w tym miejscu, matka zaś odparła, że kiedy wody wezbrały, z pomocą nadeszły jej wydry. Kruk był szczęśliwy. Postanowił podzielić się ze zwierzętami, które ocaliły jego matkę, swoim darem. Od tej chwili mogły tak jak Kruk przybierać dowolną postać. Mogły stać się człowiekiem lub rybą. Mogły zmienić się w kogokolwiek lub w cokolwiek. Ale razem z podarunkiem otrzymały też ważne zadanie. Kruk polecił wydróm pilnować lasów i mórz i ratować wszystkich, którym groziło utonięcie lub zamrznięcie. Nadał im też nowe imię. Nazwał je kusztakami.

Stara kobieta uśmiechnęła się do Jenny. Miała tylko cztery zęby.

- To ładna opowieść - powiedziała Jenna. - Ale niezbyt straszna.

- Nie boisz się?
- Nie.
- To dlatego, że nigdy ich nie widziałas.
- Jak wyglądają?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Jak każdy. Na przykład jak ja. Gdybym była kusztaką, omamiłabym cię. Zwabiłabym cię do swojej nory, w której zostałabyś na zawsze.

Staruszka zarechotała komicznie, co rozśmieszyło Jennę.

- Jest pani kusztaką?
- Chcesz ze mną popłynąć?
- Słucham?
- Mój syn przybędzie tu łodzią. Możesz popłynąć z nami.
- Nie, dziękuję.
- Widzisz?! - Staruszka parsknęła śmiechem. - Gdybym była kusztaką, nie mogłabyś mi odmówić.

- Rozumiem. No cóż. - Jenna ziewnęła. - Powinnam już iść.

- Daj mi trochę pieniędzy.

Dziewczyna była zdumiona.

- Co?

- Daj mi pieniądze. Opowiedziałam ci historię, którą chciałaś usłyszeć. Teraz musisz mi zapłacić.

Jennę zdziwiło takie postawienie sprawy, ale nie chciała się kłócić. Dla staruszki pieniądze prawdopodobnie były ważniejsze niż dla niej. Poza tym pragnęła jak najszybciej położyć się spać. Wyciągnęła z portmonetki pięciodolarowy banknot i podała go kobiecie.

- Opowiedzieć ci jeszcze coś?
- Nie, dziękuję. Jestem zmęczona. Ale dziękuję.

- Nie zgub się w lesie, bo kusztaka ukradnie twoją duszę. - Kobieta zaśmiała się ponuro.

Jenna poczuła się niepewnie.

- Będę ostrożna - odparła, zakładając plecak na ramię.

- Nie będziesz wiedziała - dodała staruszka.

- Czego nie będę wiedziała?

- Kiedy za tobą podążą.

- Dziękuję za ostrzeżenie. Będę uważać - powiedziała na pożegnanie Jenna i ruszyła w swoją stronę.

Pomyślała, że staruszka jest chyba szalona. Przebiegły ją ciarki. Kiedy doszła do końca przystani, usłyszała wołanie. Chciała je zignorować, odwróciła się jednak.

- Oczy! - zawołała kobieta, wskazując własne oko. - Pamiętaj, oczy nigdy się nie zmieniają!

Znowu zarechotała. Teraz Jenna naprawdę się przeraziła. Chciała jak najszybciej wynajść pokój.

Weszła po pięciu stopniach na ganek hotelu. Wewnątrz było ciemno. Otworzyła drzwi wiatrołapu, a potem wejściowe. Wślizgnęła się do ciemnego holu i od razu poczuła się pewniej.

Na kontuarze stała zapalona lampka. Jenna podeszła i zadzwoniła dzwonkiem. Dźwięk odbił się echem od ścian. Żadnej reakcji. To źle. Zaczęła czuć się nieswojo. Stara kobieta naprawdę ją wystraszyła. Nie swoją opowieścią, ale zachowaniem. Zadzwoniła ponownie. Bez skutku.

Rozejrzała się w poszukiwaniu jakiegoś fotela, w którym mogłaby spędzić noc. Przy schodach stała ławka. Obok stara drewniana budka telefoniczna i kilka metalowych składanych krzeseł. Jadalnia znajdowała się od strony zatoki. Nic jednak nie wyglądało na wygodne. Przynajmniej nie na tyle, żeby się wyspać. Za biurkiem leżały

klucze. Nie było chyba zbyt wielu gości. Jenna pomyślała, że weźmie jakiś klucz, a za nocleg zapłaci rano. Ale zamiast tego zadzwoniła po raz trzeci.

Tym razem usłyszała ziewnięcie, a później czyjeś kroki. Po chwili pojawił się ubrany w niebieską piżamę starszy mężczyzna o potarganych włosach.

- Przepraszam, że tak późno - usprawiedliwiła się.
- Prom przyplłynął?
- Tak.

Mężczyzna podsunął Jennie kartkę i podał długopis.

- Proszę to wypełnić.

Nazwisko, adres. Czas pobytu: około tygodnia. Kiedy pisała, mężczyzna wziął jeden z kluczy i położył go na biurku.

- Zostawiła pani bagaże w porcie? - spytał.
- Nie, to wszystko, co mam.

Facet otworzył szeroko oczy.

- Tylko tyle rzeczy na cały tydzień?
- Nie lubię ciężkiego bagażu w podróży.

Mężczyzna wrzucił ramionami i zrobił taką minę, jakby Jenna była symbolem tego, że świat zmierza w dziwnym kierunku.

- Wakacje?
- Tak. Stąd pochodzi moja matka. Odwiedzam stare śmieci. Nie byłam tu od dzieciństwa.

- Jak się nazywa?
- Sally Ellis.

Mężczyzna pokiwał głową z namysłem.

- A jak się miewa?
- Dobrze. Mieszka w Nowym Jorku.
- Nowy Jork? Ech. No cóż, kiedy będzie pani z nią rozmawiała, proszę ją pozdrowić od Earla.

- Dziękuję.
- Pokój numer dziewięć - powiedział Earl i zanim zniknął w ciemności korytarza, wskazał palcem jadalnię.
- To jest restauracja Totem. Kontynentalne śniadanie o jedenaściej. W cenie pokoju. Za jajka płaci się dodatkowo.

Jenna weszła po schodach, otworzyła drzwi, a w środku zastała dokładnie to, czego oczekiwała. Staroświecki, wygodny pokój hotelowy. Rzuciła plecak na krzesło stojące koło drzwi i włączyła bardzo stary kolorowy telewizor. Pilot na metalowej podstawce był przykręcony do nocnego stolika. Dwa okna od wschodu wychodziły na miasto. Okna południowe miały widok na port.

Jenna zerknęła przez jedno z nich i dostrzegła przystań. Staruszka wciąż siedziała przy kei. Była przerażająca. Jakby wiedziała, że ktoś na nią patrzy, odwróciła się w stronę Jenny i pomachała. Dziewczyna odskoczyła i szybko zasłoniła kotarę. Podeszła do drzwi i zamknęła je na klucz. Nie dlatego, że obawiała się wtargnięcia staruszki. Po prostu tak czuła się bezpieczniej.

Zdjęła kurtkę i rzuciła na krzesło. Rozpięła džinsy, ściągnęła sweter. Walcząc ze stanikiem, zaśmiała się głośno. Łóżko było pościelone, a na poduszce leżała mała miętowa czekoladka w złotym papierku.

Wreszcie w domu.

JENNA POZNAŁA ROBERTA na przyjęciu w stylu meksykańskim. Początkowo nie miała ochoty na nie iść. Imprezę organizowali szczęśliwie zakochani przyjaciele Jenny, Susan i Henry. „Zrób własne *fajitas*. Grilluj, zawiń i jedz. Ubaw po pachy! Piwo Dos Equis i zmrożone margarity. Sobotnie popołudnie na naszej przystani przy

Lake Union. Tylko pary, ale zaprosimy Jennę, żebyśmy nie zapomnieli, jak wygląda singielka”.

Jenna była w tamtym okresie przewrażliwiona na punkcie związków. Czuła się samotna. Nie mogła znieść życia bez drugiego człowieka. Pragnęła obecności kogoś bliskiego, nawet gdyby mieli razem milczeć.

Paradoksalnie w swojej samotności obawiała się innych ludzi. Kiedy brała prysznic, miała wrażenie, że albo ktoś jest już w pokoju, albo właśnie się do niego włamuje. Albo czeka za oknem, aż Jenna odkręci kran, a wtedy on będzie mógł stłuc szybę i ją zabić.

Jej życiem rządziła więc paranoiczna obsesja związana z samotnością. Jenna radziła sobie jednak z tym problemem. Poszła na przyjęcie, chociaż wiedziała, że będzie jedyną singielką. Zobowiązanie to zobowiązanie. Jenna przywiązywała do tego wagę. Poszła więc i zawiązała *fajitas*.

Był tam pewien mężczyzna. Przystojny i bez pary. Jak to się mogło stać? Przyjaciół przyjaciel, właśnie zamieszkał w Seattle. Przyjechali go. „Czy wystarczy jedzenia? Jasne, przynieś więcej piwa, nie ma problemu. Co on robi? Właśnie skończył studia w Michigan. Wygląda jak Tom Cruise. Mam dla niego dziewczynę”.

Jenna rozsmarowała *guacamole* na tortilli. Na wierzchu ułożyła kilka niedogotowanych, zapewne nafaszerowanych salmonellą paszków kurczaka. Do tego cebula i salsa, zawinąć i zjeść szybko, zanim sos spłynie aż do łokcia.

- Cześć, nazywam się Robert. Susan powiedziała, że jesteś interesująca i że powinienem z tobą porozmawiać.

- Robert? Ten singiel. Ach tak.

- Singiel?

- Tutaj jest tylko dwoje singli. Jeden chłopak i jedna dziewczyna. Ja jestem właśnie tą dziewczyną.

- A ja pewnie tym chłopakiem.

- Przeprowadziłeś się tutaj z Michigan i zaczynasz pracę od września?

- Widzę, że czytałeś moje CV.

- Tak, pani Levy dała mi twoje akta.

- Masz jakieś pytania, zanim zacznę z tobą flirtować?

- Kilka. Proszę, aby twoje odpowiedzi były zwięzłe i na temat.

Co sądzisz o aborcji?

- Chodzi o moje prywatne zdanie, czy też o zdanie rządu, który chce decydować za kobiety?

- Świetnie. Modlitwa w szkołach?

- Jestem Żydem. To chyba zamyka temat.

- Głosowałeś na Reagana?

- Nie. Nie obchodzi mnie, ile dobrego zrobił dla naszego kraju.

Chodzi o zasady.

- Co sądzisz o systemie ubezpieczeń społecznych?

- Pomysł sam w sobie jest dobry. System wymaga reformy. Ale ja płacę podatki i mam niezbyt uczciwego księgowego, mógłbym więc płacić mniej, gdybym chciał zaprotestować przeciwko niedoskonałościom systemu. Innymi słowy...

- Miało być zwięzłe. A co powiesz o homoseksualizmie?

- Tobie wolno ci być tobą, a mnie mną.

- To cytat z Marlo Thomas.

- Tak. Uwielbiam ją.

- To nie było pytanie. Zdałeś. Jakież pytania do mnie?

- Tylko jedno.

- Pytaj.

- Wyjdiesz za mnie?

Robert był młody i mądry. W handlu nieruchomościami pomagało mu rozumienie ludzi. Chciał się ustatkować i mieć trójkę dzieci. Matka nauczyła go, jak obsługiwać zmywarę i jak suszyć żeliwne patelnie (na ogniu, żeby nie rdzewiały). Umiał przyszywać guziki, zmywać i prasować, ale nie potrafił gotować. Lubił zajęcia na świeżym powietrzu, ale nie sport. „Za dużo współzawodnictwa” - twierdził. Nienawidził zakupów, ale lubił obserwować kupujących. Nie miał problemu z pieniędzmi. Może tylko jeden - lubił je wydawać. Szczególnie na dobre kolacje i na dobre wina. Tańczył fokstrota i walca. Jako dziecko uwielbiał płatki śniadaniowe Quisp. Na drugim miejscu były Concentrate. Mieszkał sam na Queen Anne Hill. Przepłacał za apartament, ale to było bez znaczenia - ważny był widok na Space Needle. Uważał, że Jenna jest osobą o najpiękniejszych oczach w historii świata i bardzo chciał zaprosić ją na randkę, aby mogli poznać się bliżej.

Jenna pomyślała, że jest zbyt doskonała. Ale dziesięciu ostatnich facetów, z którymi się spotykała, było apodyktycznymi, zarozumiałymi karykaturami samych siebie. Może ten okaże się inny.

Powiedziała Robertowi, że wyjeżdża do Europy i że może spotka ją się po jej powrocie. W następnym tygodniu leciała do znajomej w Carimate. Do małego miasteczka nad brzegiem jeziora Como. Zamierzała fotografować bramy. A we Włoszech można było znaleźć ich całe mnóstwo: drewniane, żelazne, do domów, do psich bud, z gaikami, kołatkami, ozdobnymi klamkami. Jenna chciała wyrwać się z szufladki fotografii ślubnej. Wróci, wyda książkę o bramach i będzie bogata. No, może nie bogata. Ale człowiek powinien sięgać dalej niż na wyciągnięcie ręki, bo inaczej po co komu byłoby potrzebne niebo?

- Zadzwoń do ciebie po powrocie - zaproponowała.
- A może spotkamy się tam?
- Gdzie?
- A dokąd lecisz?
- Do Mediolanu. Wynajmę samochód, pojadę do Wenecji i nad jezioro Como, zatrzymam się w kilku miasteczkach i będę fotografowała bramy.

- W jakich miasteczkach?
- W Vicenzy, Padwie, Weronie...
- Kiedy będziesz w Weronie?
- Musiałabym sprawdzić w planie podróży.
- Powiedz mi, kiedy tam będziesz. Spotkamy się. Byłem już w Weronie. Na głównym rynku jest fontanna. Umówmy się przy niej o pierwszej w dniu, który wyznaczysz. Pójdziemy na kolację, a jeśli ci się spodoba, możemy chodzić na randki do końca twojego pobytu we Włoszech.

Jenna po przyjęciu u Susanny i Henry'ego zadzwoniła do Roberta tylko raz, żeby powiedzieć, że w Weronie będzie szesnastego czerwca. Nie rozmawiała z nim potem. Ale szesnastego czerwca o pierwszej poszła pod fontannę. Siedział tam, szczerząc zęby w uśmiechu.

- Oto i ona - powiedział.

Oto i ona. Prawdopodobnie teraz nie pamiętał nawet, że to powiedział. Poruszył w niej czułą strunę. Jakby czekał przy tej fontannie całe życie, aż Jenna w końcu go znajdzie.

Poszli do jego pokoju w hotelu. Hotel Due Torri. Dwie Wieże. Drogi i najładniejszy w Weronie. O niebo lepszy niż miejsce, w którym zatrzymała się Jenna. Zamówił paterę z owocami i butelkę białego wina. Dostarczono ogromną misę pełną jabłek, śliwek, winogron i kiwi z naklejkami z Nowej Zelandii. Zjedli owoce i wypili

wino, a potem się kochali. Jenna została w koszulce, bo nie była pewna, jakie wrażenie zrobią na nim jej piersi. A jeśli mu się nie spodobają? W pokoju było ciemno. Promyki słońca sączyły się przez zamknięte okiennice. Nad ich głowami warczał wiatrak.

Jenna włączyła telewizor. Na jakiejś stacji pokazywano show *Time Wrap*, który w piętnastominutowych odcinkach opowiadał o tym, co w kolejnych latach wydarzyło się w amerykańskiej kulturze. Wiadomości, reklamy, klipy muzyczne, scenki z seriali komediowych. Kiedy Robert brał prysznic, Jenna zaliczyła rok sześćdziesiąty czwarty i sześćdziesiąty dziewiąty.

Potem poszli do domu Julii. W drodze Jenna poprosiła jakiegoś przechodnia o zrobienie im zdjęcia. Stoi na nim z Robertem na tle ściany pomazanej graffiti. Wciąż ma tę fotografię. Padało, kupili więc od ulicznego sprzedawcy niebieską parasolkę.

Przeczekali deszcz w jakiejś bramie. Było tam mnóstwo bram, ale Jenna nie zrobiła ani jednego zdjęcia. Później weszli do małej restauracyjki, zamówili dwie sałatki, *risotto* z owocami morza i kolejną butelkę wina. Robert zapewniał, że to najlepsze *risotto*, jakie jadł w życiu. Potem wrócili do pokoju Roberta i znowu się kochali.

I to było to. Miał krótkie rozczochrane włosy. Szczupłą twarz i piękne kości policzkowe. Ludzie zwracali się do niego po włosku, ponieważ wyglądał jak Włoch. Pewnego razu podeszli do niego amerykańscy turyści i bardzo złym włoskim zapytali, czy mógłby im wskazać drogę. A on z fatalnym włoskim akcentem odpowiedział łamaną angielszczyzną, żeby skręcili dwa razy w prawo i raz w lewo. Podziękowali. Pochwalili jego angielski. A on wytłumaczył Jennie, że nie chciał, aby poczuli się głupio.

Tej nocy Jenna zadzwoniła do matki i wyznała, że jej projekt fotograficzny nie idzie najlepiej, ale poznała pewnego faceta. Tak, poznała faceta. I być może to będzie prawdziwa miłość.

OBUDZIŁA SIĘ OKOŁO DZIESIĄTEJ TRZYDZIEŚCI. Przeturlała się pod kołdrami, zerknęła przez okno na miasto. Na zewnątrz było bardzo jasno. Po wysokim niebie płynęły chmury. Wyglądało jak niezapisana kartka papieru.

W pokoju hotelowym było ciepło, a Jenna wylegiwała się w swoim kokonie. Z przyjemnością turlała się nago po chłodnej pościeli. Zazwyczaj sypiała w koszulce, ale po trzech ostatnich nocach w kompletnym ubraniu postanowiła uczcić wyzwolenie z krępujących ruchy dżinsów marki Banana Republic. Marzyła też z całej duszy o przyzwoitej obsłudze hotelowej. Gorący kubek kawy, może banany i płatki.

Cóż, nie można mieć wszystkiego. W końcu stoczyła się z łóżka i ruszyła do łazienki. Umyła zęby. Odkręciła wodę pod prysznicem. Polubiła ten hotel. Dobre łóżka. Dobry natrysk. Strugi wody - łagodne, lecz gęste. Nie cierpiała pryszniców z cienkimi, ostrymi strumykami tryskającymi wyłącznie wokół sitka. Żeby dotrzeć do wszystkich zakamarków ciała, musiała manewrować główką prysznica.

Weszła do brodzika i zaciągnęła zasłonkę. To była, niestety, jedna z tych zwykłych plastikowych zasłonek, które falują, wyrzuszają

się i przyklejają do nóg. To dosyć irytujące. Jenna w końcu ją odsunęła. Trudno, skoro nie mogli powiesić czegoś przyzwoitego, niech teraz ścierają podłogę.

Pozwoliła, żeby gorąca woda zmoczyła jej włosy. Otworzyła stojącą pod prysznicem buteleczkę z szamponem i wylała odrobinę płynu na dłoń. Pachniał kokosami. Przypomniła Jennie płyn do opalania, którego używali na Hawajach w pierwszym okresie znajomości. W pewnym hotelu przy plaży Jenna zażartowała, że dysza wodna z *jacuzzi* idealnie nadawałaby się do masturbacji. Robert poprosił, żeby to udowodniła. Ależ oczywiście! Robert się przyglądał. Nigdy wcześniej nie onanizowała się w towarzystwie, ale poczuła, że to lubi. Raz zmusiła Roberta, żeby to samo zrobił dla niej. Bronił się. Nie chciał. Kiedy uległ, Jenna przyglądała się rozbawiona. Ale nie tak rozbawiona, jak wtedy, kiedy sama się zaspokajała przed Robertem. Księga śmiechu i zapomnienia. Wszystkie kobiety to ekshibicjonistki. Wszyscy mężczyźni to podglądacze. Tak, jasne. Może w Pradze.

Splukała włosy i sięgnęła po mydło.

Wtedy coś usłyszała. Stąpanie po drewnianej podłodze. Odgłos desek uginających się pod ciężarem czyjegoś ciała. Wychyliła głowę w stronę drzwi. Ktoś tam stał, ale ktokolwiek to był, nie chciał, by go dostrzeżono. Włoski na karku Jenny się zjeżyły. Chłodne dreszcze przeszły jej ciało. „Jasna cholera. Ktoś jest w moim pokoju i podgląda mnie pod prysznicem”.

Serce Jenny biło tak mocno, jakby za chwilę miało wyskoczyć z piersi. Czas stanął w miejscu. W jej pokoju przebywał obcy mężczyzna. Patrzył na nią. Jak długo? Czy wciąż tam jest? Czy zamierza ją zabić? Jak wygląda? Ma broń?

Czuła się jak Janet Leigh czekająca w *Psychozie* na cios nożem

„Zaatakuj go. Walcz z nim - tego kiedyś nauczył Jennę ojciec. - Nigdy nie okazuj strachu. Bądź agresywna. Napastnik myśli, że się poddasz, bo jesteś kobietą. Podbiegnij i kopnij go z całych sił w jaja. A potem się cofnij. Dlaczego? Żeby cię nie obrzygał. Facet kopnięty w jaja zawsze rzyga”.

Jenna gotowa do ataku gwałtownie otworzyła drzwi łazienki i wbiegła do pokoju z okrzykiem.

Ale pokój był pusty. Drzwi zamknięte od środka na zamek. Okna zatrzęsnięte. Nikogo w szafie. Nikogo pod łóżkiem.

Serce Jenny wciąż łomotało. Męczyzna. To był mężczyzna. Widziała go. Dokąd uciekł?

Powoli się uspokajała. Może po prostu zobaczyła cień przelatującego za oknem ptaka. Może ktoś przechodził korytarzem i zaskrzyphiała podłoga. To czysty przypadek, że obie rzeczy wydarzyły się w tym samym czasie.

Podeszła do drzwi łazienki i postawiła piętę na jednej z desek drewnianej podłogi. Przesunęła stopę. Miała nadzieję, że deska nie zaskrzypi. Ale zaskrzypiała. Tak jak wcześniej. Ale to także przypadek. Jasne, to stary hotel, ładne drewniane podłogi muszą skrzypieć. „Założę się, że każda deska tu skrzypi”.

Jenna miała ochotę sprawdzić każdą klepkę, ale się powstrzymała. Wróciła do łazienki. Wytarła się do sucha. Włosy zawiązała w turban z ręcznika. Ubrała się.

Nie przestawała obserwować drzwi.

NA PROMIE NIE MA TELEFONÓW. To wszystko ułatwiało. Nie trzeba było podejmować żadnych decyzji. Ale na lądzie, w mieście, nawet w takiej dziurze jak Wrangell na Alasce telefony są wszędzie. Nawet kiedy Jenna wyjrzała przez okno na Front Street,

ujrzała nieduże biuro informacji turystycznej, obok niego indiański totem (czy znajdzie się na Alasce biuro informacji turystycznej, przy którym nie stałby totem?), ławkę oraz budkę telefoniczną.

Obudziło się w niej poczucie obowiązku. Powinna zadzwonić do rodziców, żeby się nie martwili. Powinna powiedzieć im, że wszystko jest w porządku, chociaż wolałaby nie przerywać milczenia. Mama pewnie odchodziła od zmysłów. Tak. Musi powiedzieć jej wszystko. Bez owijania w bawełnę.

Zeszła do recepcji. Spozrzęła hotelową budkę telefoniczną. Kiedy ją otworzyła, włączyło się światło, a nad głową Jenny zaczął hałasować wiatraczek. Włożyła kartę do aparatu. Wykręciła numer. Matka odebrała od razu.

- Cześć, mamó.

Cisza.

- Jenna?

- Tak, mamó, to ja.

- Gdzie jesteś?

- Musiałam wyjechać na jakiś czas.

- Jenna, gdzie jesteś? Wszystko w porządku? Myśleliśmy, że ktoś cię porwał. Policja znalazła samochód Roberta, ale ciebie nigdzie nie było. I ta wiadomość, którą zostawiłaś. Brzmiała tak dziwne. Dobrze się czujesz? Coś się stało? Coś między tobą a Robertem? Odeszłaś od niego? Jenna, gdzie ty jesteś? W Seattle?

Jennę przytłoczył nadmiar pytań. Poczła się zagubiona. No tak, zostawiła rodzinę bez wyjaśnień i rodzina sama zaczęła wymyślać jakieś wytłumaczenia.

Ze smutkiem słuchała narzekań matki. Tyle chciała wiedzieć. Tyle oczekiwała.

To, że wyjechała, dowodziło, że jest samolubna. Ale nie, to nieprawda. Pochylała się nad ludźmi, ustępowała im, dostosowywała się do sytuacji, starała się łagodzić konflikty. Nie lubiła, kiedy bliscy czuli się niekomfortowo. Dotąd pozwalała innym decydować o tym, co będzie jadła, jaki film obejrzy i gdzie pojedzie na wakacje.

Ale teraz nie chciała odpowiadać na żadne z pytań matki. Uświadomiła sobie, że nie cierpi tych pytań. Robiły samolubna nie z Jenny, ale z Sally, która potrzebowała informacji, żeby ukoić w ł a s n e rany; z Sally, która nie zrobiła nic, żeby zagoić rany J e n n y .

Nie zamierzała zakończyć swojej s a m o l u b n e j podróży. Zaszła już bardzo daleko. I nie dlatego, że chcieli tego inni. Dlatego że s a m a tak postanowiła. S a m a podjęła decyzję o wyjeździe. S a m a kontrolowała sytuację. Sama musiała dotrzymać obietnicy. Obietnicy złożonej s a m e j sobie.

- Mamo, jestem na wakacjach. Wszystko w porządku.
- Co to ma znaczyć? Powiedz natychmiast, gdzie jesteś.
- Nie. Zadzwońię za jakiś czas.
- Jenna! Posłuchaj. Zraniłaś nas bardzo mocno i nalegam, żebyś odpowiedziała na moje pytania.
- Powiedz tacie, że go kocham. Kocham cię. Zadzwońię niebawem.
- Jenna!
- Pa.

Odłożyła słuchawkę. Co za porażka. Nagle zrozumiała, dlaczego tylu ludzi wciąż znika, gdzieś wyjeżdża i nikomu nie mówi dokąd. W *Pięciu łatwych utworach* Jack Nicholson wsiadł do ciężarówki i zwiął. Miał dość.

Dłoń Jenny wciąż spoczywała na słuchawce. Czy powinna zadzwonić do Roberta? Tak. Czy chciała tego? Nie. „Och, zadzwoń po prostu do niego. Ale zrób to na swoich warunkach. Nie wysłuchuj żadnych narzekania”.

- Robert, to ja.
- Jenna...
- Tylko nie zadawaj miliona pytań, bo się rozłączę.

Cisza.

- Przepraszam, że wyjechałam w ten sposób, ale musiałam. U mnie wszystko w porządku. Chcę tylko uporządkować kilka spraw.

- Na pewno wszystko w porządku?
- Na pewno. Słuchaj, może źle się do tego zabrałam, ale nie żałuję. Po prostu musiałam wyjechać.

- Rozumiem.

Wyraźnie usłyszała w głosie Roberta, że się poddał.

- Kiedy wracasz?
- Nie wiem.
- A... gdzie jesteś?

Jenna przygryzła wargę.

- Nie mogę ci powiedzieć.
- W porządku. Jesteś bezpieczna i nie wiesz jeszcze, kiedy wracasz do domu. Czy to wszystko?

„Czy to wszystko, czy to wszystko, czy to wszystko? Tak, to wszystko. Dlatego zadzwoniłam. Powiedzieć ci, że to wszystko. To wszystko. Do widzenia”.

- Daj mi swój numer. Żebym wiedział, jak cię znaleźć.
- Nie.
- Obiecuję, że nie będę dzwonił. Ale chcę mieć pewność, że jeśli będę musiał, to... Proszę.
- Nie mogę.

- Jenna, błagam. Żebym mógł oddzwonić. Żebym wiedział.
- Żebyś co wiedział?

Przerwa.

- Żebym wiedział, że do mnie wrócisz.

Och. Robert wszystko w sobie tłumił. Zdradził go głos. Był na granicy płaczu. Usiadł pewnie przy biurku, głowę schował w dłoniach, kołysał się razem ze słuchawką, tarł czerwone oczy. Chciała go jakoś pocieszyć, żeby poczuł się lepiej. Ale numer telefonu? Nie. To wszystko by popsuło. Z ucieczki zrobiliby wycieczkę. Musiała być egoistką. Musiała zrobić coś dla siebie. Musiała być rozważna. Musiała być rzeczowa. Nie mogła ulegać emocjom.

- Zadzwoń do ciebie jutro. To jedyne, co mogę zrobić.
- Och, Jenna. - Robertowi głos się załamał. - To mnie wykańcza.

Jenna wzięła głęboki oddech.

- Ale mnie ratuje.

Rozłączyła się. Nadal siedziała cichutko w budce. Nad jej głową burczał gniewnie wiatrak. Zastanawiała się, co by się wydarzyło, jak potoczyłyby się sprawy, gdzie byłaby teraz, gdyby pewne głupie przyjęcie nie odbyło się w rocznicę śmierci Bobby'ego.

DZIEŃ ZAPOWIADAŁ SIĘ OBIECUJĄCO. Wrangell stało przed Jenną otworem. Mogła być sobą, mogła żyć na własny rachunek, mogła wybierać partnerów do tańca. Dlaczego więc obezwładniał ją strach?

Poszła tą samą drogą, co wczorajszej nocy, w dół Front Street, do doków. Znowu stanęła przed domem swojej babci. W świetle dnia

przypominał kupkę drewna na rozpałkę. Suche, martwe drwa ustawione jedno na drugim, pozbawione jakiegokolwiek konstrukcyjnej spójności. Ułuda schronienia.

Na ganku stał rozpadający się fotel bujany. Jenna pamiętała go znakomicie. Usiadła w nim. Zaskrzypiał pod jej ciężarem. Spojrzała w stronę wody. Zachmurzone niebo sprawiało, że widok był dość przygnębiający. Błada ulica, szara woda, ciemny kontur wyspy po drugiej stronie zatoki. Czekala, aż coś ją zaskoczy, nieoczekiwane emocje, cokolwiek. Ale nie wydarzyło się nic.

Zawiedziona wstała i odwróciła się w stronę domu. Okna były zabite wypaczonymi deskami. Obok drzwi frontowych, zamkniętych na kłódkę i zabitych gwoździami, stała bezużyteczna stara framuga. Jenna zeszła z werandy i zajrzała za dom. Z tej strony okna także były niedostępne. Cały budynek wydawał się nie do zdobycia.

Wtedy zauważyła na tyłach osłonięty ganek. Wspięła się ostrożnie po spróchniałych schodkach i zajrzała przez moskitierę. W pomieszczeniu wałały się śmieci. Stary zlew, kilka połamanych skrzynek, sofa z wystającymi sprężynami. Przy jednej ze ścian stał rower bez kierownicy i tylnego koła. Przeszkodą tarasującą wejście były pozostałości lodówki. Dziwne, dlaczego nie zabezpieczono tylnych drzwi? Dlaczego nie zabito ich deskami? Ktoś musiał tu kiedyś przychodzić. Jenna spróbowała otworzyć. Gałka przekręciła się, ale wejście pozostało zamknięte. Zaatakowała drzwi ciężarem całego ciała. Puściły. Weszła do środka.

Wewnątrz było zimno i ciemno. Śmierdziało zgnilizną. Jenna stała w długim, wąskim korytarzu, który wiódł do wejścia frontowego. Tuż obok znajdowało się przejście, które - jak pamiętała - prowadziło

na piętro. Po lewej stronie była łazienka.

Jenna ruszyła korytarzem. Stare deski podłogowe skrzypiały głośno przy każdym kroku. Jakby dom żył. Jakby nasłuchiwał. Jakby oddychał. Na zewnątrz wydawał się martwy, wewnątrz wręcz przeciwnie.

Jenna zajrzała do pokoju, który - jak sądziła - zajmowała babcia. W środku zobaczyła tylko ramę od materaca, poturbowaną szafę i stłuczone lustro leżące na podłodze. Z korytarza wchodziło się do pokoju dziennego połączonego z kuchnią. Całe pomieszczenie uprzągnięto. Nic nie zostało. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu. Małe odciski łapek wskazywały, że dom odwiedzało jakieś zwierzątko. Ale nawet nieduże stworzenie nie mogło znaleźć tutaj jedzenia potrzebnego do przeżycia.

Jenna wróciła na tyły domu. Podeszła do drzwi, za którymi znajdowały się schody na piętro. Były zamknięte. Rozejrzała się w poszukiwaniu jakiegoś narzędzia do ich wyważenia, ale na próżno. Cofnęła się więc i kopnęła drzwi tuż obok klamki. Otworzyły się z trzaskiem. Jenna się uśmiechnęła. Dokładnie jak w serialu *Starksy i Hutch*.

Za drzwiami było ciemno. Jenna ledwo mogła dojrzeć przejście. Zaczęła się wspinać.

W połowie drogi pożałowała. Dlaczego włączyła się po zrujnowanym domu? Czego szukała? Siedemnaście lat temu, kiedy odwiedziła babcię, wejście na górę było zabronione. Drzwi zamykano i nikt nie miał prawa wstępu na piętro.

Schody okazały się bardzo strome. Żadnej poręczy. Ściany wilgotne i lepkie. Jenna wyobraziła sobie grzyby i pleśń. Starła się

niczego nie dotykać. Ale stopnie były najbardziej wytrzymałe właśnie przy ścianie.

Wreszcie znalazła się na samej górze. Poczula się bezpieczniej. Światło padające z okna oświetlało korytarz z kilkorgiem drzwi. Jedne z nich wiodły do kolejnych schodów, te zaś na strych. Jenna weszła do sypialni i oderwała jedną z desek zasłaniających okno. Odpadła łatwo, uderzając o podłogę z siłą, która wstrząsnęła całym domem. Dziewczyna wstrzymała oddech. Przez moment się bała, że budynek runie i pogrzebie ją tutaj na zawsze.

Wyjrzała przez okno na ulicę. Spozjrzała samotnego mężczyznę, który ciągnął za sobą czerwony wózek. W średnim wieku, miał długą brodę, siwe włosy i znoszone, podarte ubranie. Pustelnik żyjący z dala do cywilizacji.

Mężczyzna przystanął. Odwrócił się i popatrzył na Jennę. Poczula lęk. Nie powinna być sama w tym niebezpiecznym domu. Gdyby był tu jakiś przedstawiciel prawa, kazałby jej natychmiast wyjść. A przede wszystkim domagałby się wyjaśnień. Szybko cofnęła się w głąb pokoju.

Wtedy zaśmiała się nerwowo. Stary mógł pomyśleć, że zobaczył ducha. Co s a m a by pomyślała, gdyby w opuszczonym domu nagle dostrzegła młodą kobietę na piętrze? Uciekłaby. I z całą pewnością nikomu by o tym nie powiedziała.

Podeszła do rogu okna i zerknęła. Mężczyzna zniknął. A więc nic się nie stało.

Pokój okazał się pełen różnych przedmiotów. W kącie leżała sterta starych ubrań. Drewniane krzesło, szafka z książkami, łóżko. Rzeczy, których nikt nie chciał. Na dole znajdowały się przedmioty, które miały jakąś wartość. Kuchenka, stół. Ludzie zabrali to, co mogli wykorzystać. Ale czyjś stary sweter? Bezwartościowa szmata.

Jenna przykucnęła przy półce z książkami. Znalazła serię *Hardy Bays*, a obok klubową edycję *Old book of the month*. Niewielki zbiorek poezji studenckiej. Wzięła tomik z półki i otworzyła go. Na wewnętrznej stronie okładki znalazła nazwisko swojej matki oraz adres akademika Uniwersytetu Waszyngtońskiego. Sally Ellis.

Jenna usiadła na podłodze. Otworzyła książkę w miejscu, które wskazywała zakładka. Wiersz Williama Blakea. „Tygrysie, błysku w gąszczach mroku”. Uśmiechnęła się. Odnalezienie starej książki matki sprawiło, że wyprawa nabrała sensu. Warto było ścierpieć pleśń na ścianach przy schodach.

Wtedy usłyszała hałas. Zamarła. To na górze, na poddaszu. Wstrzymała oddech. Co to takiego? Może coś potrafiła? Może oparta o ścianę lampa przechyliła się i uderzyła o podłogę? Serce Jenny nie czekało na logiczne wyjaśnienia. Chciało wyskoczyć z piersi.

Znów hałas.

I znowu. Jenna wstawała powoli. Przy zmianie pozycji zobaczyła gwiazdki - cholerne problemy z krążeniem. Deski zaskrzypiały pod jej stopami. A po chwili rozległy się znów te odgłosy. Szuranie. Jakieś zwierzę?

Jej ciało pokryła gęsia skórka. Tak, to na pewno jakieś zwierzę. A jednak dreszcze się nasilały, jakby każdy fragment ciała Jenny pragnął wyjaśnić tę zagadkę. To prawdopodobnie coś większego od myszy, a mniejszego od człowieka. Może wielki szczur. Przewracający lampy i biegający w kółko szczur.

Wyrzała przez drzwi na korytarz. Nic nie dostrzegła w ciemności. Wiedziała, że lęk przed tym, czego nie ma, jest niedorzeczny. Ale mimo wszystko jak najszybciej chciała wydostać się ze starego domu.

Popędziła przez korytarz i dopadła schodów, przytrzymując się dla równowagi śliskiej ściany i biorąc po dwa stopnie na raz w nadziei, że stare schody wytrzymają jej ciężar. Potknęła się i już zobaczyła siebie, jak leci na łeb na szyję i ląduje na stosie gałęzi, ale zdołała się przytrzymać ściany. Z rąk wypadła jej książka mamy i zniknęła w ciemnościach. Jenna zaklęła. Nie było czasu przystanąć i szukać. Wybiegła przez drzwi za dom. Na zewnątrz nie czuła już zagrożenia. Chciała mieć książkę mamy, pomyślała więc, że może wróci do domu i jej poszuka, ale zmieniła zdanie. Uznała, że pójdzie tam później z latarką. Albo nie. Może ta książka powinna zostać w domu. To dlatego dom wystraszył Jennę. Nie należał do niej. Czasami rzeczy są z jakiegoś powodu tam, gdzie są, i zrozumiałstwem byłoby zmienianie tego stanu. Jenna zaśmiała się ze swoich myśli i ruszyła w stronę miasta.

CZERWONY WÓZEK stał przed sklepem wielobranżowym. Jenna weszła do środka. Facet od wózka stał przy kasie. Młody człowiek za ladą przyjmował jego zamówienie. Były to głównie chipsy i woda. Jenna wślizgnęła się na tyły sklepu i wyjęła z lodówki butelkę mineralnej. Ociągała się przy półkach z zupami w proszku. Czekala, aż mężczyzna od wózka pójdzie sobie wreszcie.

Wreszcie zapłacił i zniknął. Jenna podeszła do kasjera i postawiła butelkę wody na ladzie. Rozległ się dźwięk otwieranej kasy.

W sprzedawcy było coś dziwnego. Jego oczy nie wyglądały normalnie. Jakby były tylko w połowie otwarte. W kilku miejscach na twarzy miał kolczyki. Brew, nos i dolną wargę zdobiły srebrne

kólecčka. Jenna wzdrygnęła się na myśl o tym, co chłopak jeszcze sobie przebił.

- Jestem tu na wakacjach - powiedziała. - Co warto tu zwiedzić?

Młody mężczyzna wyciągnął skądś broszurę. Na szyi także miał przekłucia. I ozdobę z kości słoniowej przeciągniętą przez skórę głowy. Rzucił prospekt na ladę tuż przed Jenną, nie podnosząc głowy.

Przyjrzała się mapie turystycznej okolicy. Numer jeden: góra Dewey.

- Czy na górze Dewey jest miło? - spytała Jenna.

Mężczyzna spojrział na nią. Wydawał się urażony.

- Co to znaczy „miło”?

- Natura. Drzewa. Kwiaty.

- Ach, to - powiedział wykolczykowany dzieciak. - Jeżeli tego pani oczekuje, to sądzę, że jest „miło”.

- Jak długo trzeba iść?

Kasjer wzruszył ramionami.

- Piętnaście minut.

- W jakim kierunku?

Mężczyzna wskazał mapę.

- Pierwsza ulica w lewo i na wzgórze. Jest tam znak. Proszę nie zbaczać ze szlaku.

- Więc poleca pan to miejsce?

Dzieciak uśmiechnął się z przymusem.

- Tak, polecam.

Jenna wzięła wodę i mapę.

- Cóż, dziękuję bardzo za pomoc.

Wyszła ze sklepu i skręciła w lewo. Raz jeszcze zerknęła do prospektu. Zastanawiała się, czy na pewno powinna iść na tę górę. Może to tylko zawracanie głowy. Wędrówka po lesie. Lepiej odłożyć to

na później. Albo wsiąść na kolejny prom wypływający z Wrangell. W końcu zrobiła to, co zaplanowała: odwiedziła dom babci. Co jeszcze pozostało? Wspinaczka? To mogłoby przywołać zbyt wiele wspomnień o Bobbym. Bliskość Thunder Bay sprawiała jej ból.

- Ej, ty. To ty byłeś w domu Ellis?

Jenna podniosła wzrok. Dwa metry dalej stał ten facet z wózkiem. Gapił się na nią.

- Ojej... - Zachichotała z zakłopotaniem. - Przestraszył mnie pan.

- To ty byłeś w domu Ellis, tak? - zapytał ponownie.

Jenna znów się uśmiechnęła, chociaż w środku aż dygotała. Kim był ten wścibski człowiek? Nie powiedziała mu jednak, żeby się odczepił, chociaż taki miała zamiar. Wrangell to mała miejscina. Prawdopodobnie ludzie stąd uważają, że sprawy innych są także ich sprawami.

- Tak, byłam. Widziałam pana przez okno...

- Co tam robiłaś?

- Ja... hmm, cóż. Jestem wnuczką Mary Ellis. Chciałam się trochę rozejrzeć.

Mężczyzna pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Zamieszkaś tam?

- Słucham?

- Zamieszkaś tam? - Mówił wolno, jakby Jenna była głucha.

- Ależ skąd! Chciałam tylko przywołać wspomnienia, rozumie pan?

Mężczyzna zjechał wózkiem na ulicę.

- Ten dom nie jest bezpieczny. Trzeba być ostrożnym, bo może się zawalić.

To rzekłszy, ruszył ulicą.

- Dziękuję! - zawołała za nim Jenna. - Dziękuję za troskę, ale już tam nie wrócę!

Facet nie zareagował.

Odwróciła się i poszła w przeciwnym kierunku. Może wspinaczka na górę Dewey to mimo wszystko niezły pomysł. Nie pozwoli, by strach wygnał ją z tego miasta. Przecież chciała tu dotrzeć.

Popatrzyła na niebo. Chmury wciąż kłębiły się w górze, ale robiło się pogodniej. Tak, wspinaczka oczyściłaby jej myśli. Znów kontakt z dziką przyrodą. I wysiłek fizyczny.

Z KAMIENIA, NA KTÓRYM SIEDZIAŁA, widziała całe miasteczko i dużą część wyspy rozciągającej się na horyzoncie. W oddali na niebie, niczym malowidło na jasnoniebieskiej ścianie, garbiły się jeden obok drugiego wielkie kopce białych szczytów gór. Jak olbrzymi zakopani w śniegu.

Jenna zapomniała na moment o wszystkim. Ale przecież właśnie w tym celu tutaj przyjechała. Żeby oderwać się od codziennego życia. Żeby pozbierać myśli i ustalić, o co tak naprawdę jej chodzi. Pojawiła się na Alasce po raz pierwszy od śmierci Bobby'ego. Cóż. Inne sprawy będą musiały poczekać albo zajmie się nimi Judith. Później, w przytulnym wnętrzu gabinetu terapeuty.

Jenna zaśmiała się do siebie. Wiedziała, że w pewnym momencie wizyta u terapeutki będzie nieunikniona. Zastanawiała się, jak Judith to wszystko skomentuje: że Jenna uciekła od męża. Że pojechała na Alaskę. Że bała się dźwięków w dziwacznych domach i że wciąż przeraża ją samotny prysznic.

Judith z pewnością będzie miała coś do powiedzenia. Zawsze ma wiele do powiedzenia. Na każdy temat. Freudyści. Myślą, że wiedzą

wszystko. Ale Judith była w porządku. Chciała prowadzić nieszkodliwe rozmowy o snach i doradzać Jennie, jak ma naprawić swoje życie. Co - jak sądziła Jenna - było sprzeczne z zasadami obowiązującymi terapeutów. A Judith chciała to robić. Lubiła wchodzić w sam środek życia Jenny i taplać się w traumach. Zawsze miała gotowe rozwiązania. Wszystkie do chrzanu. Ale chyba właśnie dlatego była jedynym terapeutą, którego Jenna lubiła.

Pewnego razu poszła do innego gościa. Do Fassbindera, który był taki do przodu, że prawie podpisał dokumenty kierujące ją do szpitala psychiatrycznego. Ale hojnie rozdawał recepty na prochy. Musiała to przyznać. Kiedy jednak podjął temat prozacu, Jenna wiedziała, że musi się wziąć w garść. Inne prochy były dobre. Ale nie takie gównem zmieniające pracę umysłu. Prozac, słodzik dla mózgu. Wszystko, co ogłupia mózg, żeby myślał, że białe jest czarne, a gorzkie - słodkie.

Jenna znalazła Fassbindera, bo potrzebowała leków. Wyobrażacie to sobie? Zanim to zrobiła, widywała się z psychoterapeutą, który był naprawdę miły, ale za bardzo kojarzył się Jennie z Bobem Newhartem*. Nawet wyglądał jak on. I nie rozumiała, dlaczego nie został lekarzem, skoro skończył wszystkie możliwe szkoły uczące rozmawiania z ludźmi o ich problemach. Mógłby przepisywać lekarstwa.

* Bob Newhart - amerykański aktor, komik. Znany publiczności głównie z roli Roberta „Boba” Hartleya.

Kiedyś przyznała się, że ma kłopoty ze snem. Wciąż budziła się o pierwszej nad ranem i chodziła do pustego pokoju Bobby ego. Wiedziała, że Robert się denerwuje, więc zapytała o leki na bezsenność. Zamiast recepty dostała wykład o uspokajających właściwościach szklanki ciepłego mleka. Jenna wyjaśniła, że sprzedawane bez recepty

medykamenty nie są w stanie jej pomóc. Odesłał ją do psychiatry.

Ten przepisał jej valium. Dwa miligramy. Jakby valium było substancją niebezpieczną. Wróciła do niego po kolejną porcję. Poprosiła o większą dawkę. Odmówił. Jednorazowo przepisywał jej tylko dziesięć tabletek.

Jenna wspomniała o tym jego dziewczynie - Kim. A ta zaśmiała się tylko. Zapytała z niedowierzaniem: „Tylko dwa miligramy?”, i pokazała Jennie brązową buteleczkę, w której było około pięciuset dziesięciomiligramowych pigułek.

Jenna zastanawiała się, dlaczego tak późno dowiaduje się o różnych narkotykach. Nie paliła trawki, dopóki nie trafiła na studia. To tak, jakby zawsze była z dala od głównego nurtu życia. Albo trwała w niewłaściwym nurcie.

Kim zasugerowała, że Jenna powinna zacząć spotkania z lekarzem, który ją z r o z u m i e . W ten sposób trafiła do Fassbindera.

Fassbinder był zabawny. Sprawiał wrażenie, jakby wiedział, o co chodzi. Na samym początku zapytał, czy Jenna ma kłopoty ze snem. „Słucham? Oczywiście, że tak”. I przepisał receptę na dużą dawkę valium.

Jenna zakochała się w valium nie tylko z powodu jego działania. Było śliczne, z literką „V”. Wyglądało jak pudrowe cukierki, które dostawała jako dziecko. Miało trzy ładne kolory. Kredową biel, tak białą, że bardziej białej nie można sobie wyobrazić. Odcień świeżej cytryny. Błękit nieba. Jenna miała ochotę nawlec tabletki na rzemyk i nosić na szyi. „Jestem dumna z tego, że mam naszyjnik z valium”.

Magia valium i szklaneczki chardonnay do dziś działały na Jennę. Wciąż, po setkach, ba! po tysiącach godzin terapii, które wdrukowały w jej mózg przeświadczenie, że mieszanie valium i wina jest z ł e

(„złe, dziewczyno, złe”), wciąż tęskniła za natychmiastową ulgą, jaką dawały leki, jak za czymś utraconym. Za niewinnością. A może za winą? Nie była do końca pewna. Co za różnica. Strata to strata.

Fassbinder ofiarował jej to, czego chciała. Substancję wydzielaną niczym nagroda za dobre zachowanie. Zdawała sobie sprawę, że ten facet to prawdziwa świnia, ale miał coś, czego ona potrzebowała. Oboje o tym wiedzieli. Podjęli grę. On chciał, żeby ktoś opowiadał mu świństwa. Chciał, żeby sesja terapeutyczna go pobudzała. Chciał słyszeć o snach erotycznych. Chciał wiedzieć, jak często i w jaki sposób Robert i Jenna uprawiają seks.

Jenna uznała, że to popaprane. Miała prawdziwe problemy. Straciła jedyne dziecko. Była kłębkiem nerwów. Potrzebowała terapii, a nie patologicznych gier z szarlatanem. Ale nie wierzyła. Nie wierzyła w moc terapii. Szczerze mówiąc, w nic już nie wierzyła. Straciła wiarę w cokolwiek i w kogokolwiek. Nie miała swojego Wergiliusza, który poprowadziłby ją ku światłości. Zmierzała prosto do piekła, chociaż po drodze często się potykała.

Zanim Jenna poszła na pierwsze spotkanie z Fassbinderem, Kim upредиła:

- Jeśli poprosi, byś usiadła gdziekolwiek, wybierz kanapę.
- Świetnie. Chyba nie będę musiała iść z nim do łóżka?
- Nie, nie, on po prostu lubi, kiedy dziewczyny są, hm, otwarte na leczenie. To wszystko.

Kiedy Jenna przyszła na wizytę, a Fassbinder powiedział, by usiadła, gdzie chce, zrozumiała, że to test. W gabinecie stało biurko, przy nim krzesło z oparciem, obok półki z książkami oraz wygodny fotel, przy jednej ze ścian kanapa, a przy drugiej leżanka.

Kiedy Jenna wszystko zarejestrowała wzrokiem, Fassbinder pstryknął palcami. „Niech pani wejdzie”. Mies van der Rohe. Bauhaus. Wszystko miało sens.

Jenna nosiła wtedy koszulki na ramiączkach i krótkie spódniczki. Lubił, gdy zdejmowała buty, ale tylko wtedy, gdy miała skarpetki. Preferował upięte nad szyją włosy. I choć trudno to pojąć, uwielbiał, gdy piła dużo wody i wychodziła do toalety podczas godzinnej wizyty. Odrażające.

Mówił:

- Proszę, proszę skorzystać z mojej prywatnej ubikacji, śmiało.

Stał przy drzwiach i wsłuchiwał się, jak Jenna się załatwia. Zresztą widziała, jak to mu się unosi w wełnianych spodniach. Paskudne. (Ktoś powinien to zgłosić. A tak, Jenna sobie przypomniała, że sama to zrobiła). Gardziła sobą, że na to pozwoliła. Ale on miał valium. Kolorową magię.

Fassbinder i chardonnay byli jej władcami. Ona ich niewolnicą. Zrobiłaby dla nich wszystko. Chowala wino za garnkami w szafkach kuchennych. Przelewała do butelek po soku jabłkowym. Godne pożalowania. Zupełnie jak matka u Eugene'a O'Neill'a, postać z *Zmierzchu długiego dnia*, której monolog wygłaszała w konkursie teatralnym w liceum. Kobieta, która pod wpływem morfiny opowiadała, jak piękne były niegdyś jej ręce. Oto, kim czuła się Jenna.

Usłyszała za plecami jakiś szelest. Odwróciła się. Czy w lesie ktoś był? Wysiła wzrok. Zmrużyła oczy. Próbowała dostrzec jakiś ruch. Ojciec nauczył kiedyś Jennę, jak wypatrzeć przeciwnika w lesie: „Najpierw musisz zauważyć ruch, a później ciało. Nie skupiaj się. Oczy same uchwycą ruch”. Za bardzo się bała, żeby wejść między drzewa. Pewnie znalazłaby szopa albo ptaka. Las był zbyt straszny. Drzewa przypominały te z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*

- potworne, gadające i łapiące ludzi.

Niczego nie dostrzegła. Znowu spojrzała na miasto. Wysoko z góry. Była po czterdziestopięciominutowej wspinaczce na górę Dewey, a nie po piętnastominutowej, jak obiecywał w sklepie Pan Poduszczyk na Igły.

Na stopach poczuła pęcherze. To wina nowych, nierozchodzonych butów. Czterdzieści pięć minut. Ile zajęłoby bieg na wzgórze? Jeżeli idzie się cztery kilometry na godzinę, to pod górę wychodzi jakieś trzy kilometry... A więc jeśli biegnie się dziesięć kilometrów na godzinę... Nie, to zbyt wykańczające. Dwanaście kilometrów na godzinę? Wtedy wystarczyłby kwadrans, żeby dostać się na Dewey. Trzeba jednak odjąć trochę czasu, bo pewnie nikt nie wspina się z prędkością sześciu kilometrów na godzinę.

Jakaś gałąź złamała się z trzaskiem. Z głośnym trzaskiem. Jenna podskoczyła. To nie było zwierzę, lecz człowiek. Morderca, który właśnie się przesunął, żeby mieć lepszy widok przez krzaki. Gałąź łamiąca się pod butem marki Timberland. Oczami wyobraźni Jenna zobaczyła owłosionego drwala. Rude, sterczące, kręcone włosy. Granatowe dzinsy na szelkach. Czerwona flanelowa koszula. I wielki nóż z zębami, taki, jakich używają myśliwi. Taki, który potrafi przebić się przez kość.

Jenna siedziała na kamieniu. Na polanie. Obcy nie mógł jej tu skrzywdzić. Wyobraziła sobie, że wokół polany znajduje się pole siłowe. Ten z lasu pewnie chodził wokół i czekał, aż zaryzykuje wejście na jego terytorium. Wtedy mógłby zrobić z nią, co zechce. Ale czego będzie chciał? Seksu? Krwi? Czy Jenna pozwoli na gwałt, żeby ocalić życie? A jeśli i tak ją zabije?

Kiedy jesteś zakładnikiem i wiesz, że cię zabiją, dlaczego nie biegniesz? Możesz nie uciec, ale jeśli nie spróbujesz biec, z pewnością się nie uratujesz. Dlaczego nie uciekasz? Ponieważ masz nadzieję, że oprawca puści cię wolno. Ponieważ masz nadzieję, że drwal z nożem powie: „Nie mam pojęcia, dlaczego to robię. No dalej, wynoś się stąd”. Ale to scena z filmu. Tylko z filmu. Jeśli wierzysz w dobroć ludzkości, trzymasz się tej nadziei, dopóki nóż nie rozerwie twojej tętnicy szyjnej, dopóki twoje życie nie spłynie na ziemię. Nie ma w tym ani krzty bólu. Patrzysz na swojego oprawcę kompletnie oszołomiona. Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? I myślisz sobie: „Cholera, i tak mnie zabił, nie można wierzyć ludziom”. Pograżasz się w pyłe ziemi wyczerpana wpływem krwi. I zapadasz w sen uschniętych drzew. Istota pozbawiona życia. Kupa kompostu czekająca na rozkład.

Cóż, dziewczynko, to nie mój problem. Paku, piku, pano, kopnij ich w kolano. Paku, piku, pad, kopnij ich w... drugie kolano!

Jenna nie zastanawiała się dłużej. Zeskoczyła z kamienia. W lesie dostrzegła dróżkę i puściła się sprintem w jej kierunku. Za kilkanaście minut będzie bezpieczna w miasteczku.

Tak, to był dobry plan. Ale spędziła zbyt wiele czasu w jednej pozycji. Poczula nagły zawrót głowy. Świat zaczął wirować przed jej oczami. Upadła na ziemię. Zasłoniła twarz, aby ocalić ją przed zderzeniem. Otrząsnęła się. Wstała i ruszyła przed siebie. Przekroczyła linię lasu. Biegła. Obejrzała się za siebie. Nikogo nie zauważyła. Ale usłyszała. Kroki. Swoje kroki. „Widzisz - pomyślała - popadasz w paranoję. Wyobraziłaś sobie, że ktoś siedzi w krzakach. Ale to był żart twojej paranoi. Co robisz, kiedy twoje paranoiczne fantazje i żarty stają się prawdziwe? Spieprzasz”.

Jenna biegła jak szalona. Między kolczastymi krzewami, między drzewami i drzewkami. I nagle zmartwiała. Szlak, którym wchodziła na górę Dewey, był pusty. Żadnych krzewów czy drzew na drodze.

Rozejrzała się. Nie potrafiła rozpoznać lasu. Zwolniła. Uważnie wsłuchiwała się w odgłosy kroków. Tym razem niczego nie usłyszała. Zatrzymała się. Dyszała. Stopy piekły z bólu. Na nogach dostrzegła głębokie zadrapania. Krew spływała na łydki i do skarpetek. Ale nie miała czasu na rozczulanie się nad sobą. Spojrzała na wzgórze. Było zupełnie cicho. Wydawało się całkiem ładnie. I spokojne. Wysokie drzewa, głównie sosny i cedry, tworzyły nad głową Jenny baldachim. Młode rośliny pięły się w górę w nadziei, że złapią wystarczająco dużo słońca. Powietrze pełne było gryzącego zapachu sosnowych igieł. Mech pod jej stopami był miękki i gąbczasty. Korzenie spletały się niczym długie, wąskie stopy, płaczące się i depczące siebie nawzajem.

Jennie wydało się, że jest w wielkim namiocie. Było cicho jak w bibliotece. Od czasu do czasu ciszę przerywał śpiew ptaków.

I wtedy to zobaczyła. Stworzenie wzrostu dziecka, pokryte sierścią. Stało za drzewem i przypatrywało się Jennie. Nie miała pojęcia, co to za zwierzę. Trzymało się na dwóch nogach. Wyglądało prawie jak człowiek. Małe, futrzaste coś.

Nagle stworzenie wspięło się na drzewo. Jenna miała wrażenie, że się skurczyło. Pewnie była to kwestia perspektywy, ale iluzja wydawała się bardzo realna. Wlazło wysoko, na jakieś pięć metrów. Zatrzymało się i spojrzało w dół. Wtedy wspięło się jeszcze wyżej i skoczyło z drzewa. Wiewiórka. Wielka, człekokształtna, latająca wiewiórka, która wylądowała na przeciwległym drzewie. Ponad głową Jenny.

Jenna interesowała się przyrodą. Przypomniała sobie, że latające wiewiórki na Alasce są mięsożerne. Niech to szlag! Po prawej stronie dostrzegła ścieżkę. Pobiegła w jej stronę. W gardle poczuła krew - jeden z objawów przeciążenia organizmu.

Na ścieżce nie było kolczastych krzewów, ale Jenna i tak nie miała pojęcia, gdzie jest. Zgubiła się w obcym lesie. W dodatku uciekała przed dziwnym zwierzęciem.

Nad głową wciąż słyszała jakieś dźwięki. Kiedy podniosła wzrok, stworzenie znowu skoczyło. Podążała za nim wzrokiem za każdym razem, kiedy lądowało na kolejnych konarach. Poczowała, że kręci się jej w głowie. Straciła orientację. Nie wiedziała, dokąd biegnie: czy w górę, czy w dół wzgórza.

Nagle znowu zrobiło się cicho. Jenna nie była w stanie dostrzec dziwadła między drzewami. Może zmęczyło się i wróciło do swojej nory? Chciała odnaleźć ścieżkę, którą zgubiła podczas ucieczki. Ale zamiast tego znów zobaczyła wiewióra. Nie wiedziała, co robić. Stworzenie było zdecydowanie szybsze niż ona. Mogło w każdej chwili znaleźć się na plecach Jenny.

Nagle zobaczyła parę metrów przed sobą ścieżynkę. Odetchnęła głęboko. Popędziła w jej kierunku. Kątem oka dostrzegła gruby korytarz. Miała nadzieję, że bez trudu go przeskoczy, ale się pomyliła. Jej stopa uwięzła w potrzasku. Jenna upadła na twarz i uderzyła głową o kamień. Zobaczyła jasne światło. Niewykluczone, że oberwała od tego zwierzęcia. Ale nie miała pewności.

Po chwili spróbowała wstać. Czowała chłód, wilgoć i potworne zawroty głowy. Obolała i zakrwawiona usiadła na ziemi. Chciało jej się płakać.

Nagle usłyszała jakieś kroki. Wolne. Jakby kogoś, kto wyszedł na spacer.

- Wszystko w porządku?! - zawołał człowiek idący w jej kierunku.

Poczuła ulgę. Ktoś przyszedł jej pomóc. Chciała już tylko wrócić do hotelu, obudzić się z tego złego snu.

Mężczyzna się zbliżył. Był wysoki, szczupły i śniady. Jego twarz miała miękkie rysy i Jenna nie mogła zgadnąć, w jakim nieznanym jest wieku.

Podszedł jeszcze bliżej.

- Wszystko w porządku? - zapytał po raz kolejny.

- Gonilo mnie jakieś zwierzę - odparła Jenna.

- Niedźwiedź?

- Coś mniejszego, ale bardzo szybkiego. Czy niedźwiedziatka biegają bardzo szybko?

- To się zdarza.

Ale Jenna wiedziała, że to nie był niedźwiadek. Niedźwiadki nie latają.

Mężczyzna pomógł jej wstać. Czuć było od niego piżmem, jak od mokrego psa. Ramiona miał szczupłe, ale umięśnione. Gdy zaczęła doprowadzać do ładu swoje ubranie, coś zauważyła. Oczy jej wybawcy były całe czarne. Jakby nie miały tęczówek. Tylko wielkie źrenice. „Świetnie - pomyślała. - Znalazł mnie koleś po kwasie. I co teraz?”.

- Chodź, pomogę ci wydostać się z lasu - powiedział obcy.

Kiedy ruszyli w dół wzgórza, Jenna usłyszała w oddali szczekanie psa. Było to natarczywy jazgot. Pies wyraźnie próbował zwrócić czyjąś uwagę. Szczekanie. Dziwny dźwięk po ciszy, która chwilę wcześniej atakowała Jennę w lesie.

Mężczyzna też uznał, że ujadanie jest dziwne. Wzdrygnął się. Wyraźnie spięty, zwrócił się w stronę, z której dobiegały odgłosy. Wyglądał, jakby węszył w powietrzu. „To wszystko jest pokręcone” - pomyślała Jenna.

- Ten pies... jest twój? - zapytała.

Ale nieznajomy nie odpowiedział. Stał wciąż w tej samej pozycji. Ignorował dziewczynę.

- Wszystko w porządku? - spróbowała jeszcze raz.

Odwrócił się. Spojrzał na nią przenikliwie czarnymi oczami. Odślonił brązowe, spróchniałe zęby w pożądliwym uśmiechu. Był tak blisko. Wydawało się, że jest teraz wyższy. Jenna się wzdrygnęła, gdy mężczyzna wolno pokiwał głową. Jego twarz wyglądała teraz inaczej. Stała się bardziej płaska, pociemniała. „To jakieś zaburzenia widzenia, zbyt długo wpatrywałam się w jeden punkt” - przekonywała się bezskutecznie.

Wyobraźnia wyraźnie plątała jej figle. Próbowwała nie cofać się przed obcym, ale mimowolnie to robiła. Próbowwała nie wstrzymywać powietrza, a jednak wstrzymywała.

Głęboki wdech.

Nie chciała, żeby mężczyzna zobaczył jej przerażenie. Ale on nie musiał patrzeć. On czuł jej strach. Już go wywęszył.

Nie chciała umierać.

- Chodź ze mną.

Jego głos zabrzmiał dziwnie znajomo. Nieznajomy wyciągnął rękę z długimi palcami przypominającymi zwierzęce pazury. Myśli w głowie Jenny tłukły się jak oszalałe. Nie chciała pomocy tego mężczyzny. Nie obchodziło ją, czy jest człowiekiem, czy potworem. Po prostu nie chciała. Rozpaczliwie pragnęła wrócić do domu.

Ale bardzo bała się ucieczki.

Facet zrobił krok w kierunku Jenny. Dotknął jej ramienia. Poczuli obecność czystego zła. Do oczu napłynęły jej łzy. Nie mogła zrobić nic więcej. Płacz. Niechciany dotyk. Odrętwienie.

Wtedy wariat bez tęczówek nagle się zawahał. Szczekanie rozdarło ciszę. Jenna spostrzegła, że koleś znowu węszy w powietrzu. Postanowiła, że jednak spróbuje ucieczki. Wyrwała przed siebie. Biegła w stronę psa. „Zwierzak musi być w pobliżu jakiegoś domu. A w domu powinna być broń”. Słyszała za sobą odgłosy pogoni. Biegła szybciej niż kiedykolwiek w życiu. O nie! Nie pozwoli, żeby zabił ją naćpany psychol.

Przeskakiwała przez kłody, nurkowała pod gałęziami. Wyobraziła sobie, że walczy o złoty medal. A kiedy poczuła, że zaraz umrze z wyczerpania, wycisnęła z siebie jeszcze więcej. Przyptyw adrenaliny.

Dostrzegła prześwit za linią drzew. Pies wciąż ujadał. Jakby zachęcał Jennę do jeszcze większego wysiłku. Dłońmi utorowała sobie drogę przez krzewy i wypadła na pole. Pies szalał. Kiedy zobaczył dziewczynę, podbiegł do niej jak stary przyjaciel. Nogi Jenny odmówiły posłuszeństwa. Osunęła się w wysoką trawę. Świr został w lesie.

Nie mogła oddychać. Brakowało jej powietrza. Klatka piersiowa bolała przy próbie głębszego oddechu. Świat wokół wirował.

Nie potrafiła powiedzieć, czy patrzy w górę, czy w dół. Karuzela z dzwoneczkami. Zanim pogrążyła się w ciemności, zobaczyła jeszcze psa. Naprawdę ładnego psa.

OCKNEŁA SIĘ, czując na twarzy chłodny powiew. Czuli się o wiele lepiej, choć nogi miała podrapane i potwornie bolała ją głowa. Była spragniona.

Przeżyła zaskoczenie na widok dużego czarnego nosa nad jej twarzą. Przypomniała sobie. Pies.

Usiadła. Miała nadzieję, że zobaczy jakiś dom, ale nie dostrzegła żadnych śladów cywilizacji. Pole pośrodku dziczy. Prawdopodobnie wyszła z lasu po przeciwnej stronie wzgórza.

Nie była do końca pewna, co się wydarzyło. Wystraszył ją jakiś facet, a ona spanikowała i uciekła. Ale teraz czuła się źle. Dlaczego tak się przeraziła? Mężczyzna był pewnie jakimś biednym leśnym dziwakiem, który chyba próbował pomóc. A ona, niewrażliwa kretynka, uciekła. Pewnie zraniła uczucia tego człowieka. Nie mogła uwierzyć, że zachowała się aż tak beznadziejnie. Obiecała sobie, że przestanie oglądać horrory.

Wstała i ruszyła przed siebie. Oddalała się od lasu. Pies szedł za nią. Dopiero teraz dobrze mu się przyjrzała. Wyglądał rozczulająco: wyliniały, skudlony owczarek z rozciętym uchem. Nikt się o niego troszczył - sierść miał brudną i matową, zbitą. Chyba bezdomny pies z miasteczka. Ale przyjacielski.

Wędrowali razem w wysokiej trawie, aż ujrzeli mały potok. Jenna spojrzała na przejrzystą wodę. Dar niebios. Zdjęła buty i weszła do zimnego strumienia. Uklękła i umyła nogi. Musiała biec przez pokrzywy, bo nogi miała pokryte białymi bąbelkami. Pamiętała je z czasów, gdy biegała boso na farmie wuja w pobliżu Puyallup. Przeszła na drugą stronę strumyka, włożyła buty i ruszyła z psem dalej przez pola.

W końcu dotarli do starego drewnianego płotu dla koni i bydła. Pies przecisnął się pomiędzy dwiema deskami, a Jenna przeszła przez ogrodzenie. Minęli kępę drzew i wtedy dziewczyna zrozumiała, gdzie się znaleźli. Na cmentarzu.

Przystanęła. Zawsze bała się takich miejsc. Przechodziły ją ciarki, kiedy widywała ludzi spacerujących po cmentarzach, po miękkiej ziemi nad ciałami zmarłych.

Zastygła w bezruchu również z innego powodu. Wiedziała, że właśnie tutaj pochowano babcię. Nigdy nie widziała jej grobu. Nie przyjechała na pogrzeb. Z Nowego Jorku do Wrangell było naprawdę daleko, a poza tym matce nie bardzo podobał się pomysł wyjazdu Jenny na Alaskę.

Teraz jednak chciała zobaczyć grób. Cmentarz nie był duży. Pamiętała, że babcię pochowano przy pomniku z figurką jagnięcia. Dwoje z jedenaściorga jej dzieci zmarło tuż po urodzeniu, a ciała noworodków złożono w jednym grobie. Obok spoczęli potem rodzice.

Babcia żyła z zasiłku, z państwowych pieniędzy, które dostawała za to, że była „pionierką”, a także z odszkodowania od rządu. Nie było tego dużo. Biali ludzie wymordowali niemal całe plemię, zagrabili jej ziemię, a ona nie mogła sobie nawet pozwolić na postawienie nagrobka dla dzieci, chociaż tego pragnęła. Marzyła o figurce jagniątka. W Kanadzie, gdzie wychowywała się w żeńskim klasztorze, takie grobowce stawiali swoim bliskim bogaci ludzie.

Dopiero po śmierci babci mama Jenny zamówiła dwa pomniki. Jeden dla dwójki niemowląt. Z jagniątkiem.

Jenna postanowiła więc odszukać kamienną owieczkę. Nie było ich wiele na cmentarzu we Wrangell. Czowała się tu dziwnie. Błoto, trawa, kamienie. Ale gdyby nie leżący w tej ziemi ludzie, ona nigdy nie pojawiłaby się na świecie.

Jeśli pewnego dnia potykasz się i łamiesz nogę - albo jej nie łamiesz - świat staje się inny. Nie żeby od razu wybuchła wojna, bez przesady. Ale każdy nasz oddech wpływa na rzeczywistość.

Jenna próbowała sobie wyobrazić, jak czuła się jej babcia Indianka w związku z białym człowiekiem. Z mężczyzną, który obiecał, że zabierze ją z rybackiej wioski na końcu świata, ale nigdy tego nie zrobił. Wychowała dziewięcioro jego dzieci. Patrzyła, jak dorastały.

Dziewczyna uświadomiła sobie nagle, ile siły musiała mieć ta kobieta zajmująca się dziećmi w tak niegościnnym, dzikim miejscu. Ona, Jenna, nie poradziła sobie nawet z jednym.

Nagle usłyszała szczeknięcie. Pies stał na końcu alejki i patrzył natarczywie. On też nie lubił się szwendać po cmentarzach.

Postanowiła wrócić do hotelu.

Kudłacz za nią szedł. Nie miała pojęcia, co z nim zrobić. Z pewnością nie mogła go zatrzymać. Miała nadzieję, że w mieście znajdzie się jego właściciel.

Pragnęła tylko dotrzeć do miejsca, w którym są jacyś ludzie.

„ŚWIAT NALEŻY DO MNIE” - Sam uwielbiał mówić w ten sposób, kiedy dotykał skórzanej kabury skrywającej jego policyjną trzydziestkę ósemkę do zadań specjalnych. „TEN PIEPRZONY ŚWIAT NALEŻY DO MNIE”.

Czekał, aż telefonistka podniesie słuchawkę. Przeglądał akta Roberta Rosena. Ładny dom, ładne auto, dobra praca. Należało poświęcić jego sprawie trochę czasu.

Był pod wrażeniem masy informacji, jaką mu dostarczono. Wiedział już chyba wszystko o Rosenie, a także o jego krewnych. Cholera, mógł doprowadzić tego gościa do bankructwa. Ale nie o to chodziło. W prywatnym śledztwie ważne było zaufanie. A zaufanie łatwo przeliczyć na pieniądze.

- Numer pańskiego konta? - rozległ się głos w słuchawce. Odczytał cyfry.

- Dziękuję, panie Rosen. W czym mogę pomóc?

Sam zachichotał, starając się, żeby jego głos brzmiał jak głos pana Rosena.

- Otóż moja żona zgubiła gdzieś kartę kredytową. Chciałbym poznać historię rachunku, zwłaszcza ostatnich transakcji, żeby upewnić się, że karty nie używał ktoś obcy.

- Oczywiście, proszę pana, czy mogę prosić o numer ubezpieczenia?

Przeczytał numer z kartki.

- Panieńskie nazwisko pana matki?

- Abrams.

- Dobrze, proszę chwilę zaczekać.

Sam rozparł się w fotelu. Sto dolarów na godzinę za wykonanie kilku telefonów. Niezła fucha. Dziewięćdziesiąt procent spraw mógłby rozwiązać, nie wstając zza biurka. Myślami powędrował z powrotem do Grecji.

Właśnie skończył przepisywać referat córki. (Oprócz wciskania kytu umiał dobrze robić coś jeszcze - szybko pisać na maszynie). Referat dotyczył pewnego miejsca na Krecie należącego do króla Minosa i zwanego Labiryntem. Córka pisała, że Kreteńczycy używali specjalnych filarów, szerokich u góry, a wąskich na dole, ponieważ odkryli, że taki rodzaj kolumn lepiej się sprawdzi w przypadku trzęsienia ziemi. Sam marzył o podróży do Grecji, o piciu dużych ilości *ouzo* oraz o oglądaniu szwedzkich dziewczyn tańczących topless na plaży. Bardzo by mu to odpowiadało.

- Panie Rosen, mam już te informacje. Ostatnio użyto karty w sklepie Banana Republic w Bellingham w stanie Waszyngton, a także w Bellingham, Alaska State Marine Highway. Płatności dokonano

w niedzielę, a zaksięgowano je w poniedziałek.

Sam zapisał informacje.

- Hm. To dziwne - mówiła dalej kobieta.

- Co takiego?

- Alaska State Marine. Dwa jednakowe rachunki. Na dwieście sześćdziesiąt pięć dolarów każdy...

- Moja żona kupiła w niedzielę bilet na Alaskę, to się zgadza.

Ale o ile wiem, tylko jeden bilet. Chyba że...

- Chciałby pan, żebym zgłosiła reklamację w sprawie tego drugiego biletu?

- Sądzi pani...? - urwał.

- Jestem pewna, że po prostu rachunek został przez pomyłkę naliczony podwójnie - powiedziała szybko kobieta. - To ciągle się zdarza. Nie martwiłabym się na pana miejscu.

- No cóż, będę bardzo wdzięczny, jeśli pani to sprawdzi.

- Oczywiście, panie Rosen. Czy mogę jeszcze w czymś pomóc?

Sam podziękował i przerwał połączenie. Port dla promów w Bellingham. W tamtych okolicach znaleziono samochód Roberta.

Wykręcił kolejny numer.

Gdyby ludzie odkryli, ile mogą się dowiedzieć, wykonując zaledwie kilka telefonów, straciłby pracę. Prawda była jednak taka, że ludzie nie chcieli niczego robić sami. Tych, którzy wynajmowali Sama, było stać na opłacenie faceta od brudnej roboty. Lubili atmosferę towarzyszącą wynajmowaniu prywatnego detektywa. Lubili sekretne telefony i niejasne wiadomości. Lubili dreszczyk emocji. Ten cały Rosen na przykład. Dał Samowi wolną rękę.

- Proszę mi coś powiedzieć - zaczął drugą rozmowę Sam. - Jeśli mam około dwustu pięćdziesięciu dolarów i kupuję bilet z Bellingham, dokąd mogę dopłynąć?

- A kiedy rozpoczynałby pan podróż?

- Wczoraj.

Śmiech.

„Po prostu odpowiedz, idioto”.

- A więc bilet w jedną stronę z Bellingham do Skagway kosztuje dwieście czterdzieści sześć dolarów plus podatek. Oczywiście w przypadku podróży w obie strony cena jest dwa razy wyższa. A jeśli chciałby pan wydać równo dwieście pięćdziesiąt dolarów za wszystko, dostałby się pan do Prince Rupert.

- Jak długo płynie się do Skagway?

- To pięciodniowa wycieczka.

- A gdybym przesiadł się wcześniej?

- Gdyby pan wysiadł wcześniej i kontynuował podróż, poniósłby pan dodatkowe koszty związane z opłatami pomiędzy portami. Na przykład gdyby opuścił pan pokład w Sitka z biletem do Skagway, zapłaciłby pan...

- Dobrze, rozumiem. Dziękuję.

Odłożył słuchawkę. Cholera, mogła wsiąść gdziekolwiek. Trzeba będzie poczekać na kolejną płatność kartą. Zdaje się, że pani Rosen nie przejmowała się wydawaniem plastikowych pieniędzy. Nie miała pojęcia, że ktoś może ją śledzić. Ale dlaczego dwa bilety? Z pewnością pojechała na Alaskę z kochankiem. Jakie oryginalne. Jakie romantyczne.

Kolejny telefon wykonał do Roberta.

- Dzień dobry. Restauracja Grotta Azzurra? Proszę z Robertem Rosenem.

- Grotta Az... Chwileczkę - nerwowy głos młodej kobiety zamilkł.

Co to, u licha, za nazwa? Restauracja Grotta Azzurra? Jak ludziom przychodzi do głowy takie gówno?

- Znalazł ją pan?

- Jeszcze nie, panie Rosen, ale wpadłem na pewien trop. Czy pańska żona zna kogoś na Alasce?

- Dzwoniła dziś rano.

- Dzwoniła? I co powiedziała?

- Żebym nie zadawał żadnych pytań, że nie wie, kiedy wróci i że nie poda mi swojego telefonu. Jej rodzina pochodzi z Alaski.

Sam jęknął.

- Dzięki za informacje.

- Skąd pan wie o Alasce? - zapytał Robert.

- W niedzielę kupiła bilet na prom.

- W takim razie wszystko w porządku. Pewnie pojechała w odwiedziny do kuzynki.

- Ach tak? - Sam zamilkł dramatycznie. Bombę postanowił rzucić za chwilę. - Dlaczego więc kupiła dwa bilety?

Po drugiej stronie telefonu usłyszał głośnie przełknięcie śliny. Był niemal pewien, że Robert zbladł.

- D w a ?

- Tak, kupiła dwa bilety.

- Aha. - Robert brzmiał jak struty. - Dwa bilety.

- Panie Rosen, proszę posłuchać, w każdym śledztwie przychodzi taki moment, że klient sam sobie musi odpowiedzieć na pytanie, ile chce odkryć.

- Ona z nikim nie sypia. Wiedziałbym o tym.

- Panie Rosen, ile chce pan wiedzieć? Mogę być w Bellingham

za godzinę i dowiedzieć się, kto i co widział. Gdybyśmy wysledzili ją na Alasce, mój człowiek przy odrobinie szczęścia już następnego dnia miałby zdjęcia. Wciąż jednak pozostaje pytanie: ile naprawdę chce pan wiedzieć?

Odpowiedź nie padła. „Typowe - pomyślał Sam. - Zwykle tak bywa. Ci faceci myślą, że mają wszystko. Najczęściej wszystko chrzanią i sami sobie są winni. Mają sekretarkę, która robi im dobrze, ale nie uważają tego za zdradę, bo się nie angażują. Stek bzdur. Pielęgnuj ognisko domowe albo się w nim spalisz jak frytki za długo zostawione na patelni”.

- Panie Rosen, pozostaję do pana dyspozycji. Pojedziemy natychmiast, gdy powie pan: „jedźcie”.

- Jedźcie. Ostro.

- Mamy jechać? Jest pan pewien?

- Powiedziałem: „jedźcie”. Bierzcie tyłek w troki i jazda do Bellingham. - Robert się rozłączył.

Sam poczuł wściekłość. Co to znowu? Facetowi wydaje się, że jest w jakimś telewizyjnym show? Że może tak po prostu przerwać rozmowę? Dostanie zdjęcia żony, których do śmierci nie zapomni.

Przed wyjściem z biura wykonał telefon. Odezwała się automatyczna sekretarka.

- Obudź się i spakuj torby. Czeka cię przygoda pośród dzikiej przyrody. Prawdopodobnie już dzisiaj wieczorem.

JENNA ZDZIWIŁA SIĘ, Że jest tak wcześnie. Dochodziła dopiero siódma. Na dworze było jasno, a na ulicy panowało jakieś zamieszanie. Z okna dostrzegła Earla, właściciela hotelu, i faceta w ubraniu szeryfa sprzątających jakieś rozrzucone puszki. Rozmawiali i upychali śmieci do worków. W pewnym momencie Earl wskazał okno pokoju Jenny. Wtedy dziewczyna spostrzegła swojego kumpla psa przywiązanego do zderzaka samochodu szeryfa. Kundel wyglądał na zmieszanego i pełnego poczucia winy.

Zarzucała coś na siebie i zbiegła na dół, aby dowiedzieć się, o co chodzi. Wyszła na ganek. Earl oraz szeryf odwrócili się i patrzyli na nią z niechęcią.

Earl pokiwał głową.

- Co się stało? - zapytała Jenna.

- Ten cholerny pies rozwalił wszystkie pojemniki na śmieci - warknął Earl. Pokazał jeden z nich. Był zupełnie pogryziony. - Pani popatrz. Ślady zębów. Jakie stworzenie mogłoby rozwalić blachę? Ten pies jest niebezpieczny.

Rzucił okiem na szeryfa.

Jenna podeszła do psa. Ucieszył się na jej widok. Machał ogonem

i podskakiwał. Pochyliła się, a on polizał ją po twarzy.

- W co ty się wpakowałaś? - zapytała.

Szeryf stanął za kobietą.

- Czy to pani pies?

Potrząsnęła głową.

- Nie. Wczoraj wyszedł za mną z lasu. To wszystko.

Earl wykrzyknął:

- Założę się, że to krzyżówka psa z wilkiem. Jakaś napalona suka natknęła się na wilka i spłodziła miot zabójców. Tego tutaj trzeba uśpić!

- Niechże pan da spokój - odparła Jenna. - Po prostu pogryzł kilka pojemników na śmieci.

- Po prostu pogryzł?

Earl nie mógł się uspokoić. Popatrzył na Jennę wściekły, po czym wrócił do sprzątanania puszek.

- Jeżeli pies nie ma nikogo i jest włóczęgą, trzeba będzie go uśpić. - Szeryf poklepał psiaka po łbie. - Szkoda. Wygląda na bardzo miłego.

- Żartuje pan, szeryfie? Chyba macie jakieś schronisko dla zwierząt? Może ktoś będzie go szukał?

- Nic z tych rzeczy, proszę pani.

Jenna spojrzała psu w ślepią. Była pewna, że nie chciał narobić bałaganu. Wczoraj ją uratował, pomógł jej uciec przed dziwnym mężczyzną.

- Uśpić psa. Uśpić go - mrucał pod nosem Earl.

- A gdybym go adoptowała? - zapytała Jenna szeryfa. - Wtedy nie mógłby go pan zabić, prawda?

Mężczyzna przytaknął.

- Prawda. Ale właściciel będzie musiał zapłacić za zniszczenia. Skoro jest pani właścicielką, musi pani to zrobić.

Jenna nie zastanawiała się długo. Wszystko, czego potrzebował ten zwierzak, to kąpiel i trochę miłości. Prawdopodobnie szlała się bez celu po okolicy, a jadł tylko wtedy, kiedy coś upolował. Był samotnikiem porzuconym pewnie przez jakiegoś rybaka, który musiał opuścić miasteczko.

A teraz? Teraz poczuł resztki jedzenia w śmieciach. Jenna postanowiła się nim na razie zająć. Po powrocie do Seattle odda go jakiemuś fajnemu dzieciakowi marzącemu o wiernym przyjacielu.

- Zapłacę.

Earl aż podskoczył.

- Co to ma znaczyć? Zapłaci pani? Tak po prostu? Będę musiał kupić nowe kontenery na śmieci! Ten pies jest niebezpieczny!

- Ten pies jest już mój. I nie jest niebezpieczny. Po prostu... podekscytowany.

- Ale...!

Earl zamilkł sfrustrowany.

Szeryf odwiązał linę od zderzaka i podał ją Jennie.

- Pies musi być na smyczy. Niech pani ją szybko kupi.

Jenna zwróciła się do właściciela hotelu.

- Zapłacę za nowe pojemniki. I za wszystko inne, co uzna pan za szkodę.

Wzięła linę i ruszyła z psem w stronę hotelu.

- A pani dokąd? - zapytał Earl jadowicie.

- Do swojego pokoju.

- Mamy w hotelu bardzo surową zasadę: „żadnych psów”. A zwłaszcza: „żadnych dzikich włóczęgów”.

Jenna przyjrzała się Earlowi. Miała nadzieję, że żartuje. Ale nie żartował.

Szeryf bezradnie wzruszył ramionami.

- Ależ, Earl - zaczął. - Nie przypominam sobie...

- Szeryfie - wypalił Earl - to prywatny biznes. Dbam o renomę lokalu i bezpieczeństwo gości. Wyobraża pan sobie psa biegającego po korytarzach hotelu? Psa! To nie pies. To bestia!

Jenna zrozumiała, że Earl postanowił ją ukarać za uratowanie zwierzęcia, które uprzykrzyło mu poranek. Ale nie chciała się kłócić z właścicielem Stikine Inn.

- Dobra. W takim razie przywiążę go tutaj, pójdę na górę, spakuję się, wyrównam z panem rachunek i poszukam innego miejsca.

- Nie - odpowiedział Earl z drwiną w głosie.

- Nie? Nie mogę się wymeldować z hotelu? Nie rozumiem.

- Może się pani wymeldować, ale nie może pani przywiązać kundla na mojej posesji.

Szeryf jęknął.

- Earl, daj spokój. Pani płaci za pojemniki, więc odpuść. Wystarczy, że ją wyrzuciłeś z hotelu.

- Nie - odpowiedział Earl i wrócił do sprzątanía.

Jenna spojrzała na szeryfa, błagając o wsparcie. Ten wziął od niej linę i wpuścił psa do swojego samochodu.

- Poczeka na posterunku, w pustej celi. Odbierze go sobie pani za jakiś czas.

KIEDY ROZLICZYŁA SIĘ Z EARLEM, poszła do sklepu, żeby kupić smycz i obrozę. Oprócz tego zwierzak potrzebował imienia. Jenna próbowała sobie przypomnieć, jak nazywał się bałwan z bajki o Rudolfe Czerwononosym. Pomyślała, że to imię pasowałoby do psa. Dopóki elf dentysta nie wyrwał bałwanowi bolącego zęba, wszyscy myśleli, że jest wstrętnym, złośliwym potworem. Później

zrozumieli, że był dobry, tylko nie radził sobie z bólem.

Wreszcie zdecydowała się na Oscara. Oscar. Potwór z Ulicy Sezamkowej, który mieszkał w śmieciach. Imię pasowało do psa jak ulał.

Wybrała ładną smycz i obrozę. Zapłaciła. Zanim wyszła, zapytała wykolczykowanego sprzedawcę o nocleg. Długo myślał. W końcu zaproponował:

- Może Stikine Inn?

Jenna wyznała, że Earl ją wyrzucił.

- Pozostaje więc Sunrise Motel przy autostradzie prowadzącej na lotnisko.

Podziękowała, zabrała smycz i obrozę, a wtedy z zaplecza wyszła starsza kobieta. Wyglądała na matkę dzieciaka, chociaż Jenna nie zauważyła u niej żadnych kolczyków. Nawet w uszach. Młody zapytał ją, czy wie, gdzie można zatrzymać się z psem. Myślała przez dłuższą chwilę.

- Wie pani co? - powiedziała do Jenny. - Sunrise Motel to nie jest miejsce dla kobiety. Proszę pójść w dół Front Street. Zobaczycie tam mniej więcej dziesiąty dom na tej ulicy, z niebieskimi wykończeniami. Mieszka tam chłopak. Ed Fleming. Ma pokój do wynajęcia. Tak się zastanawiam, czy teraz ktoś tam jest... Ale zdaje się, że nie. Zazwyczaj przyjmuje sezonowych robotników. Pozwoli pani trzymać psa. Lepiej, żeby poszła pani do niego zamiast do Sunrise Motel. Tak. Najpierw zapytałabym u Eda Fleminga.

Jenna trafiła bez trudu. Opis kobiety był bardzo dokładny. Dziesiąty dom należał do Eddiego Fleminga. A jedenasty do babci Jenny.

Zapukała do drzwi. Po chwili ukazał się w nich młody mężczyzna około trzydziestki z kasztanowymi włosami. Miał mocno zarysowaną szczękę z trzydniowym zarostem i niebieskie oczy.

Był bez koszulki, więc Jenna mogła się przyjrzeć jego muskularnemu, chociaż szczupłemu torsowi. Lewa ręka spoczywała na temblaku. Była zawinięta bandażem od przedramienia po pachę.

Mężczyzna spojrział pytająco. Chyba spodziewał się kogoś innego.

- Myślałem, że to Field - powiedział.
- Field? - spytała Jenna.
- Mój kumpel. Miał przyjść i pomóc w naprawie zlewu, bo chwilowo jedną rękę mam jakby... bezużyteczną.

Jenna się uśmiechnęła.

- Czy to ty jesteś Ed?
- Eddie. Gdzie twój pies?

Jenna poczuła się zbита z tropu. „Gdzie twój pies?”. Skąd wiedział? Ale dlaczego miałby nie wiedzieć? Do tej pory przydarzyło jej się tyle dziwnych rzeczy, że jedna mniej lub więcej nie stanowiła problemu. Bardziej zdziwił Jennę sposób, w jaki to powiedział. „Gdzie twój pies?”. Tak poufale. A może chodziło o wyraz jego oczu?

- Skąd wiesz o psie?
- Trzymasz przecież smycz. Czasami Gilly Woods wyjeżdża szybko z za rogu pikapem i potrąca psy tuż przed moim domem. Wiedziałem to częściej, niżbym chciał. Dlatego zapytałem. Na twoim miejscu trzymałbym go na smyczy. To straszne - patrzeć na bezsensowną śmierć psa.

Eddie odwrócił się i wszedł do domu, pozostawiając Jennę przy drzwiach. Ruszyła za nim. Zupełnie nie wiedziała, co ma robić.

W drodze do kuchni Eddie nie przestawał mówić.

- Gilly nie robi tego specjalnie. Czasami za dużo tankuje. Jägermeistera. Jego mózg gnije i Gilly przez to szaleje. Wtedy wydaje mu się, że Front Street to wyścigi Indianapolis 500, a on to Mario Andretti pędzący do mety.

Włożył zdrową rękę pod zlew i zaczął coś przekręcać. Twarz przycisnął do blatu, próbując sięgnąć głębiej.

- Pies jest bezpieczny - powiedziała Jenna. - Szeryf go pilnuje.

- I dobrze. - Chłopak podniósł się i wrócił do Jenny. - Przepraszam za to. Zlew mi się zepsuł i jak zwykle czekam na Fielda.

- Kobieta w sklepie powiedziała, że masz pokój do wynajęcia i że pies nie powinien ci przeszkadzać.

- Pokój do wynajęcia? - Podrapał się po głowie. - Tak, mam pokój. I w sezonie zwykle ktoś u mnie mieszka... Ale...

- Najmocniej przepraszam - powiedziała z zakłopotaniem Jenna.

- Myślałam, że to bardziej pensjonat...

- Próbowалаś w Stikine Inn?

- Earl mnie wyrzucił.

- I rozumiem, że nie chcesz się zatrzymać w Sunrise.

- Nie ma sprawy. Pójdę tam. W porządku. Kobieta z sklepu powiedziała po prostu...

- Możesz zatrzymać się tutaj. Nie przeszkadzają mi psy.

- Ale widzisz, ta kobieta powiedziała... Wydawało mi się, że mówiła, że... że to pokój ze śniadaniem w cenie. Że wynajmujesz na takich zasadach.

- Rozumiem.

- Dlatego przyszłam. Ale skoro się pomyliłam, nie będę ci dłużej przeszkadzać.

- Nie przeszkadzasz.

- Dzięki. Wracaj do swoich zajęć.

Jenna szybko ruszyła w stronę drzwi.

- Poczekaj! - zawołał. - Jak się nazywasz?

- Jenna... - urwała. - Jenna Ellis.

Dlaczego użyła panieńskiego nazwiska matki? Nie miała pojęcia.

Nie, nieprawda. Dobrze wiedziała dlaczego. Zrobiła to, ponieważ była ciekawa, jak Eddie zareaguje. Nie miała pewności, czy znał jej babcię, ani jak długo mieszkał we Wrangell. Ale to nie miało znaczenia. Chciała po prostu sprawdzić, czy Eddie cokolwiek wie.

- Jenna Ellis? - Przyjrzał się dziewczynie badawczo. - Wiesz, jedna Ellis mieszkała przez lata w sąsiednim domu.

- To moja babcia.

- B a b c i a ?

Eddie zamilkł. Wpatrywał się w oczy Jenny, jakby chciał się przekonać, czy mówi prawdę.

- Ellis. No dobrze, posłuchaj. Nie prowadzę hotelu. Mam pokój, który udostępniam ludziom przyjeżdżającym tu do roboty w sezonie. To duży dom i czasami lubię się nim dzielić. A jeśli chodzi o ciebie, na wyspie nie ma innego miejsca, w którym mogłabyś się zatrzymać. Idź więc po psa, wróć tutaj i korzystaj z mojego wolnego pokoju. Przyda mi się ktoś z dwiema rękami. Bo sama widzisz. - Wskazał na temblak. - Ja potrzebuję kogoś do pomocy, a ty pokoju dla siebie i dla psa. Więc jeśli nie masz nic przeciw temu, żeby zająć się trochę gospodarstwem, możesz tu mieszkać. Za darmo.

- Nie wiem, czy czułabym się komfortowo...

- Dlaczego nie?

Właśnie. Dlaczego nie?

- Wiesz... Mój ojciec pomagał twojej babci, kiedy tego potrzebowała.

Popatrzył na Jennę i się uśmiechnął.

W normalnych warunkach wołałaby mieszkać w motelu niż z kimś obcym w jego domu. Ale przez ostatnie cztery dni była sama i chciała spędzić trochę czasu z kimś przyjaznym. Westchnęła i rzuciła plecak na fotel.

- Dobra. Jeśli nie będę ci przeszkadzać. Ale i tak zapłacę.

Wzruszył ramionami.

- W porządku. Jak chcesz.

Jenna wyszła po Oscara. Po drodze nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Była we Wrangell jeden dzień, a wszystko w jej życiu zaczynało wyglądać lepiej.

KIEDY WRÓCIŁA Z PSEM, CHŁOPAK rozpakowywał w jadalni dziesięć toreb z zakupami. W kuchni spod szafki na zlew wystawały dwie nogi w dżinsach. Oscar wyrwał się Jennie i merdając ogonem, popędził w stronę Eddiego. Zaczął go lizać po rękach.

- Jestem w szoku - powiedział Eddie.
- Dlaczego?
- Nie sądziłem, że lubisz psy w takim typie.
- A jakie psy, twoim zdaniem, byłyby w moim typie?
- Nie wiem. Mniejsze. Może jakieś rasowe.

Jenna się zaśmiała.

- Nie miałam dużego wyboru. Ten był jedyne, który wędrował po lesie bez właściciela.

- Znalazłaś go w lesie? Gdzie?

- Właściwie to on mnie znalazł. Na Dewey.

- To dziki pies - dobiegł spod zlewu stłumiony głos. Eddie uklęknął i podrapał Oscara po grzbiecie. Psiak polizał go po twarzy.

- Field, on nie wygląda na dzikiego. A już na pewno nie zachowuje się jak dzikus.

Jenna wskazała palcem szafkę w kuchni.

- Czy to Field?

- Tak, to Field. Kiedy tylko dowiedziałem się, że będę miał towarzystwo, poprosiłem go, żeby przyszedł jak najszybciej i naprawił zlew, bo jak nie, to oberwie moją jedyną sprawną ręką. No i się zjawił. Pewnie ze strachu, że wyjdzie na kretyna.

- Możesz mi naskoczyć, Fleming! - zawołał ponownie głos.

Field wreszcie wyszedł spod zlewu. Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Otrzepał się z kurzu.

- No, chłopaku, zlew masz naprawiony.

Zmierzył Jennę wzrokiem, potrząsając głową.

- Nie wiem, o czym mówiłeś. Nie jest aż taka nieładna.

Eddie dał kuksańca przyjacielowi.

- Ty świntuchu! Nigdy nie powiedziałem, że jest brzydka! - Odwrócił się do Jenny. - Nic podobnego nie miało miejsca. On chce mnie przedstawić w złym świetle.

Field wziął Jennę za rękę.

- No, no. Ma czym przywalić dziewczyna...

- Nie zwracaj na niego uwagi - przerwał mu Eddie. - To stary ochlejus, którego mózg wytrawiły opary paliwa. Wydaje mu się, że jest czarujący. Ale tak naprawdę to apodyktyczny dupek.

Otworzył drzwi frontowe i wypchnął Fielda na ganek. Ten złapał się futryny i trzymał ją ze wszystkich sił. Obaj się śmiali. Przedstawienie dla gościa.

- Gdyby się pani naprzykrzał, proszę zadzwonić. Przyjdę i przemówię mu do rozumu. Słyszysz pani?

- Słyszę! - zawołała Jenna.

Eddie wreszcie wyrwał się z uścisku Fielda i zatrzasnął drzwi. Potrząsnął głową.

- Przepraszam. Wydaje mu się, że jest Jackiem Palance'em albo kimś takim.

- Nic się nie stało, naprawdę.

Patrzyli na siebie przez chwilę. Zapadła niezręczna cisza. Było w Eddie'ciu coś, co intrygowało Jennę. Przede wszystkim jego chłopięcość. Uśmiechnięty, z radosnym spojrzeniem, stał w brudnych dżinsach i klubowej koszulce Seattle Supersonics z zabandażowaną ręką. Próbowwała wyobrazić sobie Roberta na miejscu Eddiego. Bez skutku. Robert nigdy nie ubrałby się tak niedbale. Nosił co prawda dżinsy, które wyblakły od ciągłego prania, ale nie miały przetarć na udach. No i gdyby dostał od kogoś koszulkę Sonics, wkładałby ją tylko na mecze.

Eddie zdjął Oscarowi smycz. Uwagę Jenny zwróciły dłonie mężczyzny. Były nieduże i kształtne, a jednocześnie mocne, doskonale pasujące do całej sylwetki. Niektórzy mają szerokie dłonie i grube palce. Innych, tak jak Roberta, natura wyposażyła w długie, szczupłe palce z wydatnymi kostkami. Natomiast ręce Eddiego były idealne, chociaż jedna wisiała teraz na temblaku.

- Jest nauczony czystości? - spytał Eddie.

- Nie wiem.

- Nie ryzykujmy. Niech śpi dzisiaj na ganku. Mam nadzieję, że się nie obrazi.

- Dobrze, nic mu nie będzie.

- Może chciałabyś go wykąpać? Czuć go... Nie wiem... chyba b ł o t e m . Chodź, pokażę ci twój pokój.

Eddie poprowadził Jennę korytarzem. Pokój był mały, z podwójnym łóżkiem, stolikiem nocnym i szafą. Jenna podeszła do okna. Widziała stąd dom babci. Zastanawiała się, czy jest nawiedzony. Bo jeśli tak, to czy duchy wpadną na pomysł, żeby szukać jej u Eddiego? Miała nadzieję, że nie.

- Miło tu - powiedziała.

Eddie pokiwał głową i sprawną ręką nacisnął materac.

- Jest naprawdę wygodne. W każdym razie wszyscy tak mówią.

Ponownie zapadła między nimi kłopotliwa cisza. Raptem w drzwiach pojawił się Oscar. Jenna wykorzystała tę szansę.

- Hej, Oscar, co powiedziałbyś na kąpiel?

Zdawało się, że Eddie odetchnął z ulgą. Zaprowadził Jennę do kranu na podwórku. Dał jej kostkę mydła i kilka starych ręczników. Dla psa.

KIEDY SKOŃCZYLI, JENNA NIE WIEDZIAŁA, kto kogo umył i kto jest bardziej mokry. Oscar otrząsnął się i już był suchy, ale Jenna musiała włożyć nowe ubranie.

Przebrała się w sukienkę z Banana Republic (tę, o której myślała, że się nie przyda) i oboje poszli poszukać Eddiego czyści i odświeżeni. „Być może zbyt czyści i zbyt odświeżeni” - pomyślała zawstydzona. Wcześniej, w dżinsach, czuła się jak chłopak. W kwiciastej sukience też nie do końca czuła się sobą. Ale w końcu była dziewczyną. Niezaprzeczalnie. I jako dziewczyna miała pewne prawa, a jednym z nich był wygląd stosowny do sytuacji. Dlaczego zatem czuła się tak niezręcznie?

Eddie wypakowywał ostatnią torbę z zakupami.

- Wow - powiedział, unosząc brew. - Oboje wyglądacie o niebo lepiej.

- Mogę jakoś pomóc?

- Możesz usiąść w pokoju. Zaraz tam przyjdę.

Jenna przysiadła na kanapie. Widziała stąd ulicę, a jeszcze dalej morze i wyspę. Przypomniała sobie, że dostrzegła ją kiedyś z okien

domu babci. Wtedy jednak nie zwróciła uwagi, jaki ma dziwny, nieregularny kształt.

Eddie postawił na stole deskę z pokrojonym żółtym serem i krakersami.

- Och, nie musiałeś - zaprotestowała Jenna.

- Spokojnie, to nic takiego - powiedział Eddie. - Może się czegoś napijesz? Piwo, wino, sangria?

- Sangria?

- Właściwie... to nie mam sangrii. Tak tylko powiedziałem. Za to piwo i wino jest naprawdę.

- Nic dla mnie. Dzięki.

Eddie zniknął w kuchni. Przyniósł sobie piwo i usiadł obok Jeny. Przez chwilę milczeli.

- A więc - zaczęła - co stało się z twoją ręką?

- Nic takiego - odpowiedział Eddie, sięgając po krakersa. - Wypadek podczas połowu.

- Nie wygląda jak nic takiego. Opowiesz mi?

Napił się piwa.

- To raczej obrzydliwe - odparł. - Naprawdę nie chcesz wiedzieć.

- Chcę. Westchnął.

- Skoro się upierasz.

Pochylił się i postawił piwo na stoliku.

- Łowiłem halibuta. Potrzeba do tego wielu haków umocowanych na sznurach do liny głównej, która, obciążona boją, łąduje na dnie oceanu. Drugi koniec tej liny należy przyczepić do rufy. Kiedy wciąga się na pokład linę główną, na hakach wiszą złowione halibuty. Ale kiedy się ją zarzuca, haki latają wkoło jak szalone. Szybko. Bardzo szybko. No i jeden z nich wbił mi się w ramię. Dokładnie

w tym miejscu.

Pokazał prawym palcem miejsce tuż pod pachą, a potem przeciągnął dłonią aż do łokcia.

- I rozorał rękę aż dotąd.

- Aj! - Jenna się wzdrygnęła.

- No. Musiałem złapać się boku łodzi, bo inaczej wciągnęłoby mnie na dno. Kraby miałyby używanie.

- I co się stało?

- Hak dotarł do wnętrza łokcia, rozpruł ścięgno i cały mięsień, tak że jego część zwisała mi z ramienia.

- Bolało? - spytała Jenna. - No tak, głupie pytanie.

- Właściwie nie bolało - odpowiedział poważnie Eddie. - Na początku wcale. Widziałem zwisający różowy kawał mięsa, a pod nim coś białego. Kość. Ale potem, kiedy moje ciało zrozumiało, co zaszło, popłynęła krew. A ja pomyślałem: „O, chłopie, nie wygląda to dobrze”.

- Słabo mi.

- Wtedy zacząłem krzyczeć, ale nie dlatego, że czułem ból, tylko dlatego, że wszędzie była krew. Myślałem, że umrę. Hak rozerwał tętnicę. Dlatego tak krwawiłem.

- Umarłeś?

Zaśmiał się.

- Prawie. Chłopcy założyli mi opaskę uciskową. Stwierdzili, że lepiej stracić rękę, niż wykrwawić się na śmierć. Na szczęście nieopodal był śmigłowiec straży przybrzeżnej. Dotarliśmy na czas do szpitala. Uratowali i mnie, i rękę.

- Miałeś szczęście.

- Ale straciłem czucie. Przerwało mi wszystkie nerwy. Trochę do kitu. Część z nich może sama się zregeneruje. Tak twierdzi lekarz. Ale to już nie to samo.

- Jestem pewna, że będzie dobrze - powiedziała Jenna z zapałem i poczuła, że się czerwieni. Jej zapewnienie zabrzmiało dziwnie osobiście.

Uśmiechnęli się do siebie i zamilkli na dobrą minutę. Przyglądali się sobie nawzajem. Dla Jenny było to przerażające i ekscytujące zarazem. Czuła się tak, jak wiele lat temu w liceum, kiedy za wszelką cenę chciała usiąść obok chłopaka, który jej się podobał. Zrozumiała, że znajduje się sam na sam z fajnym facetem i że dostaje to, o co kiedyś tak bardzo zabiegała. „Nie ma nauczycieli i rodziców. Moglibyśmy zrobić, co tylko chcemy, ale za bardzo się boimy”. Jenna zaśmiała się nerwowo. Eddie także. Wiedziała, że oboje pomyśleli o tym samym. Skrępowana wstała i podeszła do okna.

- Co to za wyspa tam daleko?

- Wyspa Woronkowskiego. Nikt na niej nie mieszka.

Eddie wstał i podszedł do Jenny. Stał tuż za nią. Bardzo blisko. Za blisko. Ale Jenna pragnęła tego. P r a g n ę ł a czuć ciepło bijące od Eddiego. Lewe ramię mężczyzny muskało jej plecy. Materiał koszulki delikatnie ocierał się o materiał sukienki Jenny. Eddie wyciągnął prawą rękę przed Jennę i wskazał na wyspę.

- Nazywają ją Słoniowym Nosem.

Jenna wiedziała dlaczego. Wyspa faktycznie przypominała ogromnego słonia stojącego w wodzie. Dziewczyna nagle poczuła, że chciałaby zobaczyć ramię Eddiego. Purpurową bliznę. Dotknąć jej.

- Zrozumiałbym, gdyby nazwano ją Słoniową Głową - powiedział. - Albo Słoniowym Grzbietem. Ale Słoniowym Nosem? Nosem słonia jest trąba. Czy t o przypomina trąbę?

Jenna szybko odwróciła się do Eddiego. Wszystko w tej chwili przestało mieć znaczenie. Ich oddechy się spotkały. Ciała były

gotowe na dotyk. Gdyby chcieli się kochać, mogliby od razu zaspokoić pożądanie.

Jenna wiedziała, że oboje czują to samo.

Ale się pohamowali.

W opanowaniu żądz Jenna odnalazła pewną przyjemność. To nie był ani ten czas, ani to miejsce. Za krótko, za mało się znali. To jednak nie zmieniało faktu, że c h c i e l i .

Ona i Eddie. Twarzą w twarz. Patrzyli na siebie. Które z nich powinno przebić balon pożądania? Milimetry dzieliły ich usta.

Nie. Nie teraz. Może kiedyś. Może wkrótce. Może nigdy. Ale zdecydowanie nie teraz.

Jenna odwróciła się z powrotem w stronę wyspy.

- Jest piękna.

- Tak.

Ignorowali swoje oddechy. Płytkie i gorące.

- Umieram z głodu - wyznała Jenna.

- Ja też.

- Chcesz, żebym coś ugotowała? Masz mnóstwo jedzenia. Może kolację?

Spojrzała na Eddiego. Wciąż był tak blisko. Wyraźnie poczuła drżenie serca.

- Bardzo chcę - powiedział. - To będzie naprawdę miłe.

Jenna umknęła do kuchni. Dobrze pamiętała to uczucie. Dobrze wiedziała, co oznacza niewinne (czyżby?) drżenie serca. I dobrze wiedziała, że musi się napić.

NIE UPIŁA SIĘ OD CO NAJMNIJ ROKU. To było wbrew jej zasadom. Mogła pozwolić sobie na kieliszek wina dziennie, ale nie

więcej. I tylko wina. Żadnego mocnego alkoholu. I żadnych prochów. Jenna lubiła mieć zasady. Są konieczne, żeby uniknąć pewnych błędów.

Ale teraz nie chciała dłużej unikać błędów. Może potrzebowała alkoholu, żeby powstrzymać pożądanie? A może wprost przeciwnie? Może pragnęła stracić nad sobą kontrolę? Nieważne. Tej nocy oboje upili się tanim białym winem przy steku i spaghetti z sosem pomidorowym. Bawiła się jak nigdy w życiu.

Niewiele dowiedziała się o Eddiem. Nie rozmawiali o nim. Wciąż nie miała pojęcia, skąd pochodzi, ile ma lat i od jak dawna łowi ryby. Ale dowiedziała się, że i on, i ona bardziej lubią słuchać siebie nawzajem, niż mówić o sobie. Ich rozmowy, tak naprawdę o niczym, rozpraszały tylko ciszę. Ciszę tak pulsującą pożądaniem, że trudno ją było nazwać ciszą.

Sączyli tanie wino w nadziei, że zapomną o przeszłości. W nadziei, że będą żyć teraźniejszością.

Gdy wino się skończyło, wrócili do rzeczywistości. W tej sytuacji mogli zrobić tylko jedno. Wsiedli do starego niebieskiego dodge'a Eddiego i pojechali po alkohol.

Podróż trwała krótko. Sklep znajdował się na końcu ulicy. Jenna została w samochodzie i śmiała się sama z siebie. Zachowywała się jak szesnastolatka, która czeka, aż jej ukochany kupi jakiś alkohol, legitymując się dowodem starszego brata. Co za głupota.

Dochodziła jedenasta i dopiero teraz robiło się ciemno. Pijana czekała w pikapie, aż obcy facet przyniesie kolejne wino. Była na Alasce. Patrzyła na piękne niebo przybierające na zachodzie odcień brudnej purpury. Poczowała dreszcz przebiegający po kręgosłupie. Miała nadzieję, że Eddie wsiądzie do samochodu, że położy dłoń na jej

szyi, że lekko uniesie włosy i pocałuje ją miękkimi wargami, że gładko wsunie język w jej usta.

Patrzyła na czarną wodę, na jeszcze czarniejsze wzgórze Słoniewego Nosa i na gwiazdy. Zamknęła oczy. Wdychała powietrze pachnące jesienią i dymem z kominków. Po raz pierwszy od dawna czuła spokój. Bobby zginął, to prawda. Jenna zrozumiała jednak, że wciąż ma przed sobą życie. Życie bez Bobby'ego. Do chwili, w której poznała Eddiego, nie mogła sobie tego wyobrazić. Ani razu.

Chłopak wyszedł ze sklepu. Zmierzał w stronę auta. Jenna chciała, aby ten moment trwał wiecznie. Wiedziała, że go prowokuje, choć jej twarz nie wyrażała żadnych emocji.

Eddie wszedł do samochodu. W torbie miał dwie podwójne butelki chardonnay i camele lighty. I co zrobił? Wyciągnął rękę, położył ją na szyi Jenny, wsunął pod włosy i pocałował ją delikatnie. A Jenna pomyślała: „Rządzę! Jestem królową ogni piekielnych! *I'm your Venus, I'm your fire, at your desire**.”

* Cytat z piosenki zespołu Bananarama.

Eddie odsunął się szybko.

- Przepraszam.

Chciała zapytać, dlaczego, za co, ale wiedziała, że to nie w porządku, że to zły moment, że ledwie się znają, że nie mogą...

- To było silniejsze ode mnie - tłumaczył. Włączył silnik i wjechał na drogę. - Tak pięknie wyglądałaś, kiedy patrzyłaś na wodę.

Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Obserwowałem cię przez witrynę sklepu. I czułem, że muszę cię pocałować. Ale nie powinienem.

- Dlaczego? - zapytała Jenna prawie szeptem.

- Masz męża - powiedział, z trudem podnosząc chorą rękę.
Wskazał jej obrączkę.

Jenna wzruszyła ramionami.

Milczeli.

Wjechali na podjazd domu. Eddie wyłączył silnik. I w milczeniu patrzyli na las. Chłopak wyciągnął z reklamówki papierosy. Otworzył paczkę. Jenna poprosiła o jednego.

- Nie wiedziałem, że palisz - zdziwił się.

- Paliłam - mruknęła. - W liceum.

- Gdybym miał korkociąg, otworzyłbym butelkę i moglibyśmy siedzieć tu całą noc - stwierdził.

- Tak też możemy.

Popatrzył na nią.

- Zmarzłabyś.

- Nie tylko to - odpowiedziała. - Muszę do łazienki.

Eddie się zaśmiał.

- Widzisz? Czasami wydaje ci się, że znalazłaś się w filmie. I że to nigdy się nie skończy. Ale nagle musisz iść do łazienki i wtedy okazuje się, że to nie film.

Jenna się uśmiechnęła.

- Jeśli nie masz w domu popcornu, będziesz miał kłopoty!

Otworzyła drzwi i wysiadła z dodge'a.

WPADLI PRZEZ FRONTOWE DRZWI niczym dwójka dzieciaków, potykając się o siebie i chichocząc. Oscar, który leżał na kanapie, uniósł łeb i nastawił uszy z zaciekawieniem.

Eddie postawił wino na blacie w kuchni.

Jenna nagle zobaczyła migoczące światełko na automatycznej sekretarce telefonu, który stał na stoliku obok kanapy. Niewinna,

mała, czerwona dioda na czarnym pudełku. Czerwony płomień, który jak rozżarzony węgiel wbił się w głowę Jenny. Błyskające światelko, które uruchomiło ciąg skojarzeń „Robert - pomyślała. - Nie zadzwoniłam do Roberta”.

Jenna wpatrywała się w pulsującą czerwień jak zahipnotyzowana. Jakby właśnie wróciła do niej przeszłość. Jej dawne życie, które wydawało się takie nieistotne i odległe.

Eddie był zajęty w kuchni. Jenna słyszała otwieranie kartonowego pudełka, z którego coś wypadło. Przesuwane drzwi otworzyły się i zamknęły. Wiatrak mikrofalówki buczał.

Światelko automatycznej sekretarki ciągle przykuwało uwagę Jenny. Jak pulsujące naczynie krwionośne, które za chwilę pęknie. Szelest papierowej torby. Otwieranie i zamykanie szuflady. Korek wyciągany z butelki. Zapach świeżego wina w powietrzu. Galopujące wspomnienia. Butelka szampana. Ogień. Jenna oparta o stos poduszek. Świeżo pomalowane paznokcie. Robert cicho stąpający w jej kierunku. Nagi. Szampan. Piją. Śmieją się. Pocałunek dwóch gorących języków. „Jeśli chcesz mieć chłopca, jedz marchewki i pij soki w pomarańczowym kolorze”. Robert klęczy, głaszcze ją po plecach. „Jeśli chcesz chłopca, wstrzymaj się jak najdłużej”. Kołysali się w tył i w przód, dopóki nie wszedł w nią. Cicho, rozkosznie.

- Wszystko w porządku? - spytał Eddie, trzymając dwie lampki wina.

Jenna popatrzyła na niego nerwowo. Desperacko.

- Masz wiadomość.

Popatrzył na urządzenie.

- To popsute pudło. Zawsze mruga. Coś z nim nie tak. - Przyjrzał się kobiecie i dostrzegł jej niepokój. - Co się dzieje?

Poczuła się oszołomiona i zmęczona. Zamknęła oczy i roztarta sobie skronie.

- Myślę, że mam dość wina.

Eddie odstawił kieliszki na stół.

- Chcesz się położyć?

Objął Jennę ramieniem i zaprowadził do sypialni. Zatrzymała się przed drzwiami.

- Muszę zadzwonić. Mogłabym skorzystać z twojego telefonu?

- Oczywiście.

- Zwrócę ci pieniądze, nie musisz martwić się o koszty.

- W porządku. Ale to bez znaczenia.

Stali w korytarzu. Milczeli. Jenna przysunęła się do Eddiego. Oparła głowę na jego piersi.

- Muszę zadzwonić.

Poklepał ją po ramieniu jak przyjaciel.

- Już to mówiłaś.

- Wiesz, do kogo, prawda?

- Domyślam się.

Pokiwała głową. Wciąż opierała się o jego pierś.

- Moje życie to bałagan.

- Chyba nie jest aż tak źle - powiedział z przekonaniem.

Zaśmiała się.

- Jest. Kiedy lepiej mnie poznasz, sam zobaczysz. Moje życie to jeden wielki bałagan.

Uniósł delikatnie jej głowę, wsuwając dłoń pod podbródek. Popatrzył jej w oczy. Uśmiechnął się.

- Przynajmniej masz dwie zdrowe ręce.

- Przynajmniej.

Usiadła na kanapie, wystukała numer. Eddie podał Jennie białą torebkę z popcornem i szklankę wody.

Kiedy Robert odebrał telefon, pomachała Eddiemu na dobranoc.

- Halo?

- Cześć.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Obudziła go. Spojrzała na zegarek. Dochodziła północ. W Seattle była pierwsza w nocy. Kroki Eddiego w korytarzu ucichły. Trzaśnięcie drzwi.

- Przepraszam, że tak późno. Spałeś?

- Nie. To znaczy tak, ale nic się nie stało.

Zapadła cisza. Robert również się zastanawiał, dokąd będzie zmierzać rozmowa. Milczał. Jakby czekał na zgodę żony. Jakby bez jej pozwolenia nie mógł się odezwać.

- Przykro mi, że nie zadzwoniłam wcześniej.

- Mnie także jest przykro.

- Przepraszam za to wszystko.

- Zaskoczyłaś mnie. Rozumiem, że było trochę ciężko, ale nigdy nie sądziłem, że wyjedziesz.

- Ja także.

- Ale dlaczego?

Napiła się wody.

- Szukam odpowiedzi.

- Odpowiedzi na co? Wiesz, że cię kocham.

- Jak bardzo?

- Co to znaczy?

- Nic. To jest pytanie.

- Jak mam zmierzyć miłość? Jesteś moją żoną. Zdecydowałem się na życie z tobą. W zdrowiu i w chorobie, pamiętasz? Wybrałem cię. I... kocham cię.

- Ale jak siłna jest twoja miłość? Co za nią oddasz? Jak daleko się posuniesz? Poddasz się, jeśli będzie zbyt ciężko?

- O czym ty mówisz? Nie powiedziałaś, dlaczego wyjechałaś. Nie mam pojęcia, na czym polega twój problem. A ty o miłości. Miłość? Co za nią oddam? A co mam za nią oddać? Chcesz, żebyśmy wszystko rzucił i przyjechał do ciebie? Powiedz, gdzie jesteś, a od razu wsiądę w najbliższy samolot. Co to za pytanie? Czy się poddam? Jak możesz o to pytać? Czy ty mnie nienawidzisz?

- Nie, Robercie...

- Poważnie. Boli mnie to. Nigdy się nie poddałem. Minęły dwa lata od śmierci Bobby'ego, a ja się nie poddałem. Wciąż byłem przy tobie. Trwałem bardzo cierpliwie bez względu na wszystko. I nie mów mi o poddawaniu się. To ty się poddałaś. To ty uciekłaś.

- Robercie...

- Byłem przy tobie. Cały czas.

Chwila ciszy. A potem Jenna delikatnie, ale ironicznie powiedziała:

- Byłeś przy mnie? Cały czas? To dobre.

- Co to ma znaczyć?

Lodowata cisza. Jenna pozwoliła, żeby pytanie Roberta zawisło na zimnych kablach linii telefonicznej. Wsunęła do ust kilka kawałków popcornu.

- Co to za dźwięki?

- Popcorn.

Robert jęknął.

- Jenno, nie mogę tak przez telefon. Jeśli chcesz wrócić i spróbować poukładać sprawy, gwarantuję ci, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ciebie... nas przez to przeprowadzić. Wszystko. Zatrudnię najdroższego terapeutę, jakiego znajdę...

- Nie chcę kolejnego psychiatry!

Robert się zaśmiał.

- Jakbyś mówiła t o po raz pierwszy.

Jenna była na skraju łez.

- Pieprz się! - rzuciła.

- Będę udawał, że tego nie powiedziałaś - odparł ostro Robert.

- Tak? No to udawaj, że nie powiedziałam tego po raz drugi.

Pieprz się.

Tylko oddech w słuchawce. Przez trzydzieści sekund.

- To niesamowite. - Robert zmusił się do śmiechu. - Wciąż mi nie powiedziałaś, jaki był powód twojego wyjazdu.

- Wyjechałam, bo nienawidzę siebie, i dlatego, że ty nienawidzisz mnie. Być może pewnego dnia poradziłabym sobie z tym, co czuję do siebie. Ale nie poradzę sobie z tym, co ty czujesz do mnie. Nie mogę tego znieść. Kiedy na ciebie patrzę, widzę w twoich oczach nienawiść.

- To nieprawda.

- Nie kłam. Czuję to! Nie jestem głupia. Powinniśmy byli rozstać się zaraz po... Jesteśmy jak ci ludzie z *Kto się boi Wirginii Woolf?*. Zostaliśmy razem, żeby oskarżać siebie nawzajem o śmierć syna.

- P r z e s t a ń - powiedział Robert wściekle.

Jak sprawić, żeby nieposłuszny pies stał się posłuszny? Ostra komenda. Zdecydowany gest. Jenna, siad.

- Nie dręcz mnie. Nie mogę tak dłużej.

Robert westchnął.

- To znaczy, że nie wracasz?

- Spróbuję najpierw przestać nienawidzić siebie. Kiedy to zrobię, wrócę. Jeśli ty także przestaniesz czuć do mnie nienawiść, być może zaczniemy nowe życie. A jeśli nie przestaniesz, rozpoczniemy nowe życie bez siebie.

- To warunek?

- Zapytaj sam siebie, czy mnie kochasz. Jeśli tak, zadbaj o tę miłość. Gdybyś jednak jej nie znalazł, lepiej dla nas, żebyśmy się rozstali.

Nastąpiła długa pauza. Wystarczająco długa, żeby Jenna zdążyła wypić pół szklanki wody. A potem Robert poprosił:

- Zadzwoń do mnie. Później.

Odłożyła słuchawkę i odetchnęła głęboko. Zerknęła na Oscara, który wciąż spał obok niej na kanapie. Podrapała go po głowie i włączyła telewizor. Przeskakiwała po kanałach, aż znalazła stację E!. Nawet na Alasce. Ułożyła się wygodnie w łóżku. Czekala na sen.

JENNE OBUDZIŁO DRAPANIE OSCARA. Nie miała pojęcia, która jest godzina. Światło było wyłączone. Leżała przykryta kocem. Pewnie opatulił ją Eddie. Telewizor nadal grał, ale dźwięk był wyciszony. Jasny obraz wypełniał pokój niebieskim światłem.

Wstała i podeszła do drzwi. Na zewnątrz panowała ciemność. Oscar nie przestawał wariować. Warczał na coś, czego Jenna nie umiała dostrzec.

- Co jest, mały?

Oscar odpowiedział szczeknięciem. Wciąż atakował drzwi. Jenna otworzyła je, a pies wypadł na zewnątrz. Przebiegł drogę i zniknął na plaży za wydmami. Wyszła na ganek i wytężyła wzrok. Ciemność. Wiatr. Zawołała Oscara. Nie zareagował. Nie wrócił. Jennie robiło się coraz zimniej.

Po kilku minutach wróciła do środka. Nie chciała szukać psa po ciemku. Nie chciała też wołać go zbyt głośno. Mogłaby obudzić sąsiadów.

Bezmyślnie gapiała się w telewizor.

Ile czasu minęło? Kilka minut czy więcej? Przysnęła czy nie? Usłyszała warczenie na zewnątrz. Chyba daleko. Jakby kilka psów ze sobą walczyło. Jenna nie mogła się dobudzić. Jakby była uwięziona we śnie. Czy słyszała Oscara? Tak, to on. Prawdopodobnie załatwiał porachunki z innym kundlem.

Z trudem oddzielała jawę od snu. Snu o chłopcu i psie. Pies przypominał Oscara. A chłopiec? Wyglądał jak Bobby.

Chłopiec bawił się z owczarkiem. Tarzał się z nim na plaży w słońcu. „Hej, nie przesadzajcie. Już prawie kolacja. Czas się umyć”. Ale chłopiec i pies byli daleko. Nie mogli usłyszeć Jenny, której głos tłumili fale uderzające o brzeg.

Zbliżyli się do wody. Obserwowała ich z wydm. Słońce świeciło, wiatr rozwiewał włosy, unosił jej białą sukienkę. Eddie i babcia Jenny siedzieli w ciężarówce i również się przyglądali. Wydmy przypominały klif. Piętnaście metrów nad oceanem. Bobby i Oscar coraz bliżej wody. Jenna krzyknęła: „Uważajcie!”. Bobby i Oscar już w wodzie. Umykali, gdy któraś fala w nich uderzała. Jenna zaczęła krzyczeć. Eddie i Robert nie wyszli z ciężarówki. Śmiali się. Babcia w fotelu na kółkach. „Nie pójdę w to miejsce - powiedziała do Jenny. Nie pójdę. Nie pojadę na Alaskę”. Uciekła w dół ulicy. „Czekaj, babciu, czekaj”. Ale znowu chłopcy. Zauważyła, że już są pod wodą. Eddie i Oscar splątani liną rybacką. Bobby unosił się na falach. Machał. „Mamo, mamu. Babcia jedzie ulicą. Nie pójdę tam. Babciu, zaczekaj, aż mama wróci do domu. Mamo, chodź tutaj, mamu, woda jest ciepła”. Zniknęła pod wodą. Klif urósł. Trzydzieści metrów wysokości. Jenna poczuła, że musi skoczyć. Chciała być z Bobbym. Ale się bała. Straciła go z oczu. Eddie jakby nigdy nic rozmawiał z

babcią. Bobby unosił się na wodzie. Zaczął tonąć. Zaczął wzywać pomocy. Eddie klęczał przed fotelem na kółkach. „Jenna, musisz z nią porozmawiać. Bobby tonie. Jenna, ona umiera, musisz z nią porozmawiać. Nie mogę. Mój chłopiec. On nie jest chłopcem”. Przed Jenną stanęła stara kobieta. Krzyczała. Była czarna jak przypalona kłoda. „Pozwól mu utonąć. Pozwól mu”. Widok starej kobiety, spalonej na wiór, zwęglonej do postaci czarnego patyka, przeraził Jennę. Stara kobieta złapała ją spróchniałą ręką: „On jest zwierzęciem. Nie człowiekiem”. Jenna się cofnęła. Potknęła się o kłodę. Spadła z krawędzi w ciemność. W otchłań. W dolinę wody. W wiry. Wirujące mdłości. „Uratuj mnie! Dlaczego tego nie robisz?”. Małe srebrne haki. Dno oceanu. Miękkie lądowanie na plaży. Ciemne lądowanie w przestrzeniach snu. W czeluściach snu umarłaka. Ranek. Słońce weszło nad lodowcem. Kruk woła: „Kiedy spaliście, świat się nie skończył. Nie tym razem, może następnym”. Tym razem, chociaż umarliśmy we śnie, nadal żyjemy, budzimy się i jesteśmy tymi samymi ludźmi, co wczoraj. I powinniśmy być wdzięczni za to, że przed nami kolejny dzień. I powinniśmy pamiętać o zmarłych, o naszych zmarłych, którzy nie są z nami ciałem, ale duchem.

Eddie włączył światło. Jenna przetarła oczy, jakby chciała zmazać z powiek senne widzenie. Jakby na zawsze chciała zapomnieć o śnie, który powiedział jej, co powinna zrobić.

KAŻDEGO WIECZORU PO KOLACJI W Thunder Bay Bobby chodził na przystań wraz z innymi dziećmi i zarzucał linkę wędkarską z nadzieją, że złowi rybę. Kilkoro starszych dzieciaków miało wędki i zapuszczało się dalej od pomostu. Ale Bobby był wciąż za mały na własną wędkę. Błagał rodziców o prawdziwy sprzęt.

Przedostatniego wieczoru do Bobby'ego uśmiechnęło się szczęście. Pomógł mu starszy chłopak, przywiązując do jego linki srebrny wabik. Powiedział Bobby'emu, że dzięki temu lepiej sobie poradzi. I rzeczywiście. Jakaś ryba połknęła haczyk. Bobby ciągnął i szarpał linkę, próbując wyciągnąć zdobycz. Bezskutecznie. Z pomocą przyszedł chłopak od wabika. Starszy dzieciak poradził sobie z płastugą wielkości Bobby'ego.

Zamieszanie na przystani było wielkie. Wszyscy śmiali się i gadali, przyszli Robert i Jenna, Bobby puszył się z uśmiechem od ucha do ucha. Znalazł się w centrum uwagi. Z podnieceniem opowiadał wszystkim, jak udało mu się wyciągnąć rybę. Jenna zrobiła zdjęcie. Kucharz powiedział Bobby'emu, że przyrządzi rybę na jutrzejszą kolację.

Zmierzchało. Obozowicze wrócili do swoich domów, a ryba trafiła do zamrażarki. W końcu Robert wziął Bobby'ego na barana i pobiegł z nim na wzgórze. Podekscytowany, wykończony długim dniem chłopiec położył głowę na plecach ojca i bardzo znużony próbował jeszcze rozmawiać.

- Gdybym miał wędkę, złowiłbym dwa razy większą rybę.
- Z pewnością - odpowiedział Robert.
- W przyszłym roku dostanę wędkę, prawda, tato?
- Myślę, że tak.
- A pójdziesz jutro ze mną na ryby? Popłyniemy łódką i złapiemy coś naprawdę dużego.

- Jasne.
- Ale na pewno popłyniemy łódką?
- Oczywiście.

Kiedy dotarli do jednopokojowego domku, Bobby już spał. Robert położył syna na łóżku, a Jenna rozebrała go i przykryła. Potem oboje wyszli na ganek i usiedli w ciemności pod gwiazdami.

- Nie cieszysz się, że tu przyjechaliśmy? - zapytał.

Pokiwała głową.

- Bobby nie będzie chciał stąd wyjeżdżać.

Robert przeciągnął się i ziewnął. Objął Jennę ramieniem i pocałował w czoło.

- Cholera - mruknął nagle.
- Co się stało?
- Jutro polowanie.

Robert zapisał się na wyprawę łowiecką. Sami dorośli. Czekał na to cały tydzień.

- A co z Bobbym? Złamiesz mu serce, jeśli nie dotrzymasz obietnicy.

- Cholera.

Wstał i podszedł do skraju drogi.

Odwrócił się od Jenny. Miał nadzieję, że znajdzie jakieś rozwiązanie. Ale nie znajdował. Chciał, żeby Jenna zwolniła go z umowy z Bobbym. Odmówiła.

- Wiesz, wrócę wcześniej z polowania. Założę się, że jeszcze zdążymy na ryby - powiedział. - Ryby i tak najlepiej biorą wieczorem.

Jenna się skrzywiła, ale Robert chyba tego nie zauważył. Wiedziała, że to kiepskie rozwiązanie. Wiedziała także, że to na niej skupi się złość Bobby'ego.

- Coś nie tak?

- Wiesz przecież, że Bobby nie będzie zadowolony. Czekał na wyprawę z tobą, a nie na nudę ze mną. Poza tym nie jestem facetem. Nie lubię spędzać czasu na świeżym powietrzu.

- Powinno się udać. Jeśli polowanie się przedłuży, wrócę sam. Proszę.

- Potrzebujesz mojej zgody?

- Jeśli będziesz się wściekać, zostanę. Jeśli powiesz „jeźdź”, pojadę.

- Rób, co chcesz. To ty obiecałeś zabrać syna na ryby. Jeżeli możesz zrobić jedno i drugie...

- Mogę. Obiecuję.

I to był koniec. Kiedy Jenna obudziła się rano, Roberta już nie było.

MIAŁA RACJĘ. Bobby nie przyjął dobrze wiadomości o polowaniu ojca. Wstał wcześniej, po czym się załamał na wieść, że tata wyszedł bez niego.

Jenna widziała rosnące w oczach Bobby'ego łzy, które chłopiec z wysiłkiem powstrzymywał. Spędziła z synem cały ranek na wymyślaniu atrakcji: spacer po plaży, zabawa z przyjaciółmi, pomoc kucharzowi przy obieraniu ziemniaków (nie wiadomo dlaczego Bobby to uwielbiał). Ale nic nie pomagało. Postanowił zostać w domu i czekać na tatę. Nie chciał przegapić jego powrotu.

Chłopiec jednak szybko znudził się niekończącą się grą w sprawdzanie, czy Robert wrócił. Około trzeciej po południu usłyszał głosy dzieci na plaży i poprosił mamę o pozwolenie na zabawę z nimi. Jenna poczuła ulgę. Bobby chyba także. Nie zdążyła odpowiedzieć „tak”, a już bawił się z kolegami.

Wrócił o piątej i znowu zaczął się zastanawiać, gdzie jest tata. Tym razem nie powstrzymał łez. Płakał i płakał. Świat jest czasami niesprawiedliwy. Jenna cierpiała razem z nim. Chciał tylko wypłynąć łódką. Nic więcej.

Na przystani cumowała nieduża łódź, z której każdy mógł korzystać. Jenna zdecydowała, że popłynie. Co z tego, że piekielnie bała się dzikiej przyrody? Dla synka postanowiła przezwyciężyć strach. Wściekła na Roberta, uznała, że chłopiec nie powinien płacić za to, że jego ojciec jest samolubnym idiotą.

Wzięli linkę i poszli na pomost. Włożyli kamizelki ratunkowe z pianki. Takie, jakich używają narciarze wodni. Nie znaleźli rozmiaru dziecięcego. Bobby prawie wysuwał się ze swojej, ale Jenna uznała, że jest w porządku. Ustawiła dulki, odwiązała łódkę, a po kilku ruchach wiosł już płynęli po zatoce. Na twarz Bobby'ego powrócił uśmiech. Właśnie tego Jenna potrzebowała, uśmiechu syna. Chłopiec spuścił linkę z boku łódki.

- Założę się, że teraz złapiemy dużą rybę - powiedział rozemocjonowany.

Próbowali znaleźć najlepsze łowisko. Bobby milczał. Jak rasowy, wytrawny rybak.

Na wodzie było w miarę spokojnie. Fale uderzały o bok łódki. Ciszsza nad zatoką. Zrelaksowana Jenna uznała, że w zasadzie podoba się jej ta wycieczka. Nie była pewna, czy zechce tu w przyszłości wrócić, ale ostatni tydzień nie był taki zły.

Po około półgodzinie zaczęła się denerwować. Nie była doświadczoną wiosłarką. Nie chciała za bardzo oddalać się od brzegu. A łódź płynęła dalej i dalej. Jenna zrozumiała, że zaczął się przyptyw.

Dotarli do ujścia zatoki. Wiedziała, że za chwilę wypłyną na naprawdę niebezpieczne wody. Jej zdenerwowanie rosło wraz z podwyższającym się poziomem wody.

Walczyła z wiosłami. Przy mocowaniu się z nimi złamała dulkę. Przy każdym pchnięciu jedno wiosło wyskakiwało z miejsca.

- Bobby, musisz mi pomóc. - Jenna starała się ukryć niepokój i mówić spokojnie.

Chciała, żeby Bobby przytrzymał wiosło, podczas gdy ona spróbuje zawrócić do brzegu. Cała uwaga syna była jednak skoncentrowana na rybach pływających tuż pod powierzchnią wody.

- Bobby! - powiedziała ostro.

Chłopiec zerknął w stronę mamy. Nie miał ochoty poświęcać jej uwagi. W tej samej chwili upuścił linkę wędkarską za burtę.

Małe dzieci są takie szybkie, zbyt szybkie. Ich decyzje są nieobliczalne, zbyt nieobliczalne. Nie pozostawiają miejsca na rozsądek i na kalkulację.

Bobby przechylił się przez burtę. Chciał złapać oddalającą się linkę. Stwierdził, że za duża kamizelka ratunkowa krępuje jego ruchy. Zrzucił ją. Wychylił się w stronę wody po raz kolejny. Ciężar ciała chłopca po jednej stronie burty. Po chwili chłopiec w wodzie po drugiej stronie burty.

Zrozumiał, że jest w tarapatach. Patrzył na matkę przerażony. Jenna przyzywała syna i wyciągała do niego rękę, ale on nie mógł jej złapać. Miał na sobie ciężki sweter z irlandzkiej wełny. Tak ładnie w nim wyglądał. Dzinsy, buty trekkingowe i duży sweter. Śliczne ubranie podziałało jak ołowiana kotwica. Bobby zniknął pod wodą. Jenna bezskutecznie usiłowała schwytać syna.

Wzywała pomocy. Ktoś stał na przystani, ale dotarłby zbyt późno. Musiała sama skoczyć za Bobbym.

Nie zrobiła tego. Nie mogła się ruszyć. Chciała stanąć na łodzi. Nie mogła. Walczyła z niewidzialną mocą powstrzymującą ją przed jakimkolwiek ruchem. Bez skutku.

Serce Jenny łomotało. Nie była pewna, czy krzyczy naprawdę, czy tylko bezgłośnie porusza ustami. Wydawało jej się, że wyskoczyła za burtę. Widziała siebie. Tak sądziła. Ale siedziała. Nie poruszyła się ani o milimetr. Żaden z jej mięśni nie zareagował na rozkazy. W tym momencie, jakieś pięć metrów od łodzi, dostrzegła Bobby'ego. Głowę miał na powierzchni. Usta otwarte. Nozdrza tuż nad wodą. Kasłał i się krztusił. Wołał matkę. Jenna nie zareagowała. Siedziała uwięziona w nieruchomym ciele.

Wtedy ostatnim wysiłkiem woli, całą swoją mocą, odepchnęła paraliżujący bezwład. Uwolniła się. Odpięła kamizelkę ratunkową. Wychyliła się za łódź. Wzięła wdech i zanurkowała. Woda była gęsta i ciemna. Ani śladu Bobby'ego. Wróciła na powierzchnię, wzięła

kolejny wdech i znów zanurkowała. Oczy piekły ją od chłodu i soli morskiej. Prawie nic nie widziała. Chciała zejść niżej pod wodę. Potrzebowała powietrza. Wyłynęła na chwilę. Coś złapało ją na powierzchni. Walczyła z tym. „Muszę wrócić po Bobby'ego!” - krzyczała. Musiała. Ale dwóch silnych mężczyzn wciągnęło ją na łódź. Jenna chciała się uwolnić. Musiała. Pod wodę. Wrócić po Bobby'ego. Dlaczego ją trzymają? Dlaczego ją powstrzymują?

- Mój synek! - krzyczała.

- Proszę tu zostać, my poszukamy - powiedział jeden z nich.

I dwóch mężczyzn wskoczyło w zimną morską ciemność. Wrócili z niczym. Znowu zanurkowali. Jenna patrzyła za burtę. Trzęsa się. Czekala, aż mężczyźni pojawią się z Bobbym na powierzchni. Mogliby zrobić mu sztuczne oddychanie. Syn Jenny zakaszłałby, odkrztusił wodę i wrócił do życia.

Ale za każdym razem, gdy mężczyźni nurkowali, dwadzieścia, może trzydzieści sekund później wyłaniali się z niczym. Z nikim. Brali wdech i wracali na dół. Jak małe wieloryby. I znów wypływali na powierzchnię. I znów potrząsali głowami. Jenna obserwowała ich z łodzi. Na wybrzeżu zebrali się ludzie i przyglądali się widowisku. Ogarniało ich przerażenie.

Mężczyźni szukający Bobby'ego byli coraz bardziej wykończeni. Obawiali się o własne życie. Lękali się, że zanurkują i nie wrócą na powierzchnię. Ale kiedy spoglądali na twarz Jenny, rozumieli, że nie mogą zrezygnować.

Później pojawiły się inne łodzie. Jedna z nich zabrała Jennę na brzeg. Okryto ją czymś ciepłym i posadzono przy ogniu. Zapewniano, że wszystko będzie w porządku.

Robert wrócił z polowania. Ktoś przywiózł go do Jenny.

I byli razem.

Mąż i żona.

Mąż usiadł koło żony i objął ją ramieniem. A żona wybuchła płaczem. Mąż zaś, który jeszcze nie wiedział, co się wydarzyło, obejmował żonę w dziwny i niezręczny sposób. Jakby widział ją po raz pierwszy w życiu.

CUDZA TRAGEDIA BUDZI w ludziach to, co najlepsze. Dlaczego? Bo ludzie w głębi duszy cieszą się, że tragiczne zdarzenia nie przytrafiły się im. Zaklinają los, pomagając innym - mają nadzieję, że następnym razem również będzie dla nich łaskawy.

Z sąsiedniego miasteczka przybyło dwudziestu, może trzydziestu miejscowych. Przeszukiwali zatokę czymś na kształt haków rybackich z potrójnymi zębami. Przerzucali je za burtę i ciągnęli za łodziami. Mieli nadzieję, że znajdą w ten sposób Bobby'ego.

Jakie to dziwne.

Bobby, który wybrał się na ryby, sam stał się rybą do złowienia.

Poszukiwania trwały do nocy i przez cały następny dzień. Miejscowy szeryf dyskretnie poinformował Roberta o sytuacji. Nie miał optymistycznych wieści. Wspominał o niebezpiecznych przypływach i o ruchomych piaskach. I o nikłym prawdopodobieństwie odnalezienia ciała w głębokiej zatoce.

Wszystko trzymano w tajemnicy przed Jenną, która owinięta w koc siedziała przy ognisku przed domem kultury.

Pod koniec drugiego dnia poszukiwań urzędnicy zakończyli akcję ratunkową. Złożyli stosowne raporty. Tragiczny wypadek, ciało zaginione.

„Załatwmy to szybko i bezboleśnie - mówili. - Matka jest zrozpaczona. Miejsmy to już za sobą”.

Mężczyzna o nazwisku Ferguson, właściciel hydroplanu, zabrał Jennę i Roberta do Ketchikan, skąd lotem 727 dostali się do Seattle, a stamtąd samochodem do domu.

Weszli do mieszkania i włączyli światła. Nic nie zmieniło się od ich wyjazdu. A jednocześnie zmieniło się wszystko.

- Miejmy to już za sobą - powiedział Robert, stając w drzwiach sypialni.

Jenna położyła się na łóżku. Patrzyła w pomalowany sufit.

- To kwestia czasu. Ale musimy spróbować zapomnieć. Tak. Zapomnieć. Odłożyć. Nie myśleć. Nie pamiętać. Iść naprzód. Nie cofać się. Zapomnieć.

Zadzwoił telefon. Serce Jenny podskoczyło. Kolejny dzwonek. Gapiała się na telefon z nadzieją, że ktoś zadzwoni i powie, że to wszystko pomyłka. Że zginął inny chłopiec. Że Bobby jest w drodze do domu.

Podniosła słuchawkę.

- Halo? - zapytała.

Ale odpowiedziała tylko cisza.

- Halo? - powtórzyła.

Wielka pustka.

Wielka cisza.

- Halo? Jest tam ktoś?

TUŻ PRZED ŚWITEM STATEK REJSOWY zacumował kilkaset metrów od wyspy. Przez cały poranek pomarańczowo-białe łódeczki przewoziły turystów z portu i do portu pod Stikine Inn. Jenna przeszła obok grupki dzieci sprzedających minerały i kawałki wędzonego łososia. Dzieciaki poprowadziły ją do portu dla jachtów.

Był tam Eddie. Łódka rybacka, na której pracował i która zwykle znajdowała się w Chignik, wróciła do Wrangell na kilka tygodni przed kolejnymi połowami halibuta. Eddie w miarę możliwości pomagał kolegom.

Dostrzegła łódź. Nazywała się Szafirowy Księżyc i była mniejsza, niż Jenna się spodziewała. Faceci siedzieli na pokładzie i pili piwo. Eddie zdjął koszulkę. Zobaczyła, że słońce opaliło jego skórę na ciemny brąz. Podeszła do łodzi i się przywitała.

Eddie od razu zaoferował jej pomoc w wejściu na pokład. Inni mężczyźni, a było ich pięciu, z ożywieniem zaczęli się przedstawiać. Marc, Chuck, Joel, Rolfe, Jamie. Jamie był najmłodszy. Na widok Jenny jako jedyny włożył koszulkę. Pozostali nie czuli się zawstydzeni wielkimi owłosionymi brzuchami wylewającymi im się ze spodni.

- Piwko? - spytał jeden.

- Nie, dzięki.

Ledwie się poruszyli. Eddie odsunął na bok torbę i wskazał Jennie miejsce obok siebie. Usiadła.

- Znalazłaś Oscara?

- Nie, chociaż szukałam wszędzie. Mam nadzieję, że szeryf go nie dorwał i nie zastrzelił.

- Zastrzelił, jasne - powiedział jeden z mężczyzn. - Zamknąłby oczy, pociągnął za spust i modlił się do Boga, żeby nie wycelować we własną stopę.

Wszyscy zaczęli się śmiać.

- Wróci - dodał jej otuchy Eddie. Wskazał jednocześnie plastikową torbę. - A jeśli nie, halibut będzie tylko nasz.

- Halibut na kolację?

Jenna uwielbiała tę rybę o słodkim, rozplywającym się w ustach mięsie. Najlepsze było duszone na maśle i w winie. Eddie pokiwał głową.

- Marc wybrał trochę kasków dla załogi.

Marc, wielki mężczyzna z ogromną czerwoną brodą, z uśmiechem wypiął pierś.

- O załogę trzeba dbać. Jeden dla nas, dwa dla nich - wyjaśnił, pokazując, jak rozdzielił zdobycz. - Cholera, dobre są tylko surowe. Mam jeszcze kilka w Sound.

- Surowe? - zapytała Jenna.

- Jasne, że tak. Właśnie tak należy jeść halibuty. Prawda, Rolfe?

Rolfe siedział z tyłu, uśmiechał się szerzej niż Marc i kiwał głową. W ustach trzymał małego jointa.

Jenna rozejrzała się po starej, białej łodzi rybackiej. Wyraźnie czuła zapach oleju i glonów. Pokład był wypolerowany słońcem, deszczem, wiatrem i wodą. Łódź sprawiała wrażenie wygodnej i

bezpiecznej. Ale ona słyszała od wujów wiele opowieści o niebezpieczeństwach i o zagrożeniach, o tym, jak łatwo stracić człowieka za burtą.

Ci mężczyźni mieli teraz wolne i mogli zejść na ląd. Jednak nie chcieli. Najwyraźniej z dala od rodzinnych stron Łódź stała się dla nich drugim domem, a może nawet czymś więcej.

Domem i matką.

- Co się stało z twoimi nogami? - spytał Jamie. Ten młody, w koszulce.

Patrzył na Jennę, która bezwiednie dotykała łydek. Przyjrzała się własnej podrapanej skórze. Nie wyglądało to dobrze.

- Zabłądziłam w lesie i się przestraszyłam, bo miałam wrażenie, że ktoś mnie goni. Uciekałam przez kolczaste zarośla.

- Słyszałaś jakieś kroki? - zapytał jeden z mężczyzn.

Jenna nieśmiało pokiwała głową.

- Jestem mieszcuchem. Nie przywykłam do dźwięków lasu.

- To normalne. Kiedy ktoś jest sam w lesie, zawsze słyszy kroki.

Wszyscy przytaknęli.

- Może to była kuszta? - zapytał Rolfe.

Joint był już tak mały, że prawie przypalał mu wargi. Chłopak siedział na skrzyni ze sprzętem, oczy miał zmrużone. Opierał się o maszt. Na kolanie ugiętej nogi postawił puszkę z piwem. Drugą nogę miał wyciągniętą tak, że Jenna widziała podeszwę jego stopy.

- Kuszta? - spytała.

Uniósł brwi, wyciągnął skręta z ust i wyrzucił go do wody.

- Od upiorów, duchów, bestii o długich nogach oraz od innych hałasujących w nocy stworzeń zachowaj nas, Panie.

Rolfe sięgnął do stojącej obok lodówki i wyjął kolejne piwo. Otworzył je, a piana prysnęła na drugi koniec łodzi. Ochlapało Marca, który tylko głośno się zaśmiał.

- Co to jest kuszta? - zapytała Jenna.

Chciała usłyszeć jeszcze raz legendę opowiedzianą przez staruszkę. Chciała sprawdzić historię wartą pięć dolarów.

- To stworzenie z indiańskiej legendy - odparł Rolfe. - Kusztaki przypominają wilkołaki.

- To znaczy?

- To pół ludzie, a pół wydry. Przybierają różne kształty. Dlatego nigdy nie łąz za obcymi w lesie. Obcy może się okazać kuszta, która chce zabrać twoją duszę.

„Ładnie - pomyślała Jenna. - Pół człowiek, pół wydra. Zagubiona w lesie. Kroki. Zmiana kształtów. Tak jak mówiła staruszka. Wszyscy jakby się umówili”.

- Rolfe, odpuść. Nie widzisz, że straszysz dziewczynę?

Eddie ją przytulił.

Rolfe wzruszył bez entuzjazmu ramionami i wsunął w usta kolejnego jointa.

- Mówię tylko, że kiedy jest się samemu w lesie i słyszy kroki, lepiej sprawdzić, czy w pobliżu nie ma kusztaki. To wszystko.

- Człowieku, przecież one nie istnieją! - parsknął Eddie. - Już setki razy zgubiłem się w tych lasach i nigdy nic mi się nie stało. To tylko legenda.

- Ach tak? Powiedz to Whiteyowi Jorgensonowi - powiedział Rolfe.

- Kto to jest Whitey Jorgenson? - zapytała Jenna.

- Eddie, pamiętasz Whiteya, prawda? Jego ojciec, Nils Jorgenson, miał kawałek ziemi przy Instytucie. Kilka krów. Kusztaka schwytała starego Nilsa.

Eddie jęknął i usiadł na relingu.

- Oj, Rolfe, ty i te twoje bajki.

- Nic już nie opowiem.

- Opowiedz - poprosiła Jenna.

- No więc... - Rolfe odchrząknął. - Skoro Jenna chce usłyszeć. ..

Ale żeby Eddie nie był na mnie wściekły

- Mów już! - ponaglił go Eddie.

- Dobra - rzekł Rolfe. Popatrzył na wszystkich wokół. - Stary Nils Jorgenson hodował kilka krów, a mleko sprzedawał w mieście. On, jego żona i Whitey, wtedy jeszcze dziecko, mieszkali przy Instytucie. Byłaś tam?

Jenna potrzęsnęła głową.

- Jest tam stara indiańska szkoła. Kilka kilometrów za miastem. W każdym razie mieli tam farmę bez elektryczności, bez niczego. Pewnego poranka Nils poszedł wydoić krowy. Dwóch zwierząt brakowało. Zniknęły. W miejscu, w którym wcześniej stały, widać było jedynie dwie kałuże krwi. Nils uznał, że krowy kradną indiańscy kłusownicy. Następnego nocy wziął strzelbę i czekał. Czuwał całą noc, ale nad ranem przysnął. Kiedy się zbudził, brakowało kolejnych dwóch krów. Zniknęły. Nic po nich nie zostało, tylko dwie kałuże krwi.

To rozjuszyło Nilsa. Kolejnego nocy wziął stołek i postawił go na naprawdę wysokiej skrzyni, po czym usiadł na nim ze strzelbą. Nad ranem przysnął, ale tym razem spadł ze skrzyni i się obudził. Wiecie, co zobaczył? Czterech lub pięciu mężczyzn wokół jednej z krów, którzy wgryzali się w kark zwierzęcia, aż krew tryskała na wszystkie strony. A kiedy krowa w końcu padła, wyciągnęli ją ze stajni i zajęli się drugą. Nils wstał, wycelował strzelbę w tył głowy jednego z tych mężczyzn i warknął: „Pójdiesz do piekła, kłusowniku”. A kiedy

już miał wypalić, mężczyzna się odwrócił. Nils zobaczył swojego brata, który kilka lat wcześniej utonął podczas połowu. Możecie o to zapytać Eddiego. Wie o bracie Nilsa.

Rolfe popatrzył na Eddiego. Ten zaś przewrócił oczami i wzruszył ramionami.

Chłopak kontynuował:

- Nils powiedział do brata: „Myślałem, że utonąłeś”. „Nie - odparł brat. - Ci mili ludzie mnie uratowali. Chodź, pokażę ci, gdzie mieszkam”. I Nils poszedł z bratem.

Następnego dnia żona Nilsa odchodziła od zmysłów. Nigdzie nie było jej męża. Zniknęły wszystkie krowy. Przestraszyła się, że kłusownicy przyjdą również po nią, więc w nocy spała z nożem rzeźniczym pod poduszką.

Obudził ją hałas. Ktoś się włamał i wystraszył ją na śmierć. Ale po chwili usłyszała głos męża. „Kochanie - powiedział. - Wróciłem. Znalazłem brata. On żyje. Zabrał mnie do miejsca, w którym mieszka. Tam jest naprawdę pięknie. Przyszedłem po ciebie”. Żona się ucieszyła i chciała zapalić lampę naftową. „Światło jest niepotrzebne” - stwierdził Nils. „Potknę się i upadnę, jeśli nic nie będę widzieć” - odrzekła żona i zapaliła lampę.

Kiedy spojrzała w blasku lampy na męża, zamarła. Miał dziwaczne oczy i ostre małe zęby. Wyglądał tak diabolicznie, że serce zaczęło jej bić jak szalone. Słyszała już wcześniej indiańskie opowieści o kusztakach. Wiedziała, że to wydry, które mogą przybrać dowolną postać. Ale nie potrafią odmienić swoich oczu i zębów.

Żona tak się przeraziła, że wyciągnęła spod poduszki nóż i dźgnęła nim Nilsa prosto w serce. Zabiła go na miejscu. Wzięła w ramiona małego Whiteya i pobiegła w stronę miasta, krzycząc.

Napotykanym po drodze ludziom mówiła, że zabiła męża, ponieważ był kusztaką. Wszyscy się śmiali. Podobnie jak Eddie, nikt nie wierzył w te istoty. Ludzie udali się do domu na farmie, żeby sprawdzić, co tam tak naprawdę zaszło. Nie znaleźli jednak ciała starego Nilsa. Ale wiecie, co odkryli?

Rolfe przysunął się do Jenny i popatrzył jej prosto w oczy.

- Na podłodze przy łóżku leżała mała wydra. I niech mnie diabli, jeśli nie miała wbitego w serce starego rzeźniczego noża.

Rolfe zgniótł puszkę po piwie i wrzucił ją do wody.

- Tej nocy żona Nilsa spaliła martwe zwierzę. To jedyny sposób, żeby uchronić duszę przed porwaniem przez kusztakę. Dlatego Indianie z plemienia Tlingit swoich zmarłych powierzają ogniewi. By ich ocalić.

Na chwilę na łodzi zapadła cisza. Jenna czuła, że wszystkich wciągnęła ta opowieść. Uwierzyli.

- Hej, Eddie! - zawołał Marc. - Pokaż jej zęby, żeby nie myślała, że jesteś jednym z nich.

Wszyscy zaczęli się śmiać. Nawet Eddie wyszczerzył się do Jenny. Rozdziawił usta palcami tak, że pokazał zęby oraz dziąsła. Jenna jednak nie podzielała beztroski reszty. Jej myśli galopowały. Wiedziała coś, o czym oni nie mieli pojęcia. Zęby i oczy wydry. Istota, która zmienia się szybciej, niż człowiek zdąży mrugnąć okiem. Futrzasty chłopiec. Latający niedźwiadek. Świr leśny. Mogą przybierać dowolną postać, ale ich czarne oczy i ostre zęby pozostają niezmiennie. Przebiegł ją dreszcz. Eddie dotknął pleców Jenny.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Tak. Boję się takich opowieści. Po obejrzeniu horroru *Omen* przez rok musiałam spać przy zapalonym świetle - odparła.

Wszyscy wybuchli śmiechem. Rolfe znowu niedbale oparł się o burtę. Jamie otworzył następne piwo. Jenna odwróciła się do Eddiego.

- Pójdę poszukać Oscara i trochę pospaceruję. Naprawdę na kolację będzie halibut?

- Mówisz, masz.

Jenna zeszła na przystań i odwróciła się, aby pomachać Eddiemu i reszcie na do widzenia. Za łodzią, na środku zatoki, dostrzegła małą wyspę, na której stał wielki drewniany dom i kilka totemów. Po wyspie spacerowali turyści.

- Co to jest? - zawołała Jenna, pokazując wyspę. Eddie popatrzył w tamtą stronę.

- Chief Shakes Island. Shakes był wielkim wodzem Tlingitów. Myślę, że ostatni członek plemienia zmarł około dwudziestu lat temu. Wyspa to tutaj największa atrakcja turystyczna. Koniecznie tam popłyń.

Jenna pokiwała głową.

- Zastanowię się nad tym... Do zobaczenia, panowie. Rolfe, dzięki za opowieść.

Rolfe zasalutował.

Jenna ruszyła z powrotem do miasta.

UMIERAŁA Z GŁODU. Postanowiła pójść do baru na Main Street i zjeść lunch. Było tam pełno kobiet, które paliły papierosy i piły kawę. Usiadła przy barze. Zamówiła miskę zadziwiająco smacznej grochówki z grzankami z masłem.

W połowie posiłku do Jenny przysiadł się młody mężczyzna. Zamówił cheeseburgera. Miał ze sobą plecak ze śpiworem i futerał na gitarę. Był przystojny, choć wyglądał trochę niechlujnie - jak Jack

Kerouac, tylko że w lepszej sytuacji finansowej.

Jadł cheesburgera w milczeniu, ale wciąż zerkał na Jennę. Takie zachowanie zawsze ją wkurzało. Podobnie jak bezsensowne rozmowy z nieznanymi w samolocie. Niemniej przyjaciółka Jenny poznała w ten sposób męża - miała miejsce obok przyszłej teściowej. Obie przeprowadziły cudowną, głęboką rozmowę, aż starsza pani stwierdziła, że musi przedstawić dziewczynę synowi. Reszta, jak mówią, to zupełnie inna historia.

- Przepraszam... - zagadnął ją chłopak.

Jenna spojrzała na niego i zmusiła się do uśmiechu.

- Właśnie dotarłem do miasta i zastanawiam się, czy to jedyny hotel - zapytał, wskazując Stikine Inn.

- Znajdziesz inny, bliżej lotniska. Ale nie wiem, jak tam jest.

Pokiwał głową i zjadł kilka frytek.

- Jak sądzisz, mogę rozbić namiot w parku?

- Nie mam pojęcia. Nie jestem stąd. Musisz zapytać kogoś innego.

Pokiwał głową z rozmysłem. Napił się coli. Jenna miała nadzieję, że na tym się skończy, ale obawiała się najgorszego. Bardziej zobowiązującej rozmowy. Powinna była zająć miejsce przy stoliku.

- Płynęłaś już statkiem wycieczkowym? - zapytał.

- Nie - odparła, starając się nie okazywać zniecierpliwienia.

- Zatrzymałaś się w hotelu? - zapytał, ponownie wskazując Stikine Inn.

- Nie - odpowiedziała. - U przyjaciela.

- Aha, to najlepsza opcja. Zawsze próbuję tak robić. Oszczędza się w ten sposób trochę grosza.

Zaśmiał się i odgryzł kawałek cheeseburgera. Jenna wróciła do grochówki, którą chciała skończyć jak najszybciej. I wyjść.

- Przepraszam, że tak dużo gadam - powiedział obcy przepraszającym tonem. - Podróżuję samotnie. Uwielbiam rozmawiać z ludźmi.

Jennie zrobiło się żal chłopaka. Wyglądał miło. Ale jej naprawdę nie obchodziło jego życie. Głowę miała zaprzątniętą czym innym. Nie chciała, żeby jej przeszkadzano. Zawsze jednak starała się zachowywać uprzejmie, więc pociągnęła rozmowę:

- Skąd jesteś?

Mężczyznę zdziwiło zainteresowanie Jenny. Aż się zakrztusił. Gdy przestał kaszleć, odpowiedział:

- Oklahoma. Przyjechałem do Skagway motocyklem. Potem go sprzedałem. Z trudem. To był pierwszy motocykl, którym udało mi się przebyć drogę z Oklahomy na Alaskę. Stare bmw z bocznym siedziskiem. Niemcy potrafią budować dobre maszyny. Sprzedałem motocykl za bilet na prom z powrotem do Bellingham. Potem chciałybym znaleźć pracę na zimę i znowu wyruszyć w podróż.

- Dokąd pojedziesz?

- Pojedziemy. Ja i moja gitara. Pewnie do bliżej nieokreślonego miejsca lub miejsc. Ale co tam. Najważniejsza jest muzyka. Muzyka na autostradzie życia.

Jenna poprosiła o rachunek. Wystarczy dobrych uczynków na jeden dzień. Miała już dość pogawędki z obibokiem, który ma dziewczynie romantyczną wizję życia.

- Czas na mnie - powiedziała, wstając. - Miło się rozmawiało. Powodzenia.

Ruszyła w stronę kasy.

- Wielkie dzięki. Hej! Nie powiedziałaś, jak się nazywasz. Lubię znać imiona ludzi, którzy byli dla mnie mili. Chcę ich wymienić w mowie, którą wygłoszę, kiedy dostanę Grammy.

- To urocze. Mam na imię Jenna.

- Jenna - powtórzył. Wziął ją za rękę i popatrzył w oczy. - Świetnie się z tobą rozmawiało. Ja jestem Joey.

Jenna zapłaciła rachunek i wyszła z baru. Skręciła w prawo i ruszyła w stronę Chief Shakes Island. Joey odprowadził ją wzrokiem, potem szybko uregulował rachunek i zapytał kelnerkę o najbliższy telefon.

DREWNIANY MOSTEK PROWADZIŁ na małą wyspę. Na spokojnej wodzie u podstawy przęsła podtrzymujących most zbierała się brązowa piana, a w powietrzu unosiła kwaśna woń gnijących ryb.

Jenna szybko przeszła na drugą stronę. Wkroczyła na spaloną trawę wyspy. Dołączyła do grupy turystów, którzy z przejściem pstrykali nieskończenie wiele zdjęć w podobnych pozach.

Pośrodku wyspy stał dom wodza Shakesa. Budynek miał piętnaście metrów szerokości i trzydzieści długości. Otaczało go osiem wysokich totemów. Miedziana tabliczka przytwierdzona do granitowej skały wyjaśniała, że wyspa jest narodowym dziedzictwem kulturowym i że kilka lat wcześniej przywrócono ją do pierwotnego stanu. Wspomniano również, że totemy są duplikatami oryginałów znajdujących się w muzeum w Juneau. Totemy chroniły muzeum przed żywiołami.

Od frontu na domu wodza Shakesa wymalowano czarne i czerwone oblicza. To były jakby twarze w twarzach, które stawały się coraz mniejsze i mniejsze. Przypominało to gabinet luster i obraz powielony w kolejnych zwierciadlanych taflach.

Do środka można było wejść przez niewielki, zasłonięty czerwonym pledem otwór w ścianie.

Wewnątrz było chłodno i ciemno. W każdym rogu pomieszczenia stały totemy pokryte skomplikowanym wzorem przedstawiającym twarze. Niektóre miały oczy z masy perłowej, zwierzęce zęby lub ludzkie włosy, co Jennie wydało się przerażające. Podłogi wyłożono drzewem cedrowym, ale na środku pozostawiono klepisko, na którym stały gliniane garnki. Miejsce na palenisko. W stropie widniał otwór wentylacyjny. Wzdłuż wszystkich ścian umieszczono rzeźby i rozmaite dekoracje.

Jenna uważnie przyglądała się płaskorzeźbom. Miała nadzieję, że znajdzie gdzieś wizerunek kusztaki. Zdziwiła się, że tak szybko trafiła na właściwą twarz. Sądziła, że będzie znacznie trudniej, jak wtedy, kiedy zwiedzała Notre-Dame i chciała odszukać gargulca puszczającego oko. Tymczasem poszło zaskakująco szybko. Złowrogie oblicze po prostu pojawiło się nagle przed Jenną. Znajdowało się przy podłodze, na totemie w północno-wschodnim rogu pokoju. Dostrzegła je z drugiego końca pomieszczenia

Jenna podeszła szybko do słupa. Uklękała, by dokładniej przyjrzeć się płaskorzeźbie. Ciało wodnego stworzenia z dwiema twarzami, jedna skierowana w dół, a druga w górę, zastygłe jakby w walce.

Wizerunek był ukryty pośród innych. Jakby artysta wykonał go niechętnie, tylko z poczucia obowiązku. Jenna zdjęła srebrny naszyjnik i porównała go z istotą przedstawioną na totemie. Wyglądał podobnie.

„To logiczne” - pomyślała. Indianie często przedstawiali różne zwierzęta. Wizerunki zestawione w określony sposób nie były przypadkowe, opowiadały jakąś historię. To naturalne, że natykała się

na podobne symbole. Tylko dlaczego wciąż trafiała na kusztakę? A nie na przykład na wieloryba zabójcę lub na żabę? Dlaczego Debbie, dziewczyna z promu, wybrała dla Jenny właśnie ten amulet? Dlaczego Rolfe opowiedział jej historię związaną z kusztaką? Co to za mężczyzna z czarnymi oczami i ostrymi zębami gonił ją w lesie? Może chciał odebrać jej talizman?

Odwróciła się i ogarnęła wzrokiem izbę, jakby szukała kogoś, kto zna odpowiedzi na jej pytania. I znalazła. Za stołem z puszką po kawie z napisem „darowizny” siedział stary Indianin ubrany w koszulkę z napisem *Snapple*. Jenna podeszła do niego, przepychając się obok fotografów amatorów. Wrzuciła do puszek dziesięciodolarowy banknot. Łapówka.

Staruszek uśmiechnął się do Jenny, a ona położyła na stole swój naszyjnik. Podniósł go i potarł palcem wskazującym i kciukiem. Przyjrzał się wygrawerowanej postaci. A potem odłożył amulet.

- Co to jest? - spytała Jenna.

Mężczyzna patrzył na nią beznamiętnie. Potem wskazał róg pokoju, gdzie Jenna znalazła płaskorzeźbę.

- To samo, co oglądałaś - odpowiedział.

- Ale co to jest? - Po raz kolejny potrzebowała potwierdzenia.

- Kusztaka.

Jenna już знаła to słowo. Jednak sposób, w jaki mężczyzna je wypowiedział, zabrzmiał przejmująco. Teraz wydało się rzeczywiste. Materialne. Opisywało konkretne zjawisko. Ale czy na pewno konkretne? Tego Jenna nie wiedziała.

- A co to jest kusztaka? - zapytała.

- Duch Tlingitów. Duch wydry. Wszystkie duchy zwierząt dysponują mocą, ale kusztaką jest istotą, której energii szaman

potrzebuje najbardziej. Bez tego nie jest w pełni szamanem.

Indianin niczego Jennie nie wyjaśnił. Nie powiedział nic, co mia-
łoby sens. A ona nie chciała zagadek. Potrzebowała gotowych roz-
wiązań.

- Dlaczego kusztaka jest taka silna?

- Kruk obdarował ją mocą zmieniania postaci. I powierzył jej
opieczę ziemię i morze.

Jenna zaczęła się irytować.

- Myślałam, że kusztaki wykradają ludzi - rzuciła. Mężczyzna
się zaśmiał.

- Kusztaka kradnie dusze. Od Kruka otrzymała władzę nad la-
sami i morzami. Odnajduje w nich zagubione, słabe, umierające du-
chy. A później przemienia w kusztaki.

- I to źle?

- Bardzo źle. Tlingici odradzają się wielokrotnie. Kiedy ktoś
odchodzi, palą ciało, aby dusza bezpiecznie dotarła do Krainy Umar-
łych. Stamtąd powraca do rodziny. Ale jeśli kogoś odnajdzie kuszta-
ka i na przykład ocali przed utonięciem, to koniec. Ta dusza na zaw-
sze zostaje uwięziona w ciele kusztaki.

Jenna przypatrywała się mężczyźnie przez chwilę.

- Ocali przed utonięciem?

Starzec pokiwał głową.

- Rybacy często przewracają się w *canoe*. Jakiś czas utrzymują
się na wodzie, ale w końcu zwycięża zmęczenie. Wtedy pojawia się
kusztaka pod postacią członka rodziny. Woła, żeby tonący poszedł
za nią. Rybak ulega.

Tonie. Woła. A matka patrzy, jak dziecko znika pod wodą.

Jenna odruchowo odsunęła się od Indianina. Była zbyt blisko.
Widziała go dobrze, nawet w pogrążonym w półmroku pokoju.

Stary jakby czuł, że Jenna coś ukrywa. Jakby czytał w jej duszy.

Cofnęła się o kilka kroków. Dystans. Odległość. Bezpieczeństwo.

- Kusztaka rzuca zakłęcie na ofiarę. Sprawia, że czuje się senna i zmęczona. Zabiera jej siły, żeby nie mogła się poruszyć.

Jenna przypominała sobie, że nie mogła wtedy nawet drgnąć. Ogarnął ją bezwład. Paraliż. Patrzyła, jak Bobby pogrąża się w ciemności.

- A kiedy kusztaka zwycięża, zabiera ofiarę do swojej nory. Tam dokonuje się ostateczny proces przemiany.

Niebezpieczny przypływ. Piaszczyste dno. Ciała nie odnaleziono.

Cofnęła się jeszcze o krok, ale nagle drewniana podłoga się skończyła. Noga ześlizgnęła jej się z krawędzi paleniska i Jenna upadła.

Staruszek wstał zza stołu, by pomóc dziewczynie. Z troską pytał, czy nic się nie stało. Kilku turystów już podeszło do Jenny, która dźwignęła się na kolana i popatrzyła na starego Indianina.

- Czy można ocalić kogoś przemienionego?

Starzec popatrzył na nią w milczeniu. Jenna chciała chwycić mężczyznę za koszulkę, potrząsnąć nim, zmusić go do wyznania prawdy. Wyciągnęła rękę, ale nie zdołała tego zrobić. Jej dłoń opadła koło kostki mężczyzny.

- Jak można kogoś uratować? - domagała się odpowiedzi.

Indianin przyglądał się Jennie. Jego twarz była pomarszczona jak pieczone jabłko. Miał spróchniałe i krzywe zęby. Ale chyba zrozumiał, że Jenna musi poznać odpowiedź, że od tego zależy reszta jej życia.

- Wyłącznie szaman. Tylko on może uratować duszę. Wyłącznie szaman.

Jenna czuła ból kostki. Ludzie zgromadzeni wokół chcieli pomóc, ale ona ruszyła ku wyjściu. Potrzebowała wydostać się na słońce. Zaczepnąć powietrza. Nie chciała siedzieć dłużej w drewnianym pudle, w gorącej trumnie pełnej przeпоconych ludzi. Przepchnęła się przez otwór, potrącając kogoś. Nie miała czasu na przeprosiny.

- Hej!

Odwróciła się na chwilę. To był chłopak z baru. Jak miał na imię? Jennie zrobiło się niedobrze. Ruszyła w stronę mostu. Kuląła przez stłuczoną kostkę. Jednak to nie z powodu upadku czuła się źle.

Kiedy dotarła do mostu, smród martwych ryb zrobił swoje. Przechyliła się przez poręcz i zwymiotowała.

Odwróciła się w stronę wyspy. Zobaczyła dużą grupę ludzi. Szli w jej kierunku. O nie. Znowu chcą pomóc. Krzyczeli coś do Jenny. Zapewniali troskliwie, że wszystko będzie dobrze. Spanikowała. Szybko przebiegła na drugą stronę mostu. Do domu Eddiego. Musi wrócić jak najszybciej. Nie mogła spojrzeć tym ludziom w oczy i stwierdzić, że wszystko w porządku. Bo nic nie było w porządku. Odkryła prawdę. Wiedziała, co się wydarzyło.

Bobby nie umarł. Jej syn nie utonął.

Jej chłopczyk stał się kusztaką.

DWADZIEŚCIA LAT WCZEŚNIEJ szeryfowi Larsonowi wydawało się, że jest jak Andy Griffith z Mayberry*. Nie miał niczego poza starym wozem policyjnym i kilkoma celami więziennymi. Odpowiadał za prawo i porządek w świecie wolnym od przestępstw. Jego służba ograniczała się do okazjnego rozdzielania bijących się w barze pijaczków. Kara zawsze była taka sama: noc za kratkami i czyszczenie celi przez cały weekend.

* *The Andy Griffith Show* - amerykański sitcom, którego bohaterem jest owodwiał szeryf z Mayberry.

Jednak we Wrangell wszystko się zmieniło. Stare dobre czasy minęły. Kiedyś sprzątało się puszki po piwie. Teraz fiolki po cracku. Nowe narkotyki, tanie i szybkie w działaniu, upowszechniły się na Alasce i zmieniały przestrzegających dotychczas prawa mieszkańców w ćpunów. Młodzi przyjezdni włamywali się do domów i kradli. Kto dawniej słyszał o czymś takim?

Inne rzeczy też się zmieniły. Szeryf Larson miał nowy samochód. Wspaniałego mustanga o wyrazistym kolorze, z aerodynamicznymi lampami w kształcie litery V umieszczonymi na dachu. Mustanga zasponsorowało Larsonowi miasto, ponieważ miało nadzieję, że wóz

odstraszy przestępców, skoro szeryf nie może. Akurat!

Miasto najęło także trzech nowych pracowników komendy, których wyposażyło w dziewięciomilimetrową broń. To jednak również nie pomogło. Larson próbował im wyjaśnić, że zbrodnia jest jak choroba. Nie można jej pokonać, lecząc jedynie objawy. Zachodnia medycyna, podobnie jak zachodnie prawo, nie rozumieją, że ciało należy traktować jako całość. Leczenie trzeba zacząć od odkrycia przyczyn przypadłości. Tylko wtedy pomoże się choremu. Krzywe drzewo można wyprostować po wielu skomplikowanych zabiegach, lecz jego korzeń na zawsze pozostanie splątany. To samo dzieje się z chorym społeczeństwem.

Szeryf nauczył się tego od wietnamskiej dziewczyny, którą pokochał. Piechota morska w zaledwie trzy miesiące zmieniła Larsona w bestię. Mai poświęciła dwa lata, żeby na nowo nauczyć go, jak być człowiekiem. I mężczyzną. Poświęciła nie tylko te dwa lata, lecz także życie, bo zabił ją rak.

Larson rozpylał w dżungli zabójcze defolianty, jak mu rozkazano. To one odebrały mu to, co kochał najbardziej - a wyrządzona szkoda zemściła się na nim. Ironia? Nie. Ironia jest wymysłem kultury białych. To była tylko lekcja, po której musiał się podnieść, nie tracąc wiary. Każdy dostaje od życia własną naukę. Larson miał szczęście, że to rozumiał. Wrócił do rodzinnego miasta, zaczął pracę na rzecz społeczeństwa i starał się naprawić, co mógł.

Każdego poranka przemierzał miasto swoim lśniącym autem. Mieszkał samotnie z daleka od autostrady. Tam, gdzie kończy się asfalt, a zaczyna żwir. Z okien miał widok na wodę. Jego dom był jedyny w obrębie wielu mil, ale to właśnie lubił w nim najbardziej. Co dzień rano o szóstej pozwalał sobie na małą przyjemność. Pruł

autostradą prawie sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, korzystając w pełni z możliwości silnika. Musiał przecież od czasu do czasu udowodnić sobie (i miastu), że wóz jest sprawny i gotowy do akcji. Tak na wszelki wypadek. Gdyby któregoś dnia kiedyś miało wydarzyć się coś ekscytującego.

Droga zazwyczaj była pusta. Larson uważał jednak na zakrętach. Pewnego razu omal nie rozjechał jelenia. Mógł zginąć i on, i to nieszczęsne zwierzę. Ale na prostych odcinkach rozwijał maksymalną prędkość i czekał, aż kabinę wypełni przyjemny świst pracującego silnika.

Był wilgotny poranek. Piąta pięćdziesiąt trzy. Szeryf Larson rozpedził się do ponad stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Nagle bardzo mocno wcisnął pedał hamulca. Wydawało mu się, że prawa noga przebija za chwilę podłogę samochodu i zawadzi o asfalt. Tego dnia po raz pierwszy skorzystał z automatycznego systemu hamowania, który działał w takim tempie, że samochód stawał niemal natychmiast na śliskiej nawierzchni.

Tym razem szeryf nie zobaczył jelenia. Na drodze, metr od przedniego zderzaka, tuż przed maską samochodu, stało zastygłe z przerażenia dziecko. Mały, około sześciolatekni biały chłopiec. Wzrost: sto dwadzieścia centymetrów. Waga: około dwudziestu pięciu kilogramów. Ciemne, półdługie kręcone włosy. Szeroko otwarte oczy. Maluch zamarł niczym dzikie zwierzątko w świetle reflektorów.

Szeryf wziął głęboki oddech i zaparkował. Zastanawiał się, co by się stało, gdyby rozjechał dziecko. Serce mu waliło. Kolejna uczta dla robactwa i ptaków. Wysiadł z samochodu i popatrzył na chłopca. Ten ani drgnął.

- Nic ci się nie stało?

Śmiertelnie przerażony sześciolatek nie odpowiedział.

„Porusza głową jak zwierzę” - pomyślał szeryf. Dzieciak spoglądał to na niego, to na przedni zderzak, to na las po prawej stronie auta. Szeryf również skierował wzrok w stronę ściany drzew. Już wiedział, co interesuje chłopca - przyczajony warczący owczarek niemiecki. Larson rozpoznał psa. To ten, którego przygarnęła kobieta ze Stikine Inn. Pies zaszczeakał i wbiegł na drogę. Chłopiec przemknął na drugą stronę szosy, na skraj lasu.

- Czekaj, stój! - Szeryf Larson nie do końca rozumiał, co się dzieje. Domyślił się, że dzieciak prawdopodobnie ucieka przed psem. - Hej, kudłaty, chodź no tutaj - zawołał zwierzaka, który zaczął ujadać jeszcze wścieklej.

Szeryf odwrócił się do dziecka.

- Wszystko w porządku, synu?

Ruszył w jego kierunku. Chłopiec wzdrygnął się, a pies ruszył w jego stronę. Złapał malca za ramię. Dzieciak zrobił unik i walnął psa pięścią w łeb. Uderzenie nie wyglądało na silne, ale z pewnością było celne. Pies się wycofał. Dzieciak wykorzystał sytuację i popędził do lasu, a szeryf rzucił się na owczarka i złapał go za obrozę. Pies wył, gryzł i walczył, ale się nie uwolnił. Nie miał szans. Szeryf Larson był postawnym mężczyzną. Wziął psa na ręce, wrzucił na tylne siedzenie samochodu i zatrzasnął drzwi.

Przeglądał się uważnie ścianie lasu. Szukał wzrokiem chłopca. Bez skutku. Zawołał go, ale bez odpowiedzi. Zwierzak wwozie dostawał szału. Desperacko atakował zamknięte okna. Za wszelką cenę próbował wydostać się na zewnątrz.

Szeryf zaryzykował. Wszedł do lasu, ale niezbyt głęboko. Zaczął wołać dzieciaka, lecz ciągle oglądał się za siebie. Nie chciał stracić samochodu z pola widzenia. Nie chciał się zgubić. Wiedział, jak

zwodnicze potrafią być tutejsze lasy. Pełne pułapek. Pełne niebezpieczeństw. Człowiek może się w nich zatracić pośród ciemności i nie odnaleźć drogi powrotnej.

Larson nigdzie nie zauważył chłopca. Poczul się nieswojo. Co dzieciak mógł robić w lesie? Przebiegł go dreszcz. Wrócił do samochodu. Pies się uspokoił. Szeryf mimo wszystko błogosławił kratę zamontowaną pomiędzy przednimi a tylnymi siedzeniami.

Kiedy dojeżdżał do miasta, postanowił wysłać kilku funkcjonariuszy, żeby sprawdzili teren. Czuł jednak, że niczego nie znajdą. Dzieciak był szybki i nie wyglądał na rannego. Pewnie już bezpiecznie dotarł do domu. I na tym koniec. Teraz szeryf musiał postanowić, co zrobić z przeklętym psem.

JENNA WRÓCIŁA DO DOMU EDDIEGO. Owinęła ściereczką plastikową torebkę z lodem. Otuliła ramiona kocem leżącym na sofie. Usiadła przed domem na drewnianej ławeczce i przycisnęła okład do bolącej kostki. Próbowwała zapanować nad rosnącym niepokojem. I zagubieniem.

Bo Jenna była zdezorientowana. Nie do końca rozumiała to, co ją spotyka. Istniały dwie możliwości. Pierwsza: że duszę jej syna ukradły duchy plemienia Tlingit. Małe, futrzaste stworzenia, które otwierają skorupy małż i barszkują w zatoce. I druga: Jenna ześlizgiwała się do wrzącej kadzi obłędu. Obie opcje się wykluczały. Albo-albo. Nie istniało rozwiązanie pomiędzy. „Jestem trochę szalona i ewentualnie istnieją duchy”.

Nie.

Albo-albo.

Jenna musiała sprawdzić, która wersja jest tą prawdziwą.

W tym wszystkim starała się nie tracić poczucia humoru. Podejrzewała, że gdyby traktowała siebie i świat zbyt poważnie, już trafiłaby do wariatkowa. By nabrać do sprawy dystansu, zamierzała o wszystkim powiedzieć Eddiemu. Wyznać mu, że ma szalony plan i

jeśli go nie zrealizuje, nie odkryje, czy oszalała, czy jej syna rzeczywiście porwały kusztaki. Miała nadzieję, że w odpowiedzi na tę szczerość nowy przyjaciel nie uzna jej za wariatkę. Chociaż sama prawdopodobnie by to zrobiła

W tej samej chwili Jenna się uśmiechnęła. Spozobregła Eddiego. Szedł w kierunku domu z reklamówką w ręku. Przymknęła oczy. Miała nadzieję, że nic nie wyczyta z jej twarzy. Miała nadzieję, że pominie milczeniem jej uśmiech. Ale kto mógłby się oprzeć uśmiechowi? Ta cała sytuacja między nią a Eddieem zmierzała do katastrofy. Tragikomedia.

Cóż. Jenna nie tylko traciła rozum, ale też zadurzyła się w dopiero co poznanym facecie.

Eddie dotarł na ganek i stanął przed Jenna, która nadal miała zamknięte oczy.

- Puk, puk.
- Kto tam? - Jenna podjęła zabawę.
- Ananas.
- Jaki Ananas?
- Anna nas zaprasza na sałatkę z ananasa.

Jenna otworzyła oczy i się zaśmiała.

- Tylko na tyle cię stać?
- Pozostałe wersje „puk, puk”, które znam, są nieprzyzwoite. Co się stało z twoją nogą?

- Wpadłam do paleniska.
- Do jakiego paleniska?
- W domu wodza Shakesa.

Pokiwał głową.

- Nieźle. Głodna?

Przytaknęła. Nie poruszyła się jednak. Chciała mieć tę rozmowę

za sobą. Nie zamartwiać się dłużej.

- Możemy zamienić słowo? - zapytała.

Wzruszył ramionami.

- Jasne. Tylko wypakuję zakupy.

Wszedł do domu, głośno otworzył drzwi lodówki i wrzucił do niej jedzenie. Po chwili wrócił i usiadł na poręczu.

- Co tam?

Jenna odchrząknęła. Serce biło szybko. Czuła się, jakby miała skoczyć pod wodę.

- Wiesz, że jestem mężatką.

Potwierdził.

- Ostatni raz na Alasce byłam kilka lat temu. Wtedy przyjechałam tu z rodziną na wakacje. Ja, mój mąż i syn.

- O, rozumiem... - Eddie wydawał się lekko zdziwiony. Wcześniej nie wspominała o dziecku. Z jakiego powodu zrobiła to teraz? Eddie nie był pewien. Dla niego wszystko, co dotyczyło Jenny, było zagadką.

- Mój syn wtedy utonął. Wypadł z łodzi i utonął.

- O Boże... Bardzo mi przykro.

- Nie, nie chcę współczucia. Słuchaj, Eddie, odkąd tu przyjechałam, dzieją się dziwne rzeczy. Ktoś mnie gonił w lesie. Sam widzisz zadrapania. Miałam też wrażenie, że ktoś obserwuje mnie pod prysznicem. A Rolfe opowiedział dzisiaj tę historię...

- O kuszta?ce?

- Tak, o kuszta?ce. I to wszystko zaczyna mieć dla mnie sens. A z drugiej strony jest go pozbawione. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Pokiwał jeszcze raz głową. Ciągłe to kiwanie. Jenna wzięła głęboki oddech i mówiła dalej. Musiała to w końcu z siebie wyrzucić:

- Myślę, że kuszta?ka ma coś wspólnego ze śmiercią mojego syna.

Chcę to zweryfikować. Mężczyzna w domu wodza powiedział, że tylko szaman może pomóc w takim wypadku. I chcę skontaktować się z szamanem. Mówię o tym, bo chcę być wobec ciebie w porządku. Pewnie pomyślisz, że mam nie po kolei w głowie, i będziesz chciał, żebym się wyprowadziła. Albo przestraszysz się, że wstanę w środku nocy i dźgnę cię w serce rzeźniczym nożem, bo uznam, że jesteś jednym z nich. Ale nie martw się. Nie zrobię tego. Nie jesteś jednym z nich, ja także nie jestem, ale ktoś jest. Dlatego muszę znaleźć szamana.

Przerwała. Nie miała pojęcia, co jeszcze powiedzieć. Nie była pewna, czy Eddie zrozumie.

- To jest teraz dla mnie najważniejsze - zaczęła znów mówić. Głos jej drżał. Czuła własne emocje na powierzchni, tuż pod skórą. Nie chciała tracić nad sobą kontroli, ale pragnęła, żeby Eddie zrozumiał. - Chodzi o Bobby'ego. O mojego syna. Rozumiesz?

Eddie zaczekał, aż Jenna zaczerpnie powietrza. Znowu pokiwał głową.

- Rozumiem.

Przez dłuższą chwilę siedzieli cicho.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Tak. A z tobą?

- W porządku. - Spojrzał Jennie głęboko w oczy. - Dzięki, że mi o tym powiedziałaś.

- Musiałam.

- Nie musiałaś.

- Chciałam - odparła Jenna. - Wiesz - mówiła dalej - nie jestem pewna, jak się tutaj znalazłam. Uciekłam od męża w środku nocy, wylądowałam na promie, a teraz siedzę tutaj z tobą i nie wiem, jak do tego doszło. W pewnej chwili zaczęło się dziać coś niewytłumaczalnego. Kusztaka. Nie mogę ignorować wydarzeń, które mnie tu

doprowadziły. Być może przeżywam załamanie nerwowe. Być może tracę zmysły. Desperacko chwytam się jakichkolwiek wyjaśnień, żeby poznać prawdę. Nie mam pojęcia, o co chodzi.

- Brak zdrowego rozsądku nie jest chyba twoim problemem.
- Dziękuję. Chyba jednak... Kiepsko się czuję, opowiadając ci o wszystkim. Nawet cię nie znam. To nie w porządku, tylko...

- Mów dalej.

- ...tylko... Kiedy ludzie tracą kogoś ukochanego, czasem zwracają się ku religii. To potwierdzone naukowo. Słyszałam o tym od kilku terapeutów. Ludzie szukają wsparcia w wierze. Niektórzy terapeuci nawet to zalecają. Człowiek, który wierzy w jakąś wyższą istotę, może zrzucić z siebie odpowiedzialność za czyjąś śmierć, rozumiesz? Może sobie tłumaczyć: „Trudno, tak miało być”. Może przestać się zadręczać. Ale ja tego nie zrobiłam. W nikogo ani w nic nie uwierzyłam. Byłam przy śmierci syna. Widziałam, co się stało. I wiem, że nie tak miało być. Wydarzyło się coś złego i strasznego.

- A teraz kuszaka...

- Przyjechałam tu, kierując się impulsem. I każdy, kogo spotykam, opowiada mi kolejną historię o kuszace. Wydaje mi się, że widziałam te stworzenia. Dwa razy. Nigdy nie przejmowałam się takimi bajkami. Ale tutaj naprawdę dzieje się coś dziwnego. Muszę to sprawdzić. Muszę znaleźć szamana. To jest mój terapeutyczny zwrot ku wierze. Dopiero teraz jestem gotowa. Mogę szukać wyjaśnień, tylko jeszcze nie jestem pewna jak.

Zaśmiała się. Potarła dłonią twarz.

- Och, Eddie. Czy ja jestem szalona?

- Nie, nie jesteś. Masz po prostu bujną wyobraźnię. Słuchaj, gdybym oddawał dolara każdej osobie we Wrangell, która zna jakąś opowieść o kusztace, straciłbym majątek.

- To znaczy?

- Na wyspie są tylko dwa tysiące ludzi. Ale każdy zna jakąś historię. Słuchaj, Jenna, cieszę się, że mi wszystko opowiedziałaś, ale nie zrozum mnie źle. Wiele przeszłaś. Twój syn... Naprawdę musi ci być ciężko. Rozumiem to. Ale uwierz mi, kusztaki nie istnieją. To legenda. Jako dziecko milion razy nocowałem w tych lasach. Nigdy żadnej nie widziałem. Dlaczego mnie nie porwały?

Jenna ukryła twarz w dłoniach. Nie wiedziała. To dobre pytanie, w porządku. Ale wcale nie oznaczało, że kusztaki nie istnieją.

- Chyba masz rację. Nawet na pewno. Ale jeśli wciąż chcę znaleźć szamana? Będziesz zły?

Eddie się zaśmiał.

- Nie będę. Ale oboje przecież wiemy, że kusztak nie ma. Że to mit. Opowiadka dla niegrzecznych dzieci. To, co straszy cię naprawdę, mieszka w twojej głowie. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Pokiwała głową. Eddie zachowywał się jak jej ojciec, który tłumaczył, że wielkie złe potwory nie istnieją.

- Wiem.

- Ale jeżeli chcesz szukać pomocy u szamana... Cóż, pewnie znajdziesz jakiegoś szalonego Indianina, który zatańczy dla ciebie, wypowie parę zaklęć i policzy za to tysiąc dolarów. Jak dla mnie strata czasu i pieniędzy.

Jenna podrapała się po głowie. Eddie ma rację. Szaman? Gdzie miałyby go znaleźć? Na żółtych stronach w książce telefonicznej? Czy na Alasce są w ogóle książki telefoniczne z żółtymi stronami?

A gdyby nawet trafiła na kontakt - szaman pewnie okazałby się hochsztaplerem i naciągaczem.

- Masz rację.

- I co? Czujesz się lepiej? Czasami człowiekowi pomaga zwykle wygadanie się. Może też usłyszeć, jak niedorzeczne są jego podejrzenia.

- Wiedziałam, że są niedorzeczne, zanim zaczęłam tę rozmowę.

- Nadal chcesz znaleźć szamana?

Jenna westchnęła.

- Nie. Chyba nie. Nie wiem. Gdzie miałabym szukać? Ale nie zdziwiłabym się, gdyby to szaman znalazł mnie. Już tyle dziwnych rzeczy mi się tu przydarzyło.

Eddie wstał energicznie.

- Dość z kusztakami. Wciąż głodna?

- Tak.

Pomachał zdrową ręką.

- Ja mogę trzymać patelnię, ale ty musisz mieszać.

Jenna również się podniosła.

Przy drzwiach zatrzymał ich dźwięk klaksonu. Szeryf. Podjechał pod dom i wysiadł.

- Dobry - przywitał się.

- Co tam, szeryfie? - spytał Eddie.

- Przywiozłem psa...

Otworzył tylne drzwi i złapał koniec liny przywiązanej do obroży Oscara. Pies wyskoczył z auta i podbiegł do Jenny. Przywitał ją z radością.

- ...który należy do tej młodej damy.

Jenna przytuliła Oscara. Nareszcie wrócił. To dobrze. Ale znalazł go szeryf. To źle. Widziała, że Larson jest zły. Spodziewała się kłopotów.

- Tu jest mandat - powiedział szeryf. Podał Jennie karteczkę. - Za to, że pozwoliła pani biegać mu samemu. W normalnych warunkach odpuściłbym. Ale ten pani stanowił zagrożenie. Wystraszył dziecko. To niedopuszczalne.

Jenna wzięła mandat.

- Co się stało?

- Złapałem go, kiedy warczał na jakiegoś małego chłopca. Dzieciak był tak wystraszony, że uciekł, a ja nie wiem dokąd. Proszę posłuchać. Niech pani weźmie psa na smycz i pilnuje go porządnie. Jeśli jeszcze raz go złapię, będę mógł zrobić tylko jedno. Chociaż nie chcę. Jasne?

Jenna pokiwała głową. Mocno trzymała Oscara.

- Wydaje mi się, że ona mnie nie do końca rozumie. A ty, Ed?

- Rozumie, rozumie, szeryfie - odpowiedział Eddie.

Larson poszedł do samochodu i otworzył drzwi.

- Mam nadzieję, że ten chłopiec dotarł szczęśliwie do domu. Jeśli się dowiem, że jakieś dziecko zaginęło i coś mu się stało, wrócę.

- Gdzie go pan widział ostatnio? - spytał Eddie.

- Dziś rano w drodze do miasta. Przy Instytucie.

Instytut. Coś zadzwoniło w głowie Jenny. Nie, nie zadzwoniło. Zawyło jak alarm. Jak syrena przeciwlotnicza. Indiańska szkoła. Opowieść Rolfe'a.

Szeryf pomachał na pożegnanie i pojechał z powrotem do miasta. Jenna popatrzyła na Eddiego.

- Instytut? Czy to nie tam mieszkał farmer? - zapytała.

- Jaki farmer?

- Ten, o którym mówił Rolfe. Z opowieści o kusztace.

Eddie parsknął i potrząsnął głową.

- I co? - naciskała Jenna. - Czy to nie była prawda?

- Co?

- To, co przydarzyło się tej rodzinie.

Zrezygnowany Eddie wzruszył ramionami.

- Matka Whiteya Jorgensona była szalona. Wszyscy o tym wiedzieli.

- I?

- I kiedy Whitey był mały, zadźgała męża na śmierć.

Jenna wytrzeszczyła oczy. Tętno jej przyspieszyło.

- A co z wujkiem Whiteya?

- Nie pamiętam - wymamrotał Eddie. Odwrócił się w stronę drzwi.

- Poczekaj. - Jenna go zatrzymała. - Co się wydarzyło?

- To był brat matki Whiteya. Kiedy umarł, załamała się. Mniej więcej rok później zabiła męża. Brat zmarł, ona oszalała i pewnej nocy zabiła męża. To wszystko. Zwyczajnie, wariaci zabijają wariatów. To wciąż się zdarza, prawda? Idę zrobić kolację.

Jenna nie odpuszczała.

- Jak on zginął?

Eddie jęknął i spuścił głowę.

- Jak?

- Utonął. Zadowolona?

Spojrzał na Jennę i spostrzegł jej zmieszanie. Pomylił się. To nie było zmieszanie. Jenna po prostu zaczynała rozumieć. Wszystko nabierało sensu. Opowieść Rolfe'a oraz historia z Oscarem i z dzieckiem były jak ostatnie elementy układanki.

Jenna poczuła, że nadszedł czas decyzji. Musiała coś postanowić. Musiała coś zrobić. I po raz pierwszy od dawna wiedziała co.

Musiała znaleźć szamana.

ROBERT NIE MIAŁ żadnych nowych wiadomości od detektywa. Martwił się, że facet nie znalazł Jenny. Depresyjny nastrój narastał. Z każdym kolejnym kieliszkiem Robert coraz intensywniej myślał o samobójstwie. Naszły go ponure myśli, że w jego życiu nie ma już nic wartościowego. Nie lubił przebywać z innymi ludźmi. Nie lubił też samotności. Nie przepadał za telewizją. Nie lubił czytać. Nie miał teraz ochoty jeść, tylko pić. Alkohol. Wszystko, czemu poświęcił swoje życie, wielki projekt, który dla siebie obmyślił, okazał się idiotyczny jak plany snute w liście przewodnim dołączanym do aplikacji na studia. „Interesują mnie ludzie i baseball”. Wszystko to gównem. Kiedyś wyobrażał sobie, jak będą wyglądać najpiękniejsze sceny jego życia. Oglądał je w zwolnionym tempie. Klatka po klatce. Ale rzeczywistość okazała się inna od wyobrażeń.

Przy odrobinie szczęścia człowieka może spotkać kilka wartościowych chwil, a potem i tak wszystko się rozpada. Pozostaje samotność. Czas mija tak szybko, że przestaje się za tym nadązać, a jedyna przyszłość, jakiej można być pewnym, to nieuchronna śmierć.

Robert nalał sobie kolejny kieliszek dzinu i nagle go olśniło. Zrozumiał, że uderzyły teraz w niego uczucia, które tłumił w sobie

tak długo ze względu na Jennę, że przeżywa to, przez co ona już przechodziła. Po wypadku chciał wydać się jej silny, służyć pomocą w trudnych chwilach. Gdyby przeżywał swoją żalobę razem z nią, pewnie byłiby dalej razem. To jego wina, że uciekła. Nigdy wcześniej nie czuł się tak podle.

Włączył telewizor. Czuł się bezgranicznie samotny, na granicy płaczu. Była piątkowa noc. Znienawidził piątkowe noce jako nastolatka. Znienawidził je za presję, z jaką się wiązały, żeby robić fajne rzeczy w fajnych miejscach. Znienawidził męczące poczucie, że inni bawią się lepiej.

Teraz powinien wyjść i wmieszać się w tłum. Porozmawiać z kimś. To bywa czasami zabawne. Postanowił zadzwonić do Steve'a Millera, starego kumpla, faceta, który zawsze miał plany na piątkowe wieczory. Nie rozmawiał z nim już mniej więcej od roku. Nie miał ochoty, a do tego Jenna nienawidziła Millera. Uważała go za mendę. Robert jednak nie pozbył się dobrych wspomnień, chociaż to Steve namówił go do udziału w tamtej feralnej inwestycji.

Włączyła się automatyczna sekretarka. Steve'a w piątkowy wieczór oczywiście nie było w domu. Robert odsłuchał nagranie: „Garda to miejsce na dzisiejszą noc. Jeśli jesteś zbyt leniwy, aby tam się pojawić, zostaw wiadomość”.

Bar Garda. Róg Fourth Avenue i Bell. Właśnie tego Robert potrzebował, być może przez całe swoje życie. Numeru telefonu, pod który można zadzwonić i usłyszeć wiadomość z instrukcją, dokąd iść, żeby dobrze się zabawić. To wygodne, taka linia imprezowa. „Nie wiesz, co zrobić w weekend? Skontaktuj się z nami, a my skierujemy cię do najlepszych lokali na najgorętsze imprezy. Tylko dziewięćdziesiąt dziewięć centów za minutę”.

Robert pojechał do Gardy. Wejście zagradzała aksamitna lina. Lata osiemdziesiąte w czystej postaci. Dobrze znał tę grę. Pewnym krokiem podszedł do faceta w czarnej koszulce, jakby był właścicielem wszystkiego dookoła, i spojrzał na niego wzrokiem mówiącym: „Dlaczego, do cholery, mnie jeszcze nie wpuściłeś?”. Wszedł do środka.

Miejsce było mroczne i aksamitne jak indyjska noc. Wielki wentylator tłoczył powietrze. Na każdym stoliku stały lawendowe kadzidelka. Nie było ścisłu. Robert zastanawiał się, czy lina przy wejściu miała zniechęcać, czy zachęcać klientów.

Przy jednym ze stolików znaleźli Steve'a Millera palącego cygaro i obejmującego dwie dziewczyny ubrane w małe czarne. Jedna miała ogromne piersi. Robert uznał, że są sztuczne, bo za bardzo sterczały. Steve na widok Roberta prawie upuścił cygaro.

- Robert, gdzieś ty się, do cholery, podziewał?! - wykrzyknął i zostawił dziewczyny, żeby podejść i go uściskać. - Wyglądasz potwornie, po prostu potwornie. Chodź, usiądź z nami.

Dziewczyny zrobiły im miejsce.

- To Stacey i Erin. A to mój stary kumpel Robert. Stacy i Erin studiują ekonomię na uniwersytecie.

Robert się przywitał. Ręce dziewcząt były ciepłe i delikatne. Uznał, że Erin jest ładniejsza. Miała mniejsze piersi, piękne usta i małe kształtne nosek.

- Co tu robisz? - zapytał Steve. Robert jednak wpatrywał się w usta Erin. Pełne i smakowite. - Nie wiedziałem, że się tu pojawiaasz.

- Miałem spotkać się z kimś tutaj, ale nie jestem pewien, czy przyjdzie.

Steve mrugnął do Roberta porozumiewawczo.

- Nie martw się o mnie, szefuniu. Nikomu nie powiem - mruknął i szturchnął go w bok.

Robert zaczął się zastanawiać, czy samobójstwo nie było jednak lepszym pomysłem od przyjścia tutaj.

Nagle Steve wstał, zamachał rękami, pstryknął palcami i zaczął podskakiwać jak dzieciak z ADHD, by przywołać kelnerkę.

- Elaine, kochanie, przyjmij zamówienie od mojego kolegi.

Robert poprosił o martini, dziewczyny o szampana. Steve rzucił jeszcze żartobliwie do kelnerki, że chętnie zamówiłby kawałek jej tyłeczka.

- Co u ciebie słyhać, szefuniu? Długo się nie widzieliśmy - rzucił, obejmując go ramieniem, po tym jak dziewczyny poszły do łazienki.

- Próbowalem przetrwać.

- Tak? Wiem, że twoja cudowna żona nienawidzi mnie do bólu, ale to nie oznacza, że nie możemy się czasem wybrać na jakiś męski wieczór, prawda?

- Ukrywałem się, wiesz?

- Tak, wiem, wiem. Słuchaj, Robbie, popraw mnie, jeśli się mylę, ale jesteś moim najstarszym, najbliższym przyjacielem, tak? Kiedy widzę cię w kiepskiej formie, cierpię. Mogę mówić szczerze?

Steve przysunął się bardzo blisko, miał źrenice wielkości młynskich kół. Pewnie coś wziął.

- Mów.

- Próbowaliście kolejny raz? Wiem, że mały Bobby był światłem waszego życia, i wiem, jak było wam ciężko. Ale może lepiej znowu dosiąść konia? Postarać się raz jeszcze.

To również było przyczyną złego samopoczucia Roberta. Namawiał Jennę na drugie dziecko, ale ona wciąż tłumaczyła, że jeszcze nie pora. Robert wiedział, że wkrótce będzie za późno. A adoptować meksykańskiej sieroty nie chciał. Wolał własne dziecko.

- Hej, nie chciałem cię zasmucać.

Steve klepnął Roberta po plecach. Na stół wjechały drinki. Robert wyjął portfel, ale Steve poprosił kelnerkę, żeby wszystko dopisała do jego rachunku. Robert sięgnął po swoje martini.

- Kolego, chcesz coś wciągnąć? Od razu zrobi ci się lepiej. Steve przysunął się tak blisko, że Robert czuł zapach jego wody kolońskiej Old Spice.

- Chodźmy do kibla. Przywrócę cię do życia.

Wyszli do męskiej toalety i zamknęli się w kabinie. Steve wyjął małą fiolkę z łyżeczką sprytnie przyczepioną do zatyczki. Wysypał trochę białego proszku. Przystawił palec wskazujący do prawej dziurki nosa Roberta, a łyżeczkę do lewej. Robert szybko wciągnął. Bum. Steve dosypał jeszcze trochę. Bum. Potem zaaplikował sobie trzy lub cztery porcje..

- Jesteś na nogach, kolego.

Wtarł trochę koki w nozdrza Roberta. Jego zatoki wyraźnie się ożywiły, a po chwili również całe ciało. Potrząsnął głową. Przeszedł go dreszcz. Parsknął. Bum. Jego oczy szeroko się otworzyły. Zaczął się śmiać.

- Wciągamy razem kokę w kabinie toalety - mówi - jakie to ge-jowskie. Klimacik lat osiemdziesiątych.

- A przecież dziś chodzi o to, by przywrócić latom osiemdziesiątym blask.

Podał Robertowi więcej proszku. Bum. Robert stracił czucie w nozdrzach, a zęby mu zdrętwiały. Parsknął głośno i się wyszczerzył. Cholera, jakie to dobre.

- Podobają ci się te dziewczyny, szefuniu?

Robert przytaknął, zastanawiając się, czy ma ochotę na więcej.

- Ta z cycuszkami jest moja. Możesz wziąć sobie tę małą.

Robert wciągnął jeszcze jedną porcję proszku.

- Ma małe piersi, ale jakie usta, prawda, Robbie?

Ledwo słuchał Steve'a. Chciał jeszcze trochę towaru. Ostukał przednie zęby. Znak rozpoznawczy kokainisty.

- Hej, odkurzaczu, wciągniesz cały mój zapas.

Wrócili do stolika, przy którym czekały już dziewczyny. Erin ścisnęła nos palcami, jakby mówiła: „Jestem na koce, a ty?”.

Steve popchnął go w stronę Erin, a sam wtulił się w piersiastą. Roberta opuściło przygnębienie, poczuł się pełen życia i energii. Zamówił kolejne martini, ale alkohol już na niego nie działał. Zaczął rozmawiać z dziewczyną, szybko wyrzucając z siebie kolejne słowa. Zastanawiał się, czy cuchnie mu oddech. Zaschło mu w gardle, a drink nie pomagał się pozbyć tego poczucia.

Tłumaczył Erin, jak przeprowadzić biuro z miejsca na miejsce. Rozmawiali. O bzdurach. O niczym. Czy ona interesuje się rynkiem nieruchomości? Możliwe. Chce zostać dyrektorem generalnym. Chciałaby trafić na listę firm w Fortune 500.

Steve i piersiasta wymieniali gorące pocałunki. Miller sięgnął ręką pod stół i robił jej dobrze.

Robert przyglądał się swojej dziewczynie i uświadomił sobie, że nieszczerze go interesuje. Wyglądała na słodką, miała piękne usta, ale on nie chciał seksu. Zastanawiał się, czy poczuje się zawiedziona. Jego zatoki nagle wróciły do życia i jak szalone zaczęły wydzielać śluz. Pociągnął nosem. Miał ochotę na więcej koki.

„Pośpiesz się, Steve, proszę, już czas”. Nie chciał jednak przekrzykiwać kawałka Hootie and the Blowfish, żeby poprosić o jeszcze. Zresztą Steve może mu już więcej nie dać. To jest największy problem z koką. Zawsze nachodzi chęć na więcej. Nagle Robert uznał, że ma dość tego miejsca.

Erin jakby czytała w jego myślach. Zapytała, czy chciałby wyjść. Wyszli. Dziewczyna nie wzięła kurtki, więc ruszyli do auta Roberta zaparkowanego na sąsiedniej ulicy. Usiedli z tyłu, ponieważ dziewczyna uznała, że tak będzie wygodniej. Erin przysunęła się do Roberta i podała mu najwspanialszy proszek świata. Potem go pocałowała, małym języczkiem niezbyt gwałtownie i niezbyt głęboko penetrując jego usta. Odepchnął ją. Była zdziwiona. Chciał się jakoś wytłumaczyć... Koka jest najlepszym antidotum na niezręczne milczenie. Sprawia, że gada się bez przerwy. Robert zaczął więc mówić. Zalał dziewczynę potokiem słów. Opowiedział Erin o wszystkim. Od początku. O spotkaniu z Jenną, o dziecku, o jego utracie, o odejściu żony. I o tym, jak bardzo jest rozdarty i jak bardzo nie wie, co robić, bo Erin naprawdę mu się podoba. Bo to jest nie w porządku.

Dziewczyna rozumiała. I tak nie chciała tego robić. Myślała tylko, że mogłoby być zabawnie. Chociaż przez chwilę. Żal jej było Roberta. Tyle przeszedł. Ale powiedziała, że rozumie, naprawdę rozumie.

Robert poczuł ulgę. Nigdy w ten sposób z nikim nie rozmawiał. Może dlatego ludziom pomagają psychiatrzy, bo pozwalają mówić i mówić. Może powinien odbyć terapię? Może Jenna byłaby teraz z nim? Może wszystko to jego wina? Tak, to jego wina. Wyłącznie.

Erin stwierdziła, że musi wracać do środka. Stacy miała samochód, a ona nie chciała wracać do domu taksówką. Robert zaproponował, że ją podwiezie. Ruszyli Eastlake do mostu Uniwersyteckiego, a potem Roosevelt Street na Trzydziątą Trzecią. Robert się zatrzymał. Przez chwilę siedzieli jeszcze w samochodzie.

- To był miły wieczór - powiedziała.
- Dziękuję. Przepraszam, że tyle gadałem.
- Nie ma sprawy. - Dziewczyna wyjęła pudełko zapalek i zapisała swój numer. Wszędobylskie pudełka z zapalkami. - Zadzwoń, gdybyś chciał jeszcze kiedyś porozmawiać.
- Dzięki.

Robert się zawahał.

- Chcesz jeszcze?

Jeszcze? To trudne pytanie.

- Możesz wziąć.

Wcisnęła Robertowi fiolkę w dłoń i popatrzyła na niego znacząco, potem wysiadła z auta i odeszła.

Robert zatrzymał się za rogiem i wciągnął resztkę koki. Opukał zęby. Postanowił wrócić do domu. Wiedział, że to będzie długa noc. Nie będzie spał przez wiele godzin, a kiedy działanie narkotyku ustanie, zapragnie znów znaleźć się na haju. Desperacko zacznie szukać czegoś, co uśmierzy niepokój. Miał nadzieję, że znajdzie w domu valium Jenny.

Kilka godzin temu był przygnębiony, więc wyszedł z domu, spotkał ludzi, wziął trochę koki, a teraz skończy tam, gdzie zaczął, na tej samej sofie, popijając ten sam dżin, czekając na kolejny atak depresji - tym razem ponarkotykowej. Coś tu nie gra. Przypomniał sobie, co powiedziałby Buckaroo Banzai: „Nieważne, dokąd zmierzasz. Ważne, gdzie jesteś”.

OKOŁO PIERWSZEJ w nocy Oscar znowu obudził Jennę pogrążoną w głębokim śnie. Biegał po pokoju jak szalony. Miotał się między oknem a drzwiami na korytarz. Dyszał i warczał. Jenna wstała z łóżka, wyjrzała przez okno, zerknęła na stary dom babci, ale nic nie dostrzegła na zewnątrz. Nie miała pojęcia, co spowodowało szaleństwo Oscara.

Kiedy otworzyła sypialnię, pies pognał do drzwi frontowych i zaczął skakać tak, jakby chciał odsłonić żaluzje i sprawdzić, co dzieje się na ulicy. Zachowywał się identycznie jak ubiegłej nocy. Jenna nie chciała wypuszczać psa samego. Pod zlewem w kuchni znalazła latarkę, włożyła sweter i dżinsy, wzięła Oscara na smycz i otworzyła drzwi. Pociągnął ją na ganek i wyrwał się w kierunku plaży.

Na zewnątrz panowała cisza. Jenna przyświecała sobie latarką, ale nie spostrzegła nic podejrzanego. Jednak pies ciągle warczał i ciągnął ją prosto nad wodę.

Kiedy Jenna po raz kolejny ogarnęła światłem latarki najbliższą okolicę, zauważyła kogoś. To był mały chłopiec. Miał pięć, może sześć lat i czuprynę czarnych kręconych włosów. Gdy Jenna skierowała snop światła w jego stronę, ukrył oczy w dłoniach, a później

odwrócił się w stronę oceanu. Wyglądało, jakby chciał ruszyć na wał nadmorski, ale jeszcze się wahał.

Jenna przyciągnęła Oscara do siebie. Trzymała go na krótkiej smyczy tak, żeby nie mógł dosięgnąć chłopca. Pies warczał cicho. Walczył z Jenną niczym zawodnik przeciągający linę. Ze wszystkich sił dążył ku dziecku, a Jenna w stronę domu Eddiego.

Oscar ujadał. Chłopiec się wystraszył. Zaczął się wspinać na wał.

- Zaczekaj! - zawołała Jenna. - Wszystko w porządku?

Chłopiec zamarł z jedną nogą na wale, a drugą na ulicy. Przez chwilę patrzył na Jennę.

- Zaczekaj. Chodzi o psa? Boisz się go?

Chłopiec się nie poruszył.

- To nie jest groźny pies. Nie zna cię, więc szczeka. Popatrz, przywiążę go tutaj.

Jenna zaciągnęła Oscara na ganek i przywiązała smycz do poręczy. Wciąż ujadał. Wróciła do chłopca. Szła wolno. Nie chciała wystraszyć małego.

- Jestem Jenna. A jak ty się nazywasz? - spytała.

Nie odpowiedział. Wciąż dziwnie na nią patrzył.

- Wszystko dobrze? Jest środek nocy, nie powinieneś tutaj być.

Chłopiec nadal nie odpowiadał. Przyłgnął do wału i czekał na kolejny ruch Jenny. Podeszła bliżej. Nie chciała przestraszyć dziecka. Promień światła, który zahaczył o twarz chłopca, pozwolił Jennie zobaczyć śliczną owalną buzię o ciemnej cerze. Tajemniczą. Nieprzeniklioną.

Stali w ten sposób przez moment. Jak w transie. Fale delikatnie uderzały o brzeg. Oscar się uspokoił. A dzieciak nagle, bez ostrzeżenia, zniknął za wałem.

Oscar szczechnął. Jenna pobiegła za małym. Chciała sprawdzić, dokąd uciekł. Oświetliła plażę latarką i zobaczyła go. Stał nad wodą.

Poczuła dziwną więź z chłopcem. Zapraǳnęła do niego podejść. Blisko. Pomyślała, że zachęca ją, aby podążyła za nim. Weszła na wał. Prawie trzy metry w dół. A później plaża. Spróbowała zejść jak najostrożniej, ale w pewnym momencie poślizgnęła się i upadła na mokry piasek.

Kostka zapulsowała bólem. Odezwał się poprzedni uraz. Jenna odwróciła się w stronę wody. Chłopiec wciąż stał w miejscu, choć chyba nieco głębiej. Fale opływały mu stopy. Zrobiła kilka kroków w jego kierunku.

Plaża była wąska. Jakies cztery metry od wału do linii wody. Dziewczyna podeszła do chłopca. Była już bardzo blisko.

- Woda nie jest za zimna? - spytała.

Co za kretyńskie pytanie. „Woda nie jest za zimna?”. A gdzie: „Jak się nazywasz? Co tutaj robisz? Dlaczego nie jesteś w domu z rodzicami?”. Albo chociaż: „Dlaczego masz zamiar pływać w środku nocy?”. Nie zadała żadnego z nich. Nie. „Woda nie jest za zimna?”. Chłopczyk zrobił kilka kroków dalej. Jenna powoli się do niego zbliżała.

Słyszała, że Oscar szaleje. Nie przejęła się tym. Szczekał bardzo głośno, jak wtedy w lesie. Teraz jednak nie robiło to niej wrażenia. Była zafascynowana ślicznym małym chłopcem. Woda sięgała mu do pasa.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł - powiedziała. - Jest późno. Pływanie w ciemności może być niebezpieczne.

Chłopiec się zatrzymał.

- Chodź, zaprowadzę cię do domu. Rodzice pewnie się o ciebie martwią.

Weszła do wody. Fala uderzyła o jej łydki. Jenna się zachwiała. Jej stopy zapadały się w miękkim piasku dna. Wyciągnęła rękę w stronę chłopca, a on podał dłoń Jennie. Po raz pierwszy wykonał jakiś gest w jej kierunku. Zrobiła jeszcze jeden krok. Miała nadzieję, że złapie dziecko i wyciągnie je na brzeg.

Czuła zimną i twardą rączkę.

Kobieta i chłopiec stali przez chwilę, trzymając się za ręce. Jakby pomagali sobie utrzymać równowagę. Jenna miała wrażenie, że woda jest ciepła. Zdziwiająco ciepła jak na Alaskę. Ucieszyła się, że nie włożyła butów. Z północy wiała bryza. Gwiazdy rozświetlały bezchmurne niebo. Zza ramion dziecka widziała majaczący ciemny zarys Słoniowego Nosa, a od strony miasta latarnie oświetlające budynki. Jenna popatrzyła na chłopca. Był cichy i cierpliwy. Pokiwał głową. Jenna nie wiedziała dlaczego, ale kiedy to zrobił, ogarnęła ją błogość.

Chciała usiąść. Odpocząć. Pozwolić falom obmywać ciało. Odplynać. Popatrzeć na gwiazdy. Albo chociaż poleżeć na plaży w chłodnej bryzie przynoszącej zapach oceanu. Zapaść w półsen. Nie czuć żadnych potrzeb ani trosk.

Nagle dobiegł ją czyjś głos.

- Jenna!

Trzymała chłopca za rękę, nie chciała jej puścić, nie chciała, żeby zniknął.

- Jenna!

Głos stał się bardziej natarczywy, bliższy. Potem usłyszała warczenie. Zwierzę wbiegające na piach. Poczowała szarpnięcie. Otworzyła oczy. Chłopiec próbował się wyrwać z uścisku Jenny i wrócić do wody.

- Nie możesz teraz pływać - powiedziała. Chwyliła mocniej jego dłoń.

Był zadziwiająco silny. Spojrzała za siebie. Oscar. Biegł w jej kierunku. Warczał i szczyrzył kły. Próbował dopaść chłopca. Z jakiegoś powodu go nienawidził. Jenna przypomniała sobie, że właśnie dlatego uwiązała psa. Bo chciała chronić dziecko. Oscar jest nieprzewidywalny. Dostaje ataków szału. Może zagryźć małego. Może poranić mu twarz, wbić zęby w jego szyję.

Jenna spojrzała na chłopca. Z coraz większą desperacją próbował uwolnić się z uścisku. Zmienił się. Jego twarz nie wydawała się już delikatna, była ponura i surowa.

Dzieciak nie przestawał się szarpać. Zadawał Jennie ból. Ale ona nie puszczała dłoni chłopca. Pies się zbliżał. Czowała coraz większy niepokój.

Wreszcie mały uwolnił się z uścisku. Oscar skoczył na chłopca. Nie chciała, aby dziecku stała się krzywda, więc chwyciła psa, aby odwrócić jego uwagę. Zanurzyła się z głową, miała w ustach smak soli. Oscar zawzięcie próbował się uwolnić. Wreszcie musiała się poddać i puściła psa. Nic nie widziała, woda wdarła się do jej oczu i płuc. Zalała ją kolejna fala, znów straciła równowagę. Przestała martwić się o Oscara i o chłopca. Musiała ocalić samą siebie.

Nagle ktoś pomógł jej się wynurzyć. Wyprowadził ją na suchą plażę. Klęcząc, wykrztuszała połkniętą wodę. Położyła się na boku. Oddychała ciężko. Oscar stał nad nią. Ktoś był w wodzie. Płynął. Nurkował. Eddie?

Jenna usiadła. Tak, to Eddie. Tylko jedno ramię młóciło powierzchnię wody. Oscar wciąż warczał. Krzyknęła do chłopaka. Nie odpowiedział. Odpłynął za daleko od brzegu, by ją usłyszeć.

To było przerażające. Jak kiedyś. Chłopiec. Sposób, w jaki patrzył na Jennę. Sposób, w jaki zniknął w odmętach.

Kiedy Eddie pojawiał się na powierzchni, Jenna zaczynała do niego krzyczeć. Ale on ją ignorował. Dlaczego? A jeśli pod wodą nikogo nie ma?

Eddie ponownie się zanurzył. Powinien wrócić, zanim będzie za późno. Powinien wrócić na brzeg.

Jenna wbiegła do wody. Jak oszalała wołała Eddiego. Bała się, że go straci. Że chłopak zostanie na dnie i już nie wypłynie. W końcu odwrócił się w jej stronę. Podpłynął do brzegu.

Kiedy znalazł się bliżej, zawołał:

- Wracaj do domu! Wezwij szeryfa! - Brakowało mu tchu. - Powiedz, że znaleźliśmy chłopca, ale przepadł. Będę szukał dalej, ale lepiej, żeby kogoś przysłali. Za chwilę może być za późno.

Jenna nie ruszyła się z miejsca. To, co działo się na plaży, nie było normalne. Eddie patrzył na nią, jakby zastanawiał się, na co jeszcze czeka.

- Idź. Zamknij Oscara. Ten dzieciak boi się go jak cholera.

- Eddie, nie wracaj tam.

- Muszę go znaleźć. Może jeszcze żyje.

- Nie jestem pewna... - Jenna drżała. Była przerażona. Przerażona tym, że domyślała się prawdy. - Nie jestem pewna - powtórzyła.

Eddie się wyprostował. Nigdy wcześniej nie widziała, żeby był zły. Teraz na jego twarzy dostrzegła gniew. Odezwał się spokojnie, ale bardzo pewnie:

- Idź do domu. Zadzwoń do szeryfa. Zamknij psa. I wróć tutaj. - Kiedy Jenna się nie poruszyła, dorzucił ostro: - Teraz!

Zrobi to. Bo musi. Bo to prawdopodobnie ona jest w błędzie, a Eddie ma rację. Jakiś chłopiec wszedł do wody. Tyle wiedziała na pewno. Kim lub czym był, nie miała pojęcia. I dobrze. Bo nie

mogła sobie ufać. Wypełni więc polecenia Eddiego. Pójdzie do domu, a on zostanie w wodzie. Jednoręki ratownik. Boże. A jeżeli on ma rację? Jeżeli chłopiec tonie? Musi jak najszybciej zadzwonić po szeryfa.

Ale co, jeśli Eddie się myli? Nieważne. Jenna i tak zadzwoni. Ale nie zabierze do domu Oscara. Z jakiegoś powodu pies nie znosi chłopca i jeśli podejrzenia Jenny są słuszne, Eddie może potrzebować obrońcy. Ostatnią rzeczą, jakiej chciała, była śmierć Eddiego.

ŚWIT WE WRANGELL wstaje w lipcu wcześnie. Około czwartej nad ranem niebo zaczyna się rozjaśniać. Około czwartej dwadzieścia na horyzoncie z wolna pojawia się słońce. Za kwadrans piąta dzień jest już w pełnym rozkwicie, a słońce rozpoczyna walkę z gęstymi koronami drzew w lesie.

Tego poranka niebo jak zwykle zaczęło zmieniać barwę z czarnej na szarą. Mężczyźni w wodzie poczuli ulgę, ale nie mieli powodów do radości. Od mniej więcej pierwszej w nocy nie zeszli z łodzi. Czteroosobowe załogi przeczesywały zatokę: jeden człowiek sterował kutrem, drugi na dziobie obserwował powierzchnię wody, dwóch ludzi - każdy po swojej stronie burty - ciągnęło po dnie haki abordażowe. Nie zeszli jeszcze na ląd, bo wciąż nie odnaleziono ciała chłopczyka.

Jenna wróciła do domu Eddiego. Czekwała. Siedziała na brązowej kanapie okryta ciepłym pledem. Dom - teraz to czuła - pachniał pleśnią i stęchłą kawą.

Była zmęczona. Jej żołądek z trudem trawił nadmiar kofeiny. Nie pamiętała, kiedy i co po raz ostatni jadła.

Spuchnięte od płaczu oczy.

W TV kanał E!. Bez dźwięku. Bez sensu. I tak nie patrzyła w telewizor. Myślała o przeszłości.

Mniej więcej dwa tygodnie po powrocie z Alaski, tuż po śmierci Bobby'ego, Robert został do późna w biurze. Jenna siedziała sama w domu. Oglądała Barbarę Walters i czekała na moment, w którym Barbara doprowadzi swojego gościa do łez (co prezenterka robiła skutecznie i niezmiennie) tylko po to, żeby sama mogła zacząć płakać. Było chyba w pół do jedenastej. Zadzwoił telefon. Po drugiej stronie usłyszała niski głos. Rozmówca przedstawił się jako kierownik Thunder Bay. Brzmiał, jakby był nietrzeźwy.

Jenna słuchała jego opowieści o tym, że zamykają kurort. Inwestorzy wycofali się po „incydencie” z Bobbym. Mężczyzna złożył kondolencje. Pamiętał syna Rosenów. Wspominał nawet swojej żonie, jak kochanym dzieckiem był Bobby. Jenna pamiętała, że nazywał się John Ferguson. Mówił, że jest Irlandczykiem, ale w jego rodzinę wzenił się Szkot. I tak rodowe nazwisko bezpowrotnie się zmieniło.

John Ferguson miał jej jeszcze coś do przekazania. Żeby zdobyć się na rozmowę, musiał wypić kilka drinków. Powiedział, że nie tylko śmierć Bobby'ego skłoniła inwestorów do wyjazdu. Zmarł jeszcze ktoś. Kobieta z plemienia Tlingitów, która pracowała w kurorcie. Pewnej nocy, na kilka tygodni przed przybyciem gości, zniknęła w lesie i ślad po niej zaginął.

Ferguson wyznał, że japońscy inwestorzy są bardzo przesądni. Zmusili go do zatrudnienia szamana. Miał on oczyścić okolicę ze złych mocy, zanim pojawią się turyści. Przyjechał więc pewien Indianin. Oznajmił, że Thunder Bay jest pechowa, że jest domem duchów. Ostrzegał przed otwarciem ośrodka rekreacyjnego.

John Ferguson wyjawiał też, że tak bardzo obawiał się utraty pracy, że okłamał inwestorów. Powiedział im, że pozwolił na budowę.

Przez bardzo długą chwilę Jenna nie mogła pojąć, o czym ten facet mówi. Kątem oka patrzyła na Barbarę Walters i jednocześnie bez zainteresowania słuchała opowieści mężczyzny. Nagle zrozumiała, że Ferguson się spowiada. Oskarża siebie o śmierć Bobby'ego. Gdyby poinformował inwestorów o złych duchach, nie otwarto by tego miejsca i nic złego by się nie wydarzyło. W pewnym momencie wybuchł płaczem. Wyznał, że nie jest pewien, czy będzie umiał żyć z tak wielkim poczuciem winy. Jenna zaczęła pocieszać Fergusona. Cóż za ironia! Zdecydowała, że to, co jej opowiedział, nie ma sensu. Bobby i tak by zginął. Bez względu na wszystko. Człowiek nie ma żadnego wpływu na los, na przeznaczenie, na... Powtórzyła wszystkie formułki, które jej wmawiano podczas terapii.

Ferguson podziękował za wyrozumiałość. Przeprószył za telefon. Za to, że stracił nad sobą kontrolę. Czuł jednak, że musi jej powiedzieć prawdę. Prosił o kontakt, gdyby pojawiła się kiedyś we Wrangell. Jego dom będzie zawsze otwarty dla Jenny. Nalegał, żeby skorzystała z zaproszenia. Mówił, że łatwo go znaleźć. Wystarczy zapytać o Irlandczyka o nazwisku Ferguson.

Teraz, dwa lata później, o świcie, Jenna obiecała sobie, że zadzwoni do Johna Fergusona. Nie potrzebowała jego gościny. Chciała informacji. Musiała się dowiedzieć, co myśli o szamanie. I o złych duchach. Skoro szaman porządkował kiedyś świat duchów w Thunder Bay, być może uporządkuje świat Jenny. Z zamyślenia wyrwał ją czyjś głos:

- Naprawdę powinnaś się przespać.

Oszołomiona i zdziwiona Jenna spostrzegła Fielda. Stał w drzwiach i patrzył na nią.

- Bądź rozsądna - powiedział.

Po chwili usiadł bez słowa obok dziewczyny. W milczeniu wpatrywali się w ekran telewizora. Dźwięk był wyłączony. Field wyjął papierosa i poczęstował Jennę. Palili w ciszy i patrzyli w ekran. Leciało *Talk Soup*.

- Jak się trzymasz?

- Napiałabym się.

- Dobry pomysł.

Wstał i poszedł do kuchni. Wrócił z dwiema literatkami i butelką Wild Turkey.

Pili w ciszy.

Alkohol zadziałał szybko. Jenna zaczęła mówić, jak tylko whisky przestała palić ją w gardło. Wyrzuciła z siebie wszystko. Całe życie. Field kiwał głową ze zrozumieniem. Opowiadała o mężu, o ucieczce, o babci. On nie przerywał. Opowiadała entuzjastycznie o synu. A kiedy Field zapytał, gdzie teraz jest Bobby, zamknęła oczy i opowiedziała o utonięciu, o poszukiwaniach i tym, jak obecna sytuacja przypomina jej o tamtych wydarzeniach. O zebranych na brzegu ludziach rozmawiających o Jennie i zastanawiających się, jak mogło wydarzyć się takie nieszczęście.

Znów zapadła cisza.

- Muszę cię o coś zapytać. Czy dzisiaj utonął tam chłopiec? - odezwał się w końcu Field.

Jenna spuściła wzrok i potrząsnęła głową.

- Nie jestem pewna.

Mężczyzna wstał i wyciągnął do niej rękę.

- Powinnaś się położyć.

Jenna chwyciła jego dłoń i wstała. Pozwoliła, aby Field zaprowadził ją do pokoju. Kiedy zamknął drzwi, zostawiając ją samą, zdjęła ubranie i stanęła w oknie, wpatrzona w dom babci. Niebo było już zupełnie błękitne, ptaki obudziły się, a naga Jenna próbowała rozgryźć, co jest prawdą, a co fałszem. Zastanawiała się, czy jest jeszcze coś, w co może uwierzyć. Czy w jakimś systemie wartości może szukać odpowiedzi na najważniejsze pytania?

Ale zamiast odpowiedzi była tylko pustka.

Kiedy zanurzyła się w chłodnej pościeli, poczuła, że musi znaleźć jakiś punkt oparcia.

Zamknęła oczy i czekała na sen. Chciała odpocząć od jawy.

FIELD DOŁĄCZYŁ DO SZERYFA i do Eddiego. Mężczyźni stali na ganku i kłócili się o to, czy odwołać poszukiwania, czy nie. Byli zmęczeni i wściekli - nic nie znaleźli. Co więcej, nikt nie zgłosił zaginięcia dziecka.

- Eddie - powiedział szeryf- jeśli tam był chłopiec...
- Widziałem go.
- Wiem, wiem. Załóżmy, że był. Powiedzmy, że wbiegł do wody...
- Wbiegł.
- Prąd mógł go zanieść na plażę, z powrotem na brzeg. Rozumiesz? Nie wiemy, czy w ogóle jest tam jakieś ciało.
- Brent, widziałem to - wypalił Eddie do szeryfa. - Na własne oczy! Płynął, zniknął pod wodą i nie wynurzył się więcej. Nie bądź dupkiem.

Szeryf zagryzł wargi.

- Ed, było ciemno.

- Jenna też to widziała.
- Nie, nie widziała - wtrącił Field.

Obaj przestali mówić i popatrzyli na starszego mężczyznę.

- Powiedziała, że już nie jest pewna. Nie jest pewna, czy chłopiec utonął.

Szeryf spojrział na Eddiego i wzruszył ramionami.

- Ona nie jest pewna, Ed. Nie mogę pozwolić, żeby ci ludzie ryzykowali życie, szukając czegoś, czego ona nie jest pewna. Odwołuję poszukiwania.

Stanowczo ścisnął ramię Eddiego. Nie chciał już o tym dyskutować. Ruszył w stronę wody, żeby zebrać mężczyzn. Eddie zaśmiał się gorzko.

- Jezu Chryste. Ona nie jest pewna. Widziałem to, Field. Widziałem, jak ten mały tonie. - Popatrzył Fieldowi w oczy. - Widziałem.

Field pokiwał głową, wzruszył ramionami i też wyniósł się z ganuku. Ruszył ulicą do domu. To była długa noc. Field nie miał pewności, co wydarzyło się naprawdę. Wiedział jednak, że Jenna jest kobietą po przejściach. I że Eddie jest w niej zakochany. To komplikowało sprawę.

TEJ NOCY JENNA ŚNIŁA O ROBERCIE. Sen był tak rzeczywisty, że aż przerażający. Mąż stał przed nią w pokoju w Seattle. Powiedział, że musi odejść, że ich związek nie ma sensu i że lepiej będzie, jeśli ją zostawi. Patrzyła, jak odchodzi kamienną ścieżką, potem wsiada do samochodu. Zauważyła, że Bobby siedzi na miejscu dla pasażera. Obaj pomachali Jennie na pożegnanie.

Po przebudzeniu czuła frustrację i pustkę. W porządku, była sama, nie mogła liczyć na wsparcie, chociaż potrzebowała ciepłej, bliskiej relacji z inną osobą. Czuła, że samotność ją zabija. Nie należała do osób, które czują się dobrze tylko we własnym towarzystwie. Energia innych dawała Jennie siłę do życia. Bez kontaktu z ludźmi uschłaby i umarła.

Przetarła podrażnione płaczem oczy. Ubrała się i wyszła na korytarz. Przez minutę stała pod drzwiami do pokoju Eddiego. Trzymała rękę na klamce i wsłuchiwała się w ciszę. Wiedziała, że nie powinna tu przychodzić, ale pragnienia wzięły górę nad rozsądkiem.

Drzwi otworzyły się cicho. Jenna przeszła przez pokój, stanęła

nad Eddiem i obserwowała, jak śpi. Uwięziona między pożądaniem i strachem, nie chciała mu przeszkadzać. W delikatnym świetle Eddie wyglądał bardzo przystojnie. Jego twarz spoczywała na poduszce, oddychał przez usta. Nie poruszył się, kiedy Jenna wślizgnęła się pod kołdrę.

Nie miała śmiałości dotknąć chłopaka. Bała się, że kiedy go obudzi, on wyrzuci ją ze swojego łóżka. Tak blisko jego ciała poczuła się bezpieczniej. Gdyby tylko mogła przysunąć się jeszcze bardziej i w niego wtulić, poczuć jego ciepły oddech na swojej szyi, jego udo obok jej uda... Zrobiła to.

Eddie nawet nie drgnął. Jenna poczuła się bezpieczna. Bezpieczna z kimś. Zapadła w sen.

WALENIE DO DRZWI wyrwało ich ze snu w tym samym momencie. Eddie był podwójnie zdziwiony: głośnym pukaniem i Jenną w swoim łóżku. Przyglądał się jej przez chwilę, jakby chciał zadać jakieś pytanie, a ona niewinnie mrugała oczami. Ale natarczywe łomotanie wygrało.

- Cholera - powiedział, wychodząc z łóżka. - Kto to może być?

Jenna nie pomyślała o tym, że Eddie może być nagi. Gdyby pomyślała, pewnie nie położyłaby się w jego łóżku. Przebiegł przez pokój i próbował włożyć spodnie. Stał tyłem do Jenny, ale kiedy zapinał rozporek, dostrzegła w lustrze jego wzwód. Uśmiechnęła się. Wybiegł z pokoju i popędził korytarzem.

Słysząc było jakieś głośy. Wyszła z łóżka i podsłuchiwała pod zamkniętymi drzwiami sypialni.

- Zgubiła to i chciałem oddać.
- Jestem pewien, że będzie wdzięczna. Przekażę jej to...
- Jest tutaj? Chciałbym dać jej to sam.

- Teraz śpi. Proszę zostawić numer. Zadzwoni, kiedy wstanie.
- Nie ma takiego miejsca, gdzie można mnie złapać.
- Słuchaj, wybaczone, ale ona nie czuje się najlepiej. Długo w nocy nie spała. Nie chcę jej budzić.

To był ten dzieciak, którego wczoraj spotkała. Ten z komicznym środkowozachodnim akcentem. Czego chciał? Otworzyła drzwi i weszła do pokoju, powłócząc nogami. Obaj mężczyźni odwrócili się w jej stronę.

- W porządku, Eddie, nie śpię.

Chłopak pomachał do niej.

- Cześć, Jenna. To ja, Joey. Pamiętasz mnie?

Przytaknęła.

- Widziałem cię wczoraj w domu wodza Shakesa i ktoś powiedział, że to zgubiłaś. Więc odnoszę.

Podał Jennie srebrny naszyjnik z kuszaką.

- Co się wczoraj stało? Zachorowałaś? - spytał Joey.

Jenna próbowała sobie przypomnieć. To był taki długi dzień. Chata wodza Shakesa. Jasne.

- Chyba zjadłam coś nieświeżego.

- Pomyślałem, że ten amulet... Może jest cenny...

Joey stał w drzwiach i patrzył na Jennę. Eddie opierał się o drzwi i patrzył na przybyłego. A ona wpatrywała się w amulet. Podniosła wzrok na Joeya.

- Dziękuję. Chciałbyś za to nagrodę czy coś?

- Chciałbym, żeby ktoś kiedyś zrobił dla mnie coś podobnego. I pomyślałem, że możesz go potrzebować.

- Dziękuję.

Uścisnęła dłoń Joeya. Pragnęła zakończyć tę rozmowę. Pragnęła wrócić do ciepłego łóżka i pospać jeszcze chwilę.

- Jest? - chłopak ponownie się odezwał. Popatrzyła na niego pytającym wzrokiem:

- Co jest?

- Czy jest cenny?

- Nie ma żadnej materialnej wartości. Dostałam go od znajomych, po prostu.

Joey popatrzył na Eddiego, jakby szukał pomocy. Eddie wzruszył jednak ramionami i się uśmiechnął.

- Liczą się intencje, no nie?

Joey pokiwał głową. Znowu odezwał się do Jenny:

- To ten przyjaciel, u którego mieszkasz? Miły facet. Polubiłem go.

„Ten dzieciak jest dziwny. Czego chce?”

- Słuchaj, to była ciężka noc - powiedziała. - Zdarzył się pewien wypadek. Może słyszałeś, a może nie. Jesteśmy naprawdę zmęczeni i chcielibyśmy się wyspać. Jeśli zależy ci na pieniądzach, dam ci dwadzieścia dolarów w ramach nagrody. Jeśli zależy ci na rozmowie, to nie jest najlepszy moment. Jeśli oczekujesz czegoś zupełnie innego, powiedz. Ale jasno i wyraźnie.

Joey uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Nie, chciałem ci tylko oddać naszyjnik, to wszystko.

- W takim razie jeszcze raz dzięki.

Jenna zmusiła się do uśmiechu.

- Nie ma problemu. Do zobaczenia w mieście. Eddie, miło było cię poznać.

Joey uściśnął dłoń chłopaka i odszedł. Eddie zatrzasnął drzwi i spojrzął pytająco na Jennę.

- Kto to był, do cholery?

Jenna włożyła amulet.

- Dzieciak, który zbyt wiele czasu spędza sam.

Szurając pantoflami, poszła do swojego pokoju. Eddie podążył za nią.

- Co robiłaś w moim łóżku?
- Przepraszam, czułam się samotna i potrzebowałam... bliskości.
- Nie mam nic przeciwko, ale...

Położyła się do swojego łóżka. Prawie zasypiała. Eddie obserwował ją przez drzwi.

- Porozmawiamy później... - mruknęła spod kołdry.

Chętnie wróciłaby do pokoju Eddiego, ale teraz, w świetle dnia, wszystko wyglądało inaczej. Nie potrzebowała towarzystwa tak jak w nocy.

JENNA NIE MOGŁA zasnąć i w końcu się poddała. Wybiła dziewiąta.

Była wykończona, ale postanowiła działać.

Telefon Johna Fergusona znalazła w książce telefonicznej. Zadzwoiła z dużego pokoju. Starła się jak najmniej hałasować. Odebrała młoda kobieta. Jenna zapytała o Fergusona, jednak jej rozmówczyni była bardzo dociekliwa. Chciała usłyszeć, o co chodzi, więc Jenna wszystko wyjaśniła. Dowiedziała się, że John jest bardzo chory. Miał poważny udar i przebywa w szpitalu. Kobieta chętnie przekaże mu wiadomość, bo na bezpośredni kontakt nie ma szans. Jenna podziękowała i się rozłączyła.

Siedziała przez chwilę na sofie i rozważała różne ewentualności. Jak ważny jest dla niej kontakt z Fergusonem? Bardzo ważny. Tak ważny, że była gotowa pogwałcić kilka zasad przyzwoitości. Jedna z nich mówi, że choremu należy okazywać szacunek. Ale Jenna nie przejmowała się tym. Musi poznać prawdę. Będzie musiała wybrać

się do szpitala i odszukać Johna Fergusona. Jest jej coś winien. Zostawiła Eddiemu wiadomość i wyszła z domu.

Szpital we Wrangell znajdował się daleko, na samym końcu miasta, przy lotnisku, za domem starców. Piętnastominutowy spacer. Poranne powietrze, które tak słodko pachnie i smakuje. „Lepsze niż w Seattle” - pomyślała Jenna. Pełne witamin i minerałów. Bez sadzy i dymu.

Szpital okazał się zadziwiająco ładny. I czysty. Nie było tu prawdopodobnie ofiar nożowników ani naćpanych szaleńców.

Jednak Jenna bała się przekroczyć próg. Zawsze przerażała ją anonimowość szpitali. A myśl, że będzie leczona przez obcych ludzi, nieważne, że miłych i poświęcających jej uwagę, bardzo ją przygnębiała.

Zapytała, gdzie może znaleźć Johna Fergusona. Ruszyła we wskazanym kierunku. Zdziwiła się fatalnym wyglądem chorego. Leżał w pokoju z wielkim oknem, przez które można było z korytarza obserwować pacjenta. Zasłony były rozsunięte. W pokoju nie paliło się światło.

Przy łóżku siedziała kobieta z pochyloną głową i rękami opartymi na kolanach. Łatwo można by się pomylić i uznać, że w łóżku nikt nie ma. Na poduszce dostrzegła zarys głowy. Wymizerowane ciało ledwo odznaczało się pod pledem. Chory był podłączony do miliona urządzeń. Respiratora. Maszyny odczytującej uderzenia serca. Kroplówki wtłaczającej płyn do żył. John Ferguson z pewnością nie był w dobrym stanie.

Zapukała do otwartych drzwi. Kobieta uniosła głowę. Spozstrzegła, że Jenna nie jest ani pielęgniarką, ani lekarką. Wstała, żeby się przywitać. Wyszła na korytarz i zamknęła drzwi do sali.

- Słucham?
- Nazywam się Jenna Rosen. Pani Ferguson?
- Tak.

Jenna milczała. Jeszcze nie było za późno, żeby się wycofać. Mogła przeprosić za zamieszanie. Mogła odwrócić się i odejść. Mogła. Ale nie chciała. Bo musiała poznać prawdę.

- Jestem znajomą pani męża. Chociaż niezupełnie. Spotkaliśmy się parę lat temu w Thunder Bay.

Pani Ferguson patrzyła na Jennę i czekała na ciąg dalszy.

- Jak on się miewa?

Pani Ferguson wskazała szybę.

- Niezbyt dobrze - odpowiedziała po prostu.

Jeszcze nie było za późno. Jenna wciąż jeszcze mogła odejść. Ale została.

- Przepraszam, zadałam głupie pytanie - stwierdziła Jenna.

- Tak - odparła pani Ferguson, lekko się uśmiechając. - Czy przekazać Johnowi jakąś wiadomość?

- Pani Ferguson... - Wzięła głęboki wdech. - Źle mi z tym, ale muszę to zrobić.

I opowiedziała wszystko. Mówiła, mówiła, mówiła. Jak stary marynarz, który wiele widział, wiele przeżył i który musi zrzucić z siebie brzemię przeszłości.

Pani Ferguson wszystko przyjęła ze zrozumieniem. Uśmiechnęła się do Jenny i dotknęła jej ramienia.

- Moja droga - powiedziała - wiele pani przeszła.

- Muszę poznać prawdę - błagała Jenna. - Muszę porozmawiać z pani mężem.

Pani Ferguson zastanowiła się nad tą prośbą.

- Teraz śpi - odezwała się w końcu. - Proszę iść do poczekalni, a kiedy John się obudzi i uzna, że może pomóc, przyjdę po panią.

Jenna podziękowała i poszła do poczekalni na drugim piętrze. Usiadła na jednej z zielonych kanap. Wyrzała przez okno i uświadomiła sobie, dlaczego nienawidzi szpitali. Nie chodziło o kontakt z chorobami. Ani o złe wspomnienia: nie przeszła przecież żadnej operacji. Urodziła syna, ale szybko mogła wrócić do domu. W szpitalach zjawiała się tylko po to, aby kogoś odwiedzić. Myślała, że boi się klinik z powodu lekarzy, ale uświadomiła sobie teraz, że tak naprawdę źródłem jej lęku jest konieczność czekania i bezradność. Poczucie, że nie ma kontroli nad tym, co się dzieje. Tak. Tego obawiała się najbardziej.

Po godzinie i po dwóch wypitych przez Jennę kubkach kawy pojawiła się pani Ferguson. Dziewczyna oczekiwała najgorszego. Dlaczego umierający człowiek miałby z nią porozmawiać?

Kobieta stanęła przed Jenną.

- Może pani do niego pójść.
- Naprawdę?
- Wyjaśniłam Johnowi, dlaczego tu pani jest. Chce pomóc.
- Dziękuję.
- Ale muszę panią ostrzec. Dostaje silne leki przeciwbólowe.

Nie zawsze mówi z sensem.

- Ani ja, chociaż nie biorę lekarstw - odparła Jenna.

Pani Ferguson uśmiechnęła się lekko.

Jenna zajęła krzesło przy łóżku. John był wyniszczony chorobą, bardzo wychudzony. Sama skóra i kości. „To stąd wzięło się to powiedzenie” - pomyślała Jenna. Zachorował z pewnością na długo przed udarem. Jego ciało zaczęło umierać, zanim Jenna przyjechała do Wrangell.

- Czy to pan jest Irlandczykiem o nazwisku Ferguson? - zapytała Jenna z uśmiechem.

Uśmiechnął się także. Jego oddechowi towarzyszył szmer respiratora. Wewnątrz plastikowego cylindra znajdowały się czarne miechy. Przezroczysta rurka biegła przez nos Johna i pompowała tlen do płuc.

Kiwnął głową.

- Przepraszam, że niepokoję...

Przerwał jej gestem i dotknął dłoni Jenny. Jego ręka była ciepła. Dobry znak.

- Chcę wiedzieć, co naprawdę się wydarzyło - powiedziała. - Muszę porozmawiać z szamanem. Wiem, że to szaleństwo, ale muszę to zrobić. Muszę się dowiedzieć.

- To nie szaleństwo - stwierdził. - Widziałem to.

Powoli wymawiał słowa. Ale rozumiał, po co przyszła.

- Proszę, niech pan mi wszystko opowie.

Ferguson próbował unieść głowę tak, aby lepiej widzieć Jennę. Żona próbowała mu pomóc, poprawiła poduszkę. Bez skutku. W końcu zaczął mówić:

- Przyjechał szaman. Razem czekaliśmy. Nie wiem na co, to było dziwaczne. Włożył swój rytualny strój i tańczył w kółko. Czekaliśmy.

Oddech.

- Gdzie to było? - spytała Jenna.

- W Thunder Bay. Przyjechał wypędzić duchy.

- Proszę mówić dalej.

- Poszedłem nad wodę, żeby sprawdzić hydroplan, a kiedy wróciłem, jego już nie było.

- Zniknął?

Ferguson przytaknął.

- Czekałem. Myślałem, że odprawia jakieś indiańskie czary-mary. Pilnowałem ognia. W okolicy ani śladu człowieka. Czekałem.

Całą noc. Kolejnej nocy też czekałem. I wtedy las oszalał. Słyszałem hałasy. Jakby coś łąziło po ścianach.

- Co?

- Nie wiem. Ale było wszędzie. Drapanie. Potem huk. I cisza. Wyszedłem na zewnątrz, żeby zobaczyć, co się dzieje. I znalazłem go.

- Kogo?

- Nigdy w życiu czegoś podobnego nie widziałem. Ferguson opowiedział Jennie wszystko. O znalezieniu Livingstone'a. O przemianie szamana. To była męcząca opowieść, mglista i niejasna. John chaotycznie opisywał szczegóły bez znaczenia. Brał długie oddechy pomiędzy zdaniem. Jenna czuła się sfrustrowana, on chyba także. W końcu był przykuty do łóżka i żył tylko dzięki postępowi medycyny. Dwadzieścia lat wcześniej nie zdołano by go ocalić. „Ale za dwadzieścia lat - pomyślała Jenna - ten udar również byłby dla niego wyrokiem”. Czasem szpitalna aparatura jest bardziej potrzebna rodzinie chorego niż jemu samemu. Nagle dziewczyna uświadomiła sobie, że jest przeciwna sztucznemu podtrzymywaniu przy życiu w obliczu nieuniknionej śmierci.

- Byłem tam. Patrzyłem mu prosto w oczy. W czarne oczy.

- Czarne? - spytała Jenna.

- Jak węgiel. „Rozwiąż mnie, John” - powiedziało to coś. Już nie mówiło głosem Davida, ale... mojego ojca.

- Pańskiego ojca?

Ferguson umilkł i zamknął oczy.

- Myślę, że on jest zbyt zmęczony... - zaczęła pani Ferguson.

Ale John chciał dokończyć swoją opowieść. Wyznał, jak sfalszował ekspertyzę Davida. Nie spodziewał się, że komukolwiek zaszkodzi swoim małym kłamstwem. No bo co mogłoby się wydarzyć?

Ale kiedy dwa lata temu stał na promenadzie w Thunder Bay i patrzył, jak Jenna wysiada z łodzi, jak bardzo drży, jak bardzo jest zrozpaczona, zdał sobie sprawę, że to jego wina.

- Po tym, jak odwiozłem was do Ketchikan na samolot, chciałem umrzeć - wyznał John.

- To pan nas odwoził?

Pokiwał głową.

Zamknął oczy i oddychał ciężko. Minęło kilka minut. Pani Ferguson podeszła do łóżka i wzięła Johna za rękę.

- Nigdy wcześniej o tym nie wspominał - powiedziała. - Lekarz twierdzi, że on na tych lekach może mieć halucynacje.

- To nie halucynacje, to się wydarzyło naprawdę.

Pani Ferguson potrząsnęła głową.

- Nie sądzę.

John otworzył oczy. Chwycił Jennę za nadgarstek.

- Po co przyszedłeś?

- Muszę odnaleźć tego szamana - odpowiedziała nerwowo, zaskoczona pytaniem i jego nagłym ruchem.

- Czekałem na ciebie.

Jenna popatrzyła na panią Ferguson nierozumiejącym wzrokiem.

- O co chodzi?

- Myślę, że powinna pani już iść - stwierdziła kobieta. Zaczęła poprawiać pościel Johna, ale on odsunął żonę.

- Dlaczego przyszedłeś teraz?

- Chcę odnaleźć syna.

- Uprzedzał mnie, że coś się wydarzy. Uprzedzał.

- Kto?

- Kazał mi zatrzymać budowę kurortu. Powiedział, że coś się stanie.

- Co dokładnie powiedział?

- Zabiły jego dziecko. Powiedział, że zabiorą też innych.

- Kogo zabiorą?

Jenna nic z tego nie rozumiała. Ferguson tymczasem walczył, próbował podnieść się z łóżka. Żona go przytrzymała.

- Przyszłaś mnie pobłogosławić.

Jenna się zmieszała. Wstała.

- Naprawdę, niech pani już idzie - poprosiła pani Ferguson.

Ale Jenna nie mogła jeszcze wyjść. Jeszcze nie skończyła.

- Jak się nazywał?

- Kazał mi to zakończyć. Nie zrobiłem tego.

- Jak się nazywał?

- Niech pani wyjdzie. Proszę. Czy pani nie widzi, co się dzieje?

Pani Ferguson trzymała męża za ramiona. Próbował odepchnąć jej ręce, próbował usiąść, ale był zbyt słaby. Chciał dosięgnąć Jenny. Wyciągał chude ramię.

- Przyszłaś mnie pobłogosławić - powiedział.

- Ten szaman - odezwała się Jenna. - David. Jak miał na nazwisko?

- Pobłogosław mnie!

- Na miłość boską! - krzyknęła pani Ferguson, puszczając Johna. - Proszę nas zostawić!

Gdy Jenna nie zareagowała, kobieta wybiegła z pokoju, szukając pomocy.

Dziewczyna dotknęła czoła Fergusonsona. Uspokoił się. Ale monitory szalały. Zwłaszcza ten pokazujący pracę jego serca.

- Pobłogosław mnie - poprosił znowu.

Pochyliła się i ucałowała go w czoło.

- Niech cię Bóg błogosławi.

Twarz Fergusona się rozluźniła.

- Livingstone - wyszeptał mężczyzna. - Livingstone.

- Gdzie go znajdę?

- W Klawock.

- Gdzie to jest?

Ale już było za późno. Wbiegli lekarze. Sanitariusze. Pielęgniarki. Za nimi pani Ferguson. Wszyscy rzucili się do Johna. Próbowali go ratować.

- Przepraszam - szepnęła Jenna do żony umierającego.

- Błagam. - Pani Ferguson miała oczy pełne łez. - Proszę zostawić nas w spokoju.

Jenna wyszła. Na moment zatrzymała się w korytarzu. Obserwowała lekarzy. Wszyscy pełni oddania. Śmierci jednak nic nie powstrzyma.

Ruszyła wolno w kierunku windy. Słyszała, że urządzenia wciąż pracują. A więc John jeszcze nie umarł. Jenna bardzo chciała, aby pani Ferguson ją zrozumiała, ale kobieta, pochłonięta ratowaniem męża, nie chciała słyszeć o duchach oraz o innym świecie.

Kiedy Jenna znalazła się przy windzie, poczuła smutek. Ale dlaczego? Bo wkrótce ktoś umrze? „Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz”. Każdy ma swój czas, który mija. Była pewna, że John Ferguson miał szczęśliwe życie. Gdziekolwiek trafi po śmierci, będzie to dobre miejsce.

- Pani Rosen!

Jenna się odwróciła. W jej kierunku biegła pani Ferguson.

- Pani Rosen, John chciał, abym się upewniła, że pani zrozumiała coś z tego, co on... Chce, żeby pani wiedziała, że jest mu bardzo przykro.

- To nie była jego wina - powiedziała Jenna. - Takie rzeczy po prostu czasem się zdarzają. Proszę mu to przekazać.

- Przekażę. - Popatrzyła na nią smutno i odeszła.

Jenna ruszyła schodami do holu. Nie miała czasu na winę.

W DOMU EDDIEGO JENNA uświadomiła sobie, że jest już sobota. Wyjechała ze Seattle prawie tydzień temu, a zdawało się, jakby to było wczoraj. Z drugiej strony czuła się tak, jakby przebywała we Wrangell przynajmniej od roku. Dziwne.

A teraz szykowała się na kolejną przygodę. Musiała jechać do miejsca bardziej odległego niż Wrangell, aby odnaleźć szamana. Dlaczego? Czuła, że Robert wyslizguje się z jej życia, że coraz bardziej staje się wspomnieniem, za to Bobby jest coraz bliżej, prawie jakby żył.

Tym razem musiała zaufać swojemu instynktowi.

Zeszła z ganku. Serce jej zamarło, kiedy zajrzała przez okno i zobaczyła Eddiego zajętego przygotowywaniem nakrycia dla dwóch osób. Na stole postawił dzbanek z bukietem żółtych kwiatków. Przez chwilę się wahała, ale w końcu weszła do środka.

- Hej, wróciłaś - powiedział Eddie, wysuwając dla niej krzesło.
- Siadaj.

Nalał kawę do kubka i postawił go przed Jenna, a potem wylał trochę ciasta na rozgrzaną patelnię.

- Mam nadzieję, że lubisz naleśniki.

Jenna skinęła głową. Nie chciała śniadania. Chciała wyjść. Musiała wyjść. Ogarnęło ją pragnienie ucieczki. Zrozumiała, że ona i Eddie zaczęli działać wedle różnych rozkładów, że znaleźli się w dwóch różnych samolotach lecących w przeciwnych kierunkach.

Przyglądała się chłopakowi. Nie rozumiała, dlaczego porusza się tak szybko i dlaczego przygotowuje aż tyle jedzenia. Wyłożył na jej talerz stosik naleśników i przyniósł następny talerz, na którym leżały plasterki bekonu. Wrócił do kuchenki i wlał na patelnię kolejną porcję ciasta.

- Jedz, póki gorące. Zaraz do ciebie dołączę.

Skosztowała kawałek naleśnika, ale nie miała apetytu. Eddie usiadł i zaczął jeść. Był radosny, może nawet za bardzo. Pewnie się napracował. Mówił, że zabierze Jennę na spacer po plaży albo popłyną łódką po Stikine. Opowiadał o gorących źródłach przy rzece. Były podobno wspaniałe, ale pełne komarów. Śmiał się, pił kawę, jadł kolejne naleśniki. Dziewczyna nie mogła spojrzeć mu w oczy. Czuła w krtani dławiący strach.

To nie była jednak wina Eddiego, tylko Jenny. W ciągu jednej nocy stała się inną osobą. Wczoraj chciała uciekać. Dzisiaj była gotowa stawić wszystkiemu czoło. Patrzyła teraz na świat z innej perspektywy.

Nawet zapachy odbierała inaczej. Słuchała Eddiego, rozglądała się po pokoju i nagle poczuła stęchliznę. Woń nie pojawiła się nagle, po prostu dopiero teraz Jenna zwróciła na nią uwagę. Zapach. Jakby pod dywanem leżało coś zbutwiałego. Jakby od dawna nie wietrzono tego pokoju.

Popatrzyła na ściany. Nie mogła zgadnąć, czy są pokryte kremową farbą, czy też pomalowano je tak dawno temu, że zmieniły kolor

pod wpływem brudu i upływu czasu. Wszystko zresztą sprawiało wrażenie pożółkłego ze starości jak makulatura. Eddie również wydawał się przykurzony. Odległy, inny. Jenna podejrzewała, że nie zmienił się gwałtownie, po prostu wcześniej sama siebie oszukiwała. Dała się zwieść. To, co dla innych było brązowe, Jennie wydawało się białe i czyste, pełne entuzjazmu i nadziei. Nawet światło lampy w pokoju. Wcześniej sądziła, że nie jest ciemnożółte, tylko białe. Wszystko w życiu Jenny nabrało teraz odcienia sepia.

- Po co poszłaś do szpitala? - zapytał Eddie.

Starał się mówić od niechcenia, ale Jenna czuła, że jest spięty. Bał się, że dzieje się coś, o czym sam nie ma pojęcia. To dlatego przygotował królewskie śniadanie.

Postanowiła nie owijać w bawełnę.

- Wyjeżdżam.

Eddie zatrzymał się w pół kęsa i spojrzał na nią.

- Wyjeżdżasz? Teraz?

- Tak.

- Dlaczego?

Jenna wzruszyła ramionami.

- Moja mama zwykła mówić, że resztki jedzenia i goście psują się po trzech dniach. Mój czas tutaj się skończył.

- Nigdy nie byłaś dla mnie... resztką.

Oboje próbowali się uśmiechnąć. Jenna dostrzegła na twarzy Ediego wyraźne rozczarowanie.

- Powiedz, co się stało - poprosił.

- Poszłam do szpitala, żeby spotkać się z kimś, kto zna szamana.

Zamierzam go odnaleźć.

- Mówisz serio?

- Tak.

- Skoro tego chcesz...
- Jak to „skoro tego chcę”? - spytała Jenna, lekko poirytowana.
- Myślałem, że nie wierzysz w tę całą legendę.
- Ty w nią nie wierzysz. Ja nigdy tego nie powiedziałam.
- Rozumiem.
- Eddie, przepraszam. Muszę wyjechać. Muszę załatwić swoje

sprawy.

Wstał i zebrał naczynia, po czym włożył je do zlewu.

- Musisz wyjechać. Rozumiem. Musisz zrobić to, co musisz. Też rozumiem. Nie powinno mnie to obchodzić. Po prostu przywykłem, że jesteś w pobliżu. Egoistyczne, prawda? Powodzenia i niech cię Bóg ma w opiece.

Odwrócił się do Jenny plecami, włożył patelnię do zlewu i zaczął zmywać.

Siedziała bez ruchu. Zastanawiała się, co jeszcze powinna powiedzieć, ale uznała, że nie ma nic więcej do dodania.

Eddie przestał szorować przypalone resztki, odkręcił kran i oparł się o zlew. Jennie zrobiło się go żal. Wiedziała, że zawiodła. Ale znowu poczuła potrzebę ucieczki. Tak silną, jak na ostatnim przyjęciu z Robertem. I zrozumiała dlaczego: czuła pustkę. Dopóki nie zdoła jej wypełnić, nie zbliży się do nikogo.

Po cichu weszła do swojego pokoju i spakowała rzeczy. Rozejrzała się. Zapamiętywała miejsce, jak zawsze gdy skądś wyjeżdżała. Nagle stwierdziła, że nie chce postąpić jak zawsze. Woli, żeby ten dom, ten pokój, zapamiętał ją. Zdjęła amulet z kuształą i położyła na szafce. Część siebie. Dowód, że tu była.

Eddie nadal zmywał. Jenna wyjęła sześćdziesiąt dolarów z portfela.

- Słuchaj, dziękuję za wszystko - powiedziała. - Pozwól, że zapłacę za pokój.

Podawała mu pieniądze, ale odsunął jej rękę i potrząsnął głową.

- Mieliśmy układ. Pokój za pomoc i towarzystwo. Układ to układ.

Nie patrzył na Jennę. Był jak dzieciak, który coś zgubił i cierpi z tego powodu. Jenna przysunęła się i pocałowała go w policzek.

- Dbaj o rękę.

Zaśmiał się.

- Dobrze.

- Zadzwoń do ciebie za jakiś czas. Powspominamy.

- Dobrze.

Jenna zawołała Oscara i wzięła go na smycz. Podeszli do drzwi.

- Eddie, naprawdę mi przykro.

Popatrzył na nią niebieskimi oczami i skinął głową.

- Jasne.

Zamknęła drzwi i ruszyła z psem w kierunku miasta.

STAŁ PRZEZ KILKA MINUT przy drzwiach. Czuł się jak zwierzę uwięzione w klatce. Zdjął koszulkę i przyjrzał się swojej ręce, przywiązanej do żeber ciasnym temblakiem. Kaftan bezpieczeństwa. Cella w głębokiej studni. Zatrzaśnięta kłapa nad głową. Albo imadło. Tak, imadło.

Eddie oddychał z trudem. Poczuł, że ma tego dość, że chce się normalnie ruszać, normalnie żyć. Z wściekłością zdarł temblak i wysoko uniósł lewe ramię. Było bardzo słabe. Cóż. Rozkład jest procesem, którego nie można zatrzymać. Zanik mięśni. Entropia

wszehświata koncentrująca się w ramieniu Eddiego. Ubytek energii na Wenus ujawniający się w jego ramieniu.

Popatrzył na purpurową bliznę z czerwonymi śladami szwów. Frankenstein z Wrangell. Lekarz zdjął szwy tydzień temu, a miejsce po nich nadal wyglądało tak, jakby za chwilę miało pęknąć. Zacisnął pięść. Nie bolało.

Przez pewien czas po wypadku używał lewej ręki. Była jak kombinerki firmy Vice-Grip. Mógł chwycić coś palcami i przytrzymać tak, żeby prawa ręka miała nieco łatwiej.

Przyciągnął pięść do ciała, uniósł ramię pod odpowiednim kątem i ścisnął biceps. Od razu też zagryzł zęby. Mięśnie się naprężyły. Nie był gotowy na taki wysiłek. Poczul przeszywający ból. Wydawało mu się, że w akcie solidarności z podrażnioną właśnie przez niego blizną pękają wszystkie naczynia krwionośne w ramieniu.

Ból był nie do wytrzymania. Eddie pocił się i przeklinał ograniczenia słabego ciała. W końcu jego lewa dłoń dotknęła brody. Wtedy dał sobie spokój, ramię opadło bezwładnie.

Usiadł na krześle w kuchni i zapalił papierosa.

Zapukała do jego drzwi, kiedy najmniej się tego spodziewał. Obca, ale jednak bliska - samotna tak jak on. Eddie nie przywykł do odosobnienia. Zwłaszcza latem. Zazwyczaj było tu pełno ludzi - spali, jedli i gadali o bzdurach. Jak wielka rodzina. Gdy ktoś zachorował, inni także chorowali. Gdy jeden się bogacił, inni również. Zimą robiło się spokojniej, ale wtedy w barach panowała świetna atmosfera. Zmieniało się łódź na małą ciemną knajpę. Latem jednak puby wyglądały inaczej. Gdy faceci wypływali w morze, stawały się puste i głuche.

Wypadek wszystko zmienił w życiu Eddiego. I wtedy zjawiała się ona. Uśmiechnęła się, jak nikt nigdy od czasów liceum nie uśmiechał

się do Eddiego. On odpowiedział uśmiechem i poczuł, że w jego radości jest coś nowego. Coś, czym bardzo chce się pochwalić. A kiedy to zrobił i opowiedział o Jennie kumplom, oni oszaleli. Patrzyli na dziewczynę z fascynacją i opowiadali o imprezie, która miała odbyć się u jednego z nich. Ale kazał im się zamknąć. Ona nie była taka. Była jego przyjaciółką. Naprawdę tak myślał. Nigdy nie miał dziewczyny, z którą mógłby się przyjaźnić. Mężczyzn i kobiety uważał za przedstawicieli różnych gatunków, które poza chwilami krótkotrwałych kontaktów powinny trzymać się z daleka od siebie. Ale z Jenną nie chciał się rozstawać. Chciał tworzyć z nią jedność, niekoniecznie seksualną, chociaż to byłoby miłe, ale partnerską. Chciał się z nią związać w sposób, którego nie potrafił sprecyzować.

O to właśnie chodziło. O bycie z Jenną. Nie miało znaczenia to, że mieszkali w jego byle jakim domu na cholernej wyspie, na klaustrafobicznej, porośniętej lasami skale pośrodku niczego. Czuł, że z Jenną stworzyłyby dobry związek. Czuł, że przy niej wszystko mogłoby nabrać nowych znaczeń. Czuł, że przy Jennie czas płynie inaczej.

Liczyły się tylko niewypowiedziane słowa i skryte myśli, drobne gesty. Sposób, w jaki bawiła się kolczykiem. To, jak podkurczała palce drobnych stóp w grubych skarpetach. Kawałek skóry, który odsłaniał się między krawędzią dżinsów a koszulką, gdy się pochylała. Nic więcej. Na więcej zabrakło czasu. Jak długo była u niego? Dzień? Dwa? Trzy? Nie pamiętał. Widział tylko jej twarz. Fakty nie miały znaczenia. Liczyło się to, że im bardziej Jenna się oddalała, tym więcej sił tracił Eddie. Zabrała ze sobą część jego energii. Może nawet o tym nie wiedziała. Nie powinien był pozwolić jej odejść. Dlaczego to zrobił? Dlaczego pozwolił Jennie uciec? To oczywiste.

Miała przecież swoje sprawy: musiała znaleźć szamana z powodu durnej indiańskiej legendy. Cóż, znalazł jeszcze bardziej bezsensowne historie. Powinien powstrzymać Jennę. Ale jak? Kim był, aby skłonić ją do zmiany planów? Nikim. Gdyby go jednak poprosiła, żeby z nią pojechał, zrobiłby to. Dlaczego nie? Ale nie poprosiła. Może nie chciała, żeby był przy niej? Może w jej oczach jest głupim szczeniakiem? A może go po prostu nie lubi. Tak, to ma sens. Ale przecież ona nie zna drogi. Mógłby zostać jej przewodnikiem. Zabrać ją łodzią tam, dokąd się wybiera. Upewnić się, że wszystko z nią w porządku. Może nawet chciałaby, żeby przy niej został?

Zgasił papierosa i zrozumiał, że stało się to, co stać się miało. Był przeciwny pomysłowi odnalezienia szamana, Jenna uznała więc, że musi działać sama. Bez Eddiego. Ale on poszedłby za nią wszędzie.

Postanowił więc pomóc dziewczynie. I tak nie ma nic lepszego do roboty. Pragnie być z Jenną, a to pragnienie jest znacznie silniejsze niż jego niewiara w legendy o kusztakach. Jeśli ona nie pozwoli sobie towarzyszyć, on przynajmniej zyska pewność dlaczego. Musi ją odnaleźć.

Szybko zawiązał temblak i włożył koszulkę. Wsiadł do samochodu. Miał nadzieję, że nie oddaliła się zbyt daleko. Jak daleko mogła zajść pieszo? Na lotnisko z pewnością jeszcze nie dotarła. Może na przystań, ale tam musiałaby znaleźć kogoś, kto zabrałby ją na łódź.

Eddie wyjechał na Front Street i skierował się w stronę miasta.

Zaraz za rogiem zobaczył Jennę. Stała pod Stikine Inn i z kimś rozmawiała. Z tym facetem, który był u nich. Kurtkę zawiązała w pasie. Ręce miała skrzyżowane za plecami. Zrelaksowana. Rozluźniona. Z Oscarem przy boku. Koleś pokazywał coś w oddali nad wodą.

Eddie wjechał na parking, a pies podskoczył i zaczął biec w jego kierunku. Jenna się odwróciła i uśmiechnęła na widok Eddiego. Ten uśmiech. Aż serce mocniej mu zabiło. Przykucnął i poczekał na zwierzaka. Ten podbiegł i polizał Eddiego radośnie, merdając ogonem. Po chwili Oscar wrócił do Jenny. Eddie poszedł za nim.

- Siema, Eddie! - zawołał Joey.

Eddie zignorował typa. Skupił się na Jennie.

- Pomogę ci - powiedział. - Pomogę ci dostać się tam, dokąd się wybierasz.

JENNA POCZUŁA ULGĘ na widok Eddiego. Chciała uwolnić się od Joeya. Znow zatrzymywał ją ten dzieciak, który gadał o niczym. Nie obchodziły jej głodne kawałki o stanie Oklahoma i o drużynie wrestlingu. Na szczęście pojawił się Eddie. Wybawca.

- Wybierasz się gdzieś? - spytał Joey dziewczynę.

Jenna i Eddie wymienili spojrzenia.

- Owszem - odpowiedziała ostrożnie.

- To znaczy?

Jennę zdziwiła bezpośredniość pytania. Smarkacz za dużo chciał wiedzieć.

Joey zrozumiał, że tym razem posunął się za daleko. Rozchylił usta w niepewnym uśmiechu. Po jego twarzy przemknął wściekły grymas. Wzruszył ramionami, jakby chciał dać Jennie do zrozumienia, że nie oczekuje odpowiedzi. Przykucnął. Zagwizdał na Oscara. Pies podbiegł do niego. Chłopak zaczął się z nim bawić.

Eddie przysunął się do Jenny. Mówił cicho, tak żeby Joey nie słyszał.

- Wiem, że nie prosiłaś, abym z tobą jechał, i może w ogóle tego nie chcesz...

- Myślałam, że to ty tego nie chcesz - przerwała mu Jenna.

- Chcę.

- Przecież nie wierzysz w nic z tego, co opowiadałam.

- Wierzę w ciebie. A ty potrzebujesz pomocy, prawda? Prawda.

Jenna bardzo potrzebowała pomocy Eddiego, ale o nic nie chciała go prosić. To była jej walka, nie jego.

Spojrzała na Joeya i na Oscara. Joey zaczepiał psa, który stawał się coraz bardziej agresywny. Teraz klepał go po pysku, to z jednej strony, to z drugiej, szybko, jakby chciał udowodnić swoją przewagę. Oscar szczyrzył kły, ale nie cofał się przed uderzeniami. Jenna chciała poprosić Joeya, żeby przestał, ale nie zrobiła tego. Miała cichą nadzieję, że pies wreszcie się zdenerwuje i ugryzie nachalnego koleśka w twarz.

- Nie sądzę, żebyś naprawdę chciał mi towarzyszyć - powiedziała. - Nawet nie wiesz, dokąd się właściwie wybieram.

- A ty to wiesz? Co za różnica. I tak prawdopodobnie znam drogę lepiej od ciebie.

- Eddie, posłuchaj, naprawdę to doceniam, ale...

Usłyszeli krzyk. Joey skręcał się z bólu. Oscar stał nad nim i warczał.

- Cholera! Ten pieprzony pies mnie ugryzł!

Jenna powstrzymała uśmiech satysfakcji i podeszła do Joeya, żeby sprawdzić, czy rana jest poważna.

- Pokaż. Krwawisz?

Joey spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Czy krwawię? Popatrz na to!

Wyciągnął rękę. Jenna zobaczyła, że z kilku małych ukłuć, które zostały po ostrych zębach psa, sączy się krew. Nie było jej dużo, ale i tak robiła wrażenie. Ślad po ugryzieniu znajdował się między kciukiem a palcem wskazującym i biegł od nadgarstka ku wnętrzu dłoni. Gdyby Oscar wbił się mocniej zębami, odgryzłby chłopakowi kciuk.

- Powinniśmy to przemyć, żeby nie wdała się infekcja - powiedziała Jenna. - Chodź. W hotelu na pewno mają apteczkę.

Pomogła Joeyowi wstać, przeszli przez parking, a Eddiego z Oscarem zostawili na zewnątrz.

DZIWNE. Joey wynajmował pokój w Stikine Inn. Chyba opowiadał, że nocuje w parku? A teraz okazuje się, że jednak w hotelu.

Earl pokiwał ponuro głową. Najpierw popatrzył na Jennę, a później na dłoń chłopaka. Przyniósł z zaplecza apteczkę. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem, kiedy Joey usiadł na zamkniętej desce sedesowej, a Jenna podstawiła jego dłoń pod kran, żeby przemyć ją ciepłą wodą. Kiedy osuszała ranę ręcznikiem, skrzywił się kilka razy. Wyjęła z apteczki brązową buteleczkę.

- Teraz może zboleć.
- To już boli - powiedział.

Wylała trochę wody utlenionej na ręcznik i przyłożyła do rany. Joey krzyknął.

- Cholera! Co to jest? Kwas?
- Mówiłam, że zaboli.
- Kurde. Chyba nie będę musiał iść do szpitala?

Jenna zaczęła owijać jego dłoń gazą.

- Nie wydaje mi się, chyba że wda się zakażenie.
- A jeśli ten pies ma wściekliznę?
- Powinieneś się napić - powiedziała, zawiązując gazę ciasno na ręce Joeya. Wstała. - Gotowe.

Joey popatrzył na bandaż.

- Na gitarze na razie nie pogram.
- I nie uderzysz psa w pysk. Czegoś się nauczyłeś, prawda?

Jenna zapakowała apteczkę i wyszła z łazienki. Joey poszedł za nią.

- A więc to koniec? Już cię nie zobaczę? - spytał.
- Tak, to koniec. Powodzenia.

Chwyliła klamkę i już chciała wyjść, kiedy zadzwonił telefon. Coraz dziwniejsze. Kilka dni temu nie było telefonów w pokojach.

- Zaczekaj jeszcze, nie idź. Mam do ciebie pytanie - powiedział Joey. Przeszedł na drugą stronę łóżka. Podniósł słuchawkę telefonu stojącego na stoliku nocnym. Chłopak był przy oknie i mówił cicho do słuchawki. Jenna cierpliwie czekała przy drzwiach. Na szafce dostrzegła skórzany notes, który wydawał się tu nie na miejscu. Skąd dzieciak mógł mieć coś takiego? Prezent na zakończenie szkoły? Ładny. Taki jak Roberta. Prosty, lecz elegancki. Z inicjałami: *JR*. Z inicjałami Jenny. Otworzyła notes i znalazła w nim mnóstwo kartecek. Numery telefonów. Faksy. Wizytówki.

- Co robisz?

Joey stanął tuż za nią. Zamknął notes w ręce Jenny.

- Ja... Mój mąż ma taki.
- Mąż?

Wyrwał notes Jennie, nie chciała go puścić. Wszystkie papierki wypadły na podłogę. Starał się chwycić kilka spadających kartek, ale mu się to nie udało.

- Och, przepraszam.

Jenna i Joey przykucnęli równocześnie, żeby je zebrać.

- Zostaw. Sam się tym zajmę.

Jenna wstała. Przyglądała się, jak Joey porządkuje karki, jak wsuwa je do notesu, jak notes zamyka w szufladzie.

- Przepraszam - powtórzyła.

Joey się uśmiechnął.

- Nie ma problemu, naprawdę. To często się zdarza.

- Powinnam iść.

- Nie, zaczekaj. Chcę chwilę porozmawiać. Napijesz się? Nie mają tu minibaru, ale urządziłem sobie własny.

Podszedł do telewizora, na którym stało kilka buteleczek z alkoholem, takich, jakie podają w samolotach.

- Trochę tego mam, więc możesz wybierać. Na co masz ochotę?

- Za wcześnie jak dla mnie.

- Tak, dla mnie też. Ale to łagodzi ból, wiesz?

Wtedy właśnie zauważyła kartkę leżącą na podłodze pod szafką. Podniosła ją i rozwinęła. Było to zdjęcie ze zszywką w prawym rogu. Na górze wytłuszczonym drukiem napisano: PROFIL. A niżej znajdowały się szczegółowe informacje. Nazwisko: Rosen. Imię: Jenna. Wiek: trzydzieści pięć lat. Wzrost: sto siedemdziesiąt centymetrów. Włosy: brązowe. Oczy: piwne. Znaki szczególne: blizna pod prawym ramieniem, pierścionek na prawym palcu. Jenna przyjrzała się fotografii. To było zdjęcie jej, Bobby'ego oraz Roberta z wycieczki do Disneylandu. Sprzed trzech lat. „Ale głupiec z tego Roberta - pomyślała. Nie mógł znaleźć bardziej aktualnej fotografii?”. Szybko zwinęła papier, żeby Joey nie zauważył, że go znalazła.

- Znakomicie smakuje. Klasyczny drink.

Joey otworzył swoją buteleczkę i pociągnął łyk. Nie zorientował się, że atmosfera w pokoju uległa zmianie. Jenna stała oparta o drzwi.

- W pewnym sensie stawiam ci tego drinka - powiedziała beznamyślnie, wpatrując się w Joeya.

Patrzył na Jennę, przekrzywiwszy głowę.

- Słucham?

- Mój mąż ci płaci, a połowa jego majątku należy do mnie, więc to ja płacę za połowę drinka. Prawda?

Jenna prawie słyszała, jak małe kółka zębate obracają się w jego głowie. Oceniał sytuację. Nadal nie zauważył kartki w dłoni Jenny. Gdyby zauważył, pewnie by się poddał. A tak wciąż sądził, że ma szansę. Postanowił blefować.

- Nie wiem, o czym mówisz. Spędziłem ubiegłą noc w tym hotelu, bo źle się czułem. Zmęczyło mnie spanie w deszczu. Miałem dość smrodu dymu z ogniska. - Usiadł na krawędzi łóżka i napił się wódki. - Chyba bierzesz mnie za kogoś innego.

- Rzeczywiście. Musiałam cię z kimś pomylić. Powiedz mi, wyglądam na sto siedemdziesiąt centymetrów?

- Co?

- Czy wyglądam na nie?

- Nie wiem. Być może.

- Mężczyźni są głupi. Nie wiem, jak Robert wpadł na to, że mam tyle wzrostu.

- Nie rozumiem. - Joey zaczął się wiercić.

- Jak wysoki jest mój mąż? Ma sto osiemdziesiąt centymetrów?

- Nigdy nie widziałem twojego męża. Mówiłaś, że się spieszysz.

Jenna rozwinęła kartkę i pokazała ją chłopakowi.

- Oczywiście, że widziałeś. To on. Jest wyższy ode mnie, prawda?

- Skąd to masz?

- Znalazłam na podłodze, idioto. A teraz odpowiedz na moje pytanie. Czy on jest wyższy ode mnie?

Joey wyrwał kartkę Jennie. Złożył ją i schował do kieszeni.

- Nie mam ochoty na gierki.

- Cóż, jest ode mnie wyższy. Ma sto osiemdziesiąt centymetrów. A jakiego ja jestem wzrostu?

Joey złapał Jennę za ramię i poprowadził do drzwi.

- Słuchaj - powiedział już bez akcentu. - Nie myśl, że wygrałaś, odkrywając mój sekret. Nie przestanę cię śledzić i nie przestanę robić zdjęć tobie i twojemu Wacusiowi. Tak nazywamy kogoś, z kim pieprzy się o b i e k t. Jeśli to dziewczyna, określamy ją Cukiereczkiem. Słodko, prawda? Płacą mi, żebym kontrolował, kto, gdzie, kiedy i jak często bzyka się z Wacusiem. I nie obchodzi mnie to, że wiesz, kim jestem. To nawet l e p i e j, że wiesz. Mogę zrezygnować z akcentu. Nienawidzę Środkowego Zachodu.

Jenna uwolniła się z uścisku Joeya.

- Nie śpiam z Eddiem.

Zaśmiał się.

- Zrobiłem wam zdjęcia w łóżku.

- Kiedy?

- Dzisiaj rano. Może nie była to pełna akcja, ale co z tego? Wygląda na dobre pieprzenie się, nie sądzisz?

Cholera. Robert wysłał szpiega. Nie mogła dopuścić do tego, aby jej przeszkodził. Czuli, że musi niezwłocznie wyjechać, ale tak, żeby nikt się o tym nie dowiedział. Tylko jak tego dokonać?

Joey napierał coraz mocniej na Jennę. Próbował wypchnąć ją za drzwi. Prawie mu się udało. Jenna jednak nie zamierzała jeszcze wychodzić. Wyślizgnęła się facetowi i wróciła do pokoju.

- Teraz ja się napiję.

Wzięła butelkę z telewizora. Z rozczarowaniem stwierdziła, że jest plastikowa. Joey się roześmiał.

- Nie wiem, co planujesz, ale ja jestem jak listonosz. Nie powstrzymają mnie żadne pieniądze, żadne pogróżki, żaden seks. No, może seks...

- A jeśli ucieknę?

- Tak jak ostatnim razem?

Wyszczrzył zęby i unióśł brwi. Jenna wiedziała, że jeśli Joey przekona Roberta, że jego żona z kimś sypia, on zjawi się tu w sekundę. Nie zdradziła męża, ale kto jej uwierzy? Zdjęcia w łóżku zapewne wyglądały dość jednoznacznie. Musi sprawić, żeby Joey nic nikomu nie powiedział. Na pewno jest jakiś sposób. Może trzeba się odwołać do jego ludzkich uczuć. Porozmawiać z nim rozsądnie... żeby zrozumiał.

Jenna usiadła na krawędzi łóżka.

- Jaki będzie twój następny ruch? - spytała.

- Uzupełnię raport. Wyślę zdjęcia.

Pomyślała z nadzieją, że zajmie to trochę czasu. Najwcześniej jutro mogła się spodziewać jakichś działań podjętych przez męża.

- Tak - powiedział Joey i usiadł obok. - Współczesna technika jest całkiem pomocna. Robię zdjęcia i przesyłam faksem. Jak tylko wyjdiesz, wszystko wyślę na osobisty numer twojego męża. Musiał

założyć specjalną linię w biurze, bo bał się, że współpracownicy zobaczą jego żonę w kompromitujących sytuacjach.

Oboje unieśli buteleczki do ust. Jenna spojrzała na Joeya. Miał kilka włosków na twarzy. Czarny zarost na podbródku, na policzkach oraz nad górną wargą. I najdłuższe rzęsy, jakie Jenna widziała w swoim życiu. Dlaczego faceci dostają to, czego nie potrzebują? Westchnęła.

- Słuchaj, nie utrudniajmy sobie życia - powiedziała. - Mam propozycję dobrą dla nas obojga. Jeśli wygadasz się Robertowi, on natychmiast tu przyjedzie. I to będzie koniec twojej pracy. Ale jeśli poczekaś dzień lub dwa, ja będę miała czas na przemyślenie sprawy, a ty na telefony do Tokio. Rachunki przekażesz mojemu mężowi.

Joey odchylił głowę i wlał sobie resztę alkoholu do ust. Potem odrzucił butelkę. Odbiła się od szafki i upadła na podłogę. On sam położył się na łóżku. Założył ręce za głowę.

- Chyba rozumiem.

Głęboko westchnął, rozważając sytuację.

- Chyba - powiedział, ocierając się ciałem o łóżko. - Ale może będziesz musiała mnie przekonać.

Jenna popatrzyła na Joeya z niechęcią. Wyobraziła sobie, że harpun rozszarpuje mu wnętrzności i zadaje bolesne, krwawe rany, po czym jelita wypływają z rozprutego brzucha mężczyzny.

- Przekonać cię?

- Tak. - Podniósł głowę i spojrzał wymownie. - Przekonaj mnie.

- Jeśli zrobię ci dobrze, to się dogadamy?

- Tylko jeśli zrobisz to dobrze.

Jenna patrzyła na Joeya, który zamknął oczy i przygotował się na chwilę rozkoszy. Szybko oceniła sytuację. Mogła mu zrobić laskę albo skoczyć z okna i połamać sobie nogi.

- Lubię, kiedy dziewczyny drażnią moje sutki - powiedział.

To wystarczyło. Jenna zaczęła się śmiać. Scena robiła się coraz bardziej niedorzeczna.

- No co? - zapytał wkurzony Joey.

- Wydaje ci się, że ci zrobię laskę?

- Potrzebujesz mojej pomocy, no nie?

- Zaraz, zaraz. Mam wziąć twojego penisa do ust? Ale kiedy?

Przed tym, jak poderżnę sobie gardło, czy później?

Joey się wściekł. Zeskoczył z łóżka, podbiegł do szafy i wyciągnął plecak.

- Słuchaj, nie interesuje mnie, czyjego kutasa ssiesz. Chciałem ci pomóc.

- Ty chciałeś mi pomóc?

Joey wyciągnął laptopa z plecaka.

- Masz wątpliwości?

- Nie dostrzegasz w tym wszystkim ironii?

- Nie. - Włączył komputer.

- Nigdy nie zdradziłam męża. Ty jednak powiesz Robertowi, że owszem, chociaż to kłamstwo. Żebyś nie sprzedał mu bajki o mojej niewierności, muszę zrobić ci laskę. Ale wtedy zdradzę go naprawdę, nie z osobą, z którą przyłapałeś mnie na zdjęciach, tylko z tobą. Aby uniknąć oskarżenia o fałszywe cudzołóstwo, muszę popełnić realne cudzołóstwo. Cóż za ironia!

Jenna śmiała się nadal. Tymczasem Joey napisał na kartce kilka słów i czekał. Potem wyjął z plecaka kilka zdjęć.

- Możesz popatrzeć, jak faksuję zdjęcia. To dopiero ironia!

Jenna wstała i podeszła do Joeya. Mogła się na niego rzucić i ci-
snąć jego sprzęt na podłogę, zanim on zdołałby ją powstrzymać.
Mogła też uderzyć chłopaka lampą w głowę i kopać go w twarz tak
długo, aż przestałby oddychać. Oczywiście w grę wchodził jeszcze
seks. Ale czy którakolwiek z tych możliwości coś jej da?

Obudziła się dziś rano z konkretnym planem i musi go zrealizo-
wać.

- Joey, opowiem ci coś. Najpierw posłuchaj, a później zrób
swoje. A ja zrobię swoje. I Robert także. Wszyscy zajmą się tym,
czym powinni się zająć.

Chłopak odwrócił się do Jenny.

- Mój syn utonął dwa lata temu. Tutaj, na Alasce. Byłam z nim,
kiedy to się stało. Widziałam, jak umiera, i nie uratowałam go. Przez
ostatnie dwa lata nie umiałam pogodzić się z tą myślą. Teraz chcę,
żeby dusza Bobby'ego wreszcie odpoczęła. Jeśli Robert tu przyje-
dzie, wszystko zepsuje. Będę wdzięczna, jeśli do tego nie dopuścisz.
Jeśli nie prześlesz mi tych zdjęć, dam ci naprawdę dużo. Ale nie
swoją godność. Nie poniżę się dla twojej perwersyjnej satysfakcji.
To naprawdę nic osobistego. Wyglądasz na miłego faceta. Gdybym
była singielką w twoim wieku, gdybyś zabrał mnie na kolację z do-
brym winem i kupił mi kwiaty... jestem pewna, że zrobiłabym ci
laskę.

Roześmiał się. Już nie był oschły i chłodny.

- Ale w naszej rzeczywistości to niemożliwe.

Skierowała się do drzwi.

- Mam nadzieję, że z twoją ręką już lepiej. Przepraszam za
Oscara. Napij się jeszcze, zadzwoń do Tokio, zamów koktajl z kre-
wetek, jajka na śniadanie. Za wszystko zapłacę.

Nacisnęła klamkę. Drzwi otworzyły się cicho.

- A jeśli w głębi duszy poczujesz, że naprawdę chcesz pomóc kobiecie, która musi wyprostować kilka spraw w życiu, docenię to.

Jenna prawie zamykała drzwi za sobą, kiedy Joey ją zawołał.

- Pani Rosen?!

Wsunęła głowę przez szczelinę.

- Ma pani czas do rana.

Uśmiechnęła się i cicho zamknęła drzwi.

WIEDZIAŁA, ŻE JOEY nie dotrzyma słowa.

Ten facet był interesowny, nie spełni swojej obietnicy. Nawet gdyby zrobiła mu łaskę, nie miałyby to większego znaczenia. Perwersyjna chwila przerwy przed uzupełnieniem i przefaksowaniem raportu. I przed kolejną buteleczką wódki.

Eddie i Oscar leżeli na trawie. Czekali na powrót Jenny.

- Zagoi się?
- Z jego ręką będzie wszystko w porządku, gorzej z jego życiem. Nie zrobi nic, żeby zmienić swoją karmę. Ani moją.
- Co masz na myśli?
- Opowiem później. Jak można najszybciej wydostać się z wyspy?
- Łodzią. A dokąd się wybieramy?
- My? - westchnęła Jenna.

Nie miała wyjścia. Musiała wtajemniczyć Eddiego. Nie знаła okolicy na tyle dobrze, żeby podejmować samotne wycieczki.

- Do Klawock. Wiesz, gdzie to jest?
- Tak, niezbyt daleko.

- To w drogę.

Eddie nawet nie drgnął. Wciąż leżał na trawie.

- Do Klawock... - powtórzył i pokręcił głową. - Łodzią jest za daleko. Potrzebny ci samolot.

- Mówiłeś, że łodzią najszybciej...

- Wydostać się z wyspy, ale nie dotrzeć do Klawock.

- Nie mogę lecieć samolotem.

- Dlaczego?

- Bo wtedy mąż mnie znajdzie. Rozumiesz, nazwisko na bilecie.

Muszę zniknąć szybko i po cichu, żeby ten mały szpicel z góry nie dowiedział się, gdzie jestem. Możesz ruszyć się wreszcie? Porozmawiamy po drodze. Chciałabym ci wytłumaczyć, jak ważny jest dla mnie ten wyjazd.

Eddie się podniósł i podszedł do swojego trucka.

- Łodzią będziemy płynąć cały dzień - wyjaśnił. - Przynajmniej trzy godziny zajmie nam dotarcie do północnego krańca Prince of Wales Island. To duża wyspa. A Klawock jest na południowym zachodzie.

- Chyba mówiłeś, że to niedaleko.

- Na Alasce „niedaleko” oznacza krócej niż trzy dni.

Odpalił silnik. Jenna stała przy samochodzie i pocierała dłońmi twarz. Wyglądała jak osaczone zwierzę. Nie wiedziała, co robić. Jeśli polecą samolotem, namierzą ją. Zobaczą nazwisko na bilecie. Chyba że użyłaby nazwiska Eddiego.

- Samolotem Fielda dolecielibyśmy w czterdzieści pięć minut - zaproponował nagle Eddie.

- Field ma samolot?

- Jasne.

Samolot Fielda. Oczywiście. Nie musiałyby kupować biletu. Nikt nie dowiedziałby się o wyprawie. Był jednak problem - Jenna

nienawidziła małych samolotów. Dużych także, ale małe są gorsze. Bez spadochronów. Większość wypadków śmiertelnych zdarza się właśnie w małych samolotach. Facet za sterem dostaje ataku serca, a żona nie wie, co zrobić, żeby dolecieć na miejsce. Lądują w metalowej trumnie już skremowani.

Ale czterdzieści minut to niedużo. Jenna mogłaby zamknąć oczy i wytrzymać.

- Czy to bezpieczne?

Eddie się roześmiał.

- Field od wieków pilotuje. Tak, to bezpieczne.

- Musi wypełniać jakąś dokumentację?

- Nie. Odlatujemy i lądujemy. To wszystko. Uruchomił silnik, wrzucił bieg.

- Dobra - powiedziała Jenna, wsiadając. - Samolotem Fielda do Klawock.

Eddie ruszył z parkingu. Z domu zadzwonił do swojego kumpla i wziął kilka ubrań. A potem udali się na przystań, gdzie już czekał Field ze swoim hydroplanem.

CHOCIAŻ ROBERT CZUŁ SIĘ BYLE JAK, poszedł w sobotę do pracy. Wiedział, że cały dzień w pustym domu i łażenie z kąta w kąt bez celu tylko pogorszy mu nastrój. Poza tym miał dużo pracy.

Przyszła także Pat, jego młoda i atrakcyjna asystentka, zawsze zadowolona z nadgodzin. Z jej pomocą, bez agresywnych telefonów, Robertowi z pewnością uda się zrobić trzy razy więcej niż zwykle. Drobiazg, który przysparza licznych korzyści.

Pat przyniosła kawę o smaku czekoladowo-orzechowym i usiadła naprzeciw szefa. Oboje zajęli się przeglądaniem danych o przetargu,

do którego Robert chciał przystąpić. Kiedy Pat czytała, nie mógł się powstrzymać przed podziwianiem jej długich, smukłych nóg.

- Co to jest? Nie mogę odczytać.

Przysunęła się i pokazała kartkę Robertowi. Przez bluzkę wyraźnie widział jej lewą pierś.

- Przepraszam. Częstotliwość. Bazgrzę jak kura pazurem. Skrajnie niska częstotliwość fal elektromagnetycznych.

Skrzyżowała nogi w kostkach. Robert uwielbiał kostki. Kilka razy myślał o romansie z Pat. Wiedział, że jest samotna i że go lubi. Pewnie by się zgodziła. Ale on nigdy nie zrealizował swoich fantazji. Już sama myśl o tym wydawała mu się obrzydliwa. Pieprzyć się z sekretarką. Jakiś koszmar.

Znał kilku gości zdradzających swoje żony w agencjach towarzyskich dla VIP-ów. Agencje wystawiały im fałszywe rachunki, kwoty mogli odpisywać od podatku. Roberta jednak zawstydzał pomysł płacenia za seks nawet najdroższej i najlepszej dziwce na świecie.

Miał też inny problem: nikomu nie potrafiłby powiedzieć, co lubi w łóżku. Potrzebował kogoś, kto go dobrze zna. Potrzebował Jenny. Tylko jej. Gdyby miał wyznać obcej osobie, jak uwielbia być dotykany, umarłby. Dlaczego? Bo piekielnie obawiał się oceny. Wiedział, że wszyscy nieustannie oceniają siebie nawzajem. Dziwki również wyciągają wnioski. Ci, którzy do nich chodzą, przedkładają własną przyjemność nad wstyd. Robert tego nie umiał. Przyzwyczał się, że rzeczywistość nigdy nie jest taka, jaka powinna być. Dziewczyny w czasopismach też nie są takie jak naprawdę. Magia retuszu. Fantazja to nie rzeczywistość. A Jenna była dobra w rzeczywistości. To prawda, że od śmierci Bobby ego rzadko się kochali, ale cóż.

Mógł sobie pooglądać dziewczyny w czasopismach i w razie potrzeby wystrzelić spermą w garść chusteczek. Takie jest życie.

Zadzwoił faks. Robert nie zorientował się, że to jego prywatna linia. Nie zdołał zatrzymać Pat, która czujnie stanęła przy urządzeniu. Patrzyła na wysuwającą się kartkę z wiadomością. Wbudowana gilotyna do papieru odcięła pierwszą część faksu. Po chwili pojawiła się druga.

Podeszła do Roberta z dwiema zwiniętymi kartkami. Wyglądała na zażenowaną.

- Co to jest? - spytała.

Na pierwszej stronie znajdował się zwięzły raport. Kto, co, gdzie, kiedy. Same szczegóły. Na kolejnej stronie widniało niewyraźne, dziwne i abstrakcyjne zdjęcie dwóch ciał pod kołdrą.

Z Roberta uszło życie. Miał nadzieję, że to pomyłka. Niestety. Opadł na krzesło i tępo gapił się w kartkę.

- Wszystko w porządku? Robert pokręcił głową.

- Nie.

- Co to jest?

Spojrzał na Pat. Chciało mu się płakać. Ale nie zrobił tego. Powstrzymał się i wykrztusił:

- Moja żona.

- Ojej - powiedziała Pat, kładąc dłoń na dłoni Roberta.

Jakie są etapy żałoby? Zaprzeczenie, desperacja, złość. Nie ma sensu tracić czasu na dwa pierwsze. Jedyne trzeci ma jakąś wartość. A to dlatego, że złość skutkuje działaniem.

Robert powiedział Pat, że musi wyjść na spacer. Zrozumiała. Odparła, że podczas jego nieobecności popracuje nad przygotowaniem dokumentów do przetargu, i dodała, że gdyby chciał się wyzalić,

wysłucha go. Robert nie miał na to najmniejszej ochoty. Był wściekły. Pragnął czegoś więcej.

Dochodziła dopiero trzynasta, ale poszedł na drinka do baru Mike'a. Na dobrego, mocnego drinka. Była to spelunka na First Avenue, do której lubił zabierać swoich klientów. Serwowano tam burgery i kanapki. Wszystko smakowało jak gówno. Ale on lubił przyprowadzać tam klientów, bo zawsze dobrze się bawili. Robert wiedział, że zamożni mężczyźni nie przepadają za noszeniem garniturów i piciem perfumowanego dżinu. Przyzwyczajają się do luksusu, ponieważ są przekonani, że jeśli nie podporządkują się standardom godnym swoich stanowisk, nie odniosą sukcesu. Ale w głębi duszy wolą pierdzieć i bekać bez skrępowania, lubią drapać się w tyłek, jeśli ich swędzi, i lubią kelnerki, które wiedzą, że gdy włożą krótsze spódniczki, dostaną wyższe napiwki. Robert zabierał ich do tej taniej knajpy, żeby odpoczęli. Zamawiali dwa lub trzy martini i dobrze się bawili. Wydawało im się, że zaliczą kelnerkę. Podpisywali umowę.

Robert usiadł przy barze. Zażądał martini bez lodu, ale ze skórką z cytryny. A potem kolejne. Przy trzecim zapytał barmana, faceta mniej więcej w jego wieku, gdzie może znaleźć dziewczynę na południe. Bo stwierdził, że istnieje tylko jeden sposób, aby ukoić gniew. Dziwka. Był przekonany, że barmani są jakoś powiązani ze światkiem alfonsów i że ten facet zna numer telefonu, pod który Robert będzie mógł zadzwonić. Pomyślał przez chwilę o rozmowie ze Steve'em Millerem, który na pewno wiedziałby, z kim umówić Roberta. Ale to byłoby zbyt jawne, zbyt oczywiste. Cały świat dowiedziałby się o wyczynie Rosena.

Barman okazał się palantem. Zasugerował jedynie, żeby Robert pokręcił się po First Avenue w okolicy kin wyświetlających filmy

porno. Tam na pewno coś znajdzie. Ale Robert nie miał czasu. Pragnął pozbyć się męczącego ciśnienia i bólu. Chciał też zrobić kilka zdjęć. Chciał posłać je Jennie. Może wtedy zrozumiałaby, jakie to uczucie otrzymywać faksem dowody zdrady.

Wtedy sobie przypomniał o dziewczynie o pięknych ustach z Gardy. Sięgnął do kieszeni. Miał na sobie tę samą marynarkę, co wtedy. Pudełko zapalek z imieniem i z numerem telefonu. Jasne.

Na tyłach restauracji znalazł telefon. Mówiła, żeby skontaktował się z nią, jeśli zechce pogadać. Więc chce pogadać. Chwilę. Jak miała na imię? Słodka Erin. Studentka. Gładkie, drobne ciało. Ale gdzie to robią? U niej. A może mieszka z kimś? Na pewno nie mogą u niego. To nie wchodziło w grę. Będzie musiał zapłacić za hotel. A co z grą wstępną? Kolacja przy świecach. Szampan. Musi zadbać o te wszystkie bzdurne szczegóły. Erin pewnie tego by oczekiwała. No i rozmowa. Ech. Tego nie chciał. Nie chciał prawdziwej randki, przygotowywania terenu. Ale ona inaczej nie wskoczy mu do łóżka.

Komplikacje, komplikacje. Robert nie zamierzał myśleć o nich zbyt długo. Chciał tylko zanurkować. Zadzwoni i sprawdzi. Wszystko może samo się rozwinie. W końcu chciała to zrobić zeszłej nocy. Mówiła, że może być zabawnie. Zabawa. To byłoby coś. Dokładnie to, czego potrzebował.

Erin odebrała telefon. W słuchawce odezwał się zaspany głos. Była prawie druga po południu. Młodzi ludzie śpią długo.

- Tu Robert. Obudziłem cię?
- Robert?

Ziewnęła. Otrząsała się ze snu. Pewnie dlatego nie mogła sobie przypomnieć.

- Spotkaliśmy się wczoraj wieczorem. Odwiozłem cię do domu.
- A tak.
- Mówiłaś, żebym zadzwonił, jeśli będę chciał pogadać. Przepraszam, jeśli cię obudziłem.

- Nic się nie stało. Zaczekaj chwileczkę.

Odłożyła słuchawkę na bok. Słyszał, jak Erin przechodzi przez pokój. Cisza. Spuszczanie wody. Urocze.

- Co tam?

Robert miał pustkę w głowie. Jak to zrobić? Zaprosić ją na randkę?

- Świetnie się bawiłem zeszłej nocy - powiedział. - Nie robiłem tego od lat.

- Czego? Nie brałeś koki?

- Wiesz, tak ogólnie.

- Cały czas byłam na speedzie. Siedziałam całą noc, szczerząc zęby. Bałam się, że ten uśmiech już mi zostanie na stałe.

Robert bawił się przyciskami na automacie do papierosów. Kolorowe przyciski, jasne i ładne. Przypominało mu to dzieciństwo. Z pewnością dzięki nim palenie staje się dla dzieci bardziej atrakcyjne.

- Może chciałabyś się ponownie spotkać. Chętnie bym z tobą porozmawiał. Moglibyśmy się wybrać na kolację?

- Na kolację?

- Tak, dziś wieczorem. Jeśli masz czas. Ja stawiam.

- Randka?

Robert się zaśmiał.

- Coś w tym stylu.

Erin zastanawiała się chwilkę.

- Mam już na dzisiaj pewne plany.

- Aha. To może jutro?

- Uczymy się w niedzielne wieczory ze znajomymi... Dlaczego chcesz iść ze mną na randkę?

To zbiło Roberta z tropu. Jego serce zaczęło łomotać. Czy musi się tłumaczyć? Tego nie oczekiwał.

- Nie wiem. Pomyślałem, że może być zabawnie.

- Chodzi o twoją żonę?

- Słucham?

- Wczoraj nie chciałeś zrobić skoku w bok ze względu na żonę, a teraz chcesz iść na randkę. Dlaczego?

- Nie wiem - wyjąkał Robert. - Przemyślałem to. Dałaś mi numer. Mówiłaś, żebym zadzwonił, jeśli będę chciał pogadać.

- Chcesz pogadać czy iść na randkę?

- Mówiliśmy o randce.

- Nie łap mnie za słówka - mruknęła. - Słuchaj, mój chłopak przyjeżdża dziś wieczorem na kilka tygodni, więc jeśli chodzi o randki, jestem zajęta.

Jest zajęta. Jeśli chodzi o randki.

- A pogadać? Pogadać przy kawie możemy dziś po południu...

Kawa. Robert wymyślił Erin inną rolę. Nie tak miało być. Teraz musi improwizować. Och, życie nigdy nie jest takie, jakiego chcemy. Dlatego istnieją filmy i czasopisma, a także inne sposoby kontrolowania społeczeństwa. Dlatego trzeba wyeliminować zmienną niepewności z życia. Założyć rodzinę. Spłodzić dzieci. Wszystko ma swoją kolej. „Najpierw miej nadzieję. Później zrób się nudny. A na koniec obserwuj, jak wszystko się wali”.

Odłożył słuchawkę. Nie pożegnał się. Co oznacza życzenie „dobrego dnia” obcym ludziom? Złego dnia. Złego-pieprzonego-dnia. Za dodatkowych pięćdziesiąt pięć centów Robert połączył się z

liniami lotniczymi Alaski. Zabukował bilet na wpół do siódmej. Lot do Wrangell przez Juneau w niedzielę rano. Około wpół do jedenastej będzie w tym samym mieście co żona.

Do tego czasu musiał jednak czymś się zająć, by nie zwariować. Wyszedł z knajpy Mike'a i ruszył przez Fourth Avenue do kina Coliseum. Tak, to dobre miejsce. Ekranowa rzeź. Przemoc. Tania, kontrolowana, dobra zabawa na pełną skalę. Świetnie. W Coliseum zawsze wyświetlają filmy akcji. Robert wybierze jeden z nich i obejrzy go kilka razy. Dopóki nie zgłodnieje. Do tego momentu nie będzie się musiał zмагаć ze sobą. Później pomyśli, co dalej.

JENNA WYBRAŁA MIEJSCE Z PRZODU. Field sprawdzał urządzenia pokładowe, naciskał guziki. Wreszcie śmigło ruszyło, silnik wyrzucił w powietrze obłoki dymu, a pilot pomachał do jakiegoś faceta na przystani, który właśnie odcumował swój hydroplan.

Silnik rzeził. Maszyna Fielda coraz bardziej oddalała się od lądu.

Po tym jak Jenna pierwszy raz leciała małym samolotem, przysięgła sobie, że nigdy więcej tego nie zrobi. Była w ósmym tygodniu ciąży, o której wiedzieli tylko ona i Robert. Postanowili wyjechać na wakacje. Romantyczna ucieczka. Ostatni samotny wypoczynek przed narodzinami dziecka. Wybrali Saint Barth. Na początku było zabawnie. Na każdym kolejnym lotnisku wsiadali do coraz mniejszych samolotów. Najpierw lot 767 z Seattle do Dallas, następnie lot 737 z Dallas do Saint Martin, a na końcu dwusilnikowe maleństwo dla dwunastu pasażerów. Pamiętała, że piloci wyglądali jak nastoletnie dzieciaki w za dużych mundurach kubańskiej armii. Zdawało się,

że ich maszyna lata od dobrych osiemdziesięciu lat. Była tak stara, że obaj, wspólnymi siłami, przesuwali umieszczoną na suficie dźwignię. Potem we wnętrzu balansowali tak, żeby samolot nie stracił równowagi i nie runął na ziemię. To wszystko piekielnie denerwowało Jennę. Najgorsze jednak było lądowanie na Saint Barth - w miejscu dobrze znanym wszystkim pilotom.

Samolot okrążył górę, zaczepiając niemal o wierzchołki drzew. Na zboczu Jenna dostrzegła białe krzyże. Mnóstwo. Miejsca wypadków. Miejsca śmierci. Kiedy maszyna zaczęła nagle pikować coraz szybciej pod kątem dużo większym niż czterdzieści pięć stopni, przestała oddychać. Inni pasażerowie także. Piloci nie wyglądali na przejętych. Ale Jenna oszalała. Krzyczałyby, gdyby tylko mogła oddychać. Ale nie mogła. Kiedy przez przednią szybę zobaczyła ziemię, była pewna, że już po nich. Wtedy jednak samolot wylądował z hukiem. Pędził po pasie jak szalony. Wcale nie zwolnił. Błada jak ściana, zobaczyła, że pas startowy wygląda jak ślepa uliczka prowadząca do oceanu. Wtedy piloci się zaśmiali. Jeden z nich na widok wyrazu twarzy Jenny trącił drugiego łokciem. Nie przejmowali się niczym, jakby zapomnieli o śmiertelnej pułapce czekającej na nich kilka metrów dalej. Dopiero wtedy wrzucili wsteczny bieg. Pasażerów szarpnęło w przód, bagaże zaczęły się przesuwać, a silnik jęczał. Samolot zwolnił. Piloci uniknęli katastrofy. Wyhamowali dwa metry przed urwiskiem.

Jenna i Robert wrócili z podróży statkiem.

Field zwiększył prędkość. Wreszcie płat nośny się cofnął i samolot wzleciał w powietrze. Pięć, trzydzieści, sześćdziesiąt metrów. I jeszcze wyżej. Maszyna się przechyliła. Biała igła na niebiesko-brązowej tarczy obracała się coraz szybciej. A może to samolot kręcił

się wokół niej? Sto pięćdziesiąt, dwieście metrów. Wszystkie urządzenia działały. Parametry w porządku. „Nie jest tak źle, nie patrz w dół”.

Eddie poklepał Jennę po ramieniu. Próbował odwrócić jej uwagę, próbował pokazać widoki poniżej, ale ona nie chciała patrzeć. Wpatrywała się w tablicę rozdzielczą. Musiała kontrolować sytuację. Zaciśnęła dłoń na poręczy fotela. Mimowolnie zerknęła w dół. Zobaczyła Słoniowy Nos. Wyglądał pięknie.

Trzysta pięćdziesiąt metrów nad poziomem morza.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę z piękna okolicy. Setki zalesionych wysp połączonych pajęczynami czarnej wody. „Wyglądają jak bagna Everglades na Florydzie - pomyślała. Przypomniała sobie *Dzikie królestwo*, serial dokumentalny, który oglądała w niedzielne wieczory na Animal Planet.

- Dokładnie jak Everglades, ale większe”.

Wciąż lecieli nad wodą, która prowadziła ich przez dzikie pustkowia.

Field poklepał dziewczynę po ramieniu. Uśmiechnął się.

- Coś ci pokażę.

Samolot nagle przechylił się na prawo. Jenna zamachała rękoma. Nie lubiła takich gwałtownych ruchów.

Skręcili. Maszyna wyrównała. Teraz lecieli nad rzeką wijącą się między drzewami. Samolot zniżył lot. W porządku.

- To rzeka Stikine! - Field próbował przekrzyczeć silnik. - W dawnych czasach, kiedy panowała gorączka złota, pływał tędy prom aż do Kanady! Indianie się jej bali. Myśleli, że przez Stikine wędrują dusze po śmierci. Odmawiali przewożenia białych rzeką. Ale biali i tak tu żeglowali. Kiedy wracali z wypraw żywi, Indianie byli przekonani, że mają nadprzyrodzoną moc.

- To takie typowe - powiedziała Jenna.

Field zaśmiał się i sięgnął do kieszeni po whisky. Odkręcił korek i podał piersiówkę Jennie.

- Napij się, to cię uspokoi.

Jenna odmówiła gestem ręki, ale Field nalegał. Eddie przysunął się do dziewczyny.

- Lepiej łyknij - szepnął. - Wydaje mi się, że on zechce pokazać ci lodowiec.

Cholera. To jej się nie spodobało. Nie bardzo wiedziała dlaczego, i chyba nie chciała się dowiedzieć. Łyknęła posłusznie whisky. Odała ją Eddiemu, który też pociągnął.

- A ja? - zapytał Field.

- Ty prowadzisz - odpowiedział Eddie i schował flaszeczkę do kieszeni.

Samolot przez chwilę leciał w dół. Znalazł się na wysokości około stu metrów nad ziemią. Po obu stronach rzeki, powyżej hydroplanu, widać było oblodzone góry. Jenna przeczuciwała, co może wydarzyć się za chwilę. Poczwała strach.

- Nie chcę oglądać lodowca - powiedziała do Eddiego.

- Daj spokój. Spodoba ci się.

Zakręcili. Przed nimi wyrosła ściana lodu. Wypełniła całą dolinę. Lód brązowy, błękitny. Zimny. Jenna nigdy w życiu nie widziała takiej masy lodu. Samolot zniżył lot. Na tle ogromnej ściany maszyna Fielda musiała wyglądać jak plamka.

Lecieli prosto na lodowiec. Byli coraz bliżej. Jenna zauważyła na twarzy Fielda chytry uśmieszek, taki sam jak u chłopców, z którymi leciała na Saint Barth. Miał jakiś plan, który przerażał dziewczynę. Wiedziała jednak, że Field nie jest ani samobójcą, ani mordercą: nie miał zamiaru władować się w lodowiec, nie miał też zamiaru

wypychać pasażerki z samolotu.

Byli bardzo blisko ściany. Nie zmienili ani kursu, ani prędkości. Pędzili prosto przed siebie. Nagle Field odciągnął dźwignię biegów. Samolot wniósł się i skręcił w lewo. Jenna poczuła zawrót głowy, pociemniało jej w oczach. Jakby ktoś okrył ją grubym kocem.

Przez szarą mgłę dojrzała wreszcie niebo. Chyba lecieli do góry nogami. Chyba, bo Jenna nie mogła się zorientować, gdzie jest dół, a gdzie góra. Za dużo emocji.

Poczuła, że ktoś klepie ją po ramieniu. To Eddie. Wskazał ręką na lewo. Wyrzała więc przez okno po stronie Fielda. Spostrzegła poruszający się łód. Wielka bryła odrywała się od lodowca, przez chwilę wolno ześlizgiwała się po nim, a później zaczęła toczyć się w dół. Z pęknięcia w lodzie wystrzelił biały proch. Być może przyczyną tapnięcia był dym z dysz hydroplanu.

Pilot skierował samolot w lewo. Jenna zobaczyła, jak łód wpada do rzeki. Piękno bywa przerażające.

Field uniósł maszynę wyżej i posłał dziewczynie uśmiech.

- Nie bój się. Już nie będzie niespodzianek - powiedział.

Ale ona już dawno przestała się bać. Poczuła się oszołomiona siłą uderzenia bryły lodu i wściekłością pochłaniającej ją wody. Poczuła się mała i niewiele znacząca wobec natury. Field uświadomił Jennie coś wspaniałego: potęgę, prostotę i grozę świata. Lodowiec przedierał się przez góry, tworzył doliny, które przetrwają miliony lat.

Jenna zrozumiała, jak bardzo jest krucha.

Usadowiła się w fotelu i zaczęła liczyć wyspy. Czekwała na Klawock.

*

MIASTO ROZCZAROWAŁO JENNE. Myślała, że będzie przypominało Wrangell: zadbane, ruchliwe, nastawione na komercyjne wykorzystanie potencjału Alaski. Oczekiwała, że pozwoli złapać jej kontakt ze światem zewnętrznym. Nic z tego. Klawock było niczym. Składało się z przystani, ku której Field kierował samolot, z jakiegoś magazynu i z piaszczystej ścieżki. Po przeciwnej stronie wody biegła droga na wzgórze. Na jego szczycie, w wysokiej trawie, Jenna zauważyła kilka totemów. I koniec. To było Klawock. Albo tylko to, co zdołała na razie dostrzec.

Razem z Eddiem wspięła się na wzgórze. Patrzyła, jak samolot Fielda wzbija się w niebo. Poczulią się bardzo, bardzo daleko od Wrangell.

Zauważyli jakiś sklepik i pocztę. Postanowili wejść do sklepu i poprosić o pomoc. Gdzie można znaleźć Livingstone'a? Gdzie mogą się zatrzymać?

Mężczyzna za ladą, Indianin w średnim wieku, popatrzył na nich podejrzliwie, a potem powiedział, że w barze na piętrze są pokoje do wynajęcia i że można w nich przenocować. Kiedy Jenna zapytała o Davida Livingstone'a, mężczyzna zamilkł.

- Czy on was oczekuje? - zapytał.
 - Nie - odparła Jenna. - Ale mieliśmy nadzieję, że będzie mógł się z nami spotkać.
 - Piszecie artykuł?
 - Nie, potrzebujemy pomocy. Wie pan, gdzie możemy go znaleźć?
 - Byłoby mi łatwiej, gdybym znał powód waszej wizyty.
- Jenna się zdziwiła. Ten facet z pewnością znał Livingstone'a. Dlaczego nie chciał zdradzić, gdzie mieszka?
- To dosyć osobiste - powiedziała.

Mężczyzna nieufnie potrząsnął głową, jakby już to słyszał. Westchnęła. Nadszedł czas na wyjawienie pewnych faktów.

- Proszę posłuchać... To ma związek z... Moja babcia wywodziła się z plemienia Tlingit... I widzi pan... Wszystko, co ostatnio mi się przytrafiło... Zaczęłam wierzyć, że może to sprawa związana z wierzeniami Tlingitów... Wydarzyło się coś... strasznego. Kilka lat temu... w Thunder Bay... mój syn miał wypadek... A pan Livingstone był zaangażowany w sprawę tego kurortu...

- Słyszałem o tym wypadku.

Jenna zamilkła. Wiedział. Pewnie wszyscy wiedzą tutaj wszystko.

- Gdzie znajdziemy Davida Livingstone'a?

- Skontaktuję się z nim.

Jenna nie ruszyła się z miejsca. Potrzebowała jakiejś gwarancji.

- Jeśli spotka się z wami, to nie wcześniej niż rano. Teraz możecie wynająć pokój i poczekać. Kwatery są po drugiej stronie ulicy. Zostawię wam wiadomość w barze.

- Dziękuję. Odnalezienie pana Livingstone'a jest dla mnie bardzo ważne. Chyba tylko on może mi pomóc. Proszę mu przekazać, że pieniądze nie stanowią problemu.

Mężczyzna patrzył na Jennę z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Wynajmijcie pokój - powtórzył.

Jenna wyszła z Eddiem i z Oscarem na ganek.

Na budynku baru, nad drzwiami, widniał napis Mama Rybka. Na oknie była namalowana niebieska ryba, trzymająca w płetwach nóż i widelec. Eddie i Jenna przeszli z Oscarem przez ulicę i weszli do baru zapytać o pokoje.

W środku było ciemno. W powietrzu unosiła się słodka woń. Wnętrze przypominało ładownię statku. Podłoga i ściany były zrobione z szerokich desek, pomiędzy stołami stały duże beczki, a mniejsze służyły jako stołki przy barze. Na suficie rozpięto sieć wędkarską, było w niej mnóstwo drobiazgów: japońskie pływaki, boje, rozgwiazdy i muszelki krabów. Do pomieszczenia wpadł chłodny wietrzyk. Jenna przypomniała sobie, jak czekała w kolejce do Piratów z Karaibów w Disneylandzie.

Za barem siedział młody mężczyzna. Czytał książkę. Nie podniósł wzroku, kiedy dzwonek nad drzwiami zasygnalizował wejście Jenny i Eddiego.

Podeszli do baru. Eddie zastukał w blat.

- Hej, barman.

Chłopak z wyraźną irytacją popatrzył na Eddiego. Był bardzo przystojny: miał okrągłą, szeroką twarz (Jenna widziała już takie u innych Indian z Alaski), a mocno wystające kości policzkowe dodawały jej uroku - jakby była wyrzeźbiona.

- Facet po drugiej stronie ulicy mówił, że masz wolne pokoje.
- Tak - odpowiedział niechętnie chłopak.

Jenna wyczuła, że coś iskrzy, ale nie bardzo wiedziała co. To jej się nie spodobało.

- Dobrze - powiedział Eddie zirytowany. - Chcielibyśmy wynająć pokoje.

- Jasne - odparł dzieciak. - Przyjechaliście na obchody święta?
- Jakiego święta? - zapytał Eddie.
- Święta-sręta - mruknął chłopak.

Jenna była pewna, że Eddie za chwilę zrobi awanturę, postanowiła więc się wtrącić. Dostrzegła, że chłopak czyta Słońce też wschodzi.

Przypomniała sobie, że to lektura na studiach.

- Hemingway? Czytasz to na zajęcia?

To była kiepska próba. Ale co jeszcze mogła zrobić, żeby powstrzymać rozdrażnionych facetów? Ku zdumieniu Jenny chłopak zrobił się miły. Zmiękł i zwrócił się tylko do niej, jakby chciał w ten sposób dokopać Eddiemu. Ale może był zwyczajnie szczerzy?

- Tak, studiuję na uniwersytecie w Anchorage. Wracam tam na jesieni.

- Literatura anglosaska? - spytała Jenna.

Pokiwał głową.

- Współczesna.

- Czytałeś Djunę Barnes? - spytała.

Jenna studiowała literaturę angielską, ale bardzo dawno temu. To, co pamiętała najlepiej, to sterty mało znaczących książek, które czytała w nocy, ledwo powstrzymując się przed zaśnięciem. Ale jedno zajęcia zapamiętała świetnie. Dotyczyły literatury emigracyjnej. Prowadził je znakomity profesor, Nick Jakiś Tam, który już pierwszego dnia zakomunikował, że nikt nie docenia prozy pisarek. Przyrzekł więc, że każdą przeczytaną przez studentów książkę napisaną przez mężczyznę uhonoruje lekturą powieści napisanej przez kobietę. Był naprawdę fajny. Starszy, łysiejący. Nosił okulary jak stara bibliotekarka - na złotym łańcuszku zawieszonym na szyi. Było w nim jednak coś seksownego. Po zajęciach siadał przed budynkiem i palił papierosy. Przede wszystkim ze studentkami. Lubiły go, bo wyglądał jak kupka nieszczęścia, co budziło instynkty opiekuńcze. Typowy profesor. Jego żona zmarła kilka lat wcześniej na raka. Koleżanka Jenny przespała się z nim kiedyś. Pojechali do niego,

upili się i wylądowali w łóżku. Stwierdziła, że seks z nim był do bani. Bez przerwy wydawał polecenia. Chciał to tego, to tamtego. Nuda. Koleżanka dostała piątkę, a Jenna czwórkę z minusem.

Nieważne. Ważne, że chłopak z baru nigdy nie słyszał o Djunie Barnes. Jenna ciągnęła więc:

- Hemingway jej nie znosił. Nazwał Jake'a Barnes'a po Djunie. Idiota. Chciał, żeby wszyscy wiedzieli, że jej nie cierpi.

- Dlaczego nienawidził Djuny?

- Chciał się z nią przespać, ale ona go odtrąciła. Była lesbijką.

Chłopak się zaśmiał.

- To zabawne. Poszukam czegoś o niej.

Wstał i podszedł do baru.

- To wasz pies?

- Jest spokojny - powiedziała Jenna z nadzieją.

- W porządku, o ile nie będzie czekał w nocy. Chodźcie na górę.

Poszedł schodami, a Jenna zwróciła się do Eddiego, który patrzył na nią wilkiem.

- Co miałam powiedzieć? - Wzruszyła ramionami. - Ważne, że możemy zostać.

Weszli w ciemny korytarz na drugim piętrze. Chłopak otworzył czworo drzwi i z obojętną miną pokazał Eddiemu i Jennie pokoje.

- Wybierzcie sobie któryś - powiedział. Wskazał na jeden z pokojów. - Ten tutaj to apartament dla nowożeńców.

Wszystkie pomieszczenia były takie same. Różniły się wyłącznie położeniem okien i drzwi. W każdym leżała kosmata czerwona wykładzina wyglądająca na zbutwiałą, w każdym stały pojedyncze łóżka z brązowymi narzutami i zwyczajne meble. Eddie i Jenna

zajrzeli do wszystkich pokoi. Dwa pierwsze wydawały się najładniejsze (o ile w ogóle można było nazwać je ładnymi), ponieważ ich okna wychodziły na ulicę.

Chłopak przykucnął i poklepał Oscara.

- Jeśli chcecie, możecie złączyć łóżka - zaproponował. - Mówiłem tacie, że wyglądają obciachowo. Jak w *I love Lucy*. Ale on nie zamierza ich wymienić.

Jenna i Eddie popatrzyli na siebie nerwowo. Nie przedyskutowali kwestii noclegu i dzielenia pokoju. Jenna miała nadzieję, że będzie tu tylko jeden pokój z ogromnym łóżkiem. I że może wtedy coś między nimi zaiskrzy, kto wie?

- Weźmiemy oddzielne pokoje - powiedział Eddie.

- W porządku - odparł chłopak, wzruszając ramionami.

- Jeśli oczekujesz innych gości, moglibyśmy wziąć jeden... - zaczęła Jenna.

- No tak, mamy tu szczyt sezonu. - Chłopak zaśmiał się sarkastycznie. - Ale jesteście bardzo mili, więc wynajmę wam całe piętro. Innym gościom wstęp wzbroniony. Całość do waszej dyspozycji.

Podszedł do schodów.

- Kilka informacji. Nie ma room service'u, maszyny do lodu, maszyny z coca-colą, telewizji, telefonu w pokoju, portiera, gońca hotelowego, basenu i siłowni. Właściwie brakuje wszystkiego, czego moglibyście potrzebować. Wyobraźcie sobie, że znaleźliście się w małej indiańskiej wiosce, w której nie ma żadnych udogodnień. Prawie. Bo na dole serwujemy jedzenie. Mama gotuje. Ona jest Mamą Rybką, wiecie? Aha. Karty dań też brakuje. Musicie jeść to, co mama przygotowuje. Po prostu. Jest jednak coś, czego nie pożałujecie, uwaga, proszę o werble. Mama robi najpyszniejszy na świecie placek

z jagodami. Zaufajcie mi. Kiedy zapyta, czy chcecie deser, zamówicie go.

Zaczął schodzić.

- Możemy zapłacić? - spytała Jenna.

- Przed wymeldowaniem. Dwadzieścia dolarów za noc. Bez kart kredytowych i bez czeków.

Już prawie zniknął, kiedy Jenna zawołała:

- A gdzie jest jakiś bankomat?!

Chłopak zatrzymał się i odwrócił. Popatrzył na Jennę poważnie i włożył palec do ucha.

- Przepraszam, co takiego?

- Bankomat?

- Hm. Nie wiem, co to jest... Ban...

- Bankomat. Ty dajesz mu kartę, on daje ci pieniądze.

Chłopak wzruszył ramionami i zaśmiał się do siebie.

- Biali! Skąd wy bierzecie takie pomysły? „Ty dajesz mu kartę, on daje ci pieniądze”? Za coś takiego oddałbym wszystkie moje ziemie! Bankomat? Powiem wam coś: gdybyście dali moim ludziom bankomat, oddałbym wam tę wyspę. „Ty dajesz mu kartę, on daje ci pieniądze”? Tak to działa? Wow. Najpierw broń, potem wódka, a teraz to? Znowu wszystko by się zmieniło.

Potrząsnął głową i zniknął na dole, mrucząc do siebie „bankomat”. Jenna była na niego tak samo zła jak Eddie. Mężczyzna spojrział na zegarek.

- Może pójdziemy na plażę, zanim zaczną się obchody?

Jenna pokiwała głową.

Zostawili plecaki i wyszli.

*

PLAŻA BYŁA DZIKA. Wielkie, ostre skały wystawały z piachu i dochodziły aż do samej wody. Ogromne kawałki drewna i kępy wodorostów, wyrzucone przez odpływ na brzeg, zaśmiecały okolicę. Wokół skał tworzyły się głębokie kałuże - mieszkania małych krabów. Zapach oceanu był ostry, intensywny, nieco drażniący - jakby coś, co wystawiono na słońce, umierało, pozbawione wody.

Jenna zdjęła buty i podwinęła dzinsy. Błotnisty piach wydawał pluszczący dźwięk pod jej stopami. Obejrzała się za siebie. Eddie spuścił Oscara ze smyczy i bawił się z nim. Rzucił mu patyk, ale pies nie miał pojęcia o aportowaniu. Gnał za patykiem, a kiedy do niego podbiegał, przystawał i szczekał tak długo, dopóki Eddie nie podszedł i nie rzucił kijka ponownie. Jenna obserwowała ich przez chwilę i nagle poczuła smutek. Przypadkowa rodzina. Spotkali się przypadkiem i przypadkiem okazało się, że jakoś do siebie pasują. Oscar do Jenny. Jenna do Eddiego. Eddie do nich obojga. Coś trzymało ich razem. Jenna nawet próbowała opuścić Eddiego, ale nie wyszło. Jeszcze nie czas na samotność. Nie bardzo wiedziała dlaczego.

Dobiegły ją głosy bawiących się dzieci. W piachu dokazywała trójka maluchów. Pies zignorował patyk i odwrócił się w ich kierunku. Jedno ucho podwinęło mu się zabawnie i spoczęło na łbie niczym beret. Coraz bardziej niecierpliwie poruszał nosem. Spojrzał na Eddiego i nie wytrzymał. Popędził w stronę dzieci, szczekając kilkakrotnie tak, aby usłyszały, że nadbiega. Maluchy podniosły wzrok, przestały się bawić i czekały na Oscara.

Eddie wpadł na Jennę. Zderzyli się ramionami.

- Dzieci pewnie pachną lepiej niż dorośli - powiedział.

Jenna się uśmiechnęła się i ruszyli plażą do bawiącej się gromadki.

- A więc? O co ci chodziło w barze? - spytała.

- Co masz na myśli?

- O to, jak rozmawiałeś z tamtym chłopakiem. Zrobiło się nieprzyjemnie.

- Serio? - Eddie udawał zaskoczonego. - Nie zauważyłem.

- Dobra, kolego. Puść farbę.

- No nie wiem. To głupie, naprawdę. Czasem mnie to wkurza w ludziach. Zgrywał mądralę, bo studiuje. Pewnie nie płaci ani centa czesnego.

- I co z tego?

- Nie wiem. Dawno temu Indianie zawarli układ. Jest tam napisane, że połowa ryb na Alasce należy do nich. Ale ilu jest Indian? My bierzemy drugą połowę. A ilu jest nas? Mało tego. Rząd dyktuje nam, że nie możemy wziąć wszystkiego ze swojej połowy, bo jeśli to zrobimy, w ogóle nie będzie ryb. Do nas należy niewiele, oni dostają, ile chcą.

- I uważasz, że to nie jest w porządku.

- Tak myślę. A ty nie?

- Zastanówmy się. Wyobraź sobie, że wiele lat temu moja babcia postanowiła odebrać ci dom. Jeszcze przed twoimi narodzinami, kiedy mieszkał w nim twój ojciec.

- W jakim celu?

- Miała dużą rodzinę. Potrzebowała więcej przestrzeni. Przyszła więc do ciebie z kijem baseballowym i was wypędziła. Mogliście zamieszkać na podwórku. Ale żeby było sprawiedliwie, pozwoliła wam korzystać z połowy wody, która dopływa do domu.

- Nie podoba mi się ta rozmowa - mruknął Eddie.

- Minęły lata - kontynuowała Jenna - i teraz dom zgodnie z prawem dziedziczenia należy do mnie. Ty zaś ciągle mieszkasz na podwórku. Zapraszam do domu kilkoro przyjaciół, jest bardzo fajnie, ale...

- Zawsze jest jakieś „ale”.

- ...ale uważamy, że to nie w porządku, że masz do dyspozycji aż połowę wody. Nie jesteś w stanie całej zużyć. A nasze potrzeby są większe. Mówimy ci zatem, że nie możesz już korzystać ze swojej części wody. Od tej chwili masz do dyspozycji tylko jej dziesiątą część. Jak się czujesz?

- Jak ofiara.

- Zawiedziony?

- To pogwałcenie układu, który zawarliśmy.

- No widzisz. A teraz spójrz na to szerzej.

- Jasne. Ty mówisz o nieprzekonującej, niedorzecznej sytuacji, która nie ma związku z rzeczywistością. Chodzi o to, że układ dotyczący połowu podpisano sto lat temu, jest już więc nieaktualny. Wszystko się zmienia.

Jenna pokiwała z namysłem głową. Oscar obwąchał dzieci.

- Masz rację - powiedziała.

- Dziękuję.

- A tak przy okazji - ciągnęła. - Co oni jeszcze podpisali? Chyba jeszcze jakiś układ. A konkretnie konstytucję! Podpisali konstytucję dawno temu. Pewnie też jest nieaktualna. Powinniśmy ją wyrzucić, nie sądzisz?

Eddie spojrzął z boku na Jennę i uśmiechnął się chytrze.

- Bardzo sprytnie - powiedział. - Już cię nie lubię.

Jenna złapała kciukiem za szlufkę spodni Eddiego.

- Puść mnie - zaprotestował.

- Nie mam zamiaru - rzuciła, przyciągając go lekko.

- Teraz mnie ciągniesz? Rano puściłaś mnie kantem, mówiąc, że zadzwonisz za kilka tygodni. Potem wykorzystałaś mnie, żeby dostać się do miejsca, do którego chciałaś trafić. Pouczasz mnie w sprawie układów oraz konstytucji. Co będzie dalej?

- A czego byś chciał? - zapytała, puszczając go.

- Chciałbym, żebyś szanowała mnie jako mężczyznę - zażartował Eddie, a następnie odwrócił się i pobiegł plażą do Oscara i do dzieci. Rozmawiali chwilę, a potem Jenna straciła ich z oczu.

Wciąż odczuwała trudy poprzedniej nocy. Położyła się na piasku, żeby trochę odpocząć. Słońce stało wysoko nad wierzchołkami drzew, chociaż dochodziła osiemnasta. Cienie zaczęły wydłużać się i ciemnieć. Zamknęła oczy. Wsluchiwała się w dźwięki. Ptaki, woda, wiatr. Potem szybko zapadła w lekki sen.

- PROSZĘ PANI, PROSZĘ PANI - zabrzmiał cienki głos.

Jenna otworzyła oczy i zobaczyła małego indiańskiego chłopca. Miał sześć, może siedem lat. Był ubrany w poszarpane dżinsy. Stał nad Jenną z Oscarem.

- Proszę pani, proszę pani - powtarzał.

- Słucham? - Jenna uśmiechnęła się blado. Pragnęła znowu zapnąć w sen.

- Eddie kazał panią zawołać. Kolacja.

- Gdzie on jest?

Chłopczyk odwrócił się i pokazał go palcem. Potem spojrzał na Jennę i czekał cierpliwie, aż zareaguje na jego prośbę.

- Jak się nazywasz? - spytała Jenna.

- Michael.

- Ładnie. Ja jestem Jenna.
- Kiedy pani tam pójdzie, tata przyrządzi rybę. A Eddie powiedział, że jest bardzo głodny i że mam panią zawołać. Pani też będzie piła piwo jak Eddie?
- Czy Eddie dużo wypił?
- Trzy.
- Jeśli będzie tyle pił, utyje - stwierdziła Jenna, podnosząc się. Wzięła Michaela za rękę. Zeszli z plaży. Oscar dreptał za nimi.
- Eddie pokazał mi bliźnię - powiadomił ją Michael.
- Naprawdę? A mnie nigdy.
- Jest długa.
- Miał poważny wypadek.
- Chciał go zjeść niedźwiedź, ale Eddie go pokonał.
- Naprawdę?
- No.

Tuż za zakrętem Jenna dostrzegła ognisko. Wokół kręcił się tuzin osób. A może więcej. Dorośli i dzieci. Śmiali się i gadali. Michael zaprowadził Jennę prosto do Eddiego, który pił piwo i rozmawiał z kilkoma chłopakami.

- Oto i ona - powiedział z uśmiechem. - Fajnie, że przyszłaś. Umieramy z głodu.

Zanim Jenna wszystko ogarnęła, sporo się wydarzyło. Otwierano i zamykano drzwi lodówki, roznoszono sałatki ziemniaczane, nadzieвано hot dogi na szpikulce, wkładano do ognia ryby przywiązane do drewnianych listewek. Dzieciaki piły napoje gazowane i biegały w kółko. Ludzie coś mówili do Jenny, o czymś opowiadali, kazali jej siadać, wstawać, jeść. Śmiali się, wcinali łososia i czipsy, przekazywali sobie butelkę Jacka Danielsa. Jenna, która nieoczekiwanie

znalazła się w środku imprezy, nie wiedziała, czy to sen, czy rzeczywistość. Czowała się zdezorientowana. Żuła ciepłą, wilgotną rybę.

Słońce zachodziło. Woda zmieniała się w błyszczący szklany basen. Eddie był rozluźniony. Czy on zna tych wszystkich ludzi? Czy wie, dokąd się wybierają? Mówił, że nie. Nie miał pojęcia, kiedy zaczęli z nim rozmawiać, kiedy zaprosili jego i Jennę na wspólny posiłek. Rozbawiło ich to, że Jenna zasnęła na plaży. Byli rodziną zarządzającą grilla. Nalegali, żeby nowi znajomi opuścili Mamę Rybkę i zamieszkali u nich. Mieli zapasowe łóżko, na którym Jenna i Eddie mogliby spać. Jenna odmówiła. Powiedziała, że nie chciałaby nikomu się narzucać. Pragnie tylko spotkać się z Livingstone'em, a później wyjechać.

- Livingstone to szarlatan - zadrwił jeden z mężczyzn.

Matka, hojnie wyposażona przez naturę w pełne kształty, klepnęła go w ramię i zrugła.

- David jest bardzo mądrym i usłużnym młodym człowiekiem - powiedziała.

- Bzdury. - Drugi mężczyzna zakasłał w dłoń jak John Belushi w *Menażerii*.

- Dlaczego musicie się z nim spotkać? - zapytał jeden z młodych mężczyzn. - Jesteście z *The Today Show*? Chcecie go pokazać w telewizji?

Wszyscy czekali na wyjaśnienia.

- To dosyć... krępujące.

- Możemy cię przykryć kocem - powiedział jakiś dowcipniś.

Nieco wcześniej razem z innymi zasłonił swoją babcie pledem, żeby nikt nie widział, jak sika. Wszyscy się zaśmiali.

- Muszę pogadać z szamanem o pewnej sprawie - wykrztusiła Jenna.

- Zgadza się, Livingstone jest szamanem - potwierdziła gruba kobieta.

- Może jego ojciec był. Ale to nie oznacza, że i on posiada moc - zaprotestował ktoś z boku.

- Oczywiście, że posiada moc. - Matka broniła Livingstone'a. - Tylko po prostu nie wie, jak jej odpowiednio używać. Ale się uczy. Już się nauczył, że nie można używać mocy do zarabiania pieniędzy.

Wszyscy się zamyślili. Jenna nie miała pojęcia, o czym mówią.

- Co się stało? - spytała. Głos zabrał młody mężczyzna.

- Kiedyś można go było wynająć. Patrzył w przyszłość... O ile wierzysz w takie rzeczy... Patrzył w przyszłość i mówił na przykład przedsiębiorstwom handlującym tarcicą, gdzie ścinać drzewa, a firmom od przetwórstwa rybnego, gdzie szukać ławic.

- Na tym od zawsze polegała praca szamanów - wtrąciła matka.

- Tak, ale Livingstone nie robił tego dla innych. Kiedy Indianie głodowali, on jeździł fordem bronco. Pomagał białym ludziom, nie Indianom.

- I co mu się przytrafiło? - spytała Jenna.

- Nie wiem, czy w to uwierzysz, ale duchom nie podobało się, że tak postępuje, więc go złamały. Dały mu lekcję.

- Jaką?

- Jego żona poroniła. Twierdził, że to kara dla niego i że odtąd będzie pracował wyłącznie dla swoich.

Klik, klik, klik. Jenna słyszała, jak zapadki w jej mózgu wskakują na swoje miejsca. Ferguson coś o tym mówił, a ona nie do końca go

rozumiała. Teraz wszystko stało się jasne.

- No więc dlaczego chcesz go znaleźć?

Już prawie wykręciła się od odpowiedzi, lecz oni nie zamierali odpuścić. Robiło się coraz ciemniej. Twarze biesiadników niknęły w półmroku.

- Mój syn utonął w kurorcie. Wydaje mi się, że Livingstone może coś na ten temat wiedzieć.

W ciszy, która zapadła, słychać było tylko trzaskające ognisko. Jenna spojrzała na Eddiego, żeby sprawdzić jego reakcję, ale on wpatrywał się w płomienie. Jeden z mężczyzn zaczął dorzucać drwa do paleniska.

- W Thunder Bay? - spytał.

Przytaknęła.

- No cóż - mruknął. - Livingstone na pewno coś o tym wie.

Matka wytrzasnęła skądś brązową papierową torbę i zaczęła w niej grzebać. Dzieci natychmiast zgromadziły się wokół niej. Wyciągnęła pianki i po kolei nadziewała je na patyki do pieczenia. Maluchy ostrożnie zbliżały łakocie do ognia.

- Wierzysz? - spytał zniecierpliwiony ojciec.

Miał niski głos. Do tej pory milczał. Jennie trudno było ustalić, kto jest kim na przyjęciu. Ale matka i ojciec byli tu z pewnością najważniejsi.

- W co wierzę?

- Mówisz, że przyjechałaś sprawdzić, czy on coś wie o tamtym wydarzeniu. Jakiej opowieści się spodziewasz?

- O kuszacie - odparła cicho.

Jedno z dzieci wsadziło piankę zbyt głęboko w ogień. Zapłonęła. Zmieniła się w skwierczącą kulę cukru. Inne dzieci zaśmiały się,

a to, które spaliło piankę, oświadczyło, że to specjalnie, że właśnie na taką miało ochotę.

- Kuszta, też coś! - prychnął jeden z młodych mężczyzn. - Może raczej trzeba było użyć kamizelki ratunkowej!

- Samuel! - syknęła jego matka. Uderzyła go w twarz. - Okaż trochę szacunku!

- Mamo, do cholery, mieliśmy tam pracę, dopóki Livingstone nie wystraszył wszystkich bzdurami o duchach.

- Samuel! - Tym razem odezwał się ojciec. - Przestań używać takich słów albo odejdz!

Młody mężczyzna wstał.

- W porządku. Pójdę. Tylko ja mam odwagę powiedzieć prawdę, ale wy nie chcecie jej słuchać. Śmiało, raczcie się teraz tymi gównianymi opowiastkami. Tak, gównianymi!

Zniknął w ciemności za drzewami.

Matka nadziała kolejne trzy pianki na patyk i podała je Michaelowi, wskazując jednocześnie Jennę. Chłopiec podał dziewczynie patyk, a ona mało entuzjastycznie przysunęła go do ognia. „Trzeba było użyć kamizelki ratunkowej”. Jak gdyby Jenna nie pomyślała o tym wcześniej. Bobby miał kamizelkę, dopóki jej nie zdjął.

- Nie dręcz się - powiedziała matka. - Co się stało, to się nie odstanie. Musisz zrobić, co w twojej mocy, żeby zapomnieć.

- Nie wiedziałam, że ktoś stracił pracę...

- Thunder Bay była pechowa od początku. Ludzie tutaj najpierw bardzo ekscytowali się tym projektem, a kiedy wszystko przepadło, byli zawiedzeni. Ale to się zdarza.

- Cały czas - poprawił matkę ojciec. - To zdarza się cały czas. Kiedy ludzie zaczynają myśleć, że świat istnieje wyłącznie dla ich przyjemności, wtedy nadchodzi koniec. Natura zaczyna działać, a

my musimy przyjąć to, co nam daje, bez względu na to, czy jesteśmy zadowoleni, czy nie. To wszystko.

Zapadła noc. Księżyc w pełni oświetlił niebo bladym blaskiem. Zapchane piankami dzieci zasnęły przy ognisku, a starsi siedzieli w milczeniu, obserwując płomienie i podając sobie Jacka Danielsa. Jenna usiłowała zobaczyć na zegarku, która jest godzina, jednak bezskutecznie. Nie chciała opuszczać tych ludzi. Ale musiała.

Eddie zauważył, że sprawdza czas.

- Idziemy?

Jenna przytaknęła i oboje wstali.

- Pora na nas - powiedział Eddie, ściskając dłonie mężczyzn i przywołując Oscara.

- Dziękujemy za wszystko - dodała Jenna, zwracając się do grubej kobiety.

- Nie martw się, dziecko. Znajdziesz to, czego szukasz, jeśli tylko nie stracisz nadziei.

Dziewczyna wiedziała, że matka ma rację.

Za radą ojca wracali do miasta na skróty. Szybko przeszli przez las, aż wreszcie znaleźli się na piaszczystej drodze.

Jenna objęła Eddiego w pasie i oparła głowę o jego ramię, on zaś otoczył jej kibić zdrową ręką. Cieszyła się, że ktoś jest obok. Cieszyła się, że on jest obok.

- Nie żałujesz, że ze mną przyjechałeś?

- Dlaczego pytasz?

Ścisnęła go mocniej.

- Bo wiem, że uważasz to za szaleństwo.

- No i?

- A więc nie nienawidzisz mnie?

Roześmiał się.

- Owszem, nienawidzę cię.
- Naprawdę?
- Nie. Nie nienawidzę cię. Chociaż chciałbym.

Jenna przystanęła. Widziała jedynie zarys twarzy Eddiego.

- Dlaczego?
- Wszystko byłoby wtedy łatwiejsze.
- Przepraszam - szepnęła bezgłośnie.

Był słodki, kiedy stał tak przed nią niczym duch, niczym cień w lesie, ciemna sylwetka pozbawiona rozprasających szczegółów, takich jak niebieskie oczy czy małe uszy. Był jedynie głosem i ciałem. Jenna chciała teraz być z nim. Chciała być nim. Chciała przeniknąć jego myśli. Zbliżyła się do Eddiego. Przyłgnęli do siebie. Zaczęła go całować. Pocałunek stawał się coraz bardziej namiętny. Ale wtedy on się odsunął.

- To nie w porządku - powiedział.

- Co jest nie w porządku?

- To. Ta cała sytuacja. Nie wiem. Masz jakąś sprawę. Chcesz znaleźć szamana. Dlatego tutaj jesteś. Ale kiedy skończysz, wrócisz do swojego życia. Wrócisz do domu, do samochodu, do męża czy co tam jeszcze masz. A ja nie. Bo moje życie jest tutaj.

- Zostawię ci Oscara - zaproponowała Jenna z nadzieją w głosie.

- To nie jest śmieszne. Mówię poważnie. Pogrywasz ze mną od kilku dni, flirtujesz, a ja nie wiem, co robić, bo naprawdę cię lubię. Naprawdę. Bardziej niż lubię. Ze wszystkich kobiet na świecie wybrałbym cię. Tylko po co? Żeby potem cierpieć?

Stał w ciemności i patrzył na Jennę. A ona nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Nie myślała o przyszłości. Ostatnio w ogóle kiepsko myślała. Ale musiała grać czysto.

- Rozumiesz, o czym mówię? - spytał.
- Tak.
- I?
- Masz rację.
- Więc nie powinienem pakować się... w to wszystko?
- Eddie, co mam powiedzieć? Że wyjdę za ciebie i będziemy żyć długo i szczęśliwie we Wrangell?

Opuścił ramiona i ruszył w stronę miasta. Jenna była wściekła na siebie. Dlaczego to powiedziała? Do diabła. Ale dlaczego Eddie komplikuje proste sprawy?

- Eddie, zaczekaj - zawołała. - Ja... Nie wiem, co robię, więc nie wiem, dokąd nas to zaprowadzi.

- Do miasta. Została niecała mila.

To był koniec rozmowy. Resztę drogi przeszli w ciszy. Nie wiedziała, jak to się stało, że gorący pocałunek zmienił się w marsz milczenia. Nie mogła winić Eddiego za to, że myślał o przyszłości. Rozumiała, że sam romans często nie wystarcza, ale żeby od razu ślub? Rozumiała też, że czasem najlepsze bywają miłości, które szybko się kończą. Są jak gorący płomień - intensywny i krótki. Dlaczego Eddie miałby oczekiwać od Jenny czegoś więcej? Dlaczego Jenna miałaby przywiązywać się do Eddiego, skoro nawet ze sobą nie spali?

Dotarli do baru. Weszli do środka. W połowie wypełniali go pijacy. Tym razem za ladą stał starszy mężczyzna, pewnie ojciec chłopaka. Kiedy Jenna przechodziła przez salę, pomachał do niej. Eddie się nie zatrzymał. Rzucił przez ramię „dobranoc” i poszedł na górę.

Jenna podeszła do barmana.

- Tom ze sklepu powiedział, że rozmawiał z Livingstone'em. Spotka się z wami jutro rano. Tom was zabierze.

- Dziękuję za wiadomość.

- Nie ma problemu. I proszę się nie martwić hałasem. Za chwilę wyproszę tych prostaków.

Jenna podziękowała barmanowi i poszła z Oscarem do swojego pokoju. Usiadła na łóżku, zdjęła buty i dopiero wtedy poczuła, jak bardzo jest wkurzona na Eddiego. Z jakiego powodu urządził jej taką scenę? Jak mógł ją tak potraktować? Jakby nie wiedział, że Jenna nie może mu nic dać. Zupełnie nic. Przez chwilę chciała po prostu być blisko. I ta chwila sprawiła, że on wyobraził sobie wspólne życie?

Wiedziała, że nie zaśnie. Wyszła więc z pokoju i zapukała do drzwi Eddiego.

- Słucham?

- Muszę z tobą porozmawiać. Drzwi się otworzyły.

- Tak?

Eddie oparł się o futrynę ze znużoną miną.

- Słuchaj - zaczęła Jenna - przykro mi, jeśli myślisz, że z tobą pogrywam. Ale mam za dużo problemów, z którymi próbuję sobie poradzić. Nie wiem, gdzie znajdę się jutro, za tydzień czy za rok. Niczego nie mogę ci obiecać. Ale tu i teraz chcę być z tobą. Właśnie tego chcę. Jeśli ty też, świetnie. A jeśli nie, trudno. Jakoś to przeżyję.

Eddie zachował kamienną twarz. Jenna rozzłościła się jeszcze bardziej. Liczyła na jakąś reakcję. Przeliczyła się.

- W porządku - powiedziała. - Dobranoc.

W odpowiedzi on zamknął drzwi.

Po powrocie do pokoju Jenna przez dobrych dwadzieścia minut leżała na łóżku i wsłuchiwała się w dobiegające z dołu dźwięki szafy grającej. Później zrozumiała, że on nie przyjdzie. Dotarło do niej, że Eddie zapomniał o terażniejszości. Nie był w stanie w tym momencie ofiarować Jennie siebie. Obraził się. I obrażony dawał jej lekcję.

Na złość babci odmrozę sobie uszy. Mężczyźni są głupi. Nie wiedzą, jak bardzo w takich sytuacjach bywają żałośni.

Jenna się rozebrała. Umyła zęby i w samej koszulce wróciła do łóżka. Muzyka ucichła. Z dołu dobiegały już tylko głosy i zapach dymu papierosowego. Wyłączyła wszystkie światła oprócz jednego w łazience, które miało służyć za lampkę nocną. Odwróciła się na bok. Znowu sama.

Obudziła się, bo odniosła wrażenie, że coś usłyszała. Spojrzała na zegarek. Północ. Przez okno wpadało światło księżyca. Znowu ten sam odgłos. Delikatne pukanie. Wstała i uchyliła drzwi. Na korytarzu zobaczyła Eddiego. Patrzyli na siebie w milczeniu. Wahanie. Decyzja między oddechami.

Oboje mogli się wycofać. Oboje mogli skończyć wszystko w tamtym momencie.

Eddie bez słowa popchnął drzwi. Wszedł do ciemnego pokoju. Jenna stała przed nim. Wyglądała jak licealistka - bosa, z potarganymi włosami. W koszulce do pępka. Czekwała. On przyciągnął ją do siebie. Cuchnął papierosami. Prawdziwy mężczyzna w wilgotnym ubraniu. Przesuwał dłonią po plecach Jenny, zanurzył nos w jej włosach. Pocałował ją. Poczula woń alkoholu. Był więc w barze. Poszedł na jednego drinka, a skończyło się na kilku. Widziała wcześniej na dole faceta z polany. Tego, który odszedł od ogniska. Pewnie rozmawiali o Jennie.

Cofnęła się i zdjęła koszulkę. Eddie pożerał ją wzrokiem. Miała nadzieję, że teraz, kiedy stoi przed nim naga, spodoba mu się bardziej. Znow zaczęła się całować.

Dłoń Eddiego zsunęła się niżej. Dotknęła jej pośladków.

Jenna wyciągnęła koszulę z jego spodni. Był taki ciepły. Trafiała

na temblak i przypomniała sobie o ranie. Wzięła go za rękę, zaprowadziła do łóżka. Zdjęła mu buty i skarpetki. Miał piękne stopy o zgrabnych palcach.

Rozpięła pasek i guziki przy dzinsach. Potem ściągnęła z niego spodnie. I bokserki. Białe w niebieskie paski. Zdjęła z Eddiego koszulę i podkoszulek. Był nagi tak jak ona. Prawie. Pozostał tylko temblak, który wreszcie rozwiązała.

Teraz Eddie stał się całkowicie bezbronny. Pragnął jej, wiedziała o tym. Niczego jednak nie chciał uczynić bez jej zgody.

Wzięła głowę chłopaka w dłonie i przysunęła do swojej piersi. Zaczął ssać delikatnie jej brodawkę sutkową. Zanurzyła dłonie w jego włosach. Chciał ją mocno objąć, lecz tylko skrzywił się z bólu. Ramię. Ból promieniował aż do karku. Jenna położyła Eddiego na łóżku i spojrzała na bliznę. Na ciemną linię w przydymionym świetle. Delikatnie przesunęła palcami po całej długości szramy.

- Nie przeszkadza ci to? - spytała.

Pokręcił głową. Pochyliła głowę i pocałowała brunatną kreskę. Poczula się dziwnie. Blizna. Rana. Śmierć była blisko. Za blisko. Jenna cał po calu całowała ciemną linię. Eddie jęknął.

- Boli?

- Nie, jest dobrze - mruknął.

Przylgnęła do jego ciała. Miał taką delikatną, miłą w dotyku skórę.

- To jest w kieszeni kurtki - powiedział między pocałunkami.

- To?

Jenna uśmiechnęła się i zeszła z łóżka. Podniosła z podłogi kurtkę Eddiego i znalazła prezerwatywę.

- A więc miałeś plan? - zapytała, otwierając paczuszkę.

- Nie. Miałem tylko nadzieję.

Usiadła na nim okrakiem, poczuła go w sobie. Kochali się cicho i delikatnie. Oczy Eddiego błyszczały. Jenna próbowała zrozumieć swoje uczucia. Przez ostatni tydzień, każdego ranka po przebudzeniu, myślała tylko o tym mężczyźnie. Pragnęła pozbyć się barier. I stało się. Doświadczali siebie. Bo nie był to tylko seks, na pewno.

Czuła się cudownie.

Gdy Eddie zacisnął pięści, odchylił głowę i jęknął z rozkoszy, uświadomiła sobie, że się zakochała. Zostanie z Eddie. Oboje są tacy sami. Bez przeszłości i bez przyszłości. Liczy się tylko teraźniejszość.

Ona i on. We dwoje na pustkowiu. Bezpieczni, bo są razem.

Jenna nie miała orgazmu, ale była z nim, dostała to, czego pragnęła. „To jest to - pomyślała. - Nic innego. To”.

Wtuliła się mocno w Eddiego. Nie wypuszczała go z siebie. Nie chciała, żeby dostrzegł w jej oczach łzy. Ale on nie musiał patrzeć. Czuł, że Jenna drży.

- Wszystko w porządku? - spytał.

Kiwnęła głową, przyciskając twarz do jego ramienia.

- Co się stało?

Jenna nie mogła już powstrzymać się od płaczu. Eddie usiłował odsunąć ją od siebie, żeby spojrzeć jej w oczy, ale ona trzymała go mocno.

- Dlaczego płaczesz?

- Nie wiem.

- Na pewno wszystko w porządku? Potwierdziła. Ale nie rozluźniła uścisku.

Głaskał ją, dopóki się nie uspokoiła. Oddychała ciężko. Nie reagowała na dotyk. Wtedy zdobył się na odwagę i powiedział, że ją

kocha. A ona chociaż zapadała w sen, w którym biegła po jasnym polu słoneczników, usłyszała wyznanie Eddiego. I zawołała, że również go kocha i że zawsze będzie go kochać. Eddie jednak nie słyszał słów ze snu Jenny. Patrzył w sufit i zastanawiał się, jak można być takim szczęściarzem i takim pechowcem jednocześnie.

ROBERT SIEDZIAŁ za biurkiem cały ranek. Nie mógł się ruszyć. Nie mógł myśleć. Nie mógł się skoncentrować. Miał sztywny kark. Słyszał dzwonienie w uszach.

Utkwił w fotelu i tępo patrzył przez okno na przejeżdżające w dole samochody.

Dwa tygodnie wcześniej odbył się pogrzeb Bobby'ego. Przez większą część czasu Robert czuł się dobrze. Wykonywał wciąż tę samą pracę. Nudną, nietwórczą i nieopłacalną.

W domu on i Jenna wypracowali delikatną równowagę. Poruszali się jak w pełnym rezerwy tańcu. Każde z nich czekało na atak. I kontratakowało. Czasem Robertowi wydawało się, że dom bez Bobby'ego jest lodowiskiem, na którym walczy o to, żeby nie poślizgnąć się i nie wpaść na Jennę. Miał nadzieję, że wkrótce wszystko się unormuje. Czuł również lęk. Nie wiedział bowiem, jaka norma powinna zacząć ich obowiązywać. O ile w ogóle jakaś.

Odwrócił się na dźwięk pukania do drzwi. Na progu stanął Steve Miller.

- Masz chwilkę?

Robert skinął głową, a wtedy Steve wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Dziwne, bo nigdy tego nie robił, chyba że miał kogoś zwolnić.

- Teściowie wyjechali?
- Tak - odparł Robert. - W zeszłym tygodniu.
- To chyba ulga?
- Tak. Nie. Nie wiem. Kiedy byli z nami, mieliśmy przynajmniej wspólnego wroga. Jednoczyliśmy siły przeciwko nim. Teraz każde z nas żyje oddzielnie.

Steve usiadł.

- Rozmawiałem z Chuckiem Phillipsem o umowie, którą podpisujemy z First Bank. Pomyślałem, że wpadnę i zapytam, jak się toczą sprawy.

- Jakoś. Świat nie mógł się zatrzymać z mojego powodu.

Robert odwrócił się do okna. Nie przejmował się specjalnie Steve'em, który wpadł z kurtuazyjną wizytą, jakby odwiedzał znajomego w szpitalu.

- Wszystkim inwestorom z grupy jest przykro z powodu tego, co się stało.

- Tak?

- Czują się z tym potwornie. Okropnie.

- Dzięki.

Robert miał nadzieję, że Steve wstanie, wyjdzie i to spotkanie wreszcie się skończy. Ale on nigdzie się nie wybierał.

- Robert, muszę z tobą o czymś porozmawiać.
- Czy to nie może poczekać? Nie mam teraz ochoty na rozmowę.

- Nie, to ważne.

Miał poważną minę. Negocjacyjną. Robert widywał ją setki razy

przy stołach konferencyjnych, kiedy Steve dyskutował o paragrafach umów dotyczących kar umownych i sprytnie wykorzystywał niewiedzę klientów.

- O co chodzi?
- Inwestorzy rezygnują z Thunder Bay.

Robert westchnął.

„I całe, kurwa, szczęście”.

- Japończycy się wycofali. Może za kilka lat coś się zmieni.

Uznałem, że powinieneś o tym wiedzieć.

- To wszystko?
- Niezupełnie. Moi partnerzy zupełnie się splukali. Ludzie najpierw się zapożyczyli, a teraz muszą wyłożyć pieniądze, aby pokryć straty. I to jest dla nich naprawdę duży problem.

- Po co mi to mówisz?

- Bo chociaż wiele stracili, chcą pokazać, jak bardzo wszystkim przykro z powodu śmierci twojego syna. Inwestorzy pragną złożyć kondolencje i ofiarować coś, co chociaż odrobinę ukoi wasz żal.

Robert poczuł się zdezorientowany. Nie bardzo wiedział, o co chodzi Steve'owi.

- Mam dla ciebie i dla Jenny siedemdziesiąt dwa tysiące dolarów, które - dobrze to wiemy - nie wynagrodzą waszej straty. Ale może ją złagodzą.

Nie rozumiał. Dają mu pieniądze. Czy powinien poczuć się urażony, czy jednak wdzięczny? Czy to obraza, czy miły gest?

- Nie pojmuję.

- Tu nie ma nic do pojmowania. Ludzie, z którymi pracuję, są szczerze zasmuceni twoim nieszczęściem i pragną ci coś dać. To wszystko.

Steve otworzył teczkę i wyciągnął z niej kopertę, a następnie

przesunął ją po biurku w stronę Roberta. Ten wziął ją do ręki. Droga papeteria, chyba z materiału, w dotyku gładka i jedwabista, w kremowym odcieniu i z czerwonym nagłówkiem. *RGB Group, spółka komandytowa*. W środku był czek na siedemdziesiąt dwa tysiące dolarów.

- To bardzo miłe z twojej strony. Nie wiem, co powiedzieć.
- Nic nie musisz mówić. Naprawdę.

Przez chwilę siedzieli naprzeciwko siebie i kiwali głowami. Chodziło o coś więcej. Robert to wiedział. Steve nie tkwiłby bez powodu w jego gabinecie. Gdyby skończył rozmowę, po prostu by wyszedł.

- Jest jeszcze coś - powiedział Steve. Trzymał palec w górze. - Pewna kwestia, która pozwoli sfinalizować sprawę.

Podał Robertowi jakieś kartki.

- Co to jest?
- Umowa wyłączająca odpowiedzialność głównego wykonawcy za zaniedbania ze strony podwykonawców. Rozumiesz: RGB nie jest winne temu, co się stało.

Robert wpatrywał się w kartki. Umowa. Znowu miał problem z koncentracją. Znowu rozbolał go kark. Co to znaczy? Słowa łączyły się w skomplikowane zdania. „Zrzekam się prawa do występowania w sądzie...”.

- Co to oznacza? Nie, nie jestem w stanie czytać tego teraz.
- Tu jest napisane, że nikt nie ponosi winy za to, co wydarzyło się w Thunder Bay. I że nie obarczysz jakkolwiek odpowiedzialnością RGB. To wszystko. Nic wielkiego. Podpisz i tyle.
- Ale co oznacza, że zrzekam się praw?
- Że nie pozwiesz nas do sądu. Chyba nie zamierzałeś tego zrobić?

- Nie, raczej nie.

Robert znowu spróbował się skoncentrować. Ale nie miał ochoty myśleć. Za dużo tego wszystkiego, za dużo.

- Więc?

- Powinien na to zerknąć mój prawnik.

Steve jęknął i potrząsnął głową.

- A my chcemy tego uniknąć. Dogadajmy się. Jak człowiek z człowiekiem. Moi ludzie zebrali pewną sumę dla ciebie i dla twojej żony. Teraz ty powinieneś im podziękować, podpisując tu, o tu, w tym wykropkowanym miejscu. Twój prawnik nie pozwoli ci tego zrobić. Zaręczam. I szczerze przestrzegam: RGB nie pozwoli ci wygrać procesu. Wszystko wyjdzie na jaw. To, że Jenna nie wiedziała, jak zachować się w łódce. To, że nie włożyła dziecku kamizelki ratunkowej. Żaden sąd na świecie nie przyzna ci odszkodowania. Dobrze wiesz. Więc wyluzuj. Zresztą dlaczego RGB miałyby ponosić odpowiedzialność za wypadek? Skończysz z toną dokumentów, ale bez zadośćuczynienia. Na domiar złego Jenna będzie musiała po raz kolejny przejść piekło.

Steve wziął głęboki oddech i poczekał, żeby jego słowa dotarły do Roberta.

- Właśnie dałem ci czek na siedemdziesiąt dwa tysiące dolarów - mówił dalej. - To bardzo hojny gest. Bardzo. Podpisz papiery. Zostaw wszystko za sobą i po prostu żyj dalej.

Robert schował głowę w dłoniach. Steve miał rację. Nie miał najmniejszych szans w procesie z RGB. Bobby nie miał na sobie kamizelki ratunkowej. Dlaczego inwestorzy mieli za to odpowiadać? To Robert i Jenna popełnili błąd, za który zapłacili bardzo wysoką cenę. Nie wiedział jednak, co powie Jenna o układzie z grupą Steve'a. Czuł, że kumpel próbuje go przekupić.

- Nie wiem, co na to moja żona.

- Więc nic jej teraz nie mów.

Robert potrzęsął głową. Steve wszystko sobie przemyślał. Miał gotowe odpowiedzi.

- Poczekaj, zanim jej powiesz. Niech przejdzie przez żalobę bez dodatkowych bodźców. Weź pieniądze, wpłać na konto, a kiedy nadejdzie czas, zaskocz ją. Potraktuje dodatkowe fundusze jak nieoczekiwany bonus. Nie ma w tym nic złego. To dobre rozwiązanie. Przysięgam.

Robert pragnął wrócić do domu i położyć się do łóżka. Nic więcej. Był zmęczony, bolała go głowa, chciał wyjść. Natychmiast. Podpisał papiery. Jedną kopię zatrzymał dla siebie, drugą zabrał Steve.

- Postąpiłeś słusznie, Robercie. To już koniec. Szybko i bez bólu.

Steve zostawił go samego w biurze.

Robert zastanawiał się, czy postąpił właściwie. Zmuszono go do podjęcia decyzji, na jaką nie miał ochoty, ale zdecydował, że nie będzie się tym martwić. Ani tym, że został pokonany. Bo właśnie to sobie uświadomił. Że został pokonany. Czuł się, jakby uszło z niego powietrze. Jakby znalazł się na księżycu, gdzie czeki ani ugody prawne nic nie znaczą.

Nic.

„Z niczego nic nie uzyskasz*” - powiedział król Lear.

I to właśnie uzyskał Robert.

Wielkie nic.

* William Shakespeare, *Król Lear*, przeł. Stanisław Barańczak. Poznań 1991, s.

WYCIERACZKI NA PRZEDNIEJ SZYBIE wędrowały w górę ze skrzypieniem, a na dół wracały zupełnie cicho. Zostawiały na szkle dwie wstążeczki deszczu.

Padło całą noc, a droga była błotnista. Minęło zaledwie trzydzieści minut, a Jennie wydawało się, że godzinami jadą wyboistą i krętą drogą przez las. Co chwilę spoglądała przez tylną szybę. Sprawdzała, jak mają się Oscar i Eddie, którzy jechali na przyczepie osłonięci przed deszczem zieloną plastikową plandeką. Wyglądali jak kupka nieszczęścia.

Tom, ogromny, pozbawiony poczucia humoru mężczyzna ze sklepu, prowadził w milczeniu. Odzywał się od czasu do czasu przy głośniejszej, pełnej zgrzytów zmianie biegów. Jego kamienna twarz i zmarszczone brwi sprawiały wrażenie, jakby nieustannie był obrażony. Nie wiadomo. Może podróż do Livingstone'a sprawiała mu za dużo kłopotów? Jenna zaproponowała wprawdzie, że kogoś wynajmie, ale Tom po prostu wsiadł do ciężarówki i bez słowa włączył silnik.

Pokonali zakręt i zatrzymali się przed zardzewiałym łańcuchem zagradzającym przejazd.

Tom wyszedł z ciężarówki i odpiął łańcuch. Jechali teraz wąskim szlakiem. Deszcz chyba przestał siąpić. W lesie trudno było to stwierdzić. Ale nad koronami drzew Jenna dostrzegła puszyste białe chmurki, zza których prześwitywało błękitne niebo.

- Chyba się przejaśnia - powiedziała do kierowcy.

Tom pokręcił wolno głową.

Przez kolejne półtora kilometra ciężarówka jechała krętą drogą prowadzącą na strome wzgórze. Wydawało się, że dywan gęstych drzew zsuwa się dramatycznie na dół, prosto na plażę. W oddali widniała kolejna wyspa. Samochód zatrzymał się tuż przed urwiskiem. Jenna oniemiała na widok porannego piękna Alaski, na widok budzących się kolorów, na widok młodych roślin i ciemnej zieleni sosen oraz rudych odcieni kory, na widok brunatnego błota oraz lśniącej czarnej wody. Promyki słońca przebiły się wreszcie przez chmury. „Rozwiewają się, jakby je rozproszył głos Boga” - pomyślała Jenna. Wiedziała, że to znak. Dobry znak. Poczowała, że wszystko będzie w porządku, że szaman wszystko naprawi. Na dole, u stóp wzgórza, stał dom. Dom Davida Livingstone'a.

- Jeżeli zjedziemy, nie damy rady podjechać z powrotem - powiedział Tom. Zaciągnął hamulec ręczny i wysiadł z samochodu.

Jenna również wysiadła. Czekala na Eddiego i Oscara.

Wzgórze było bardziej strome, niż myślała. Tom wyciągnął z ciężarówki linę. Jeden koniec przywiązał do przedniego zderzaka. Drugi zrzucił ze wzniesienia. Po chwili chwycił mocno sznur i zaczął się opuszczać. Jak alpinista. Jenna spojrzała na Eddiego, który tylko wzruszył ramionami.

- Dlaczego ziemia tu jest taka czerwona? - zapytała.
- Glina - odparł Eddie. Naciągnął linę. - To ekscytujące, nie sądzisz? Trochę tak, jakby ślizgać się po lodzie.
- Dasz radę?
- Najwyżej zjadę na tyłku.

Eddie obwiązał linę wokół zdrowej ręki i powoli zaczął schodzić.

Jenna spojrzała najpierw w dół, a później na Oscara. To nie była zabawa w jej stylu. Dlaczego szamani nie mogą mieszkać w willach z podgrzewanymi basenami?

- Ty następny, mały - powiedziała do psa i spróbowała zepchnąć go ze wzgórza. Ale Oscar zaparł się łapami. Widocznie podzielał zdanie Jenny, że alpinizm to nic, czym warto się zajmować, i nie zamierzał się ruszyć. W końcu zrezygnowała z prób.

- W porządku, zaczekaj tutaj.

Ruszyła za Tomem i Eddiem. Stromizna nie wydawała się aż tak duża. Gdyby nie mokra ziemia, byłoby całkiem przyjemnie. Ale glina była piekielnie śliska.

Kiedy Jenna pokonała większą część drogi, spojrzała w górę i zawołała Oscara. Czekał. Bacznie obserwował kobietę. Wreszcie podjął samodzielną próbę zejścia ze wzgórza. Zapierał się z wysiłkiem przednimi łapami. Nie chciał stracić równowagi. Bardzo się starał, ale w końcu jechał na zadzie z głośnym wyciem. Kiedy mijał Jennę, ta chciała go złapać. Ale bez szans, pies pędził zbyt szybko. Jenna też straciła grunt pod nogami i zaczęła zjeżdżać na plecach, zaraz za Oscarem. Z nogami w górze. Nie mogła się zatrzymać. Przemknęła obok Eddiego, który śmiał się histerycznie. Podwinęła jej się koszulka i poczuła na skórze pleców błoto i glinę.

Wyhamowała na samym dole, tuż przed Tomem, który również nie mógł powstrzymać śmiechu. Wreszcie zdjął z twarzy kamienną maskę.

- No proszę, a myślałam, że ty tylko milczysz - powiedziała.

Wstała i próbowała się otrzepać. Tom rechotał coraz głośniejsze, aż wreszcie sam się poślizgnął i wylądował na tyłku. Ale nie tracił dobrego nastroju. Jenna pomyślała, że ten facet, który nie bawił się dobrze od dziesięciu lat, za chwilę zmoczy majtki. „Jak w slapstickowej komedii - pomyślała. - Nie ma nic lepszego”.

DAVID OTWORZYŁ DRZWI. Zdziwił go widok chichoczących gości, ubłoconych od stóp do głów.

- Wzgórze jest dosyć śliskie - powiedział. Ta uwaga wywołała jeszcze większy wybuch wesołości. - Wejdźcie drzwiami kuchennymi z drugiej strony, a ja poszukam dla was suchych ubrań.

Władowali się do pracowni znajdującej się obok kuchni. Eddie, najczystszy z całej trójki, zdjął buty. Tom rozebrał się do majtek. Jenna czekała skrzępowana w brudnym ubraniu. Rozejrzała się. Białe, surowe ściany, chłodne, beżowe płytki na podłodze i duży zlew w rogu. Komora dekompresyjna dla ubłoconych ludzi.

- To dopiero pokój - powiedziała.

- Błotokój - odparł Tom, z trudem powstrzymując śmiech. W końcu jednak zachichotał.

Od strony kuchni nadszedł David ze stertą bluz i spodni. Kiedy Tom zmienił odzież, mężczyźni wyszli, zostawiając Jennę, aby się przebrała. Gdy była gotowa, David wyplukał ubrania w ciepłej wodzie i rozwiesił na sznurze przed domem. Prosiła, żeby nie robił sobie

kłopotu, ale stwierdził, że kiedy błoto przyschnie, rzeczy nie będą nadawały się do użytku, a on nie ma zamiaru zatrzymywać gości na noc.

Po dłuższej chwili zebrali się w kuchni. Dopiero teraz nastąpiło formalne zawarcie znajomości. Z kubkami ciepłej kawy towarzystwo przeniosło się do pokoju dziennego. Było to ogromne pomieszczenie: wysokie na cztery metry, z jedną ścianą zupełnie przeszkloną. Widać było przez nią wodę. Ściany i podłogę wykonano z surowego drewna. W każdym rogu stały ogromne drewniane słupy. Salon ozdobiono indiańskimi narzutami i różnymi błyskotkami. W jednym z kątów znajdował się kominek, w którym migotały płomienie.

Wszyscy usiedli. Rozpoczęła się niezobowiązująca pogawędka o deszczu. Indianie zastanawiali się, czy będzie jeszcze padało, czy już nie. Tom był przekonany, że owszem, że pojawią się ulewy i burze. David stwierdził, że najgorsze już minęło. Pogaduszki w pewnym momencie przerwało szczekanie psa. Oscar siedział za przeszkloną ścianą i gapił się na ludzi.

- Czy to twój pies? - spytał David.

- Tak - odparła Jenna. - Był bardzo brudny, więc zostawiłam go na zewnątrz. Nic mu nie będzie.

David wstał, podszedł do szyby i kucnął przed zwierzakiem.

- Jak ma na imię?

- Oscar.

- Od jak dawna go masz?

Jenna wzruszyła ramionami.

- Od czterech, może pięciu dni. Znalazłam go w lesie. A raczej on znalazł mnie. Zgubiłam się, a wtedy pojawił się Oscar i zaprowadził mnie do miasta.

- Naprawdę? - David wstał i popatrzył na Jennę. - To było na Alasce?

- We Wrangell.

David pokiwał głową.

- Nie bałaś się psa znalezionego w lesie?

- Nie miałam czasu przestraszyć się psa... Bałam się tego, co mnie gonilo. Oscar mnie obronił. Od samego początku zachowywał się jak przyjaciel.

David ponownie kiwnął głową, rozważając słowa Jenny.

- A jak myślisz, co cię gonilo?

- Nie wiem... - Jenna podniosła kubek z kawą, jakby próbowała się za nim ukryć. - Nie wiem.

- Pomyśl - zachęcił ją szaman.

- No cóż - powiedziała - może zabrzmiało to głupio, ale myślę, że to była kusztaka.

Livingstone ani drgnął. Tom i Eddie siedzieli obok siebie na jednej z sof przy kominku. W milczeniu przysłuchiwali się rozmowie. Ale na wspomnienie kusztaki wymienili znaczące spojrzenia.

- Dlaczego myślisz, że to była kusztaka? - zapytał David.

- To, przed czym uciekałam, raz przypominało niedźwiedzia, a innym razem o wiele mniejsze stworzenie. I było bardzo szybkie. A potem pojawił się mężczyzna o czarnych oczach i o ostrych zębach.

- I pies go wystraszył?

- Tak.

David otworzył drzwi w przeszklonej ścianie i wyszedł na zewnątrz. Kucnął obok Oscara i pogłaskał go po łbie. Pies i mężczyzna patrzyli sobie w oczy. Po chwili David wstał i zabrał zwierzę na tyły domu.

- Co się stało? - spytał Eddie.

Jenna wzruszyła ramionami. Oboje popatrzyli na Toma, który także nic nie rozumiał.

- Ja nic nie wiem. Jestem tylko kierowcą.

Usłyszeli najpierw trzaśnięcie drzwi, a później szum płynącej wody. Niedługo potem w salonie pojawił się wykąpany, czysty Oscar. Mocno się otrząsnął i wyruszył na psi patrol. Obszedł całe pomieszczenie, a kiedy pojawił się David, podniósł łapę i wysikał się pod jednym ze słupów.

- Oscar, nie! - krzyknęła Jenna, zrywając się z miejsca.

- Nic się nie stało. - David machnął ręką.

Pies węszył. Zostawiał swój ślad na każdym ze słupów. A później podszedł do szklanej ściany, usiadł i popatrzył na ludzi.

- Wybrał sobie miejsce - powiedział szaman. Potem zniknął i wrócił z dzbankiem. - Jeszcze kawy?

Jenna, Eddie i Tom patrzyli na Davida oszołomieni.

- Może byś nam wyjaśnił, co tu się dzieje? - poprosiła dziewczyna. Szybko pożałowała nuty sarkazmu w tym pytaniu.

- Jasne - odpowiedział radośnie David i dolał wszystkim kawy. - Zbudowałem ten pokój tak, jak się buduje tradycyjny dom w ple-mieniu Tlingitów. Ma cztery narożne słupy, które chronią konstrukcję całego budynku oraz jego ducha. Każdy słup jest rzeźbiony. Przedstawia różne duchy chroniące mieszkańców.

Dolał sobie kawy i usiadł na kanapie obok Jenny.

- Istnieje wiele różnych bóstw, do których można się modlić: wilk, orka, niedźwiedź. Rodzina wzywa duchy, a słupy domowe przypominają rodzinie opowieści o nich.

- To bardzo interesujące - powiedziała Jenna. - Ale nie tłumaczy, dlaczego Oscar je obsikał.

David się roześmiał.

- Zaznaczył swoje terytorium. Jest teraz duchem przebywającym w tym domu. A miejsce, które sobie wybrał, ma bardzo silną aurę.

- Chwileczkę. Oscar jest duchem?

- O tak. To nie tylko pies. To twój duch opiekuńczy. Pojawi się, aby cię chronić.

Jenna zamknęła oczy. Nie, to zbyt wiele. Jej zmarły syn przebywał z indiańskimi duchami, a inny duch był jej opiekunem. Podrapała się w ucho.

- Każdy ma ducha opiekuńczego, ale większość ludzi go ignoruje - wyjaśnił David. - Albo zachowuje się tak, że opiekun ich porzuca. Jeśli goniła cię kusstaka, duch musiał przybrać postać psa, bo psy są ich zajadłymi wrogami. Kusstaki nas nienawidzą. Przemierzają lasy w poszukiwaniu zagubionych. Ale pokazują się człowiekowi jedynie wtedy, kiedy jest daleko od swoich. Unikają wszystkiego, co ma jakikolwiek związek z cywilizacją. Metal pali ich skórę. Nie mogą jeść tego, co gotowane. Tylko surowiznę. Urok kusstaki może przerwać ludzka krew. Trzeba ją wypić. A psy są ich wrogami, bo to udomowione zwierzęta.

- To znaczy, że Oscar mnie ochraniał?

- Tak. Powiedz mi, czy kusstaka ukazała ci się w innych okolicznościach?

- Nie wiem.

- Zastanów się. Czy wydarzyło się coś dziwnego? Coś, co wydało ci się osobliwe?

- Był taki mały chłopiec... Zerknęła na Eddiego.

- Chłopiec?

- W środku nocy. Przyszedł pod dom, a później wbiegł do oceanu. Chciałam go powstrzymać, ale wtedy...

- Wtedy co?
- Pojawił się Oscar. Chciał go zaatakować.

David pokiwał głową.

- Miałaś szczęście.
- Czy to była kusztaka?
- Prawdopodobnie.
- Ale wyglądała jak... Bobby.

Wreszcie to sobie uświadomiła. On wyglądał jak Bobby. Czarne kręcone włosy. Duże oczy. Dlaczego wcześniej nie złożyła elementów układanki w całość?

- Twój syn?

Jenna przytaknęła bezgłośnie.

- Kusztaka często przybiera postać członka rodziny. Żeby przechytrzyć ofiarę.

- A czy może przybierać dowolną formę?

- Zwykle tak. Tylko oczy i zęby się nie zmieniają. Zazwyczaj kusztaki są jak cienie. Wydaje ci się, że coś widziałaś, ale kiedy przyglądasz się dokładniej, niczego nie zauważasz. Albo odnosisz wrażenie, że słyszałaś kroki, lecz nikogo nie ma w pobliżu. Docho- dzisz do wniosku, że masz omamy.

Jenna zaczęła się bać. Odkąd przybyła na Alaskę, widziała cienie i słyszała kroki. Zadrzała. David dostrzegł to, położył dłoń na jej ramieniu.

- Nie martw się, tutaj jesteś bezpieczna.
- Wiem. Ale czy jestem bezpieczna tam?

David wstał i zaproponował lunch. Wszyscy ochoczo się zgodzili. Ucieszyła ich myśl o jedzeniu, a przede wszystkim o zmianie tematu.

*

DAVID PRZEPROSIŁ ZA TO, że ma tylko wędlinę, chleb pełnoziarnisty i zupę pomidorową z puszki. Oświadczył, że jego żona jest nieobecna, prowadzi seminarium w Vancouver. I dodał żartobliwie, że kiedy ona wyjeżdża, on staje się mężczyzną. Wszystkich jednak zadowolił prosty i skromny posiłek.

Wydawało się, że David cieszy się z towarzystwa. Bez końca opowiadał o swojej pracy na Uniwersytecie Kolumbii Brytyjskiej i o tym, jak bardzo podoba mu się regularne dojeżdżanie z tego odludzia do dużego miasta. Wytłumaczył, że w ten sposób żadne z miejsc nie zdołało go przytłoczyć i za każdym tęsknił, kiedy był daleko.

Rozmawiali także o pogodzie i o morzu. David zapytał o ramię Eddiego. Kiedy chłopak opowiedział o wypadku, potrząsnął głową.

- Najniebezpieczniejsza praca na świecie - rzekł.

Tom stwierdził, że Eddie ma niesprawną rękę z powodu nadużywania maszyn przemysłowych w rybołówstwie. Tak się dzieje zawsze, gdy przedkłada się korzyść nad ludzkie życie. David zachichotał i zapytał, w jakim lewicowym czasopiśmie Tom to wyczytał. Rozmowę przerwała im jednak Jenna.

- Namiary na ciebie dostałam od Johna Fergusona. Pamiętasz go? - spytała szamana.

David zamilkł. Tom upuścił widelec i odsunął się od stołu.

- Jasne, że pamięta - powiedział Tom.

- Tom... - David usiłował mu przerwać.

- Rozmawialiśmy o przedkładaniu korzyści...

- Tom, proszę.

Mężczyzna przewrócił oczami, ale umilkł.

- Jenna - zaczął David. - Bardzo mi przykro z powodu tego, co stało się z twoim synem. Ale, proszę, uwierz mi, próbowałem ich powstrzymać.

- Nikogo nie obwiniam. Chcę tylko wiedzieć, co robić. Czy możesz mi pomóc?

- Obawiam się, że nie.

- Jesteś szamanem. Chyba możesz zmusić duchy, żeby puściły Bobby'ego? Rzucić zaklęcie czy coś?

- Dlaczego ludzie, którzy nie mają pojęcia o innej religii, uważają, że ma ona związek z sekretną magią? „Rzuć zaklęcie”. Litości! Szaman nie jest czarodziejem. Jest jak ksiądz, jak pastor, jak duchowny. To wszystko. Gdyby twój syn zabrano do piekła, czy ksiądz mógłby go stamtąd wydostać? Nie sądzę.

- Chcesz powiedzieć, że mój syn jest w indiańskim piekle?

- Nie - odparł David, chowając głowę w dłoniach. - To nie to samo. Próbowałem sprawę wyjaśnić obrazowo. Kuszaki nie są diabłami, tylko duchami. Posłuchaj, kiedy człowiek umiera, jego dusza się odradza, ale pod warunkiem, że znajdzie się w odpowiednim miejscu - w Krainie Umarłych. Jeśli jednak zabłądzi - odrodzenie jest niemożliwe. Duch staje się wędrującym bytem, który nie może ani odpocząć pośród umarłych, ani wrócić do żywych.

- Ale jest szansa, że kiedyś trafi do Krainy Umarłych? - spytała Jenna.

- Nie. To się nie zdarza.

- Mężczyzna na Chief Shakes Island powiedział mi co innego. Szaman może pomóc takiej istocie.

David potarł oczy. Skrzywił się i westchnął głęboko.

- W porządku - powiedział - teoretycznie jest to możliwe. Ale

taki szaman najpierw przez całe życie musiałby ostro trenować, kąpać się każdego ranka w lodowatej wodzie, pić wywar z kokosia strasznego i rozwinąć swoją siłę ducha, żeby dorównać kusztace. A ona i tak okazała się silniejsza. Wierzcie mi, wiem coś o tym.

Jenna uświadomiła sobie, że mężczyzna mówi o własnym doświadczeniu. Już nigdy nie zmierzy się z kusztaką. Raz to zrobił i wiele stracił.

- Te stworzenia wiedzą, że tu jestem - powiedziała. - Odkąd dotarłam na Alaskę, coś ścigało mnie w lesie, spotkałam ducha opiekuńczego, a mały chłopiec chciał utopić siebie i mnie. Dlaczego?

- Pragną, żebyś do nich dołączyła.

Jenna czekała na coś więcej.

- Dziecko, które ci się ukazało, wyglądało jak twój syn, prawda?

Jenna potwierdziła.

- Twój syn jest teraz jednym z nich.

Jenna zastanowiła się nad tym. Bobby po nią przyszedł. Ten mały chłopiec to był Bobby. Dlaczego o nic nie zapytał? Dlaczego jej nie zawołał? Poszłaby za nim.

- Chcę z nim być - powiedziała.

- W taki sposób nie chcesz.

- Jeżeli nie ma innej możliwości, to chcę.

David wstał i zaczął sprzątać naczynia. Układał na stole jedno na drugim.

- Nie masz na nic wpływu - powiedział do Jenny. - Nic nie możesz zrobić. Dopóki tutaj jesteś, będą próbowały cię dopaść. Najlepiej, żebyś wyjechała, wróciła do domu i nigdy więcej tutaj nie przyjeżdżała. Zapomnij.

Jenna walnęła pięścią w stół. Wszyscy podskoczyli. David stał na

końcu stołu i patrzył na nią.

- Niech to szlag! Wciąż mi to ktoś powtarza! - zawołała wściekła. Jej głos drżał. - Słyszałam to przez ostatnie dwa lata. „Zapomnij. Zostaw to za sobą”. Niczego nie zostawię. Niech was diabli! Chodzi o mojego syna. O mojego syna! Dowiedziałam się właśnie, że jest jakimś potworem. Trudno, jeżeli nie mam innego wyboru, to tak jak on stanę się potworem.

Wstała szybko, szurnęła krzesłem i dodała z gniewem:

- Nie zapomnę o nim. Nigdy, przenigdy.

Patrzyła przez chwilę na Davida. On odwzajemnił spojrzenie, a potem odwrócił wzrok. Usiadł i zaczął splatać w warkoczyk trzy frędzelki zwisające z obrusa. Jenna czuła, że nie powiedział wszystkiego. Ukrywał coś przed nią. Musiała zmusić go do szczerości.

- Opowiedz o swoim dziecku - poprosiła.

Szybko podniósł wzrok i zdał sobie sprawę, że Jenna wie. Wszyscy spostrzegli jego poruszenie. Zrozumieli, że coś się za tym kryje.

- Skąd o tym wiesz?

- Od Johna Fergusona.

David spuścił wzrok i potrząsnął głową.

- Opowiedz mi, co się wydarzyło - poprosiła Jenna. - Wszystko.

Patrzyli sobie w oczy, jakby nagle połączyła ich wspólna tajemnica. Jenna miała zaufanie do Davida, ale jednocześnie była skrupowana. Podejrzewała, że szaman potrafi czytać w jej myślach, i obawiała się tego, co w nich znajdzie.

- Wezwano mnie, żebym sprawdził Thunder Bay- zaczął David i odchrząknął. - Przyznaję, zrobiłem to dla pieniędzy. Wtedy wiele robiłem dla pieniędzy. Miałem wypędzić „złe” duchy. Ale u Tlingitów

istnieją po prostu duchy. Mają w sobie dobro i zło, lecz żaden z nich nie jest ani dobry, ani zły. Na przykład Kruk. Stworzył świat. Ofiarował ludziom gwiazdy, księżyc, słońce, wodę i ziemię. A wiesz, skąd to wszystko wziął? Ukradł. Czy to sprawia, że Kruk jest zły?

David wyrżał przez okno. Znowu zaczęło padać. Tom miał rację.

- Przypląnąłem na miejsce. Nie spodziewałem się, że cokolwiek tam znajdę. Odprawiłem zwyczajowe rytuały. Ale po pierwszym dniu medytacji poczułem obecność duchów. To były kusztaki. Wiedziałem, że powinienem przerwać obrzędy, ale byłem przekonany, że jestem silny, że sobie poradzę. Chciałem je prosić, żeby nie przeszkadzały ludziom. Przyszły do mnie. Zabrały mnie do swojego siedliska. A tam zaczęły się nade mną znęcać. Myślałem, że mam moc, ale byłem bezsilny. Zmieniły mnie w zwierzę z sierścią i pazurami, szydziły i naśmiewały się ze mnie. Robiły ze mną złe i plugawe rzeczy... Pragnąłem, żeby mnie zabiły, żeby to się skończyło.

Przerwał na chwilę.

- Leżałem na ziemi, pokryty moczem i kałem wydr. Wtedy podszedł do mnie szaman kusztaka i powiedział, że puszcza mnie wolno, bo chce, abym wrócił do świata i powiedział ludziom, żeby odeszli z Thunder Bay.

David zamknął oczy. W pokoju wszyscy zamarli. Opowieść Livingstone'a wszystkich zmroziła. Jenna wiedziała, że to nie koniec historii. Że jest coś jeszcze.

- Ale cię wypuścili - odezwał się w końcu Eddie, przerywając ciszę.

- Nic za darmo - odparł David. Otworzył oczy i spojrzał na Jennę. - Ich szaman powiedział, że poniosę karę. - Zamilkł. - Dwa dni

później moja żona poroniła.

David patrzył na Jennę. Oboje rozumieli, że łączy ich strata, że ich ograbiono.

- Muszę ocalić syna - powiedziała w końcu Jenna.

- Nie wiem, jak ci pomóc - rzekł David. - Przepraszam. Nic nie mogę zrobić.

I to był koniec wizyty. Goście szamana włożyli swoje ubrania i razem z Oscarem, duchem opiekuńczym Jenny, wspięli się po błotnistej ścianie na wzgórze. Wrócili do świata, którego nie podtrzymywały cztery słupy chroniące przed duchami-cieniami.

JOEY OPARŁ SIĘ O ŚCIANĘ TERMINALU. Usiłował schować się przed deszczem pod płóciennym daszkiem. Nie padało bardzo intensywnie, ale wiatr rozwiewał krople na wszystkie strony.

Dostrzegł samolot wyłaniający się zza chmur. A po chwili kolejny, z Alaska Airlines, który najpierw spadał z szarego nieba, a później zawisł w powietrzu nad górami. Stawał się coraz większy i głośniejszy, aż wreszcie dotknął ziemi tuż przed detektywem. Koła jeszcze się kręciły, silniki warkotały, a dwóch mężczyzn pchało już przenośne schodki pod drzwi samolotu. Wysiadły cztery osoby. Ostatnią był Robert.

W milczeniu jechali samochodem do miasta. Robert był zdeorientowany. Nie do końca wiedział, jak traktować Joeya. Jak kolegę czy jak przewodnika? A może powinien zażądać od niego raportu? Nieważne. Inne zmartwienie zaprzętało mu myśli. Konfrontacja z Jenną. Nie miał ochoty zastanawiać się nad tym, jak traktować faceta, któremu tyle płaci. Zamknął oczy i odchylił się na siedzeniu.

Gdy zatrzymali się przed ratuszem, Joey zapłacił kierowcy i wziął

rachunek. Mężczyźni wysiedli z samochodu. Weszli do budynku o jasnozielonych ścianach i o podłodze wyłożonej tanią szarą wykładziną. Po prawej stronie znajdowały się szklane drzwi z gwiazdką szeryfa.

- Dokąd idziemy? - spytał Robert.
- Zobaczyć się z szeryfem.
- Po co?
- Chyba chce pan odnaleźć żonę?

Mężczyzna się zdziwił. Wydawało mu się, że żona jest we Wrangell. A teraz znowu jej szukają? Niechętnie ruszył za chłopakiem.

Detektyw wdał się w rozmowę ze starszą kobietą, która wysłuchiwała jego narzekań. Pokazywał jej zabandażowaną dłoń, jakby piekielnie go bolała. Robert zdziwił się po raz kolejny. W taksówce chłopak nie zwracał najmniejszej uwagi na chorą rękę. Udawał?

- ...pogryzł mnie, a teraz nie mogę znaleźć ani właścicielki, ani psa. Myślę, że wyjechali z miasta. Muszę ich odszukać, żeby dowiedzieć się, czy kundel nie jest czasem chory na wściekliznę.

Kobieta popatrzyła na bandaż z bliska i pokręciła głową.

- To psy jeszcze na to chorują?
- Ten akurat wyglądał na wściekłego, bardzo się ślinił. Pochyliłem się, żeby go pogłaskać, a on mnie dziabnął. - Joey zwrócił się do Roberta. - A to jest mąż tej kobiety. Martwi się, że pies może ją zaatakować. Myślę, że koniecznie trzeba ich odnaleźć.

Kobieta skrzywiła się, potem przeprosiła i ruszyła w kierunku szklanych drzwi. Zapukała i weszła do środka. Joey odwrócił się do Roberta.

- Odegraj to. Jesteście na wakacjach. Ona przyjechała pierwsza. Mielicie się spotkać, ale jej nie ma, a ty się martwisz.

Robert kiwnął głową. Słysząc było dwa przyciszone głosy, a potem szeryf Larson pojawił się w drzwiach.

- Czy to był owczarek?

- Tak, proszę pana - odparł Joey. - Wyglądał sympatycznie, ale prawie odgryzł mi kciuk.

- Był pan w szpitalu?

Joey spuścił wzrok i poszurał nogami.

- Tak, proszę pana, ale nie mam ubezpieczenia, a lekarz powiedział, że zastrzyki z surowicą na wściekliznę dużo kosztują. Podobno weterynarz mógłby przebadać psa za dwadzieścia pięć dolarów.

- Kim pan jest? - Szeryf zwrócił się do Roberta.

- Mężem Jenny.

- A kim jest Jenna?

- To ta kobieta z psem - wyjaśnił Joey.

- Ta, która mieszka u Eddiego Fleminga?

- Tak. To jego imię. Eddie. Tak.

- I w czym problem? Niech pan idzie przebadać psa - powiedział szeryf do Joeya. - A pan za to zapłaci - dodał, spoglądając na Roberta.

- Ale oni zniknęli.

- Zniknęli?

- Wczoraj dokądś polecieli.

- Dokąd?

- Właśnie dlatego tu jesteśmy. Nie wiemy. Widziałem tylko, jak ten starszy facet odlatuje z nimi hydroplanem i wraca sam. Musi więc chyba wiedzieć, gdzie są. Ale ze mną nie chce rozmawiać. Mówi, że to nie moja sprawa.

- To z pewnością Field - powiedział szeryf.

- Pomyśleliśmy, że pan mógłby go zapytać. Proszę mu wyjaśnić,

że to ważne. Uznaliśmy, że pana posłucha. Mnie naprawdę boli ręka, a Robert martwi się, że jego żona jest sama z tym wściekłym psem.

Szeryf potarł twarz ręką i ziewnął. Podrapał się w policzek.

- Ten pies to same kłopoty - mruknął.
- Porozmawia pan z Fieldem? - nie odpuszczał Joey.
- Tak - westchnął szeryf. - Pójdę do niego.

JENNA MIAŁA problemy, których nie dało się rozwiązać dobrym posiłkiem. Chodziło o wiarę. Chodziło o religię. Czy Mojżesz rozdzielił Morze Czerwone? Czy Jezus naprawdę uzdrawiał? Czy istnieje miejsce dla więcej niż jednej religii? A może wszyscy ludzie wierzą w to samo, choć inaczej to interpretują? Czy stworzenia nazywane kusztakami mogą kraść dusze? Czy istnieje możliwość zbawienia? A jeśli tak, to kto ma na nie szanse?

Eddie zjadał makaron z serem.

- W ile z tego wierzysz? - zapytała.

Eddie zagryzł makaron hot dogiem i wzruszył ramionami.

- W nic nie wierzysz, prawda?

Eddie ponownie wzruszył ramionami.

- Nie wiem. A ty?
- Wiara jest jakimś sposobem na życie, ale nie moim. Prawda jest taka, że nie wierzę.

Eddie pokiwał głową i wciął dalej. Jenna postanowiła, że nie pozwoli mu wymigać się od odpowiedzi.

- Wierzysz w rzeczy, o których mówił David?
- Jenna, przestań. Ta religia praktycznie wymarła. Czy uwierzyłybyś, gdybym ci powiedział, że Zeus ukradł duszę twojego syna?
- Może. Gdyby kontekst był odpowiedni.

- No widzisz - powiedział Eddie. - A ja nie. Więc ty jesteś wierząca, a ja jestem niewierzący. W porządku. To właśnie nazywamy tolerancją religijną. Praktykujemy ją w Stanach Zjednoczonych.

- No dobrze, mądralo, skoro nie wierzysz, a tylko ćwiczysz się w tolerancji religijnej, to dlaczego tutaj jesteś?

Eddie uśmiechnął się i odłożył widelec.

- Nie wiesz?

- Nie wiem.

Przez chwilę uważnie przyglądał się Jennie.

- No cóż, zastanów się i zgadnij.

Przymknęła powieki. Jakie to dziwne. Wyglądał tak znajomo. Z zamkniętymi oczami umiałaby narysować jego portret. Uświadomiła sobie, że nic o nim nie wie. Na jakich poziomach między ludźmi iskrzy? Wyglądu, osobowości czy też tego, czego nie można do końca nazwać? O jaką nieznaną siłę chodzi? O jaki tajemniczy element, który odbiera i emituje fale przyciągające do siebie ludzi?

- Kim ty właściwie jesteś? - zapytała nagle Eddiego.

- Ja? Zwykłym człowiekiem.

- To za mało.

- Urodziłem się i wychowałem na Alasce. Mam brata, który mieszka w Tahomie. Żyję z połowu ryb.

- Rodzice?

- Nie żyją.

- Przykro mi.

- Spokojnie. I tak ich nie lubiłem.

- To nie jest miłe.

- Zapewne. Ale gdyby oni chociaż raz za swojego życia byli dla mnie mili, może ja po ich śmierci również tak bym się zachował. Nie mam żadnych wspomnień, a więc...

- Co robisz w wolnym czasie?
- Nic. Nie mam przyjaciół, rodziny, hobby.
- Czyli jesteś nikim.
- To znaczy?
- Niezapisaną kartką.
- Zgadza się. Jestem nikim.
- To brzmi nudno.
- Nie, dobrze jest być nikim. Żadnych zobowiązań. Nie muszę uśmiechać się do ludzi, których nie lubię. Po prostu jestem.
- Jak mnich.
- Dokładnie tak. Jestem mnichem. Czasem śpiewam, ale poza tym jestem nikim.

Jenna długo patrzyła Eddiemu w oczy. Na jego twarzy malowała się obojętność, jednak oczy chłopaka śmiały się, zrozumiała więc, że ją nabiera.

- Nie wierzę ci.
- Nie?

Zwinął serwetkę i położył ją obok talerza z makaronem i serem.

- Co zamierzasz? - spytała.
- Nie mam pojęcia.

Wyrzała przez okno. Przez szybę z niebieską rybką trzymającą w płetwach nóż i widelec przyglądała się staremu Indianinowi, który z trudem szedł ulicą. Przyglądała się jego włosom opadającym na twarz. Podziwiała determinację mężczyzny. Szedł ostrożnie, jakby oceniał grunt pod nogami i za wszelką cenę pragnął dotrzeć do celu. A to, dokąd zmierzał, było mniej interesujące niż to, w jaki sposób to robił.

Ona sama bardzo chciała osiągnąć swój cel. Przez chwilę miała wrażenie, że David Livingstone jej pomoże. Niestety, zawiódł, ona

zaś wróciła do punktu wyjścia.

Ten tydzień był pełen przeszłości i przyszłości. Nie wiedziała, co znajdzie na końcu swojej podróży.

- Jeżeli mamy dzisiaj wracać, musimy zebrać się szybko, bo pewnie będzie padać.

- A jeżeli nie będzie?

- Wtedy proponuję zostać. Jestem nikim, więc czuję się szczęśliwy wszędzie i nigdzie. Powiedz, o czym myślałaś? Kombinowałaś, skąd wytrzasnąć kolejnego szamana? Dobra, zastanów się, co robimy, a ja zadzwonię do Fielda. Może pojawić się tutaj najdalej za trzy kwadranse. Chyba że idziemy na górę i robimy skok w bok.

- Chciałabym, ale nie mogę...

- Wiedziałem.

- Powinniśmy wracać.

- Tak myślałem. - Eddie wstał. - Jeśli zobaczysz Mamę Rybkę, poproś o kawałek tego placka z jagodami, dobrze?

I ruszył na tył baru do telefonu.

Zbliżała się piąta po południu. Pełnia ciągnącego się dnia. Do zmierzchu daleko. Jenna marzyła o jesieni, o świeżym powietrzu, o wczesnym zmierzchu, o dyniach i o innych jesiennych warzywach, które uwielbiała. Ale to odległa przyszłość. Do jesieni było znacznie dalej niż do zmierzchu.

Eddie z posepną miną wrócił do stolika.

- Coś nie tak?

- Chyba będziesz musiała podjąć kolejną decyzję. Wszystko wskazuje na to, że we Wrangell pojawił się twój mąż, który razem ze smarkatym cwaniaczkim polazł z szeryfem do Fielda, żeby odnaleźć ciebie i psa.

- O.

- Field nic im nie powiedział. Ale szeryf był mocno wkurzony. Teraz twój mąż z tym chłopakiem tkwią pod domem Fielda.

- O!

- Więc co chcesz zrobić?

Jenna siedziała zaskoczona. Przyjechał Robert. Nie mogła powiedzieć, że się tego nie spodziewała. Pojawił się po to, żeby wszystko z nią wyjaśnić. Odzyskać ją. Okazać miłość. Ale ona tego nie chce. Nie potrzebuje. Teraz Robert jest przeszkodą.

- Och, Eddie. Wiesz, że najchętniej bym zniknęła. Jestem zmęczona. Bardzo zmęczona. Miałam nadzieję, że szaman mi pomoże. I co mam teraz zrobić? Poddać się?

- A czego chcesz?

- Chcę znaleźć Bobby'ego. Wyłącznie tego chcę.

- W porządku. Wrócimy do Wrangell, powiemy twojemu mężowi, żeby dał sobie spokój, a potem znajdziemy kogoś, kto ci pomoże. Wierz mi, wokół kręci się wielu szamanów. Trzeba tylko znaleźć takiego, który nie jest szarlatanem.

- Tylko tyle? Taki jest plan? Wracamy?

- Przecież nie chcesz tu zostać.

- Nie.

- I nie chcesz jechać ani do Ketchikan, ani do Juneau?

- Raczej nie.

- Więc trzeba wziąć byka za rogi.

- Nie jestem pewna, czy Robert tak po prostu się wycofa. Dopiero co przyjechał.

- No to ja z nim porozmawiam.

- O, to będzie niezłe. „Robercie, mój kochanek chce zamienić z tobą kilka słów”.

- Tym dla ciebie jestem? Kochankiem?

Jenna się zarumieniła. To słowo w ustach Eddiego zabrzmiało dziwnie. Kochanek.

- Może - powiedziała.

- Super.

Wziął Jennę za rękę.

- Więc taki jest plan? Wrócić i wziąć byka za rogi? - zapytała.

- Wrócić i wziąć byka za rogi.

Eddie wstał i pocałował Jennę. Potem poszedł zadzwonić do Fielda. Kiedy wykręcał numer, poczuła wdzięczność, że jest obok niej. I że szybko podejmuje decyzje. Nie chciała spotkać się z Robertem, wiedziała jednak od początku, że ich spotkanie jest wyłącznie kwestią czasu.

Lepiej mieć to już z głowy.

PLAN POLEGA NA TYM, żeby myśleli, że jesteś w domu. Włączasz telewizor na cały regulator. Odwracasz go tak, aby migotanie kolorowych obrazów było widoczne z ulicy. A potem musisz być sprytny jak Macaulay Culkin w filmie *Kevin sam w domu*. Siadasz w fotelu przy oknie. Skąd mają wiedzieć, że zazwyczaj tego nie robisz? Potem wstajesz i wychodzisz z pokoju, wracasz i znowu siadasz. Muszą widzieć, że się poruszasz. Kiedy usiądziesz po raz ostatni, odwrócisz fotel tak, żeby nie zauważyli, że cię w nim za chwilę nie będzie. Potem ześlizgujesz się z fotela na podłogę i wymykasz się z pokoju. Oni są przekonani, że śpisz przed telewizorem.

Zaraz za domem jest mnóstwo jeżyn. Jeśli prześlizgniesz się obok garażu, zanurkujesz w krzakach i przeczołgasz się między nimi, nie

dojrzą cię z ulicy. W jeżynach może być trudno z powodu kolców. Ale nie przejmuj się, jest lato, ostre igły są jeszcze miękkie.

Jeśli przemkniesz się wzdłuż linii drzew za domami, dojdiesz do Church Street. Stamtąd już prosta droga na przystań do hydroplanu.

Gdyby zorientowali się, że zniknąłeś, musisz zbiec ze wzgórza. I tak cię dogonią, ale co za różnica. W końcu co mogą ci zrobić? Pobić cię? Szeryf Larson wcale nie był zadowolony, że musiał przyjść i zadać ci te wszystkie pytania. Na pewno nie będzie cię ścigał razem z nimi.

Dostajesz się na przystań. Twoje stare cudeńko stoi tam gotowe do drogi. Oglądasz się ostatni raz za siebie, ale tych palantów nigdzie nie widać.

Twoje cudeńko najlepsze czasy ma już za sobą, ale dopóki lata, jest w porządku. Odwiązujesz linę, lekko popychasz i wskakujesz do środka. Włączasz silnik i już.

Jesteś w górze. Patrzysz na miasto. Jest ciemniej niż zwykle o tej porze, ale to z powodu chmur. Nie powinny sprawiać problemów, chociaż lot w ciemności był ostatnio trudny. Lekarz powiedział ci, że przez twoje oczy. Kurza ślepotą. Dla ciebie zmrok zapada wcześniej niż dla innych. Nie ma się co martwić, wrócisz na czas.

Postanawiasz pobawić się trochę z tymi dupkami, zanim więc polecisz do Klawock, zawracasz do miasta. Oto i oni. Siedzą w wynajętym samochodzie przed twoim domem. Lecisz naprawdę nisko - ktoś mógłby nawet zadzwonić na policję - i hałasujesz nad sukinsynami. Jeden z nich wysiada. Dzieciak. Wredny gnojek. Pokazuje ci swój pistolecik. Na naboje. Nie wie, że gdyby przyszło co do czego, masz w domu więcej broni, niż mógłby sobie wyobrazić. Może jęgo

sposób zastraszania działa w mieście. Ale nie tutaj. Tu jest Alaska. Ostatnia granica. Ziemia ludzi wolnych i ojczyzna śmiałków.

Chłopak patrzy w górę i widzi samolot. Grozi ci pięścią. Machasz mu skrzydłem, żeby go wkurzyć jeszcze bardziej, a on podskakuje, góra-dół, dół-góra, jak jo-jo. Do zobaczenia, frajerzy.

Lecisz nad wodą najpierw na południowy zachód, później bierziesz kurs na południe. Zdaje się, że jeszcze będzie padać, ale uznajesz, że zdążysz wrócić, zanim zaczniesz lać. To naprawdę rzut beretem. Kiedy byłeś młody, pokonywałeś ten odcinek w środku zimowej nocy. Ale to było kiedyś. Teraz jest teraz. Czy tam z przodu to chmura, czy szczyt góry? Jakiś niewyraźny kształt. Jeżeli masz zginąć, rozpuść się. Jak mawiał twój ojciec, nikt nie dostaje nagrody za to, że żyje najdłużej.

JOEY BYŁ WŚCIEKŁY, kiedy zobaczył, jak samolot kiwa do niego skrzydłem. Wsiadł z samochodu i siarczyście zaklął. Stary przyk zwał. Dlaczego Joey był taki niedbały? Dlaczego nie wpadł na to, że Field spróbuje uciec? A powinien. Facet nie skulił się przed szeryfem. Joey chciał przestraszyć go pistoletem, ale też nie wyszło. Dziadek był albo ślepy, albo zbyt głupi, by pojąć, że on w razie potrzeby użyje broni. I jak gdyby nigdy nic odleciał. Co za odwaga! Joey chciałby przez pięć minut zostać z nim sam na sam, a wtedy pokazałby mu, co znaczy odwaga. Czy starszy obywatel nie zdaje sobie sprawy, że będzie musiał wrócić do domu? Oczywiście, Jenna mogła uciec, ale inni mają domy, o które się troszczą. Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.

Joey wskoczył do forda crown vic, którego wypożyczył z firmy taksówkarskiej, i zatrzasnął drzwi.

- To był on? - spytał Robert.

- Tak, pewnie zabierze ich w jakieś inne miejsce. Kiedy wróci, nie pójdziemy po szeryfa. Sami z nim pogadamy.

Obaj mężczyźni patrzyli przed siebie. Robert nie do końca rozumiał, co miały znaczyć słowa Joeya, ale postanowił się nie odzywać. Zauważył, że Joey jest niezwykle drażliwy. Roberta martwiła jego agresja, ale jeszcze nie panikował. Podejrzewał, że przemoc jest głównym sposobem działania takich facetów.

- Czy to ty w zeszłym roku wyciągnąłeś z sekty córkę Johna Wilsona? - spytał.

Chłopak spojrzał na męża Jenny. Zastanawiał się chwilę. Potwierdził.

- Trudno było?

- Chodzi ci o to, że było zamieszanie? Powiem tak: dobrym ludziom nie dzieje się krzywda.

Wysiadł z samochodu. Rozejrzał się po ulicy i podszedł do domu Fielda, a potem bez wysiłku, popychając tylko ramieniem, otworzył drzwi wejściowe. Zanim zniknął w środku, spojrzał jeszcze na Roberta i wzruszył ramionami.

Z WOLNA ZAPADAŁ ZMROK. W powietrzu unosił się zapach deszczu, który sprawiał, że Jenna denerwowała się lotem do Wrangell. Stała z Eddiem na przystani u stóp Klawock. Czekali przytuleni na przyłot Fielda.

- Powinien zaraz tutaj być, chyba że miał jakieś kłopoty - powiedział Eddie.

- Kłopoty?

- Z twoim mężem Rubenem.
- Robertem. Nie powiedział mu, że leci po nas?
- Nie wiem. Field ma smykałkę do efektów specjalnych. Jak go znam, pewnie opracował cały plan, żeby wydostać się incognito.

Jenna uśmiechnęła się do Eddiego i poczuła, że chce go pocałować. Zrobiła to, ale on odepchnął ją żartobliwie.

- Jenna, proszę cię, co powiedziałyby Rudolf?
- Robert. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal.
- Niezłe z ciebie ziółko.

Pocałowała go ponownie, tym razem jednak Eddie odwzajemnił pocałunek. Tulili się pod namiotem z chmur, kiedy z oddali dobiegł ich warkot samolotu. Niechętnie się rozdzielili, żeby przywitać Fielda. Samolot podskakiwał na wodzie, dopływając do przystani. Jenna, Eddie i Oscar wsiedli i od razu odlecieli. Daleko od Klawock. Wysoko w niebo.

Podróż nie trwała długo.

Na przystani we Wrangell Jenna i Eddie bardzo się zdziwili, że nie powitał ich Magnum. Tak Field nazywał prywatnego detektywa. Oboje natychmiast ruszyli do ciężarówki. Zaproponowali Fieldowi, że podwiozą go do domu, ale odmówił. Stwierdził, że woli samotne wycieczki. I też się zdumiał, że Robert i Magnum nie zauważyli jego ucieczki. Przecież przeleciał tuż nad nimi. Zachwycony swoją przebiegłością Field wołał sprawdzić, czy idioci wciąż sterczą pod jego domem.

Jenna i Eddie pojechali z Oscarem w swoją stronę. Chcieli wykonać kilka telefonów i zastanowić się nad następnym krokiem.

*

JOEY KAZAŁ ROBERTOWI CZEKAĆ w samochodzie. Chciał bez przeszkód zająć się zdobywaniem informacji. Wziął ręcznik z łazienki i zajął pozycję w kuchni. Wiedział, że Field po powrocie zechce wślizgnąć się do domu przez drzwi kuchenne. Zrobił to raz, zrobi i drugi. Typowa pomyłka. Weteran Joey wiedział, że pewne rzeczy należy robić tylko raz. Jeden jedyny. Oszukaj mnie raz, a wygrasz. Oszukaj mnie drugi raz, a przegrasz.

Usłyszał kroki na trawie szybciej, niż tego się spodziewał. Fielda nie było tylko półtorej godziny. To mało czasu, żeby wywieźć daleko Jennę i wrócić do Wrangell. Chyba że byli o wiele bliżej, niż sądził.

Klamka się poruszyła. Drzwi się uchyliły. Field chciał zapalić światło. Ale światła nie było. Joey wykręcił żarówkę. Field wszedł do ciemnego pomieszczenia, przystanął. Czekał pełen złych podejrzeń. Miał nadzieję, że wyczuje obecność intruza.

Ale intruz był bardzo szybki. Podszedł do Fielda i go uderzył.

Mężczyzna padł na kolana. Joey miał nadzieję, że nie trzasnął go zbyt mocno. Uderzył spodem dłoni, tak jak planował. Ale i tak roztrzaskał mu nos. Silniejszy cios by go zabił.

Field trzymał twarz w dłoniach. Jęczał z bólu. Po chwili jednak podniósł wzrok i wyprostował się, żeby zobaczyć, kto przed nim stoi. Uśmiechnięty Joey.

- Za to, że chciałeś być sprytniejszy ode mnie - powiedział. - A to, żebyś nie zabrudził podłogi. - Podał Fieldowi ręcznik.

Joey stanął na krześle i wkręcił żarówkę. W pomieszczeniu nagle zrobiło się jasno. Zbyt jasno dla Fielda, który ledwie widział przez łązy. Beżowy ręcznik był już cały mokry.

Poczuł się stary i słaby. Co teraz zrobi napastnik? Ile bólu mu zada? Field pomyślał, że ampułka z cyjankiem ukryta w zębie nie byłaby złym rozwiązaniem.

Joey podniósł Fielda. Pomógł mu usiąść na krześle w kuchni.

- Nie chcę cię krzywdzić, dziadku. Powiedz, gdzie oni są, to sobie pójdę.

Field odsunął ręcznik od twarzy. Krew ciągle płynęła, a on wyszczerzył zęby.

- Chłopcze, jeśli nie jestem sprytniejszy od ciebie, muszę być prawdziwym idiotą - powiedział ze śmiechem.

- Jasne.

Joey zabrał Fieldowi ręcznik i położył go na stole. Następnie wyjął kajdanki z kieszeni i skuł ręce Fielda z tyłu za krzesłem. Podniósł ramię do ciosu.

- To może trochę zabołec - ostrzegł.

- Nic nie powiem.

- Oczywiście, że powiesz.

Uderzenie było szybkie, silne i pod odpowiednim kątem. Joey trafił w żebra z lewej strony, tak że obaj usłyszeli chrupnięcie. Field jęknął jeszcze głośniejsze. Czuł, jak uchodzi z niego powietrze.

- Auć - skomentował sarkastycznie Joey. - Chyba złamałeś sobie kilka żeber.

Field walczył, żeby odzyskać oddech. Joey stanął z drugiej strony.

- Powiem.

- Dobry chłopczyk - mruknął Joey. - Gdzie oni są?

Mężczyzna zaśmiał się i skrzywił z bólu.

- Są u Eddiego, idioto. Przywiozłem ich do domu.

*

STARUSZEK NIE KLAMAŁ. Po domu Eddiego krzątała się na oczach wszystkich szczęśliwa rodzina: mężczyzna, kobieta i pies. Joey i Robert stali przez kilka minut na zewnątrz, po drugiej stronie ulicy, i patrzyli na nich przez okno. Kochaś nie nosił w domu podkoszulka. Jenna siedziała na kanapie i spoglądała przed siebie. Joey przedstawił Robertowi bardzo wyraźny obraz tych dwojga, rzeczywisty i namacalny. A teraz rywal nie był już kimś obcym. Miał imię i twarz. Robert na zawsze je zapamięta.

Czuł wściekłą zazdrość. A Joey jeszcze go zachęcał, żeby stanął do konfrontacji z niewierną żoną i z jej kochankiem.

Kiedy Robert podchodził do drzwi, czuł serce w gardle. Był mokry od potu. Zapukał w szybę w drzwiach i zobaczył, że Jenna i ten facet szybko podnoszą wzrok. Zamarli.

Eddie otworzył. Zobaczył ogień w oczach męża Jenny i uznał, że lepiej będzie się wycofać. Stanął przy stole w jadalni.

Robert był czerwony. Cały się trząsał. Krew pulsowała w jego uszach tak głośno, że gdyby się odezwał, nie usłyszałby sam siebie. Ale nie musiał nic mówić.

Jenna i Eddie patrzyli na niego. I czekali.

- Dlaczego? - zapytał tylko.

Jenna nie mogła uwierzyć, że Robert wygląda tak fatalnie. Pomięta koszula, potargane włosy, chrapliwy oddech. Nie przypominał dawnego siebie. Posiwiął, jego twarz wydawała się poszarzała. A może chodziło o to, że nigdy nie wyobrażała go sobie w domu Eddiego. Obok Eddiego - szczupłego, półnagięgo mężczyzny. Ale Jenna wciąż pamiętała, dlaczego zwróciła uwagę na Roberta. Wciąż to w nim widziała. Niewinność kryjącą się pod aparycją biurokraty.

- Dlaczego?

Wpadł, żeby zabić, a zapytał: dlaczego?

- Dlaczego raczej mnie nie zastrzeliłaś? - zapytał Jennę. - Dlaczego to była tajemnica? Dlaczego musiałem dowiedzieć się od kogoś innego?

Robert rozwinął kartkę z faksu i położył ją na stoliku.

Kiedy Joey zrobił to zdjęcie, między Eddiem i Jenną nic jeszcze się nie wydarzyło. Wszystko stało się dopiero potem, kiedy Robert tu jechał.

Dlaczego?

Jenna patrzyła na zdjęcie. Nie wzięła go w rękę. Ona i Eddie w łóżku. Nie miała nic na swoją obronę. Obiecywali sobie z Robertem wierność. A gdyby okazała się dla nich zbyt trudna, mieli rozwiązać problem uczciwie i szczerze. Zanim zaczęli myśleć o ślubie, umówili się, że gdyby zniknęło pożądanie, gdyby pojawił się ktoś inny, powiedzą sobie o wszystkim. Jenna nie dotrzymała słowa.

Popatrzyła na Eddiego, jakby szukała pomocy. Ten włożył koszulkę.

Robert zauważył spojrzenie Jenny i także na niego popatrzył.

- Dlaczego? - zapytał Eddiego. - Nie masz honoru?

Eddie wzruszył ramionami.

- O czym ty mówisz?

- O tym, że pieprzysz moją żonę! - krzyknął Robert.

Zmieszany Eddie popatrzył na Roberta.

- Nigdy nie spałem z twoją żoną - powiedział.

Robert nie spodziewał się zaprzeczenia. Oczekiwał łez, wściekłości, walki, przedstawienia. Porwał ze stolika zdjęcie i rzucił nim w Eddiego.

- A to? Co to, do cholery, jest?

Eddie przyjrzał się fotografii i wzruszył ramionami.

- Kto je zrobił?
- Zaprzeczasz? To jest dowód, że byliście razem w łóżku! Eddie się roześmiał.

- Tak. Racja. Chcesz wiedzieć, co się wydarzyło? Kilka dni temu w okolicy utonął pewien dzieciak. Trwały całonocne poszukiwania. Wszyscy przeczesywali zatokę. To Jennę tak zasmuciło, że nie mogła spać sama w pokoju. Nie wiem, czy dasz radę to zobaczyć na tej kiepskiej fotografii, ale oboje byliśmy kompletnie ubrani.

Robert wyrwał zdjęcie Eddiemu i przyjrzał mu się dokładnie.

- Nie wierzę ci.
- Słuchaj, kolego, Jenna powiedziała mi, że macie problemy, i ja to szanuję. Wynająłem jej pokój i to wszystko. Musiała się gdzieś zatrzymać z psem. Powiedziałem więc, że może u mnie. Przydadzą mi się dodatkowe pieniądze, sam widzisz. - Wskazał na chore ramię.
- Ale jeśli uważasz, że spaliśmy ze sobą, i tylko o to ci chodzi, to piekielnie się mylisz. Nie jestem zainteresowany twoją żoną. Nie jest w moim typie. Szczerze mówiąc, obydwójce jesteście dla mnie pieprzonymi mieszcuchami.

Słowa Eddiego wbijały się w pierś Jenny jak lodowate ostrza. Co on mówi? Kłamie. Wiedziała, że kłamie. Kocha ją. Dlaczego to robi?

Ale po chwili zrozumiała. Robert opuścił ramiona i zmiął zdjęcie w kuleczkę. Wpatrywał się w podłogę, oddychał ciężko, trwał w bezruchu. Eddie przygryzał wargę i gapił się na Roberta. Lękał się spojrzeć na Jennę. Nie mógł na nią spojrzeć. Wiedział, że tego nie zniesie.

Eddie znał prawdę. Dlatego to wszystko powiedział. Doskonale rozumiał, że to, czy spali ze sobą, czy nie, nie ma znaczenia. Teraz należało rozwiązać inne kwestie.

Eddie poklepał Roberta po ramieniu.

- Słuchaj, kolego, pójdę na spacer, a wy sobie porozmawiajcie. Twoja żona mnie nie interesuje, naprawdę. Ani trochę.

Nie patrząc na Jennę, ruszył w stronę drzwi.

- Chodź, Oscar! - zawołał.

Pies podbiegł do niego. Eddie wziął go na smycz i wyszedł na zewnątrz, zostawiając Roberta i Jennę samych w ciemnym domu.

Robert odwrócił się do niej i uniósł ręce, jakby błagał o wyjaśnienie.

- Nie wiem, co się stało - powiedział cicho. - Nie wiem, co poszło nie tak.

Jenna nie patrzyła w oczy Roberta, ale na jego dłonie. Teatralny gest Roberta sprawił, że poczuła jeszcze większą przepaść między nimi.

Ona wiedziała, co poszło nie tak. Wiedziała, co się stało.

TO BYŁ ZŁY DZIEŃ OD POCZĄTKU DO KOŃCA. Kiedy Jenna wstała, Robert już wyszedł. Dom wydawał się wielki i pusty. Brudny zeszlony śnieg na ulicach spowodował, że jakaś ciężarówka uderzyła w drzewo, które spadło na przewody energetyczne i odcięło kabel telewizyjny. Jenna nie mogła obejrzeć porannego talk-show.

Potem zadzwoniła pani Osborne z dziecięcych warsztatów teatralnych i zapytała, czy Bobby zamierza wrócić na zajęcia w semestrze wiosennym. Tak świetnie bawił się w zeszłym roku. Jenna powiedziała, że Bobby nie żyje, więc raczej nie skorzysta z propozycji, ale gdyby jakimś cudem zmienił zdanie, pani Osborne dowie się o tym pierwsza.

Była zbyt przygnębiona, żeby iść na spotkanie z psychiatrą. Odwołała sesję, tłumacząc się chorobą. Ból zatok, pękająca głowa uniemożliwiały myślenie. Jenna przez cały ranek nie zdjęła piżamy i aż do wczesnego popołudnia czuła się brudna i brzydka. W końcu postanowiła zrobić ze sobą porządek. Liczyła, że to poprawi jej samopoczucie. Kiedy Robert wróci do domu, może wybiorą się na obiad.

Wzięła długą gorącą kąpiel. Pomyślała, że ma ochotę na lampkę wina. I na valium.

Wino, valium i kąpiel okazały się skuteczne. Jenna poczuła się tysiąc razy lepiej. Około piętnastej pomyślała, że zrobi sobie paznokcie. Wyglądały potwornie. Wypiła jeszcze odrobinę wina. Tylko odrobinę, bo nie chciała się upić. Nadmiar alkoholu powodował przygnębienie i utrudniał malowanie paznokci. Zdecydowanie. Chwilę później włączono telewizję, akurat na popołudniowy talk-show. Nie było tak dobre, jak poranne, ale ostatecznie...

Kiedy Jenna skończyła manikiur, poczuła się dwa tysiące razy lepiej. Chciała za wszelką ceną utrzymać dobre samopoczucie, więc postanowiła się ubrać. Może choć odrobinę zachwyci Roberta? Może zadowoli go tak, jak lubi najbardziej? Kochali się bardzo dawno temu. Czuła, że w nocy Robert jest niespokojny i wciąż dotyka jej piersi.

Włożyła więc seksowną bieliznę, czarny stanik *push-up*, pas do pończoch i pończochy ze szwem, a także czarną sukienkę odsłaniającą dekolt i uda. Wyglądała bardzo ładnie. Stała przed lustrem z włosami zwiniętymi na czubku głowy. Chyba trochę przytyła. Przestała ćwiczyć, chociaż czasem tańczyła przed telewizorem. Będzie musiała wrócić do prawdziwych treningów.

Umalaowała usta jasnoczerwoną szminką, której nie używała od lat. Intensywny kolor na bladych wargach wyglądał bardzo dobrze. A teraz buty. Chciała znaleźć czarne czółenka, od których przy chodzeniu bolały ją stopy. Ale co z tego. Wyglądała w nich świetnie. Robert też uwielbiał te buty. I tak nigdzie się nie wybiorą. Jednak zupełnie nie pamiętała, gdzie je schowała. Może w szafie? Przekładała w niej wszystko tyle razy, wiele rzeczy wyrzuciła, wiele zginęło.

Były tam, na górze, w czarnym pudełku. Jenna stanęła na krześle, sięgnęła po buty, ale... Zaraz za nimi leżały jakieś papiery, o których nie pamiętała. Nie wiedziała, skąd się tam wzięły. Wydawało się jej, że przy ostatnich porządkach w szafie nie zauważyła żadnych dokumentów. Wyciągnęła papiery. Zeszła z krzesła i włożyła buty. Pasowały.

Dochodziła osiemnasta. Jenna po raz pierwszy od dawna zadbała o siebie. Poczuała się teraz sześć tysięcy razy lepiej. I była naprawdę zadowolona. Nadszedł czas, żeby otrząsnąć się, żeby zdjąć czarną pelerynę, którą nosiła od sześciu miesięcy. Od sześciu? Zaraz, zaraz. Sierpień, wrzesień, październik, listopad, grudzień, styczeń, luty. Od siedmiu. Siedem miesięcy istnego piekła. Pragnęła odsunąć to na bok i znowu być sobą. Jeszcze łyczek wina przed powrotem Roberta. Żeby wzmocnić dobre, popołudniowe samopoczucie. Gdyby Robert zastał Jennę pijącą w dzień, zrobiłby jej awanturę. Wciąż karciał ją za picie. Ale to tylko wino. Nic mocnego. Delikatny napój w kolorze późnego, słonecznego popołudnia. Naprawdę nieszkodliwy.

Jenna ruszyła do kuchni z kieliszkiem i ze stosem papierów, które znalazła. Zajrzy do nich i odłoży je na miejsce. Dołała sobie wina szczerzej niż zwykle, ale kiedy chciała odstawić butelkę, pomyślała, że nie. Należy jej się kolejny mały bonus. Ostatni.

Usiadła przy stole, otworzyła koperty i zaczęła przeglądać ich zawartość. Większość z banku, zaadresowana do Roberta. Bank First Interstate. To dziwne. To nie ich bank. Ostatnia koperta. Tylko logo. Nic poza tym. RGB.

Pierwsze zestawienie dotyczyło sierpnia i wynosiło siedemdziesiąt dwa tysiące dolarów. Miesięczne sumy rosły ze względu na odsetki, a ostatnia za styczeń wynosiła siedemdziesiąt trzy tysiące pięćset dwanaście dolarów i pięćdziesiąt pięć centów. Siedem trzy pięć jeden dwa pięć pięć. Niezła sumka. Skąd Robert ma takie pieniądze w banku?

Zawartość koperty RGB wszystko wyjaśniała. Uгода. Stąd taka kasa. Robert zawarł ugodę z ludźmi z kurortu i nigdy jej o tym nie powiedział. List był pełen najrozmaitszych prawniczych sformułowań dotyczących odszkodowania i odpowiedzialności. Zawierał także wzmiankę o zachowaniu wszystkiego w tajemnicy. Kiedy to zostało podpisane? Trzydziestego lipca. Dokładnie dwa tygodnie po zatonięciu Bobby ego. Jego ciało ledwie wystygło.

Cóż, to zasługiwało na kolejną lampkę wina. Zasady zasadami, ale czasem sprawy stają się mniej oczywiste. Butelka wina zrobiła się w połowie pusta. „Kiedy ją otworzyłam? Dzisiaj? Chyba nie wypięłam całej w ciągu jednego dnia. A jeśli? To fatalnie. Zresztą co za różnica. Dokończę ją. I sprawdzę, czy jest więcej. Musi być więcej. Zawsze jest więcej. Nie, nie pod zlewem, bo tam Robert sprawdza. Są lepsze miejsca niż za pudełkiem z butami. Jeśli chcesz coś schować, lepiej schowaj to dobrze gdzieś tutaj”.

Robert chyba nie wiedział o sekretnych drzwiach. Miejsce na broń. Powiedzieli jej, że w dawnych czasach ludzie chowali broń w domach. W szafie w przedpokoju jest pusta ściana z małymi drzwiczkami. Było w niej wystarczająco dużo miejsca na kilka pistoletów.

Albo na kilka butelek wina. Robert na pewno o niej nie wiedział. Gdyby wiedział, schowałby dokumenty właśnie tam, a nie za pudełkiem po butach. A może chciał, żeby Jenna znalazła je w szafie? Żeby niczego nie wyjaśniać. „Sądził pewnie - pomyślała Jenna - że minie dużo czasu, zanim znowu włożę czółenka, zanim wyjdziemy do normalnej restauracji, zamiast zamawiać imbirowego kurczaka z chińskiej knajpki i rozmokłe pierożki, które smakują jak małe gó-wienka. Gdyby w skrytce był pistolet, ktoś mógłby go użyć. To oczywiste. Strzelba pojawiająca się w akcie pierwszym musi wystrzelić w akcie piątym. Albo w czwartym. A może w trzecim? Nie, w piątym. Siedem trzy pięć jeden dwa pięć pięć. Weź korkociąg i otwórz natychmiast butelkę. Usiądź w przedpokoju, wypij kieliszek albo dwa. Skończ, zanim wejdzie Robert w szarym garniturze i w czerwonym krawacie. Dzień szarego garnituru. Dzięki ci, Boże, za telewizję.

Robert najpierw zauważył wyciągi z banku oraz pustą butelkę po winie. Jennę zastał siedzącą na podłodze w korytarzu, ubraną w czarną sukienkę i pijącą drugą butelkę wina.

- Co ty robisz?

Jenna przesunęła głową po ścianie, aż zobaczyła Roberta.

- Upijam się.

- Dlaczego?

Złapał ją za rękę. Wyrwała się brutalnie. Potrąciła wino, które wylało się na podłogę. Robert podniósł butelkę.

- Ogarnij się - powiedział, ściskając Jennę za ramię.

Znów mu się wyrwała.

- Nie dotykaj mnie! - krzyczała. - Nie dotykaj mnie!

Krzyczała tak, dopóki Robert nie zwolnił uścisku. Popatrzył na Jennę jak na załosną pijaczkę. Widział jej bieliznę, bo spódnica się podwinęła.

- Zabieram cię do szpitala...
- Siedem trzy jeden dwa pięć pięć.
- ...do kliniki, która cię wyleczy. Jesteś alkoholiczką. Potrzebujesz pomocy.

- Siedem trzy jeden dwa pięć pięć.

- Co to, do cholery, jest?

Popatrzyła na niego z nienawiścią i wycedziła przez zęby:

- Tyle jest dla ciebie wart twój syn.

Widziała, jaki ból sprawiają Robertowi jej słowa. Jakby dostał cios prosto w żołądek. Skrzywił się, odwrócił i odszedł. Po chwili wrócił.

- Chciałem ci powiedzieć, kiedy będziesz gotowa.

- Jestem gotowa. Powiedz mi.

Odwrócił się i znowu odszedł.

- Powiedz mi! - krzyknęła, ale on zatrzymał się i nie patrzył na żonę.

- Przecież już wiesz, prawda? Coś jeszcze?

- Powiedz, jak się czujesz, podpisując to dwa tygodnie po śmierci dziecka. Dobrze?

Robert wciąż nie patrzył na Jennę. Nie mógł. Potarł twarz i poluzował krawat.

- Oczywiście, że nie.

- Więc dlaczego podpisałeś ten papier? Dlaczego wziąłeś pieniądze?

- Nie można było zrobić nic innego.

Dopiero teraz się odwrócił i spojrzał na nią. W korytarzu było ciemno. Jenna nie włączyła światła. Dwa ludzkie cienie o białych twarzach.

- Dali mi pieniądze, a ja nie wiedziałem, co zrobić. Nie chciałem z tobą o tym rozmawiać, ponieważ byłaś zrozpaczona. Wiedziałem, że nie mogę ich pozwać...

- Dlaczego nie?

- To nie była ich wina. Nie mieliśmy żadnych podstaw do pozwu. Steve zagroził, że jeżeli spróbujemy, będą walczyć, bez skrpułów. Ty... Ty chciałaś zeznawać?

- Steve...

- Powiedział, że nie wygramy, że będzie cię bolało jeszcze bardziej i że będzie to nas kosztowało dużo pieniędzy.

- Nie wygralibyśmy, bo co? Bo to była moja wina.

- Nie...

- Ponieważ to nie była ich wina, tylko moja.

- To się po prostu stało.

- A ty poszedłeś z nimi na ugodę.

- To był wypadek.

- Wziąłeś pieniądze.

- A co miałem zrobić?

- Bo ja zabiłam Bobby'ego.

W końcu nastąpiła zupełna cisza. Prawie zupełna, jeśli nie liczyć łkania Jenny w ciemności i skrzypienia desek podłogowych, na których Robert przestępował z nogi na nogę.

Podszedł wreszcie do żony, uklęknął i pochylił głowę. Pragnął jej dotknąć. Pragnął, żeby ona dotknęła jego. Pragnął ją kochać. I pragnął, żeby ona kochała jego. Ale miłości już nie było. Radość również zniknęła. Te uczucia odeszły daleko, za nieznany horyzont.

- Nie zabiłaś Bobby'ego. To był wypadek.

Pomógł żonie wstać. Przez chwilę kołysał ją w ramionach.

- Chodźmy na górę. Prześpisz się trochę. Zamówię coś do jedzenia.

Zaprowadził Jennę do pokoju, rozebrał, położył i otulił kołdrą, jak dziecko. Jak własne dziecko, które jest chore. Przysiadł na brzegu łóżka, pogłaskał żonę po czole i przyglądał się, jak oddycha z rozchylonymi ustami.

Kiedyś bardzo ją kochał. Ale od śmierci Bobby'ego stawała się coraz chłodniejsza, coraz zimniejsza. Wewnętrznie martwa. Robert zapomniał, jaka była kiedyś, jaka była naprawdę. Pocałował Jennę delikatnie i zostawił drzwi otwarte. Chciał słyszeć, kiedy się obudzi. Zszedł na parter i zamówił chińskie jedzenie.

Opróżnił nowo otwartą butelkę wina i zaklął. Dźwiganie takiego brzemienia było nie w porządku. I on, i Jenna potrzebowali czegoś dobrego w życiu. Zło, które się wydarzyło, naruszyło równowagę w ich życiu, zdruzgotało ich.

Kiedy jedzenie wreszcie dotarło, Robert ustawił na tacy kurczaka i pierożki, które tak lubiła Jenna, i zaniósł wszystko na górę. Znalazł żonę na podłodze w łazience. Była nieprzytomna, przedawkowała pigułki nasenne.

Cudem ją odratowali.

KIEDY EDDIE ZOBACZYŁ JOEYA siedzącego na falochronie po drugiej stronie ulicy, miał ochotę go walnąć. Chwilę wcześniej chciał mu powiedzieć, jakim jest śmieciem i miernotą. Podeszedł do sukinsyna i stanął na tyle blisko, że widział jego szczerzą twarz wykrzywioną w uśmiechu.

- Jesteś dupkiem - zaczął Eddie.

Joey się zaśmiał.

- To moja praca. Nie przyjechałem tu na wakacje. Wynajęto mnie. Nie strzelaj do postańca.

- Co to za bzdura z tym zdjęciem? Nie spaliśmy ze sobą.

- To tylko szczegół - powiedział Joey po prostu i zapalił papierosa.

- Nigdy ze sobą nie spaliśmy.

- Tak, jasne. Żartujesz sobie? Może nie mam zdjęcia was w akcji, ale wiem, że do niej doszło.

- Skąd ta pewność?

- Kolego, od dawna siedzę w tym biznesie. Poznaję to po twoich oczach. Poza tym musiałbyś być pedziem, żeby nie zaliczyć takiej laseczki. Cholera, gdyby znalazła się w moim łóżku, rznąłbym ją

na okrągło i zaręczam ci, błagałaby o więcej.

- Coś mi mówi, że błagałaby, abys przestał.

- Uwielbiam, kiedy błagają, żebym przestał. Wtedy pcham mocniej.

Eddie przewrócił oczami i zrobił krok w stronę wody. Nie mógł znieść tego idioty. Joey znowu się zaśmiał.

- Przepraszam, nie chciałem cię urazić.

Eddie popatrzył na niego.

- Nie uraziłeś mnie. Pomyślałem sobie tylko, że jesteś żaloszny. I tyle.

- Ja jestem żaloszny? O, to nieźle. Zastanówmy się, mamy przygnębioną żonę, która nie wie, jak uciec od męża. Jest też zazdrosny mąż, który płaci prywatnemu detektywowi kupę forsy, żeby wysłodził jego żonę, a potem leci na Alaskę, aby wszystko sobie z nią wyjaśnić. No i jesteś ty. Niezły kasek. Prowincjonalny ogier spotyka damulkę z miasta, zakochuje się w niej i desperacko chce ją zatrzymać przy sobie. Ale wie, że ona jest z innego świata, że nie jest dla niego. Ogier jednak się nie poddaje. Widzi promyczek nadziei, bo jego miłość jest wielka.

Joey wyrzucił papierosa w stronę wody.

- Powiem ci, przyjacielu, jak to działa. Ona nigdy nie będzie twoja. Nigdy. Wy, biedni idioci, zawsze kończycie sami w deszczu na ulicy. Takie są prawa natury, zapamiętaj.

- Serio? A może prawa natury nie dotyczą Alaski?

Joey zaśmiał się i potrząsnął głową.

- Może.

Eddie podniósł patyk i złamał go na pół. A potem każdą połówkę łamał na pół i tak dalej.

- Co zamierzasz? - spytał.

- Ja? Wezmę swój czek, wrócę do Seattle, będę się z kimś pieprzył, a potem pewnie znowu gdzieś wyruszę, aby tropić popaprańców.

- Wszystko sobie zaplanowałaś?

- Nie moja wina, że tak to funkcjonuje. Działam zgodnie z regułami. A one są proste. Sprowadzają się do tego, że kiedy nadarza się okazja, wszyscy pieprzą wszystkich.

- To naprawdę zdrowe podejście do życia.

- Pozwala opłacić rachunki.

Eddie odwrócił się w stronę domu i zobaczył w środku Jennę i Roberta. Ona wciąż siedziała na kanapie i nie wyglądała na szczęśliwą. Robert mówił coś do niej, niespokojnie chodząc z kąta w kąt, i wciąż łapał się za głowę.

- Ta rana mnie dobija - użalał się nad sobą Joey, odwijając bandaż. - Powinno się przebadać tego psa, czy nie ma wścieklizny.

- Nie ma - odparł Eddie, nie patrząc na niego.

Wciąż przyglądał się Jennie i Robertowi. Chciał wiedzieć, co się dzieje. O czym tak długo dyskutują? Ale wyjaśnianie nieporozumień małżeńskich musi potrwać.

- Wiesz, jak badają, czy psy mają wściekliznę? Odcinają im głowy - powiedział znieczeka Joey.

Eddie popatrzył na Oscara, który leżał obok niego przy falochronie.

- Ten pies nie ma wścieklizny - powtórzył.

- Skąd to wiesz?

- Bo to nie jest pies. To duch opiekuńczy.

Joey uniósł brwi. To było coś nowego. Spodobało mu się.

- Duch opiekuńczy? Jakiego rodzaju?

- Nie wiem. Przysłał go Kruk, żeby chronił Jennę przed kusztą.

- Słucham? Kruk? Kuszta? Opowiedz mi więcej, błagam. Zamieniam się w słuch.

Eddie nie miał czasu na wyjaśnienia, bo martwił się o Jennę. Chciał usłyszeć jej rozmowę z mężem. Co zdecyduje? Pewnie wyjedzie. Ale może nie?

- Jaki to rodzaj ducha opiekuńczego? - nalegał Joey.

- Nie wiem. Szaman twierdzi, że to duch. Ja myślę, że pies. A ty jak myślisz?

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać - powiedział Joey.

- Chcesz, żebym to sprawdził?

Zanim Eddie zdążył wypowiedzieć zniecierpliwione „nie wiem”, nastąpił wystrzał. Głośny i głuchy. Odbił się echem od wody. W tym samym momencie rozległo się wycie Oscara. Eddie najpierw spojrział na Joeya trzymającego pistolet, a potem na zwierzę, z którego boku popłynęła krew. Pies usiłował się podnieść, ale był za słaby. Błagalnie patrzył na przerażonego Eddiego.

Na dźwięk wystrzału z domu wybiegli Jenna i Robert. Jenna krzyknęła, kiedy zobaczyła, że Oscar jest ranny.

- Coś ty zrobił?! - krzyczała.

- Duch opiekuńczy? Bzdura - szydził Joey, odkładając broń. - Nie umierałby teraz, gdyby był duchem opiekuńczym.

- Coś ty zrobił?! - wrzasnęła znowu, chociaż wiedziała, że nie ma wyjaśnienia dla tego, co się stało. Padła na kolana obok psa, położyła ręce na jego ranie i próbowała zatamować krew. - Coś ty zrobił?!

- Co z tobą, do cholery? - krzyczał Eddie do Joeya.

Ruszył w jego kierunku, ale Robert go powstrzymał. Joey pogroził Eddiemu palcem.

- Ostrożnie. Mam broń.

Eddie szarpał się z Robertem.

- Puszczaj! Co ty sobie myślałeś, sprowadzając tu tego psychopate?! Wynocha stąd!

Jenna tuliła Oscara. Próbowwała go podnieść. Oscar uniósł łeb i popatrzył na Jennę ślepiami, w których kryło się błaganie o pomoc.

- Pomóżcie mi! - krzyknęła Jenna. - Pomóżcie. Musimy go zabrać do lekarza.

Chciała sama podnieść psa i zanieść go do samochodu, ale był zbyt ciężki. Widok Jenny walczącej o życie zwierzęcia wstrząsnął Robertem. Pragnął, żeby przestała. Czy nie widzi, że psa nie da się uratować?

- Ktoś musi coś zrobić! Nie macie serca? Potrzebujemy lekarza. Dlaczego nie pomagacie?!

Próbowwała znowu podnieść Oscara, ale upadła. Robert podszedł do niej. Chciał ją podtrzymać.

- Jenna, proszę - powiedział. - Proszę, przestań.

- Zostaw mnie! - rzuciła się na niego, szarpiąc go i uderzając w twarz. - Odejdź! Dlaczego tutaj jesteś? Po co przyjechałeś? Nie wróć z tobą, nigdy! Zostaw mnie!

Płakała. Płakała i tuliła Oscara, który oddychał bardzo płytko. Ostatnie tchnienia przed śmiercią. Robert nie wiedział, co robić. Rozejrzał się, ale Eddiego nie było. Joey odszedł kawałek, jednak wciąż był dosyć blisko. Co się stało? Dlaczego Joey strzelił do psa?

Eddie wrócił z kocem. Rozłożył go na ziemi.

- Co robisz? - spytała Jenna.

- Zabieramy go do lekarza - powiedział.

Jenna i Eddie położyli psa na kocu. Razem zanieśli bezwładne ciało do ciężarówki.

- Do rana masz wynieść się z tego miasta. Inaczej dorwę cię i zabiję - rzucił Eddie do Joeya.

Ten zrobił przerażoną minę.

- O, jaki twardziel.
- Wypatroszę cię, gnoju.
- Tak jest! - zasalutował Joey. - Wezmę to pod uwagę.

Eddie już ruszał, gdy chłopak wyjął z kieszeni mały srebrny kluczyk.

- Może ci się przydać. Myślę, że twój przyjaciel, staruszek, może tego szukać.

Eddie wziął kluczyk. Spojrzał na Joeya z taką furią, że ten trochę się zaniepokoił. Zdecydował, że rano odleci. Ale najpierw chyba pokręci się jeszcze po okolicy i zrobi kilka zdjęć.

Eddie wiedział, że Oscarowi nikt już nie pomoże, ale musiał być przy Jennie. Najgorsza jest bierność. I bezsilność. Przyglądanie się śmierci, która jest coraz bliżej, a której nie można powstrzymać. Eddie chciał razem z Jenną przeprowadzić Oscara na drugą stronę. Nic więcej nie mógł zrobić. Nic.

Naciskał dzwonek, aż w domu zapaliło się światło. Potem wrócił do samochodu. Razem z Jenną zaniósł ciało Oscara pod drzwi. Doktor Lombardi, który zawsze wcześniej kładł się spać, otworzył drzwi, ubrany w dżinsy i pastelową górę od pizamy. Nie podobało mu się, że ktoś wyrywa go ze snu.

We Wrangell nie było weterynarza. Był jeden w Ketchikan. Przyjeżdżał do miasta co drugi tydzień i odbywał wizyty na wezwanie, ale to wszystko. Doktor Lombardi, młody mężczyzna, był internistą. Kilka lat wcześniej przeprowadził się tutaj ze Seattle. Dobrze wiedział, że w miasteczku wielkości Wrangell będzie lekarzem od wszystkiego. Weterynarzem również. Czasem jednak miał nadzieję, że ktoś kiedyś przyprowadzi do niego zwierzę, któremu zdoła

pomóc, a nie takie, które będzie musiał uśpić.

Kiedy Jenna i Eddie podeszli z zakrwawionym kocem, spojrzali na nich z obawą w oczach.

- Co się stało?
- Postrzelony pies - powiedział Eddie. - Może być za późno.

Jenna i Eddie ruszyli za doktorem przez poczekalnię do wydzielonego z części domu gabinetu. Chłopak położył Oscara na stole, a doktor odsłonił koc.

- O Boże - powiedział. Przyglądał się ranie postrzałowej i kręcił głową.

Popatrzył w oczy Oscara i poświecił latarką.

- Jeszcze się trzyma, ale...
- Uratuje go pan? - zapytała Jenna.
- Obawiam się, że nie. - Przyłożył palce do rany i ją zbadał.

Kiedy skończył, miał dłoń pokrytą krwią i opiłkami metalu.

- Na pewno nie. Ta kula to „zabójca glin”.
- Co to takiego?
- Kula ze specjalną powłoką, dzięki której może przejść przez kamizelkę kuloodporną. Ten egzemplarz akurat jest domowej roboty: gdy wnika w ciało, natychmiast pęcznieje, a potem eksploduje i rozszarpuje mięśnie i nerwy. Powoduje silne krwawienie. Nawet jeśli taka kula nie trafi w ważny organ, rana może być śmiertelna.

Doktor Lombardi delikatnie pogłaskał psa. Okazywał zwierzęciu troskę.

- Chciałbym dać mu zastrzyk - powiedział, patrząc na Eddiego.
- Nie ma sensu skazywać go na cierpienia.

Eddie spojrzał na Jennę. Wiedziała, co to oznacza. Uspią psa, żeby nie czuł dłużej bólu. Zamknęła oczy i pokiwała głową.

Kiedy było już po wszystkim, Jenna czuła się otepiała, tak jak po śmierci Bobby'ego. Eddie odprowadził ją do poczekalni, a doktor Lombardi usiadł za biurkiem i wyciągnął kartkę, którą następnie włożył do maszyny do pisania.

- Jestem jedynym współczesnym facetem bez komputera - zażartował. - Co chcecie zrobić z ciałem?

- Nie wiem.

- Przy lotnisku jest cmentarz dla zwierząt. Zarządzają nim skauci. Możecie go tam pochować za dwadzieścia dolarów.

- Dobrze - powiedziała Jenna. - Może tak właśnie zrobimy.

Doktor Lombardi odwrócił się do maszyny.

- Jaki napis miałby widnieć na nagrobku?

Jenna była zagubiona. Nagrobek? Jaki napis?

- Myślę, że po prostu Oscar.

Doktor Lombardi to zanotował. Wyciągnął kartkę z maszyny i położył ją na biurku.

- Czy to możliwe, żeby na nagrobku znalazła się mała owieczka? - zapytała Jenna i natychmiast poczuła się głupio.

Doktor Lombardi się uśmiechnął.

- Obawiam się, że to nie będzie prawdziwy nagrobek. Skauci zbijają gwoździami kilka desek i piszą imię farbą.

Jenna zaśmiała się i pociągnęła nosem.

- Nie wiem, dlaczego o to zapytałam.

Doktor Lombardi pokiwał głową i podał Jennie rachunek.

- Przyjmuję karty kredytowe, czeki i gotówkę.

Małe, codzienne rzeczy czynią śmierć równie małą i codzienną. Wszystko, co żyje, kiedyś musi umrzeć. Ale nawet po śmierci wymaga opieki. Jenna poczuła, że śmierć Oscara absurdalnie przywróciła ją życiu. Pogrzebowy biznes: załatwiamy, płacimy, wychodzimy. Ziemia, deski, imię na nagrobku, kilka łez. „Nie - pomyślała Jenna - to nie jest bezduszne. To jest naturalne”.

Kiedy odjechali, Eddie przypomniał sobie o srebrnym kluczyku, który miał w kieszeni. Stwierdził, że powinni zajrzeć do Fielda i sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku. Zatrzymali się przed ciemnym domem. Eddie zaczął się martwić. Drzwi uchylone, ciemno w środku, dom jakby pusty.

Jenna otworzyła drzwi. Eddie włączył światło w korytarzu.

- Hej - dobiegł ich głos z kuchni.

Przeszli przez przedpokój, włączyli światło i znaleźli Fielda, skutego kajdankami i śmiejącego się do nich. Krew pobrudziła całe jego ubranie.

- Pomyślałem, że całkiem o mnie zapomnieliście.

Eddie bez słowa odpiął Fielda i pomógł mu się umyć. Field przez ten cały czas gadał i wypytywał Jennę, czy ze złamanym nosem jest atrakcyjniejszy.

- Chyba wołałam poprzednią wersję - odparła Jenna.

- Kiedy opuchlizna zejdzie, będzie dobrze.

Kategorycznie odmówił wizyty w szpitalu. Eddie jednak się uparł - żebra kumpla wymagały kontroli. W końcu stary skapitulował.

Dopiero kiedy zabandażowany i na tabletkach przeciwbólowych wrócił z Eddiem i Jenna do domu, dowiedział się o Oscarze. Z niedowierzaniem pokręcił głową.

- To podłość!

- Zadzwoń do szeryfa. Powinien aresztować tego dupka - powiedział Eddie.

Położyli Fielda do łóżka i wrócili do domu. Była prawie północ. Lało.

W relacjach Jenny i Eddiego nastąpiła zauważalna zmiana. Wydarzenia wieczoru i nocy bardzo ich do siebie zbliżyły. Nie byli już zakochanymi obcymi, którzy prowadzą gierki. Eddie czuł, że Jenna zostanie z nim, a nie z Robertem.

Udali się do swoich sypialni. Ale Jenna wiedziała, że spędzi tę noc w łóżku Eddiego. Nie mogła znieść samotności. Wsłuchiwała się w deszcz i w wycie wiatru. Zdjęła buty i zaczęła się rozbierać.

Rozległo się pukanie do drzwi. Eddie wyłonił się ze swojego pokoju, przeszedł przed korytarz i otworzył drzwi. Jenna wystawiła głowę, żeby zobaczyć kto to. David Livingstone. Szybko zapięła dzinsy i weszła do pokoju dziennego.

- Wejdziesz do środka - zaproponował Eddie Davidowi, ale ten potrząsnął głową i został na ganku.

- Nie ma czasu - powiedział.

- Co się dzieje? - spytała Jenna.

- Myślę, że mogę ci pomóc.

David wyglądał na wymizerowanego i zmęczonego. Był czymś zmartwiony. Wciąż się odwracał. Spoglądał na deszcz.

- Ale jak to?

- Pomogę ci, jeśli ze mną pójdziesz. Teraz.

Jenna i Eddie wymienili spojrzenia. Czyżby sprawy zaczynały przybierać inny obrót? Czyżby trzeba było spaść na samo dno, by potem się odbić? Jednak Jenna pamiętała, co mówił David: nie można już pomóc Bobby'emu. Mimo to wydawało się, że coś wymyślił i zdecydował się podjąć ryzyko.

- Tylko włożę buty - powiedziała Jenna, wracając do sypialni.
- Wezmę kurtkę - rzekł Eddie, ale David go powstrzymał.
- Nie. Musi iść sama.

Eddie uniósł brwi ze zdziwienia. Jenna zniknęła w swoim pokoju.

- Na pewno nie chcesz wejść? - spytał Davida.
- Jestem przemoczony. Poza tym musimy się spieszyć.

Eddie pokiwał głową. Znalazł w szafie nylonowe ponczo przeciwdeszczowe i podał je dziewczynie.

- Nie jestem pewien, czy powinnaś wychodzić w taką pogodę - powiedział. - Dlaczego nie poczekać, aż przestanie padać?

- Musimy iść teraz - przerwał mu David. Jenna popatrzyła Ed-
diemu w oczy.

- Na razie.
- Uważaj na siebie.
- Wszystko będzie dobrze.

Pocałowała chłopaka w policzek. Zeszła z Davidem z ganku i zniknęła w ciemności i deszczu.

PÓŁ GODZINY później Robert stał na ganku i pukał. Na jego widok Eddie jęknął. Nie miał siły zмагаć się z tym człowiekiem. Ale otworzył drzwi.

- Gdzie ona jest? Chcę z nią porozmawiać - zażądał Robert, wpychając się do pokoju.

Eddie prychnął.

- Mało ci szkód, których dzisiaj narobiłeś?
- Chcę z nią porozmawiać.
- Nie ma jej tutaj.

Robert gapił się na Eddiego.

- Nie wierzę ci. Gdzie jest?
- Wyszła.

Robert zastanawiał się przez chwilę. Dokąd Jenna miałyby iść? Musi być gdzieś w domu. Popędził korytarzem, otwierał wszystkie drzwi po kolei i zaglądał do środka. Eddie usiadł w kuchni. Czekał, aż Robert skończy przeszukanie.

- Dokąd poszła?
- Nie wiem.
- Z kim jest?
- Z szamanem. Szuka swojego syna. Uwierzyłybyś w coś takiego?

- Słuchaj, koleś - powiedział Robert, wpatrując się w Eddiego. - Nie lubię cię. Nawet gdybym znał cię lepiej, też bym cię pewnie nie lubił. Wyświadcz mi więc przysługę: powiedz, gdzie ona jest, po dobroci.

Eddie mocno zacisnął zęby. Usiłował zachować spokój. Postanowił nie ruszać się z miejsca. To jedyny sposób, żeby nie podbiec i nie walnąć Roberta w twarz.

- Masz tupet - rzucił. - Przychodzisz tu z wynajętym snajperem, katujesz ze swoim kumplem mojego kolegę, twój zabijaka strzela do psa Jenny, a teraz stoisz w moim domu i mnie obrażasz. Jedyny powód, dla którego nie dostaniesz w gębę, to mój szacunek wobec Jenny. Więc lepiej wynoś się, zanim będzie za późno.

Robert stał przez moment cicho.

- Przepraszam za twojego przyjaciela - wymamrotał.
 - Że co?
 - Przepraszam za twojego przyjaciela. Zwolniłem... snajpera.
- Nie sądziłem, że kogoś skrzywdzi.

- To pierwsza mądra rzecz, jaką tutaj zrobiłeś.

- Tak, ale gdzie jest Jenna?
- Mówiłem. Wyszła z szamanem.

Robert westchnął i podrapał się po głowie.

- Kiedy wróci?
- Nie wiem.

Robert zamknął oczy i wziął głęboki oddech. Nie wiedział, co robić. Nie miał pojęcia, dokąd wybrała się Jenna i jak długo jej nie będzie. Jednego mógł być pewien. Kiedy wróci, nie będzie szukała go w hotelu. Przyjdzie tutaj. I właśnie tutaj Robert musi na nią czekać. Gdy otworzył oczy, Eddie przytrzymał uchylone drzwi i po raz kolejny prosił, żeby Robert już sobie poszedł.

- Zostaję - powiedział Robert.
- Nie zapraszałem cię.
- Wiem - odrzekł Robert, siadając na kanapie. - Ale i tak zostaję.

Eddie zaśmiał się i zamknął drzwi.

- Jak widzę, twój tupet rośnie.
- Bo stawka jest coraz wyższa.

Chłopak potrząsnął głową i ruszył do swojej sypialni. Robert zdjął kurtkę i owinął się w koc, który leżał na kanapie. I sam w ciemnym pokoju czekał na powrót Jenny.

DAVID ZAPROWADZIŁ JENNEJ na plażę do szerokiego, drewnianego *canoe*, które czekało na brzegu. Gestem nakazał kobiecie złapać łódkę od strony rufy i mocno popchnąć. Sam wszedł do wody i ściągał *canoe* z plaży od strony dzioba.

- Dokąd płyniemy? - spytała, przekrzykując deszcz.
- Do niego - odparł David.

Kiedy łódź unosiła się już na wodzie, Indianin chwycił wiosła. Jenna pchnęła *canoe* ostatni raz, weszła do wody po uda i wspięła się do środka. Zdziwiła się, że David wcześniej sam sobie poradził z takim ciężarem. Zapytała, czy ma wiosłować, ale on potrząsnął głową i skierował *canoe* do ujścia zatoki.

Woda była lekko wzburzona, ale podróż nadzwyczaj spokojna. Łódź swobodnie przecinała fale. Jennie podobała się ta wyprawa. No, może poza deszczem, który walił wielkimi kroplami. Z wdzięcznością pomyślała o Eddiem, który dał jej ponczo. Dzinsy jednak miała zupełnie mokre od klęczenia w łodzi, a włosy aż lepiły się do twarzy. David wiosłował bez przerwy.

Wkrótce byli już daleko. Jenna zaczęła się denerwować. Ledwie dostrzegła światła Wrangell. Wszędzie było zupełnie ciemno. Martwiła się, czy David zdoła odnaleźć właściwą drogę. Skąd wie, dokąd płynąć? Deszcz padał dalej, a dno *canoe* coraz bardziej wypełniało się wodą. Szaman chyba wyczuł niepokój dziewczyny. Przestał wiosłować i po raz pierwszy zrobił sobie przerwę.

- Deszcz niebawem ustanie - powiedział.

Jenna poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Miała za sobą długi dzień, pełen stresu i napięcia. Tak długi, że nie wiedziała, czy to, co nastąpiło rano, nie wydarzyło się przypadkiem poprzedniego dnia. A może jeszcze dawniej. Ziewnęła.

- Powinnaś trochę odpocząć.

Nie wiedziała, jak ma to zrobić w drewnianym *canoe*, ale posłusznie wyciągnęła przed siebie nogi i zdziwiła się, że jest jej wygodnie.

Oparła się o tył łódki i uniosła twarz do nieba. Zimne krople były nawet przyjemne.

- Jestem taka zmęczona.
- Wiem. Powinnaś się przespać.
- Taka zmęczona.

Głos miała znużony, niski. Pomyślała o tym, co przed chwilą powiedziała, i jak to zabrzmiało. Przypomniała sobie, jak się czuła po tabletkach nasennych i po winie. Dokładnie tak samo. Ciało stało się ciężkie i bezwładne, choć umysł miała czysty i jasny. Tak czuła się w łodzi z Bobbym. Była jak naćpana. Widziała, co się dzieje, ale nie mogła zareagować. Czytała, że coś podobnego przeżywają ludzie na stole operacyjnym, kiedy anestezjolog podaje niewłaściwą dawkę znieczulenia. Są sparaliżowani, ale zachowują świadomość. Przechodzą bolesną operację, bo nie są w stanie powiedzieć lekarzom, że wszystko czują.

Ożywczy deszcz przyjemnie obmywał twarz Jenny. Zamknęła oczy i rozchyliła wargi, pozwalając, by słodkie krople wpadały jej do ust. Chwilę później zasnęła.

SZERYF LARSON LUBIŁ alternatywne rozwiązania. Aresztowanie kogoś było według niego aktem zemsty i niechęci. Nie lubił aresztowań. I to bardzo. Przekonał Eda Fleminga, żeby nie wnosił skargi na tak zwanego detektywa. Obiecał mu, że agresywny dzieciak natychmiast wyjedzie z Wrangell. Z zakazem powrotu do miasta.

Wypełnił konieczne dokumenty, założył Joeyowi akta - takiej techniki używał kilkakrotnie w przeszłości w przypadku włóczęgów - i pojechał do Stikine Inn.

Obudził chłopaka, kazał mu się spakować i zabrał go na posterunek, gdzie zdjął odciski palców i skopiował prawo jazdy. Potem pokazał Joeyowi nakaz aresztowania. Powiedział jednak, że mu odpuści, chyba że znajdzie go w mieście po odlocie samolotu do Ketchikan o ósmej trzydzieści. Chłopak był wkurzony, ale potulny.

Kiedy przyszedł czas, po prostu podniósł torbę.

- Dziękuję. Zaoszczędziłem na taksówce - powiedział.

Szeryf Larson położył rękę na ramieniu Joeya.

- Wyjeżdżasz stąd, ponieważ nie chcę zaśmiecać tobą systemu. Ale jeśli znowu wpakujesz się w kłopoty, system zajmie się tobą. Zadbam o to.

- Dobrze pomyślane, kapitanie - mruknął Joey.

Ruszył w stronę samolotu.

- Wszędzie cię poznam. Tylko tu wróć, a się przekonasz! - zawołał szeryf Larson.

Joey, wchodząc po schodkach do samolotu, pokazał mu środkowy palec.

Szeryf się zaśmiał. Głupi mały kutas. Któregoś dnia wpakuje się w kłopoty, które będą go kosztować życie. Ale nikomu to nie zrobi różnicy. Szlag trafia również dużo miłszych facetów niż Joey.

Wsiadł do samochodu i wrócił do miasta. Miał nadzieję, że nigdy więcej nie spotka tego typka. Ale dobrze wiedział, że pojawią się kolejni.

JENNA OBUDZIŁA SIĘ O ŚWICIE. Była przemoczona i przemarznięta. Nad sobą zobaczyła błękitne niebo. Wokół siebie - spokojną wodę. Usiadła. Spojrzała, że David wciąż wiosłuje, a łódź zbliża się do jakiegoś łądu. Płynęli w stronę niewielkiej zatoki.

- Jesteśmy na miejscu? - spytała.

- Prawie - odparł David.

Przy brzegu rosły wysokie sosny. Plaża właściwie nie istniała. Drzewa i kilka głązów wystających z morza. Kolory wydawały się takie świeże i nasycone, że aż nierealne.

Ptaki milczały. Cisza była nienaturalna, jakby nastąpił koniec świata.

Kiedy podpłynęli bliżej, zobaczyła, że w lesie coś się porusza. Ktoś przebiegł wzdłuż brzegu, a potem zanurzył się w gęstwinie drzew i krzaków. Tuż przy zatoczce Jenna usłyszała pluśnięcie. Obejrzała się w prawo. Nic nie zobaczyła. Kolejne pluśnięcie. Obejrzała się w lewo. Nic. Tylko kręgi na wodzie.

- Co to takiego? - spytała załęczniona.

Chciała, żeby David dodał jej otuchy, ale on nie odpowiedział.

- Gdzie jesteśmy?

Wciąż milczał. Potem jak gdyby nigdy nic wyciągnął wiosło z wody i położył je przed sobą. Odwrócił się do Jenny, a kiedy zobaczyła jego twarz, jej serce zamarło. David miał wielkie czarne oczy, a zęby spiczaste i ostre.

- Jesteśmy na miejscu - odrzekł z uśmiechem.

Jego twarz stała się płaska, nos zanikł, uszy zmałyły, usta się cofnęły, ukazując małe brązowe zęby. To, co jeszcze niedawno było Davidem, szybko i lekko wskoczyło do wody. I znikło.

Po chwili nad powierzchnią wody pokazała się głowa. Ale nie była to głowa Davida, tylko małej wydry, która błyskawicznie skryła się pod falami.

TEGO SAMEGO SŁONECZNEGO PORANKA Eddie czuł się naprawdę podle z obcym mężczyzną tkwiącym na jego kanapie. Bez kobiety, którą kochał, bez szamana, bez psa, bez roboty na łodzi i bez Fielda. Tylko z tym na kanapie. Robert gapił się to na Eddiego, to w okno.

Eddie cicho usiadł przy stole kuchennym. Czekał na Jennę.

Okolo jedenastej zadzwonił telefon. Obaj się zerwali, myśląc, że to Jenna. Eddie podniósł słuchawkę. Odezwał się męski głos, który brzmiał znajomo, chłopak jednak nie potrafił go rozpoznać.

- Jest tam Jenna?

- Hm, nie ma. A kto mówi?

- David Livingstone. Czy to Eddie?

- Tak - powiedział Eddie. - Czy ona już wraca? A w nocy wszystko się udało?

Zapadła cisza.

- Słucham?

- Czy ona już wraca?

- Ale skąd?

- Chwileczkę - powiedział Eddie, usiłując ogarnąć sytuację. - Tam, dokąd wczoraj z nią poszedłeś.

- Przepraszam, Eddie, ale nie wiem, o czym mówisz.

- Pojawiłeś się u mnie wczoraj w nocy i zabrałeś Jennę, tak?

- Nie.

Eddie jęknął i pokręcił głową. W nocy był zmęczony, to prawda, ale dokładnie wiedział, co się wydarzyło. Robert zbliżył się do Eddiego, chciał się czegoś dowiedzieć. Chciał posłuchać rozmowy.

- W porządku, gdzie byłeś zeszłej nocy?

- U siebie.

- Nie. Przyszedłeś po Jennę. A jeśli nie ty, to ktoś o twoim wyglądzie...

Nagle ogarnął go strach.

- Eddie, gdzie jest Jenna? - Głos Davida zabrzmiał ostro i surowo.

- Nie wiem.

- Nie miałeś od niej wiadomości?

- Od kiedy wyszła, nie.

- Czy wzięła ze sobą Oscara?

- Oscar nie żyje.

Znów zapadła cisza. Eddie czuł, że coś ścisiska go w żołądku. Bardzo się bał, że nastąpiło coś potwornego. Robert nie wiedział, co robić. Chodził tam i z powrotem.

- Co się dzieje? - zapytał wreszcie niecierpliwie.

Eddie machnął ręką, żeby się odsunął.

- Zadzwoń, bo chciałem powiedzieć, że chyba umiem jej pomóc - odezwał się David.

- To właśnie powiedziałeś, kiedy przyszedłeś po nią w nocy.

- Eddie, to nie byłem ja.

Chłopak westchnął głośno. Nie wiedział, jak rozładować narastającą napięcie.

- Co? Co?! - domagał się wyjaśnień Robert.

- Słuchaj, Eddie, musisz tu natychmiast przyjechać - powiedział szaman. - Kiedy dotrzesz do miasta, idź od razu do sklepu Toma. On cię przywiezie. Będę potrzebował twojej pomocy.

- Dobrze. A co z jej mężem?

- Z czyim mężem?

- Jenny.

- Jest tam?

- Jest.

- Zabierz go z sobą.

Eddie się rozłączył, a Robert rozłożył ramiona.

- O co, do cholery, chodzi w tym wszystkim?

- Zaraz ci wyjaśnię - odparł Eddie, wykręcając numer drżącymi rękoma.

Nie mógł w to uwierzyć. To zdarzyło się naprawdę. Gdyby zaufał Davidowi i Jennie, zorientowałyby się. Ten, kto zeszłej nocy podawał się za Livingstone'a, nie wszedł do domu i ciągle odwracał głowę w stronę wody. Nie chciał, by przyjrzeni się jego twarzy.

Kusztaki. Przyszły natychmiast po śmierci Oscara. Zabrały Jennę. One naprawdę istniały.

Field odebrał. Wykrztusił niewyraźnie: „Halo”. Odkrył cudowne działanie tabletek przeciwbólowych i z odrętwiałym językiem

wyznał Eddiemu, że niezwykle docenia jego przyjaźń.

- Field, ogarnij się, wypij kawę i czekaj przy samolocie.
- Tak jest, kapitanie - odparł starsuszek, chichocząc. „Świetnie - pomyślał ponuro Eddie, rozłączając się. - Będziemy lecieć z naćpanym pilotem”.

- W drogę - rzucił do Roberta.
- Chwila. Co się tutaj dzieje?
- To zbyt skomplikowane - mruknął Eddie, zdejmując kurtkę z kuchennego krzesła. - Wyjaśnię ci w samolocie.

- W samolocie?
- Lecimy do Klawock.
- Co to jest, do licha, Klawock?

Jego gospodarz otworzył drzwi.

- Jeśli chcesz odnaleźć Jennę, lepiej się pośpiesz.

Robert wzruszył ramionami i poszedł za nim.

Kiedy Eddie wsiadał do samochodu, uśmiechnął się do siebie. Z Jenną nic nie było proste. To pewne. Ani nudne.

SERCE JENNY BIŁO JAK SZALONE. Rozejrzała się wokół: w lustrze wody ujrzała odbicie zielonych wzgórz. Starła się oddychać bezgłośnie. Nie chciała zakłócać panującej tu nienaturalnej ciszy.

Po kilku minutach dryfowania postanowiła przybić do brzegu. Przesunęła się w *canoe* i chwyciła wiosło. Wtem usłyszała dwa uderzenia w spód łodzi, która zaczęła sunąć po wodzie. Wyjrzała za burtę. Nic nie zauważyła. Nic, co wprawiłoby *canoe* w ruch.

Nie miała pojęcia, gdzie jest. Nie miała pojęcia, czy znajduje się na tym, czy już na innym świecie. Być może podczas nocnej podróży

przekroczyła granicę wymiarów. Wciąż miała nadzieję, że odnajdzie to, czego szuka. Bobby'ego.

Zatoka zakręcała zygzakiem. Jenna zobaczyła małą plażę. Płytką woda okazała się zupełnie przejrzysta. Dziewczyna dostrzegła wtedy niewielkie stworzenia płynące pod *canoe*. Do lądu było coraz bliżej. Łódź nabierała prędkości, aż wreszcie uderzyła o brzeg i zaryła się w piasku.

Istoty, które pchały *canoe*, zniknęły. W lesie panowała cisza. Jenna wyszła z łodzi i przez chwilę stała w wodzie po łydki. Próbowwała przywrócić krążenie w nogach. Była głodna i obolała.

Zaczęła szukać na plaży jakichś śladów życia.

- Jest tam kto?! - zawołała w stronę lasu, ale nie usłyszała odpowiedzi.

Podeszła do drzew. Próbowwała przebić się wzrokiem przez ścianę zieleni. Coś zauważyła. Nie był to jednak człowiek. Ani zwierzę.

Nie chciała udawać się do serca lasu. Bała się tego, co mogło ją tam spotkać. Zbyt wiele kryło się w zielonej gęstwinie, za nią i nad nią. Zbyt wiele nieznanego. Gdy nagle rozległ się szelest, zamarła. Przypomniała sobie kroki, które słyszała na górze Dewey. Jakby ktoś zmierzał wolno do celu. Znów zobaczyła jakieś poruszenie wśród liści.

- Jest tam kto?! - zawołała ponownie, ale nie usłyszała odpowiedzi.

Szumiący las sprawiał wrażenie żywego organizmu. Jej prześladowcy chyba się zbliżali. Wystraszona Jenna rzuciła się z powrotem w stronę *canoe*. Wypchnęła łódź na wodę, instynktownie jeszcze raz się obejrzała i wtedy go dostrzegła. Małego chłopca. Tego samego, którego wcześniej widziała przed domem Eddiego. Gęste ciemne

włosy. Duże oczy. Stał nieruchomo i przyglądał się Jennie.

- Bobby?! - zawołała, ale nie odpowiedział.

Zostawiła *canoe* na wodzie. Las zamarł. A może wcześniejszy ruch był tylko złudzeniem? Teraz liczył się wyłącznie ten chłopiec. Podeszła do niego blisko, na wyciągnięcie ręki. Uklękła i przyjrzała się małemu. Miał przepiękną okrągłą buzię, ciemną cerę i oczy czarne jak lśniące kamienie. Serce Jenny zadrżało. Nie mogła uwierzyć, że to naprawdę on.

- Bobby? - zapytała ponownie.

Chłopiec skinął głową.

- Cześć, mamusiu - powiedział.

Jenna zareagowała w niespodziewany dla siebie sposób. Nie rozpłakała się. Wybuchnęła śmiechem. Wyciągnęła ramiona do dziecka i je przytuliła.

Chłopiec był prawdziwy. Oddychał. Poruszał się. Mówił.

Mocniej wtuliła się w syna. Trzymała go mocno, żeby nie uciekł.

- Przyszłaś po mnie - powiedział Bobby.

- Tak, kochanie, przyszłam po ciebie. Wreszcie po ciebie przyszłam.

Odsunęła się, żeby na niego popatrzeć. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Tak dobrze wyglądał. Tak dobrze było znów go poczuć. Znowu należał do niej. Po tak długim czasie była ze swoim synem.

Bobby wziął matkę za rękę i poprowadził do lasu.

- Dokąd idziemy?

- Do domu - odparł, rozsuwając gałęzie i zanurzając się w ciemnej zieleni. Jenna obiecała sobie, że już nigdy nie puści dłoni syna.

W SAMOLOCIE BYŁO ZBYT GŁOŚNO, żeby rozmawiać. Z kolei w drodze do domu Livingstone'a Eddie siedział na pace pickupa, a Robert jechał w kabinie. Kiedy więc dotarli do domu Davida, mąż Jenny wiedział niewiele więcej niż we Wrangell. I czuł się z tego powodu wściekły.

David powitał ich przy drzwiach ubrany w dzinsy i w niebieską koszulę z frędzelkami. Ramiona okrył czerwonym pledem. W salonie w kominku szalał ogień. Na zewnątrz szumiały liście.

- Nie mogę uwierzyć, że na to pozwoliłem - powiedział Eddie do Davida. - Dlaczego się nie zorientowałem? Nie pozwolił mi zobaczyć swoich oczu...

- Potrafią być bardzo przekonujące i zaćmić czyjś umysł.
- Powinienem był to przewidzieć.
- Przepraszam, gdzie jest moja żona? - wtrącił zirytowany Robert.

Był zmęczony zadawaniem w kółko tego samego pytania.

- On nie wie? - spytał David Eddiego.
- Po pierwsze, stoję tutaj, możesz więc mówić bezpośrednio do mnie - wtrącił Robert. - Po drugie, nie, nic nie wiem. A po trzecie, kim ty jesteś i co zrobiłeś mojej żonie?

- Nic nie zrobiłem Jennie. Zabrały ją kuszta.
- Co to są kuszta?
- Indiańskie duchy. Dwa lata temu porwały twojego syna.

Robert wyrzucił ręce w górę.

- Nie... psia krewa... to niemożliwe! W dwudziestym wieku?! Na jakimś cholernym Borneo szaman mógłby opowiadać takie bzdury. Ale to jest Ameryka! Jesteśmy wykształconymi ludźmi!

- Robert... - przerwał mu Eddie, próbując go uspokoić. - Widziałem to na własne oczy. Zeszłej nocy przyszedł do mojego domu ktoś, kto wyglądał jak David, i zabrał Jennę.

- Hej, Einsteinie, pomyślałeś przez chwilę, że może to rzeczywiście był David?

- Robercie, ja byłem tutaj. Kuszta potrafią przybrać dowolną postać. Czytają w myślach i upodobniają się do osoby, której ufasz. Zwykle do krewnego, czasem do przyjaciela. Jeżeli nikomu nie ufasz, zjawiają się jako ktoś obcy.

- Dwa słowa komentarza - warknął Robert. - Gówna prawda.

David zdjął z ramion pled i schował go do plecaka, który był już ciężki od prowiantu.

- Nie musisz mi wierzyć - powiedział, idąc w stronę drzwi. - Twoja żona i twój syn są z kuszta. Idę po nich. Jeśli będę miał trochę szczęścia, wrócę. Jeżeli będę miał więcej szczęścia, przyprawę również Jennę.

Otworzył szklane drzwi i zwrócił się do Eddiego.

- Chcę, żebyś pilnował ognia, niezależnie od tego, co będzie się działo. Ten ogień jest moją latarnią. Bez niego nie odnajdę drogi powrotnej.

Eddie kiwnął głową.

- Tu będziecie bezpieczni. Zostańcie w środku, dopóki nie wrócę. Zostawiam numer telefonu do mojej żony w Vancouver. Jeżeli nie zjawię się za osiem dni, zadzwońcie. Będzie wiedziała, co robić.

Indianin wyszedł i ruszył przez polanę w stronę lasu.

„OSIEM DNI”? - rozbrzmiewało w głowie Roberta. Co to w ogóle za pomysł? Osiem dni? To o jeden dzień więcej niż tydzień. Jak Livingstone może oczekiwać od Roberta, że przez cały ten czas będzie siedział z Eddiem w jednym pokoju?

Mężczyźni prawie godzinę wytrwali w milczeniu. Owszem, sześćdziesiąt minut jakoś znieśli, ale wszystko, co chłopak robił, doprowadzało Roberta do szału. Jakby ktoś tarł paznokciami o tablicę.

Eddie stał przed kominkiem, od czasu do czasu grzebał w nim pogrzebaczem, dokarmiał płomień kolejnymi pniakami, pochylał się i dmuchał na wygasające drwa. Roberta to naprawdę wkurzało.

Zastanawiał się nad tym, co w Eddiem spodobało się Jennie. Pewnie dzika natura człowieka z gór. A może lubiła tradycyjny sposób, w jaki Eddie rozniecał ogień? Robert od lat nie zgadzał się na używanie kominka w ich domu. Nie znosił smrodu dymu i brudnej od popiołu podłogi. Zaproponował Jennie wymianę instalacji na gazową. Zaprotestowała. Tak, już wtedy powinien był zrozumieć, że to znak.

Gdyby tylko mógł czymś zająć myśli. Choćby włączyć telewizor. Obejrzeć cokolwiek, choćby prognozę pogody. Nawet nie marzył o *Lowcy androidów*. Mógł ten film oglądać na okrągło. Oszaleje, jeśli

przez osiem dni będzie musiał siedzieć w jednym pokoju z Krokodylem Dundee.

- Jest tu kablówka? - spytał w końcu.
- Wątpię - powiedział Eddie.
- A antena satelitarna? Wiesz, taka, która łapie dziewięćset kanałów?

Eddie, zapatrzony w ogień, pokręcił głową. Robert zastanawiał się, czy ten facet ogląda czasem sport. Czy na Alasce znają futbol? Albo koszykówkę? Chyba czytał kiedyś artykuł o tym, że koszykówka to na Alasce kultowy sport...

- Co stało się z twoją ręką? - zapytał.
- Wypadek przy połowie.
- Jesteś rybakiem?
- Tak.
- Czy to prawda, że wszyscy rybacy są alkoholikami?

Eddie spojrział na Roberta siedzącego przy stole. Nie wiedział, czy to mało śmieszny żart, czy nieudolna próba obrażenia go.

- Nie - odparł i znowu odwrócił się w stronę ognia.

Robert wstał, podszedł do niego i usiadł na sofie przy kominku.

- Przepraszam, uraziłem cię? Nie chciałem.
- Nie uraziłeś - odrzekł Eddie.

Robert przyglądał się, jak chłopak przesuwa polana. Czy sypia z jego żoną? Może on i Jenna spiskują przeciw niemu? Może to z ich strony jakiś głupi dowcip? Może chcą go wywieźć na pustkowie i zabić? Może Eddie właśnie nagrzewa pogrzebacz...?

Nagle poczuł się lekceważony. Chciał, żeby każdy z nich miał jasność sytuacji. Jeśli muszą spędzić razem tyle czasu, trzeba wyłożyć karty na stół. Zdać się na los.

- Powiedz, pieprzyłeś moją żonę?

Eddie odwrócił się i uniósł brwi ze zdziwienia.

- Słucham?

- Pytam, czy pieprzyłeś moją żonę?

Chłopak podniósł się i otrzepał dżinsy.

- Myślę, że ta kwestia nie ma teraz znaczenia - odparł, nie wiedząc, jak powinien zareagować.

- Ach, więc to się teraz nazywa „kwestia”. W porządku. Świetny byłeś u siebie w domu, kiedy wszystkiemu zaprzeczałeś. Przez moment ci nawet wierzyłem. Wiesz, Jenna przyjechała tu, żeby na chwilę uciec, zdystansować się... Ale kiedy wsadzaliście psa do ciężarówki, zauważyłem, jak dobrze się rozumiecie. A więc kłamałeś.

Robert bawił się zamkiem od bluzy. Usiłował zachowywać się nonszalancko. Był wściekły, ale mimo wszystko pragnął zachować spokój.

- Chcę wiedzieć, rozumiesz? Pogadajmy jak mężczyzna z mężczyzną. Pieprzyłeś moją żonę?

Eddie nie miał zamiaru odpowiadać na to pytanie. Nie obchodziło go, co Robert myśli. Nie podobało mu się słowo pieprzyć. Nie pieprzył Jenny.

- Nie rozumiem - powiedział Robert, zmuszając się do śmiechu.

- Dlaczego nie odpowiadasz?

Eddie spojrzał na Roberta i zobaczył w jego oczach złość oraz zmieszanie. Jak mężczyzna z mężczyzną? Niech będzie.

- Spaliśmy ze sobą jeden raz.

Robert na pozór nie zareagował. Jego twarz się nie zmieniła. Wciąż patrzył na Eddiego. Ale wewnątrz cały płonął.

- Podobało ci się?

Eddie westchnął i potrząsnął głową. Usiadł na ceglany kominku i potarł czoło.

- Nie rozumiesz. To nie o to chodzi.
- Byłeś kiedyś żonaty?
- Nie.
- To skąd możesz wiedzieć, o co chodzi?

Eddie poczuł się jak ostatni śmieć. To wszystko jest pomyłką. Gdyby nie wypłynął na nadprogramowy połów halibuta, nie miałby wypadku, nie zraniłby ramienia, nie spotkałby Jenny i nie prowadziłby tej bezsensownej rozmowy.

- Panie Rosen...
- Panie Rosen? Tak nagle? Daj spokój. Właściwie jesteśmy jak bracia.

- Dobra. Robert...
- Partnerzy od dziurki. Mój znajomy tak to nazywa. Łapiesz?
- Aż za dobrze. Słuchaj, Robert, rozumiem, że jesteś zły. Ale musisz coś pojąć. Ja nie jestem przyczyną waszych problemów. Jestem ich skutkiem. Jenna czuła się samotna...

- Zrób mi przyjemność i przestać gadać o mojej żonie.

Głos Roberta drżał, choć mężczyzna starał się wyglądać na opanowanego, starał się nie wykonywać nagłych ruchów, żeby Eddie nie zauważył, jak bardzo trzęsą mu się ręce. Był wstrząśnięty.

- Ed, nie chcę być chamski, ale czy wy dwoje spotkaliście się dopiero teraz, czy ten romans trwa od lat za moimi plecami?
- Dopiero się spotkaliśmy.

- W porządku. Dopiero się spotkaliście. Więc posłuchaj: ja poznałem Jennę jakieś dziesięć lat temu. Wyświadcz mi przysługę i nie rozmawiaj ze mną o jej problemach.

Eddie wzruszył ramionami. Wpatrywał się w ogień. Robert próbował uspokoić łomotanie serca. Nie chciał popaść w całkowite

przygnębiecie, ale trudno, stało się. Koleś znikąd objaśnia Robertowi jego problemy małżeńskie. To absurdalne. Robert był z Jenną codziennie. Każdego dnia. Spał obok niej. A ten facet ośmiela się sugerować, że wie o Jennie więcej? Doprawdy, brak słów. Frustrujące. Denerwujące. Wkurzające.

Wstał z sofy i ruszył w stronę tylnego wyjścia. Poszedł do ogrodu i dalej, w stronę wody. Potrzebował samotności i powietrza. Musiał się uspokoić, odzyskać kontrolę nad sobą, żeby przetrwać osiem dni z Eddiem.

DAVID SZEDŁ PRZEZ LAS bardzo skupiony. Musiał zachować czysty umysł. Nie mógł rzucać w się oczy. Powinien być cichy jak liść. Powstrzymać się od interpretowania świata. Nic nie może zakłócać szamana. Rozmowa z niedźwiedziem jest dla niego tak zwyczajna jak spadająca gałąź. Słońce może wzejść i już po chwili zajść. Natura odkrywa przed szamanem inne oblicze.

Świat nigdy jednak nie ujawnia swoich tajemnic od razu. Żeby zobaczyć to, co ukryte, szaman nie może polegać na świecie materialnym. Musi polegać na swojej mocy. Musi pościć, aż jego ciało przepelni wewnętrzną energią. Dopiero wtedy dostrzeże istotę świata. Jak długo trwa post? Czasem jeden dzień, a czasem osiem dni. Jeżeli ósmego dnia szaman nie poczuje w sobie energii, to oznacza jedno: świat duchów go odrzucił. Niektórzy szamani ponizeni klęską cierpią i poszczą aż do śmierci. Inni zaczynają udawać, że mają moc, i robią kasę w świecie naiwnych śmiertelników. Do czasu. Duchy zawsze biorą odwet za oszustwo.

David pościł po raz pierwszy, kiedy miał osiemnaście lat. Osiem dni. Szóstego dnia prawie się poddał. Leżał na ziemi jak w agonii, z żołądkiem skurczonym do rozmiarów orzecha włoskiego. Nie miał siły się ruszyć. Słońce świeciło na niego. Kiedy szóstego dnia wreszcie zaszło, David chciał przerwać wyprawę i wrócić do ojca. Postanowił przyznać, że jest nieudacznikiem. I wtedy zjawił się przed nim duch wydry. Kusztaka. Najsilniejszy i najbardziej pożądany przez szamanów.

Przez dwa dni siedzieli naprzeciw siebie. David i wydra. Wydra i David. Patrzyli sobie w oczy. Później duch zaczął odkrywać przed nim swoje tajemnice. Opowiadał, jakie zioła dodają mu mocy, w jaki sposób szukać zatoczek pełnych ryb, jak zabijać zwierzę, żeby nie zadawać mu bólu, jak patrzeć w niebo i dostrzegać w nim znaki przyszłości.

Duchy przyjęły go do swojego królestwa. Ósmego dnia postu David stał się silny. Bardzo silny. Wydrze, od której otrzymał dar mocy, ziemskie ciało nie było już potrzebne. Padła martwa. Odciął jej język, zawinął w irchową szmatkę i mocno związał ścięgnem z jelita niedźwiedzia. W małym zawiniątku, które zawsze nosił na szyi, ukrył moc rozmawiania z duchami.

Duchy wiedziały, że muszą szanować siłę Davida, ten zaś wiedział, że musi pielęgnować swoją moc, bo inaczej ją straci. Każdego roku powinien pościć, by być godnym obcowania z duchami. Kilka lat temu zaniedbał swoją powinność. Nadużył mocy. Wykorzystał ją do niecznych celów. Stał się bardzo słaby. W Thunder Bay szaman kusztaka wskazał mu błędy. David nigdy nie zapomniał tej lekcji.

Teraz jednak był silny. Pościł tej wiosny. Czuł się przygotowany. I wiedział, czego może się spodziewać. Bał się, to prawda. Kiedy

Jenna zjawiała się u niego, tak bardzo się bał, że nie chciał nawet myśleć o tym, że mógłby jej pomóc. Ale jeszcze raz wszystko rozważył i zrozumiał, że musi jej pomóc. Miał zobowiązanie. Nie, nie wobec Jenny. Wobec siebie. Chciał pomścić śmierć swojego dziecka. Chciał wziąć odwet na szamanie kusztace, który okradł go z tego, co najcenniejsze.

Szedł przez las otwarty na duchy. Przygotowany na wskazówki z ich strony. Wiedział, że już niedługo pokażą mu właściwą drogę. Musi tylko bardzo tego chcieć. I musi być cierpliwy.

ROBERT SIEDZIAŁ przez dłuższą chwilę na plaży. Rozwodził swoje życiowe sukcesy i porażki. Głównie porażki, jak mu się wydawało. Porażki wynikające z nieumiejętnej oceny sytuacji. Jedną z zasad biznesu mówi o konieczności przyjrzenia się problemom oczami innych ludzi. Najważniejsze w negocjacjach to dowiedzieć się, czego chcą klienci. Nie zaspokajaj ich potrzeb od razu. Proponuj im rzeczy, które nie są tanie. Spraw, żeby płacili za to, czego pragną. Wzbudź potrzebę i zażądaj. Czy ten schemat działał w małżeństwie, Robert nie wiedział. I dlatego teraz się wściekał.

W powietrzu unosił się zapach palonego drewna. Robert widział, jak Eddie w domu podsycy ogień. Był głodny, ale niech go diabli, jeśli wróci do środka. Nie do tego drania. Poczekaj na zewnątrz na powrót szamana. Miał nadzieję, że Livingstone pojawi się przed nocą.

Ale kiedy nastał wieczór i zrobiło się chłodno, Robert zaczął drzeć. Oparł się o duży kawał drewna wyrzucony na brzeg, podniósł kołnierz kurtki i zasłonił uszy. Wkrótce będzie musiał się poddać. Na razie jednak czekał na powrót Livingstone'a. Jeśli wróci z nim

Jenna, świetnie. Zanim wejdą do domu, Robert spróbuje z nią wszystko wyjaśnić. Spróbuje powiedzieć, że ją kocha.

Tymczasem na plaży Robert dojrzał jakąś postać. Poczul ulgę. To na pewno Livingstone. Nareszcie. Kiedy postać powoli ruszyła w jego stronę, wstał i otrzepał się z piasku. Podszedł do brzegu i podniósł kilka płaskich kamyków, które zaczął wrzucać do wody.

Kiedy po chwili podniósł głowę, przybysz był już blisko. Wyglądał na miejscowego. Flanelowa koszula i czerwona czapeczka baseballowa.

- Witaj, sąsiedzie! - zawołał mężczyzna z tutejszym akcentem.
- Dobry wieczór.

Nieznajomy przystanął jakieś pięć metrów od Roberta i odwrócił się w stronę wody.

- Piękna noc - powiedział.
- Piękna.
- Dzięki takim nocom wiem, dlaczego tak bardzo kocham to miejsce. Z wyjątkiem komarów.

Robert się zaśmiał. Komary były duże, to prawda, ale nieszczerze mu dokuczały. Może dzięki witaminie B, którą zażywał.

- Widzisz to ciemne miejsce? - Nieznajomy wskazał czarny punkcik na wodzie. - To ławica ket. Mam ochotę wziąć sieć i tam popłynąć.

- Jesteś rybakim? - spytał Robert.
- W pewnym sensie - odrzekł mężczyzna z tajemniczym uśmiechem.

Przez kilka chwil wpatrywał się w wodę. Ze wzgórz dobiegał śpiew ptaków.

- Czekasz na Davida? - spytał mężczyzna, nie patrząc na zdumionego Roberta.

- Skąd wiesz?

Facet się roześmiał.

- Przysłał mnie po ciebie. Powiedział: „Idź po Roberta i go przyprowadź”.

- Hm. To dziwne. Skąd wiedziałeś, że to właśnie ja jestem Robertem?

- A jak myślisz? David dokładnie cię opisał. Masz przyjść sam. Eddie będzie pilnował ognia.

- To dziwne - powiedział Robert, przyglądając się mężczyźnie. - Eddie jest w domu. Czekaj, uprzedzę go tylko, że idziemy.

Robert odwrócił się i ruszył w stronę domu, ale obcy zatrzymał go.

- Nie ma potrzeby. Wkrótce wrócimy.

Robert popatrzył na faceta i zrozumiał, że jest w nim coś dziwnego. Wciąż poprawiał czapkę, jakby nie pasowała na jego głowę. I ciągle się odwracał w kierunku wody.

- Lepiej mu powiem. Inaczej będzie się martwił.

To powiedziawszy, Robert ruszył w stronę domu. Mężczyzna za nim. Trzymał się raczej z tyłu.

- Nie pójdziemy daleko. Tylko za zakręt - oznajmił w pewnym momencie.

Przeszli jeszcze kilka kroków.

- Wiesz - ciągnął nieznajomy - tam czeka twoja żona z synem. Stracisz ich, jeśli się nie pospieszysz.

Robert przystanął.

- Z Bobbym?

- To świetny chłopak. Dobrze go wychowałeś.

Robert gapił się na nieznajomego. O czym on mówi? Jenna czeka z Bobbym? W końcu zrozumiał, dlaczego obcy budził jego niepokój. Miał nienaturalnie ciemne oczy. Właściwie czarne.

- Bobby nie żyje.

- No cóż - powiedział mężczyzna, chichocząc - to zależy od tego, co masz na myśli, mówiąc „nie żyje”, prawda?

Znów się uśmiechnął. Robert zauważył, że facet ma zęby w strasznym stanie. Krzywe i poczerniałe. Ale jest w porządku. Pomaga Livingstone'owi. Właściwie po co powiadamiać Eddiego? To bez sensu. Przecież nic się nie stało. Przejdzie się kawałek, sprawdzi, co i jak. Zdąży wrócić przed nocą.

- Po prostu chodź ze mną - dorzucił obcy. - Zdziwisz się, jak Bobby wyrósł.

- Ale przecież on nie żyje.

- Czyżby?

Robert miał zamęt w głowie. Jego syn przecież umarł. A może nie? Nie mógł sobie przypomnieć, co właściwie zaszło. Minęło tyle czasu. Myśli mężczyzny osnuwała coraz gęstsza mgła. Przysięgłby, że jednak coś się wydarzyło. Coś. Ale co? Robert się poddał. Nie chciał dłużej walczyć ze zmęczeniem. Postanowił, że wszystko przypomni sobie później. Później. Teraz pójdzie z mężczyzną i znajdzie Bobby'ego. Wziął nieznajomego za rękę i ruszył z nim na plażę.

EDDIE WIDZIAŁ WSZYSTKO Z DOMU. Robert i obcy byli kilka metrów od drzwi, kiedy zatrzymali się i zaczęli rozmawiać. Najpierw go to nie zdziwiło. Jednak gdy Robert wziął nieznajomego

za rękę, ten spojrział na Eddiego i chłopak zorientował się od razu, że to kusztaka.

Podbiegł do kominka i złapał gorący pogrzebacz. Pamiętał, jak David mówił, że duchy wydr nie znoszą metalu. Miał nadzieję, że to prawda. Wybiegł za drzwi i z rozżarzonym pogrzebaczem pomknął w dół wzgórza.

Kiedy dotarł do mężczyzn, zawołał ich. Odwrócili się. Robert był zdziwiony widokiem Eddiego.

- Wiesz, idę z tym człowiekiem, żeby spotkać się z Jenną i Bobbym.

Mężczyzna w czapeczce posłał mu uśmiech.

- Możesz do nas dołączyć, Eddie.

Chłopak złapał Roberta za ramię.

- Nie, dzięki. Robert też zostaje.

Ale obcy nie puszczał dłoni Rosena.

- On idzie ze mną. Ty także możesz iść, jeśli chcesz.

Ich spojrzenia się spotkały. Eddie poczuł się dziwnie. Skołowany, może trochę senny.

- Ty także możesz iść - powtórzył mężczyzna.

Ale ten głos już nie był już głosem nieznajomego. Należał do Jenny.

Eddie walczył. Coś ciągnęło go do tego mężczyzny. Coś zmuszało go do pójścia za nim. Ale nie mógł. Nie chciał. Miał siedzieć razem z Robertem w domu. Miał pilnować ognia. Tak powiedział David.

Eddie wiedział, że musi zwalczyć otępienie. Wiedział, że kusztaka mami go głosem Jenny. Metal. Trzeba użyć metalu. Z wielkim trudem uniósł ramię. Było ciężkie. Zbyt ciężkie. Z wysiłkiem zamachnął się pogrzebaczem i uderzył mężczyznę w kark.

Rozległ się przerażający krzyk. Ani ludzki, ani zwierzęcy. Inny. Zawisł w powietrzu. Przytłumił wszystkie inne dźwięki.

Mężczyzna puścił Roberta. Trzymając się za szyję, zmienił się na ich oczach. Jego twarz porosła sierść. Ręce znikły. Obcy miał już tylko metr wysokości. Stał na stercie swoich ubrań. Miał jednak nadal te same ostre zęby i demoniczne oczy. I język. Długi dziwaczny język.

Eddie zamachnął się pogrzebaczem po raz kolejny, ale stworzenie zrobiło unik. Zamachnął się ponownie. Nie trafił. Odmieniec zwinnie krążył wokół niego.

- Uciekaj! - krzyknął Eddie do Roberta i obaj zerwali się do biegu.

Ale kusztaka była szybsza. Pognała na wzgórze, ruszyła na Eddiego i długimi pazurami podrapała mu twarz. Chłopak uderzył ją w bok, jednak wtedy skoczyła na niego ponownie. Tym razem trafiła i wbiła zęby w udo Eddiego.

Krzyknął i upadł na ziemię. Upuścił pogrzebacz. Czuł, jak zęby wbijają się głęboko w jego nogę. Gdyby tylko mógł sięgnąć po pogrzebacz... Leżał niedaleko. Rozdzierający ból uniemożliwiał jednak jakiegokolwiek ruchu. Uciekający Robert zobaczył, że Eddie ma kłopoty. Był już bardzo blisko domu. Mógł wbiec do środka i zatrzaskać drzwi. Mógł to zrobić. Ale co z Eddiem? Musiał mu pomóc. Nie, wcale nie musiał.

- Pomóż mi! - zawołał Eddie. Jego zdrowa ręka z wysiłkiem próbowała dosięgnąć metalu.

Robert się zawahał. Powinien pomóc Eddiemu. Ale chciał też ocalić siebie. To chyba normalne, prawda? Gdy tak rozmyślał, kusztaka spojrzała na niego. Wtedy się otrząsnęła. Chwycił pogrzebacz, zamachnął się jak gracz golfowy i uderzył stworzenie w łeb.

Podniósł Eddiego i pobiegli do domu, a potem zatrzasnęli drzwi.

Wykończeni padli na podłogę. Rana Eddiego była głębokim ugryzieniem, ale nie zagrażała jego życiu. Robert zdjął koszulę i powstrzymał krwawienie. Potem poszedł do kuchni i przyniósł w misce ciepłą wodę.

Kiedy wrócił do pokoju, serce mu zamarło. Kusstaka, znowu pod postacią mężczyzny, stała za szklanymi drzwiami i zaglądała do środka. Była naga, w jednej ręce trzymała ubranie, drugą dotykała rozcięcia na czole.

- Robercie, chodź ze mną - powiedział obcy zza szyby. - To niedaleko. Są tam Jenna i Bobby.

Robert pomógł Eddiemu usiąść na krześle, a kiedy zamoczył ściereczkę w ciepłej wodzie, zauważył, że trzęsą mu się dłonie. Eddie także to dostrzegł.

- David mówił, że tutaj będziemy bezpieczni - stwierdził.

Robert przytaknął i spojrzął na drzwi. Mężczyzna wciąż czekał. Robert zacisnął zęby i skupił się na opatrywaniu rany Eddiego. Obecność przerażającego faceta wytrącała go z równowagi.

Oczyścił ranę. Znalazł w łazience kilka bandaży, z których zrobił opatrunek. Później usiadł z Eddiem przed kominkiem. Obaj przyglądali się nieznajomemu we flanelowej koszuli, który stał na zewnątrz. Nie poruszał się. Zaglądał tylko z uśmiechem do domu.

W NOCY DAVID ROZPALIŁ OGNISKO i wypił napar z kolcosiła straszliwego. Korzeń tej rośliny można znaleźć jedynie w lasach Alaski. Używany od wieków przez indiańskich szamanów, jest

źródłem ich siły oraz energii. Szamani parzą z niego herbatę, którą piją podczas postu.

Później David wykąpał się w lodowatej wodzie potoku. Był to kolejny rytuał, który miał dodawać mocy.

Po wszystkim postanowił odpocząć przy ognisku.

Zapadł w sen, w którym dziki pies poprowadził go wąską ścieżką poprzez gęstwinę malin do miejsca, gdzie strumień uchodził do oceanu. Na brzegu David dostrzegł wgłębienie pokryte mchem i trawą. Wiedział, co to jest. Zwierzę zniknęło, a on się obudził. Podziękował duchowi za wizję, tańcząc wokół dogasającego ogniska. Potem ruszył do lasu.

Odnalazł znajomą ścieżkę. Krzaki malin wyglądały tak samo jak we śnie. Wkrótce stanął przy strumieniu, gdzie znajdowało się wgłębienie. Dotarł do siedliska kusztak.

Duchy na pewno czuły, że ich szuka. Powiedział im o tym ogień, który palił się w jego domu. Podtrzymywany płomień oświetlał drogę tym, którzy wędrowali po innym świecie. Tak. Kusztaki miały świadomość, że David ich szuka. Ale nie wiedziały, że już je odnalazł. Wydry potrafią czytać w myślach człowieka, potrafią odkryć jego lęki, wykorzystać strach. Jednak David po oczyszczeniu umysłu stał się dla nich niewidzialny.

Wszedł do strumienia. Wejście było bardzo wąskie. Z trudem wczołgał się do środka. W jednej dłoni trzymał nóż, a w drugiej małą latarkę. Do kostki u nogi przywiązał plecak. Wiedział, że bagaż będzie mu zawadzał, gdyby w razie kłopotów musiał się wycofać, ale mógł potrzebować kilku przedmiotów z plecaka.

Ziemia była wilgotna, a zapach zgnilizny niemal obezwładniający. David prawie nie mógł oddychać. Kiedy znalazł się wreszcie

w środku tunelu, poczuł się jak w pułapce. Był przecież o wiele większy niż wydra.

Z trudem pokonał jakieś cztery metry. Potem korytarz się rozszerzył. Teraz David poruszał się swobodniej. Powietrze było gęste i ciężkie, unosił się w nim ostry zapach. Po kolejnych czterech metrach tunel się skończył. David oświetlił ściany latarką. Cholera, ślepy zaułek. Nie chciał wracać tą samą drogą.

Wtedy jednak coś zauważył. W rzeczywistości tunel ostro skręcał w dół i przechodził w rozległą podziemną komnatę.

David poczuł ulgę, kiedy stanął na nogach. Pomieszczenie miało prawie dwa metry wysokości. Kiedy poświecił latarką, zauważył, że znajdują się w nim meble. Stare sofy, krzesła. Pewnie kusztaki ukradły to wszystko z podwórek lub z wysypisk śmieci. Tylko jak to wniosły? Nie przepchnęłyby sofy przez tunel, którym tu dotarł. Gdzieś musiało być inne wejście. Zanim ruszył dalej, przesunął jedno z krzeseł pod ścianę z tunelem, którym się czołgał. Wokół było wiele innych otworów. Chciał mieć pewność, że odnajdzie właściwy.

Miał nadzieję, że zobaczy tutaj Jennę. Z tego, co pamiętał, kusztaki trzymały przemienionych w norze, dopóki ci nie stawali się wystarczająco silni, żeby wyjść na zewnątrz. Nigdzie jednak nie zauważył dziewczyny.

Nagle wyczuł czyjąś obecność. Obejrzał się nerwowo, świecąc latarką po ścianach. Nie był pewien, co robić. Uciekać znanym mu tunelem? Zdecydować się na inną drogę? Kusztaka i tak biega szybciej. Postanowił, że stanie z nią oko w oko.

- Przyszedłem tutaj, aby okazać szacunek szamanowi kusztace - powiedział. Nie przestawał świecić latarką po ścianach.

Cisza. Tylko odgłosy zdradzające jakiś ruch. I chłodny powiew.

- Przyszedłem po człowieka, który tutaj jest. Muszę zabrać go do domu.

Nadal nic. Nerwy odmawiały mu posłuszeństwa. Raz jeszcze oświetlił latarką ścianę. I wtedy dostrzegł sylwetkę nagiej kobiety o ciele pokrytym sierścią. Rozpoznał ją.

- Jenna?

- Przyszedłeś po mnie? - spytała głębokim i melodyjnym głosem.

Nagle David poczuł pożądanie.

- Musimy iść.

- Nie chcę wracać.

„Wygląda na taką silną - pomyślał. - Ma jędrne i szczupłe ciało okryte miękką sierścią”. Pragnął jej dotknąć. Ale ona zniknęła mu z oczu. Po chwili poczuł, że stoi za nim. Odwrócił się.

- Musimy iść - powtórzył.

- Nie chcę. Podoba mi się tutaj. - W jej głosie było coś dziwnego, coś, czemu nie mógł się oprzeć. Zrobił krok w stronę dziewczyny. - Tobie też się spodoba - szepnęła. Poczuł jej dłonie na swojej piersi. Były takie delikatne.

Wiedział, że muszą wracać na górę. Próbował złapać Jennę, ale zgrabnie się wyślizgnęła. Znowu stracił ją z oczu.

Był zdezorientowany. Dokąd uciekła? Wtem znowu poczuł ją za sobą. Przytuliła się do niego. Szamana otuliło jej miękkie futro. Zrobiło się przyjemnie. Bardzo przyjemnie.

- Tak jest dobrze - szepnęła mu do ucha. Miała słodki i kojący głos. Davida ogarnęła senność, chciał odpocząć w ramionach tej kobiety.

- Jest dobrze, prawda? - mruzczała.

Czuł, że jej uda obejmują go coraz ciaśniej. Pragnął Jenny coraz bardziej.

- Jest dobrze - powtórzyła. - Możesz, możesz...

Wygięła grzbiet w luk i zaczęła przeciągać się niczym kot. Miłe i miękkie dłonie dotykały jego twarzy. Długi język wwiercał się w jego usta. Zwinny ogon i aksamitne futro głąaskały go.

Jenna czytała w myślach Davida.

Otoczył kobietę ramionami. Ale ona pisnęła nagle i zeszywniała. Zaczęła się szarpać i skomleć, jakby cierpiała.

David puścił Jenkę, a ona natychmiast zmieniła się w wydrę. Dlaczego tak nagle? Próbował oczyścić myśli. Uwiodła go. Prawie uwiodła. Ale co ją powstrzymało?

Nóż. Nóż w ręku Davida dotknął grzbietu Jenny i przerwał magię. Szaman przypomniał sobie, po co tu przyszedł. Po to, żeby znaleźć i ocalić żonę Roberta. Jedynym sposobem na zdjęcie zaklęcia była ludzka krew. Jenna musiała ją wypić.

Livingstone naciął nożem skórę na dłoni. Krew sączyła się powoli. Ukląkł przy Jennie, która wciąż wiała się na ziemi. Mocno ją przytrzymał. Zasłonił jej usta krwawiącą dłonią.

Kiedy Jenna poczuła krew, przestała walczyć. Po chwili zaczęła pić z własnej woli. Krew Davida przywracała ją do życia.

EDDIE I ROBERT mieli nieprzyjemną noc. Nie zmrużyli oka. Obcy mężczyzna cały czas stał na zewnątrz. Obserwował ich do samego świtu. Wciąż się uśmiechał. Zniknął, zanim wzeszło słońce. Ani Eddie, ani Robert nie widzieli, jak odchodzi.

Kiedy poranne słońce wpadło przez okna od południowej strony domu, Robert popatrzył na cichy las i poczuł się bezpiecznie.

- Wszystko wygląda tak spokojnie - powiedział do Eddiego, który zajmował się ogniem. - Jakby nic się nie stało.

- Ale stało się.

Robert popatrzył na Eddiego.

- Naprawdę się stało? To nie była zbiorowa halucynacja czy coś w tym rodzaju?

- Naprawdę. Zbiorowa halucynacja nie ma zębów.

Robert spojrział na jego nogę.

- Chyba masz rację.

Eddie przyrządził na śniadanie smażone jajka, bekon i tosty. Robert przygotował stół. Nie mógł powstrzymać śmiechu. Jenna uwielbiała jajka, ale nie lubiła ich gotować. Robert nie miał nic przeciw ich gotowaniu, tylko że zupełnie mu nie wychodziły. A więc zawarli układ: jajka tylko w knajpach.

- Nigdy tego nie umiałem - powiedział Robert. Przyglądał się, jak żółtko wypływa z nakłucia zrobionego widelcem.

- Czego?

- Przyrządzania jajek. Zawsze były za twarde albo za miękkie. Jajecznicza za tłusta. A sadzone z rozlanymi żółtkami.

Robert długo przesuwiał bekon po talerzu. Westchnął.

- Kiedy poznałem Jennę, mogłem zrobić najbardziej gówniane jajka, a jej i tak smakowały. Albo udawała. Na początku wszystko wydaje się wspaniałe. Dopiero po kilku latach coś zaczyna nawalać.

Robert odłamał kawałek tostu, zamoczył go w żółtku, ale nie jadł. Stracił apetyt.

- Czy ona wróci? - spytał Eddiego.

- Nie wiem.

- Zadaję to pytanie od dwóch lat. Czy ona wróci?

- Co masz na myśli?

- Po śmierci Bobby'ego właściwie się rozstaliśmy.

- Naprawdę?
- Tak. Obojgu nam było ciężko, ale Jenna gorzej to przeszła. Tak sądzę. Kilka razy rozmawialiśmy o rozwodzie.

- No to dlaczego zostaliście razem?
- Nie wiem. Uznaliśmy chyba, że jeżeli bardzo się postaramy, wrócimy do tego, co było kiedyś. Poza tym Jenna nie przetrwałaby rozwodu. Dużo piła i łykała valium. A potem próbowała popełnić samobójstwo.

Eddie odłożył widelec i przyglądał się Robertowi.

- Mówiła ci o tym? Eddie pokręcił głową.
- Nie.
- Zdaje mi się, że znasz inną Jennę niż ja - mruknął Robert.
- Inną?
- Pewnie widziałeś dobrą Jennę. Zadowoloną, wesołą, taką, z którą fajnie przebywać.

Eddie się zaśmiał. Przytaknął.

- Masz szczęście. Ja nie widziałem jej takiej od dwóch lat. Przez kilka minut siedzieli w milczeniu. Obaj nie byli już głodni. Jajka i kawa stygły.

- Dlaczego chciała się zabić?
- Nie wiem - odparł Robert po namyśle. - Chyba czuła się winna śmierci Bobby'ego.

Eddie pokiwał smutno głową, a Robert zrozumiał, że postąpił podle. Dobrze wiedział, dlaczego Jenna chciała umrzeć. Nie miało to żadnego związku z poczuciem winy.

Poczuł, że musi powiedzieć mu prawdę.

- Ale tak naprawdę chodziło o coś innego. Sądziła, że ja ją obwiniam. Zostaliśmy razem, bo chciałem Jennie pokazać, że nie mam do niej żalu.

- Powiedziałaś jej to kiedyś?

- Nie.

- Może powinieneś.

- Jeśli nigdy nie straciłeś kogoś w tak nieoczekiwany sposób, nie zrozumiesz tego - odparł Robert. - Człowiek ciągle przeżywa tę samą tragedię. Próbuje ją pojąć. Wyjaśnić. Przeanalizować. Co zrobił? Czego nie zrobił? Co mógł zrobić inaczej? I wszystkie odpowiedzi są złe.

- To nie była wina ani Jenny, ani twoja.

- Tak, wszyscy tak mówią. Ale wiesz co? Ci sami ludzie uważają, że utonięcie to dobra śmierć. Gwarantuję ci, nikt z nich nigdy nie utonął.

Po chwili ciszy wstał.

- Skończyłeś?

Chłopak skinął głową, a Robert zebrał talerze. Zaniósł je do kuchni i odkręcił wodę. Eddie poszedł za nim i stanął w drzwiach.

- A teraz Jenny nie ma - powiedział Robert. Wyrzucił resztki jajek i tostów do kosza, a później umył talerze pod ciepłą wodą. - Nie ma jej i może nie wróci. Co wtedy zrobić? Kogo będę obwiniał?

- Możesz obwiniać mnie - zażartował Eddie.

Robert się zaśmiał. Ze smutkiem i z rezygnacją.

- Wróci. Nie martw się. David ją znajdzie.

Robert przytaknął, pozwalając, aby ciepła woda spływała po jego dłoniach.

- Oby.

JENNA LEŻAŁA NA ZIEMI. Jej zdezorientowane ciało miało się pomiędzy dwoma stanami. David wiedział, że ma niewiele czasu, aby zabrać stąd kobietę i wyrwać ją spod wpływu kusztak. Jeżeli

wrócą, Jenna na zawsze pozostanie w ich mocy.

Szybko przeszukał norę. Stwierdził, że nie była to prawdziwa siedziba kusztak, lecz pomieszczenie, do którego duchy przyprowadzały ludzi zmieniających się w wydry. Meble miały dodawać im otuchy, sprawiać, że będą czuli się dobrze i bezpiecznie przed przemianą.

David otworzył szafę stojącą przy ścianie. W środku znalazł ubrania uprowadzonych. Wydry używały ich, kiedy przyjmowały ludzką postać.

Nagle zamarł. Usłyszał jakiś ruch. Kusztaki. Nie było już czasu. Złapał spodnie i koszulę, w które ubrał półprzymną Jennę. Potem lekko uderzył ją w twarz. Uniosła głowę.

- Jenna, musimy iść.

Usilnie próbowała oprzytomnieć.

- Jenna. To ważne.

Uderzył ją mocniej.

- Jesteś tu? Musimy iść.

Kiwnęła głową. David pomógł jej wstać.

- Za mną. Dasz radę?

Potwierdziła. Czowała się bardzo słaba, jakby ktoś pozbawił jej ciało mięśni i kości. David czuł, że do Jenny nic nie dociera. Złapał kobietę za rękę i ścisnął mocno, tak mocno, że chyba usłyszał chrupnięcie. Ból ją zaskoczył.

- Jenna, posłuchaj. Mamy jedyną szansę. Właśnie w tej chwili. Musisz wziąć się w garść. Musisz iść za mną tak szybko, jak tylko potrafisz. Rozumiesz?

- Tak.

Tak. Proste słowo. David poszukał wzrokiem krzesła. Nie zauważył go. Poświecił latarką. Najprawdopodobniej przesunęło się

podczas ich walki. To był problem. Livingstone nie wiedział teraz, który tunel prowadzi na powierzchnię.

Głosy kusztak stały się donośniejsze. Nie miał pojęcia, czy już go wyczuły. Nie zastanawiał się dłużej. Wybrał pierwszy lepszy tunel. Podstawił krzesło. Wspiął się na nie i wślizgnął się do środka. Błagał w duchu, żeby Jenna była w stanie za nim nadążyć.

- Jesteś?! - zawołał do niej.
- Jestem.

Tunel zwężał się coraz bardziej. Upór Davida wręcz przeciwnie. Musiał ich wyprowadzić z pułapki, za wszelką cenę. Tylko dlaczego czuł, że przeciska się przez tubkę pasty do zębów? Martwił się, że wybrał niewłaściwy tunel. Ten był chyba o wiele węższy niż poprzedni. A jeśli popełnił błąd? A jeśli trafił z Jenną w ślepy zaułek? Co będzie, jeśli w nim ugrzęzną?

Wyobrazził sobie, jak kusztaki go dopadają. Odgryzą najpierw stopy, później zjedzą nogi, rozerwą jelita, a skórę zostawią wciśniętą w tunel. To będzie powolna śmierć.

Przystanął.

- Jesteś tam?
- Jestem - usłyszał słaby głos kobiety.

Była dość daleko. Zwolnił.

Zdawało się, że mijają wieki. Paznokcie Davida odrywały się od palców. Ściany tunelu były mokre i zatęchłe, a powietrze ciężkie. Przytłaczała go ta ciasnota. Nie, nie mógł się dekoncentrować.

Wreszcie dotarł do końca tunelu. Przepisnął się przez otwór, jednak znalazł się w kolejnej norze. Mniejszej od poprzedniej. Nie tego oczekiwał. Może była to porzucona spiżarnia albo pokój dziecinny

dla potomstwa kuszta? Jenna została daleko w tyle. Zawołał ją. Nic. Zawołał ponownie.

- Jestem - usłyszał w końcu.

Co za ulga.

Dostrzegł czubek głowy Jenny i rękę. Potem dziewczyna wyłoniła się cała z korytarza.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Tak - powiedziała. - Jestem. Wreszcie.

Davidowi oświetlił latarką twarz Jenny. To, co zobaczył, ścięło mu krew w żyłach. Kobieta wyszczerzała ostre ząbki i wpatrywała się w niego czarnymi oczami. Zwieracze mu puściły. Poczul na nogach ciepłą strugę.

To wcale nie była Jenna.

- Jestem. Wreszcie - powtórzyła kuszta. Przecięła powietrze łapą i powaliła Davida na ziemię.

Ogłuszony Livingstone zaczął szukać latarki. Poczul zimny, metalowy przedmiot na chwilę przed kolejnym uderzeniem w tył głowy. To był silny cios, zapewne kamieniem albo czymś tępym.

A potem przestał czuć. Nic nie widział. I nie wiedział, co wydarzy się później.

KIEDY DAVID SIĘ OCKNAŁ, stwierdził, że nie może się ruszać. Postanowił najpierw uspokoić łomot serca. Przyszła pora na wykorzystanie zdolności szamańskich. Wyciszył myśli. W końcu robił coś ważnego. Kusztaki zabrały mu syna. Zamordowały go, zanim się narodził, a on mógł tylko skremować ciało dziecka, żeby jego dusza nie zabłądziła, żeby mogła na nowo się narodzić.

Dusze Jenny i Bobby'ego wciąż błędziły. Niedobrze. Dusza Bobby'ego powinna trafić do Krainy Umarłych, a dusza Jenny - wrócić do świata żywych. To była właśnie misja Davida. Okraść kusztaki z dusz przyjaciół, tak jak kusztaki okradły go z dziecka.

Usiłował poruszyć rękami, palcami, ramionami. Udało się. Nie był sparaliżowany. Po prostu znajdował się w ciasnym miejscu. Czuł w ustach piach. Zraniona głowa pulsowała. Nie leżał do góry nogami, bo nie czuł w szyi zwiększonego ciśnienia. Tkwił po prostu w ostro nachylonym tunelu.

Dlaczego pozwolił, aby Jenna szła za nim, a nie przed nim? Głupi błąd. Stała się łatwą ofiarą dla szybkiego gryzonia. Natychmiast się poddała, bo była słaba i zmęczona. Nie zdołała go ostrzec. Kusztaki próbowały złamać Davida, ale on nie zamierzał się poddać. Dwa lata temu był idiotą, słabym i głupim, jednak tym razem tak łatwo nie odpuści.

Wyczuł swój pas, a za nim nóż. Nie zabrały go, bo to przecież metal. Ale gdzie podziła się latarka? Pamiętał, że ją złapał, zanim stracił świadomość. Czyżby ją upuścił?

Z wysiłkiem przyciągnął ręce do twarzy. Tunel był tak ciasny, że David wbił się łokciami w ściany. Wolno przesuwiał się w górę. Nie śpieszył się. Po pewnym czasie stwierdził, że ma przed sobą ślepa ścianę. To oznaczało, że wyjście z tunelu było od strony stóp. Ale jak głęboko się znajdował? Nie miał pojęcia. Może gdyby mocno się odepchnął, wydostałby się jakoś? Spróbował. Jego ciało drgnęło. Spróbował raz jeszcze.

W pobliżu rąk coś poczuł. To była latarka. Nie stracił jej. Z trudem wcisnął ją za pasek dzinsów. Potem wyjął nóż i przeniósł rękę nad głowę. Wbił ostrze noża w ziemię, tuż obok twarzy. Odepchnął się od rękojęści i zjechał kolejne półtora metra.

Po kilku próbach poczuł, że jego stopy wysuwają się z wlotu tunelu. Wreszcie uwolnił się z więzienia.

Stał w małej norze. Czuł, że jest pusta. Nie odważył się włączyć latarki. Próbował utrzymać równowagę i zebrać energię krążącą wokół. Ktoś czaił się w pobliżu, ale nie kusztaka. Jej energia byłaby agresywna i atakująca. Energia, którą czuł David, była bierna.

Jenna. To na pewno Jenna. Zaczął przemieszczać się wzdłuż ścian w poszukiwaniu kolejnego tunelu. Znalazł go kilka metrów dalej. Słyszał oddech dziewczyny. Przysunął się do otworu.

- Jenna? - szepnął.

Rozległ się stłumiony jęk. To była ona.

- Jenna, to ja, David. Wszystko z tobą dobrze?

- Nie mogę się ruszyć.

- Uspokój się - powiedział. - Wyciągnę cię stamtąd.

Wczołgał się do tunelu, ostrożnie przyciskając kolana do wlotu. Nie chciał wpaść do środka. Wyciągnął się najdalej, jak mógł. Ale Jenna znajdowała się głębiej.

- Jestem tu z tobą. Już w porządku. Wydostaniemy się stąd. Musisz powoli odpychać się rękami.

- Nie mogę się ruszyć.

- Możesz. Powoli przeciągnij ręce nad głowę i odepchnij się.

Zrób to.

- Nie dam rady - powiedziała i zaczęła płakać.

- Jenna, przestań. Możesz to zrobić. Mnie się udało. Jeśli mocno się odepchniesz, złapię cię za nogi i wyciągnę. Oddychaj głęboko. Skup się. Wyobraź sobie to, o czym ci powiedziałem. Że odpychasz się i że ja cię wyciągam.

- W porządku.

- Dobra, teraz się odepchnij.

- Nie mogę.
- *Możesz*. Odepchnij się. Już.

Poczuł nagły przypływ jej siły woli. Teraz się uda. Złapał najpierw jedną stopę, a później drugą.

- Oprzyj nogi o ściany tunelu - poleciał. - Trzymaj się. Zrobiła to. Działali wspólnie, aż w końcu David poczuł

Jennę przed sobą. Drżała z wysiłku.

- Wydostaliśmy się - powiedział. Wyciągnął latarkę zza paska i włączył ją.

- Przepraszam, Jenna, ale muszę sprawdzić.

Poświecił jej w oczy. Nic podejrzanego. Poprosił, żeby otworzyła usta. Zęby wydawały się w porządku. Ale to za mało. Wyciągnął nóż zza paska.

- Dotknij, proszę.

Wyciągnęła rękę i ujęła nóż. Nie palił jej. Nie wzdrygnęła się. A więc to była naprawdę Jenna.

- Gdzie jesteśmy? - spytała.

- Nie mam pojęcia - odparł. - Ale kusztaki są w pobliżu. Musimy uciekać.

Oświecił ściany. Przyjrzał im się dokładnie. Zauważył kilka tune- . Nagle coś usłyszał. Z jednego z korytarzy dochodził odgłos gwałtownego poruszenia. Woda. Ruch. Zwierzęta.

- Słyszę je. Chodźmy.

- Ale skoro one tam są, to czy nie powinniśmy pójść inną drogą?

- Musimy znaleźć Bobby'ego.

Jenna się nie poruszyła. Dawid poświecił na nią latarką. Miała spuszczoną głowę.

- O co chodzi?

- Boję się.

- Ja także. Ale to żaden argument.

Tym razem Jenna szła pierwsza. Tunel był obszerny i poruszali się znacznie szybciej. Dźwięk płynącej wody rozbrzmiewał coraz głośniejsze. Wreszcie znaleźli się w jaskini z podziemną rzeką.

Z drugiego końca pieczary wpadało światło. Jedna z mocno nachylonych ścian powinna prowadzić na powierzchnię.

Znajdowali się pod skalną półką. Na ziemi leżało mnóstwo wielkich kamieni. Pomieszczenie wydawało się duże. David uznał, że ma około sześciu metrów wysokości i trzydziestu trzech szerokości. Rzeka była raczej strumieniem - głębokim i niezbyt rwącym. Gdziekolwiek spojrzeli, widzieli wydry. Małe wydry. Małe kusztaki.

- Spokojnie, Jenna - powiedział łagodnie David.

Nie chciał, żeby spanikowała. Postarają się jakoś ominąć te maleństwa. Ale dorosłe kusztaki na pewno nie zostawiły małych bez opieki. David jednak chciał za wszelką cenę uniknąć spotkania ze strażnikiem. Jenna powinna zachować spokój, bo inaczej kusztaki wyczują jej energię. Z wolna sunęli w stronę rzeki.

- Jak znajdziemy Bobby'ego?

- Myślę, że to on znajdzie ciebie.

Szli skrajem jaskini, jak najdalej od kuszta. David postanowił jednak przyjrzeć się bliżej jednej z nich. Z daleka wyglądała jak szczur, z bliska jak wydra. „Prawdopodobnie nie mogą zmieniać postaci, dopóki nie dorosną” - pomyślał. Ale nie był pewien. Wiedział, że wydry są podobne do ludzi i że nie osiągają dojrzałości przez kilka lat. Matki muszą nauczyć maluchy pływania i zdobywania pożywienia. Młode są bardzo mądre. Ale to nie wyjaśniało, dlaczego kusztaki przybierają postać innych zwierząt. I ludzi.

David wiedział również, że kusztaki nie są ani dobre, ani złe. Po prostu są. Trzymają się razem i starają się przemienić każdego, kogo napotkają. Miał nadzieję, że te właśnie ich cechy sprawią, że Jenna i Bobby zdołają odejść. Z pewnością szaman będzie więcej wart dla kusztak niż dusze dwojga ludzi. Puszczą Jennę i Bobby'ego, żeby dopaść Davida. To był jego plan. Ale najpierw trzeba odnaleźć chłopca.

Nagle Jenna przystanęła. David prawie na nią wpadł. Na ziemi, kilka stóp od nich, siedziała kusztaka i karmiła swoje młode. Była w połowie wydrą, a w połowie człowiekiem, miała futro, ale też ludzką głowę. Pięć futrzastych kulek ssało mleko z jej piersi. Oboje przyglądali się widowisku. Jenna z przerażeniem, a David z podziwem.

Szaman dał znak dziewczynie, żeby zachowywała się cicho. Ruszyli dalej, wzdłuż ściany.

- Mamusiu?

Przed nimi wyrósł nagle mały chłopiec.

Jenna zamarła. Chciała do niego podejść, ale się powstrzymała. Po wszystkim, co przeżyła, czuła zamęt. Nie ufała instynktowi.

- Cześć, Bobby. Jestem David.

Chłopiec popatrzył na szamana podejrzliwie i niepewnie cofnął się o krok.

- Nie odchodź, Bobby. Jesteśmy tutaj, żeby ci pomóc.

David z wyciągniętą ręką ruszył w stronę malca, który nerwowo zerkał to na szamana, to na Jennę.

- Powiedz małemu, że nic mu nie grozi.

Jenna nie mogła wydobyć z siebie głosu. Zakryła usta dłonią i pokręciła głową. Czym stał się jej syn? Czym teraz jest?

- Jenna.

Nie umiała tego zrobić, David nie miał zatem wyjścia. Rzucił się na Bobby'ego, ale chłopiec był zbyt szybki. Uciekł i ukrył się przed nimi.

- Jenna, musisz mi pomóc! - rzucił David. - Musisz go przyprowadzić.

Kobieta była w szoku, oczy miała pełne łez.

- Proszę cię. Zaszliśmy już tak daleko. Zawołaj go.

Posłuchała go. Czekali. Po chwili za ich plecami odezwał się głosik.

- Kim jest ten pan?

Odwrócili się i znów zobaczyli Bobby'ego.

- Powiedz mu, kim jestem.

Wzięła głęboki oddech.

- To David. Jest naszym przyjacielem - rzekła.

- Poproś go, żeby do ciebie podszedł.

Dziewczyna uklękła i wyciągnęła ręce.

- Chodź do mamy, Bobby.

Po chwili wahania chłopiec pozwolił się przytulić.

- Uspokój go. Powiedz, że wszystko jest w porządku.

Zrobiła to. Trzymała go. David położył dłoń na ramieniu Bobby'ego. Ale wtedy dziecko odskoczyło i zniknęło.

Rozejrzeli się wokół.

- Jest zbyt podejrzliwy - powiedział David. - Nie pójdzie z nami.

- To co robimy? - zapytała Jenna.

David wiedział, co powinni zrobić. Musieli wydostać się jak najszybciej z jaskini. Z Bobbym, żywym lub martwym. To nie miało większego znaczenia. Chłopiec i tak już nie żył. A szaman nie miał czasu na wyjaśnianie wszystkiego jego matce.

- Jenna, musisz go uderzyć.
- Co?
- Jest dla nas zbyt szybki. Zawołasz go i obezwładnisz.

Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

- Nie.
- Jenna, on nie żyje. Umarł dwa lata temu. Cokolwiek zrobisz, to go nie zaboli. Rozumiesz?

- Nie.

David westchnął. To było bez sensu. Jak mógł prosić matkę, żeby skrzywdziła swoje dziecko? A jednak musiał jakoś ją przekonać.

- Jenna, czy chcesz ocalić duszę syna?

- Przestań.

- Zaufaj mi. To jedyny sposób. Jeśli tego nie zrobisz, on zostanie tu na zawsze. Ta kobieta, którą widziałaś z małymi wydrami. Ona też kiedyś była człowiekiem. Czy takiego chcesz losu dla swojego syna?

Twarz Jenny się zmieniła. Dziewczyna powiedziała coś bezgłośnie i skinęła głową. David podniósł kamień wielkości dłoni.

- Weź to. Zawołaj Bobby'ego, a kiedy podejdzie, uderz. Wystarczy, że go oszołomisz.

Położyła kamień obok. Uklękła i zawołała synka. Po kilku chwilach Bobby się pojawił.

- Kim jest ten pan? - zapytał znowu.
- To nasz przyjaciel. Pomoże nam stąd wyjść.
- Ale ja chcę zostać.
- To nie jest miejsce dla ciebie.
- Chcę zostać. Razem z tobą, mamusiu.
- Bobby, to nie jest miejsce ani dla mnie, ani dla ciebie. Chodź ze mną. Wszystko będzie dobrze.

- Nie chcę.

Jenna zwiesiła głowę. Nie chciała skrzywdzić syna, ale Bobby nie ułatwiał jej sprawy. David miał rację. Na pewno. Musiała mu zaufać.

Wyciągnęła ramiona. Bobby podszedł do niej. Wzięła go w objęcia, wiedząc, że nadszedł czas, aby wszystko naprawić.

Prawą ręką podniosła kamień i uderzyła go w skroń. Tylko raz. Bobby upadł na ziemię. Jenna patrzyła na chłopca, nie wierząc, że to zrobiła.

David natychmiast znalazł się przy niej. Zdjął koszulę i otulił nią dziecko, a potem podniósł bezwładne ciało.

Gdy ruszył przed siebie, Jenna ani drgnęła. Wciąż klęczała z kamieniem w ręku.

- Jenna, musimy iść.

Popatrzyła na Davida. Tego nieustępliwego i wytrzymałego mężczyznę, który nie pozwalał jej się zatrzymać. Musieli iść. Musieli.

Szli wzdłuż rzeki, która w pewnym miejscu przeszła w jezioro. Woda była czysta, ale dno ciemne. Nie wiedzieli, czy jest głębokie.

Dalej rzeka się rozgałęziła. Jedna struga niknęła gdzieś w mroku. Drugi nurt biegł w stronę światła, na powierzchnię. Przy brzegu zauważyli dwie dorosłe kusztaki.

- Jak je wyminiemy? - spytała Jenna.

- Po prostu przejdziemy obok nich - powiedział David. - Jenna, posłuchaj. Zachowaj czysty umysł. Odsuń od siebie wszystkie myśli. Nic nie mów. Musimy być całkowicie przezroczyści. Musimy przejść obok nich tak, jakbyśmy też byli kusztakami.

- Skąd wiesz, że to zadziała?

- Nie wiem.

Zbliżyli się do ludzi-wydr. Nikt ich nie ścigał. Strażnicy chyba ich rzeczywiście nie zauważyli. Rozmawiali swoim dziwnym językiem.

Byli potężni i przerażający, jednak David odpychał od siebie wszystkie myśli. Miał nadzieję, że Jenna robi to samo. Ale również tę myśl musiał wyrzucić z głowy. Zachować czysty umysł, tylko to się liczyło. Ani jednej myśli o Jennie, o Bobbym i o kusztakach.

Kiedy minęli strażników, przyspieszył. Widzieli już światło dnia. Słyszeli szumiące na wietrze liście. Wyjście na powierzchnię znajdowało się naprawdę niedaleko.

Jenna przysunęła się do niego.

- Dlaczego nas nie zatrzymały? - zapytała głośno i dopiero wtedy zrozumiała, jaki błąd popełniła. Obejrzel się. Jedna z kusztak pisnęła. Druga zaczęła ich gonić.

- Biegnij! - krzyknął mężczyzna.

Gdy dotarli do wyjścia, David rzucił Jennie Bobby'ego.

- Zachowaj czysty umysł! Szukaj ścieżki przez las. Kiedy ją zobaczysz, będziesz wiedziała, że to ta.

- Ale dokąd...?

- Do Krainy Umarłych. Bobby musi...

- Nie...

- Jenna...

- Chcę, żeby ze mną został!

- Nie ocalisz jego ciała, ale możesz ocalić duszę. Szybko!

- A co z tobą?

Nie odpowiedział. Odwrócił się i pobiegł z powrotem w głąb groty. Nadciągający strażnik już miał uderzyć go pazurami, gdy szaman wbił mu nóż pod ramię. Kusztaka wrzasnęła przeraźliwie i upadła na piach.

- Zaufaj lasowi, Jenna!

Posłuchała. Przestała myśleć. Biegła, dopóki nogi nie odmówiły jej posłuszeństwa. Wtedy zatrzymała się, żeby zaczerpnąć powietrza. Położyła Bobby'ego na ziemi, obok przewróconego drzewa. Usiadła przy synu. Musiała odpocząć. Rozpaczliwie odsuwała od siebie wszystkie pytania.

To było jak koszmarny sen.

KUSZTAKI OTACZAŁY SZAMANA z każdej strony. Sprawiały jednak wrażenie zdeorientowanych i niedyscyplinowanych. Biegały w kółko, nosiły swoje małe. Działy chaotycznie, co zdziwiło Davida. Przypominały ludzi - bardziej, niż mu się kiedyś wydawało.

Wreszcie pojawił się szaman. Ogromny, podobny do niedźwiedzia.

- Gdzie kobieta i chłopiec? - zażądał odpowiedzi.

- Puście ich, a ja zostanę z wami - odparł David.

Szaman kuszaka się uśmiechnął.

- Tak czy inaczej zostaniesz z nami.

Potem coś warknął. Kilka kusztak próbowało przejść obok Davida, aby ruszyć w pościg za Jenna, ale on wyciągnął nóż. Zawahały się. Ich szaman warknął ponownie, tym razem ostrzej. I nagle wszystkie istoty, które stały przed Davidem, zaczęły się przemieniać. Przybierały postać wydr.

- Cholera! - mruknął.

Były dla niego zbyt szybkie. Niewiele myśląc, rzucił się na szamana kuszakę. Dopiero kiedy ten z łatwością powalił go na ziemię, David zrozumiał, że był to nedorzeczny pomysł. Pewnie kuszaki znowu wtrąca go do więzienia w środku ziemi. Będą go tam trzymać, dopóki nie złamią jego woli. Wtedy rozpocznie się przemiana.

Przez całą wieczność będzie żarł surowe ryby.

Postanowił jeszcze raz spróbować ucieczki. Stanie się przejrzysty. Wolny od wszelkich myśli. Może nie wszystko stracone.

Zaczął wymachiwać nożem, zmuszając otaczające go stworzenia, żeby cofnęły się o kilka kroków, a potem pobiegł w głąb jaskini. Wpadł na jeszcze jeden pomysł. Szamański mieszek, źródło siły i energii, przyciąga uwagę. Musi go wyrzucić. Jeśli to zrobi, ludzie wydry ruszą tropem woreczka z językiem ich szamana, a nie śladem Davida. Ale wiedział, że bez mieszka straci moc. Już nie będzie szamanem. Trudno.

Zerwał mieszek z szyi. Trzymał go przez chwilę w dłoni. A kiedy dotarł do jeziora, rzucił go jak najdalej od siebie i zanurkował.

Woda była lodowata. Przytrzymał się jakiegoś kamienia. Zaczęło mu brakować powietrza. Wyciągnął zza paska latarkę. Odkręcił szkiełko, opróżnił tubkę. To już nie była latarka, tylko fajka do nurkowania. Jeden jej koniec włożył do ust, drugi wystawił nad powierzchnię.

Z największym wysiłkiem odcinał się od myśli. Czy kusztaki go znajdują? Pod wodą niczego nie widział i nie słyszał. Nie miał pojęcia, co się wydarzy. Musiał czekać.

Na powierzchni panowało zamieszanie. Kusztaki szukały swojej ofiary. Ich szaman szalał z wściekłości, zwłaszcza gdy zobaczył mieszek Davida.

Livingstone nie wiedział, jak długo wytrzyma pod wodą. Jednym z szamańskich rytuałów była poranna kąpiel w lodowatej wodzie. Miała budować siłę charakteru, ale czy tylko? Może jego mistrzowie wiedzieli, że pewnego dnia będzie musiał ukrywać się w zimnym

jeziorze przed kusztakami?

Kiedy zobaczył wydrę na brzegu, zrozumiał, że przyciągnęły ją jego myśli. Na szczęście nie patrzyła w dół. Przyglądała się otoczeniu, a potem odeszła.

David poczuł ulgę. Było blisko. Ale wtedy kusztaka znów się pojawiła. Nadal nie widziała szamana, choć wpatrywała się w powierzchnię wody. Coś przykuło jej uwagę. Tylko co? Latarka. Oczywiście.

Kusztaka sięgnęła po latarkę, a on nie wiedział, co robić. Jeśli człowiek-wydra dotknie metalu, na pewno się sparzy. A wtedy rozpęta się piekło. David musiał uniemożliwić to odkrycie. Błyskawicznie złapał stwora za szyję. Zanim kusztaka zdążyła się zorientować, wbił jej ostrze głęboko w pierś i przekłuł serce.

Co dalej? David uniósł głowę nad wodę i się rozejrzał. Czy narobił hałasu? Chyba nie. Nikt nie zmierzał w jego stronę. Nagle wpadł na pewien pomysł na okpienie wydr.

Wyciągnął martwą kusztakę na brzeg i zaczął obdzierać ze skóry. Futro łatwo odchodziło od mięsa. Było dużo krwi, ale kto by to zauważył w ciemności? Martwą istotę wrzucił do jeziora.

David zdjął buty i dżinsy, a potem szybko się owinął ociekającym krwią okryciem. Skulony ruszył w stronę wyjścia.

Po raz kolejny wyrzucił z głowy wszystkie myśli. Miał szczęście. Kilka innych kusztak wychodziło właśnie z jaskini. David przyłączył się do nich.

Kiedy znalazł się na powierzchni ziemi, ruszył w stronę plaży. Pozostawił na sobie okrycie. Już nie ze względu na bezpieczeństwo, lecz dojmujące zimno.

Szedł wzdłuż brzegu. Myślał o domu. Pragnął schronić się w jego wnętrzu, pragnął ogrzać się przy ciepłym kominku, pragnął gorącego jedzenia, kawy i snu przy trzaskających odgłosach palącego się drewna.

Te myśli dodały mu otuchy. Przyspieszył. Po chwili zaczął biec. Utracił szamańskie moce, ale wciąż był człowiekiem.

JENNA PATRZYŁA NA LEŻĄCEGO na ziemi Bobby'ego. Śliczny, owinięty koszulą chłopiec. Jenna odchyliła materiał. Całe ciało dziecka pokrywało futro. Spostrzegła sierść również na swoich ramionach. Zadrżała. Przypomniała sobie chwile spędzone w tunelach z obrzydliwymi wydrami. Przekonywały ją, że Jenna niebawem polubi to futro, że wkrótce uzna je za piękne.

Rozejrzała się. Próbowana zgadnąć, w którym kierunku ma iść. I wtedy coś zobaczyła. Nie ścieżkę. Nie znak. Nie. Coś bardziej przerażającego. Czyjaś postać. Ktoś tam był. Ciemną sylwetkę, która szybko zniknęła za drzewami.

Ruchy.

Dźwięki.

Zrozumiała, że wydry ją znalazły, że wróciły.

Chciała tylko chwilę odpocząć, ale widocznie zwlekała zbyt długo i myślała zbyt intensywnie. Co powinna teraz zrobić? Chyba po prostu się podda. Wróci do szamana kusztaki i będzie błagała o litość.

Nie. Zmusi się do wysiłku. Dla Bobby'ego. W jej głowie zabrzmiały słowa Davida - „Zaufaj lasowi. Oczyść umysł?”. Szybko wstała i podniosła synka. Myśli precz z głowy. Zerwała się. Uciekała tak szybko, jak tylko mogła.

Wierzyła Davidowi, że ścieżka będzie wyraźna, ale przedzieranie się przez gałęzie z Bobbym stawało się coraz trudniejsze.

Biegła. Las nie miał końca. Gałęzie chłostały jej ramiona i nogi. Robiło się coraz ciemniej. Nie była pewna, czy kusztaki ciągle ją gonią, słyszała tylko własne kroki. Zatrzymała się, żeby ustalić swoje położenie.

Miała wrażenie, że las wokół niej wciąż się porusza. Ale nie wy czuła obecności ludzi-wydr. Gdzie się podziali?

Posadziła Bobby'ego plecami do drzewa. Drogę tarasowały im zwalone pnie i grube konary. Jenna poczuła się jak w potrzasku.

Ale wtedy coś usłyszała. Szczekanie.

Przysłuchiwała się chwilę. Tak, to na pewno pies. Zamknęła oczy i zrobiła to, o co prosił David: „Oczyść umysł. Zaufaj lasowi”.

Otworzyła oczy. Rozejrzała się i dostrzegła prześwit między krzewami.

Podniosła Bobby'ego i przecisnęła się przez wąskie przejście z gałęzi. Miała wrażenie, że krzewy rozdzielają się przed nią, że tworzą ścieżkę.

Ujadanie się nasiliło. Gałęzie przestały ranić skórę Jenny. Dziewczyna ujrzała promienie słońca w koronach drzew i poczuła zapachy. Cedr i cynamon. W trawie dziko rosły fioletowe kwiaty.

Szczekanie było już bardzo blisko. Jenna wyszła na brzeg rwącej rzeki. Po drugiej stronie zobaczyła psa.

Położyła Bobby'ego nad wodą. Nie wiedziała, co dalej. Przeprawa przez rzekę nie wchodziła w grę. Na przeciwnym brzegu widać jednak było *canoe*. I las, z którego zaczęli wynurzać się ludzie.

Było ich coraz więcej, machali do niej. Jakaś staruszka w towarzystwie dwóch mężczyzn wsiadła do łodzi i zaczęła wiosłować w kierunku Jenny i Bobby'ego.

Kobieta z siwymi włosami i z szarymi oczami wysiadła z *canoe*. Wyglądała znajomo.

- Babcia? - zapytała ze zdumieniem Jenna. Staruszka się uśmiechnęła i dotknęła twarzy chłopca, który otworzył oczy.

- Chodź - ponagliła go po prostu.

Jenna patrzyła ze zdumieniem, jak Bobby mruga i lekko drząc, wstaje. Był nagi. Kiedy się wyprostował, spostrzegła wydrzy ogon, który jednak natychmiast zniknął pod dotknięciem staruszki.

- Koniec z tym. Już ci niepotrzebny - powiedziała babcia Jenny.

Kiedy Bobby się obejrzał, jego oczy były znowu niebieskie. Tak jak kiedyś. Babcia Jenny wzięła prawnuka za rękę i poprowadziła do *canoe*.

- Mamusiu, chodź z nami - poprosiło dziecko, ale staruszka zatrzymała Jennę gestem.

- Ona przyjdzie do nas później - pocieszyła Bobby'ego.

Na twarzy chłopca odmalowało się przerażenie. Podbiegł do Jenny.

- Mamusiu, nie zostawiaj mnie!

Jenna go przytuliła. Nie chciała puścić syna, ale czuła, że musi to zrobić. W końcu podniosła koszulę Davida i pomogła Bobby'emu ją włożyć. Podwinęła rękawy, żeby było widać dłonie. To nie był najlepszy strój dla małego chłopca, ale Bobby i tak wyglądał w nim słodko.

- Teraz nie mogę, kochanie. - Popatrzyła na syna. Wygładziła ręką jego potargane włosy. Chciała być z nim. Tak bardzo tego

pragnęła. - Ale już niebawem przyjdę. Idź teraz z prababcią. Ona się tobą zajmie.

Delikatnie popchnęła Bobby'ego, który chyba zrozumiał, że nie ma się czego bać, i ruszył w stronę staruszki.

Prababcia pomogła mu wejść do *canoe*. Dwaj mężczyźni zepchnęli łódź na rzekę.

- Cześć, mamusiu! - Bobby pomachał jej.

Jenna także pomachała. Po jej policzkach spływały łzy. Cześć, Bobby.

Długo stała na brzegu Rzeki Łez. Na wprost Krainy Umarłych.

EDDIE PATRZYŁ TĘPO PRZEZ OKNO, gdy nagle zauważył Jennę idącą po plaży. Wyglądała na bardzo zmęczoną. Chłopak ucieszył się, że jest bezpieczna. Ale też bardzo się zdenerwował. Nie wiedział, jak wszystko dalej się ułoży.

Robert w kuchni podgrzewał zupę. Eddie zastanawiał się, czy nie podbiec do Jenny. Mógłby ukryć się z nią w lesie tak, żeby Robert nigdy ich nie znalazł.

Ale co dobrego by z tego wynikło? Kto by na tym skorzystał? I dlaczego Eddie zakładał, że Jenna go opuści? Może zechce z nim zostać. Może zamieszka z nim we Wrangell. I będą żyli długo i szczęśliwie, jak sama to ujęła. Będą mieli kilkoro dzieci, które nauczą, jak bronić się przed kusztakami.

Robert z łyżką w ręku wyszedł z kuchni.

- Gotowe, jeśli masz ochotę.

Nie usłyszał odpowiedzi. Podążył spojrzeniem za wzrokiem Ediego. Zobaczył Jennę i pobiegł do drzwi.

- Zaczekaj - powiedział Eddie, zatrzymując Roberta. - To może nie być ona.

Mężczyzna się zawahał.

- To jest ona - powiedział z przekonaniem i otworzył drzwi.

Eddie widział, jak Jenna wpada w ramiona Roberta, jak on prowadzi ją do domu, jak podchodzą razem do drzwi.

I nagle zrozumiał, jak skończy się ta historia. Dokładnie tak, jak zapowiedział Joey. Jenna z nim nie zostanie. To niemożliwe. Chłopak zaszył się w kącie, zdziwiony, jak w ogóle mógł mieć złudzenia.

Robert ustawił dla Jenny krzesło przy kominku, szukał koca. Kiedy dziewczyna zaczęła dochodzić do siebie, stał przy niej jak wierny pies.

- Jest coś do jedzenia? - zapytała.

Jedzenie. Oczywiście. Gorąca zupa. Robert pospieszył do kuchni, żeby ją przynieść.

Jenna wpatrywała się w ogień. Czuła na sobie wzrok Eddiego, ale nie wiedziała, co powiedzieć. Eddie także nie wiedział.

- Mam ochotę na prysznic - oświadczyła.

Eddie kiwnął głową. Patrzył, jak Jenna wychodzi z pokoju.

ROBERT DOSKONALE zdawał sobie sprawę, że Jenna nie potrzebuje teraz zupy. Pod prysznicem raczej się nie je. Ale nie mógł dłużej czekać. Chciał jej tak wiele powiedzieć.

Wszedł do łazienki. Miskę z zupą postawił na umywalce. Jenna stała w porcelanowej wannie za białą zasłonką. Po jej ciele spływała gorąca woda. W powietrzu unosiła się para, która otulała ściany i lustro.

- Jenna... przyniosłem ci zupę... Usłyszał niewyraźne podziękowanie.

- Wiem, że jesteś naprawdę zmęczona, ale muszę z tobą porozmawiać.

Nie odpowiedziała, mówił więc dalej:

- Dużo myślałem... Szczególnie tutaj, kiedy czekałem na twój powrót. Potrzebuję cię, Jenna. Odkąd Bobby umarł, właściwie nie byliśmy razem.

Nie. To nie to. Nie powiedział tego, co naprawdę chciał powiedzieć.

- Cholera. Nie chodzi tylko o to, czego ja chcę. Wiem, zawsze troszczyłem się o to, jak ja się czuję, jak na mnie wpływają różne rzeczy. Nie troszczyłem się o twoje uczucia. Chcę, abyś wiedziała, że teraz będzie inaczej.

Robert podszedł do wanny.

- Jenna, jesteś w moim życiu najważniejsza. Może tego nie okazywałem... Byłem idiotą. Bobby także był dla mnie najważniejszy. A kiedy go straciliśmy, przestałem myśleć. Odtrąciłem cię. Mogłem przejść przez to razem z tobą. I wiem, że jest za późno. Już tego nie zmienię. Ale przepraszam.

Stał przy zasłonce. Ona była w środku. Nie widział jej, jednak wiedział, że tam jest, za białym kawałkiem plastiku.

- Jeśli wszystko spieprzyłem, pozwolę ci odejść. Chciałem ci tylko wyjaśnić, że rozumiem, co się stało.

Czekał na jakiś znak. Zostań albo idź. Ale Jenna milczała. Robert ruszył w stronę drzwi. Zanim przekręcił gałkę, odwrócił się po raz ostatni. Dlaczego ona nic nie mówi? Dlaczego na niego nie popatrzy?

Nagle usłyszał płacz. Odsunął róg zasłonki i zobaczył Jennę skuloną pod ścianą, obejmującą się ramionami, z twarzą ukrytą w dłoniach. Jakby próbowała ochronić przed czymś samą siebie. Wreszcie wstała i wyciągnęła do niego ręce.

Robert wszedł do wanny i przytulił żonę. Woda obmywała ich gorącymi strumieniami. On też nie mógł powstrzymać łez. Obejmował Jennę jak wtedy, kiedy się poznali. Jak wtedy, kiedy zrozumiał,

że ją kocha.

Zniknęły ból, żal i złość.

Pozostała ulga i uczucie, że na nowo się odnaleźli.

BYŁO OKOŁO DZIESIĄTEJ. Jenna już spała. Robert i Eddie czuwali przy kominku. Martwili się o Davida. Zdecydowali, że jeśli do rana nie wróci, zadzwonią do jego żony. Wzięli również pod uwagę to, co powiedziała im Jenna: jeżeli nie pojawi się przed świtem, będzie to oznaczało, że stało się coś złego.

W końcu usłyszeli skrzypnięcie drzwi i zaraz potem odkręcaną wodę. Pobiegli sprawdzić, czy to Livingstone.

David stał nagi przed zlewem. Zmywał z siebie krew i brud. Usłyszawszy Roberta i Eddiego, podniósł wzrok.

- Czy Jenna wróciła?

- Kilka godzin temu - powiedział Robert. - Wszystko z tobą w porządku?

- Tak. A z nią?

- Też. Poszła spać.

- Dobrze. Czy mówiła, że się udało?

- Powiedziała, że to zrobiła, czymkolwiek jest „to”.

David się uśmiechnął i wytarł ręcznikiem.

- Jestem pewien, że pewnego dnia wszystko ci opowie.

Obwiązał się ręcznikiem i wszedł do kuchni. Wyciągnął słoik masła orzechowego oraz pudełko krakersów.

- Umieram z głodu.
- Przynieść ci jakieś ubrania? - spytał Eddie.
- A wiesz, gdzie są?
- Wiem, gdzie jest wszystko w twoim domu - zażartował chłopak, wychodząc z kuchni.

Robert patrzył, jak David zajada krakersy.

- Co się tam wydarzyło?
- Nie uwierzyłbyś - powiedział mężczyzna, potrząsając głową.
- Uwierzę. Bo tutaj również coś się wydarzyło.

Przez chwilę David patrzył Robertowi w oczy. Pokiwał głową. Potem otworzył szafkę i wyjął z niej butelkę brandy.

- Tylko na specjalne okazje - powiedział.
- Czy to specjalna okazja?
- Tak. - David się uśmiechnął. - Myślę, że można ją do takich zaliczyć.

PÓŹNIEJ WSZYSTKO POTO CZYŁO SIĘ bardzo szybko. Jenna miała poczucie, że powinni odprawić na koniec jakiś rytuał. Ale nic takiego nie zrobili.

Przespała całą noc. Robert obudził ją wcześniej rano. Tom ze sklepu już przyszedł. Niecierpliwił się, bo chciał jak najszybciej wyruszyć w drogę. Po szybkim pożegnaniu z Davidem Tom zabrał Roberta, Jennę i Eddiego z powrotem do miasta. W Klawock czekał na nich Field. Odtransportował ich do Wrangell.

Kiedy szli przystanąć w kierunku Main Street, Jennę ogarnęła panika. To jedyna szansa na pożegnanie z Eddiem. Do tej pory nie miała okazji z nim porozmawiać, nie miała okazji wyjaśnić

wszystkiego. A było tyle do wyjaśnienia. Tak wiele chciała mu powiedzieć.

Ciężarówka chłopaka stała obok przystani. Jenna ucieszyła się, że Eddie odwiezie ich na lotnisko. Czekał ją lot do Juneau, a stamtąd do Seattle. Razem z Robertem. Przed wieczorem będą w domu.

Jechali na lotnisko w milczeniu. Kiedy minęli ciche witryny sklepowe, szare od pochmurnego nieba, poczuła pustkę w środku. Jakby miała już nigdy tędy nie przejeżdżać. To było zamknięcie, którego oczekiwała, ale nie tak je sobie wyobrażała. Zupełnie jakby zatrzaśkiwała drzwi pustego pokoju, który kiedyś był pełen życia, a teraz przestał być potrzebny.

Gdy dojechali na lotnisko, samolot czekał już na pasie startowym. Eddie podjechał pod terminal.

- Odlot za pół godziny - powiedział. - Zajmę się biletami.

Ale się nie ruszył. Wszyscy trwali w bezruchu, jakby chcieli nadać temu momentowi należyłą wagę. Potem Robert wyciągnął rękę do Eddiego i uściśnął mu dłoń. A potem wysiadł z ciężarówki i pobiegł do terminalu.

Eddie wyłączył silnik. On i Jenna milczeli.

- To dobry facet - powiedział Eddie. - Jak się go już pozna.

Jenna się zaśmiała.

Znowu zapadła cisza.

- Przepraszam - powiedziała w końcu.

- Niepotrzebnie. Mieliśmy, co mieliśmy, i oboje dobrze wiedzieliśmy, do czego to wszystko zmierza. Tyle... - odparł.

- Wiem, ale...

Uśmiechnął się nieszczerze. Widziała, że stara się robić dobrą minę do złej gry. Sama też zmusiła się do uśmiechu.

- Będę tęsknić.

Eddie sięgnął do kieszeni i wyciągnął srebrny łańcuszek. Amulet z kusztaką.

- Zapomniałeś o tym. Znalazłem to na szafce w twoim pokoju.

Jenna wzięła naszyjnik i przyjrzała mu się. Chciała go zatrzymać, wiedziała jednak, że nie może. Już do niej nie należał.

- Chcę, żebyś go zatrzymał - powiedziała, oddając amulet Ed-
diemu. - Żebyś mnie nie zapomniał.

Przyjął naszyjnik.

- I tak bym nie mógł.

To nie był dobry czas na rozmowę. Jenna czuła wprawdzie, że chce tak wiele powiedzieć, ale miała świadomość, że słowa, szczególnie te gładkie, z pozoru mądre, są nie na miejscu.

- Lepiej już idź - powiedział Eddie, wskazując Roberta, który wychylił głowę z terminalu.

Jenna pocałowała chłopaka w policzek. Wsiadła z samochodu. Nie oglądała się za siebie.

Eddie pojechał na koniec pasa. Włożył naszyjnik od Jenny. Przez chwilę trzymał srebrny amulet w palcach. Przypominał sobie, jak to było - trzymać Jennę w ramionach. Usiadł na masce i czekał. Chciał widzieć, jak ona odchodzi. Chciał widzieć, jak znika z jego życia. Równie nagle i nieoczekiwanie, jak się w nim pojawiła.

Samolot z ogłuszającym rykiem przebił szary sufit chmur.

W DOMU WŁĄCZYLI ŚWIATŁA. Wszystko było inne, chociaż nic się nie zmieniło.

Dochodziła dziewiąta wieczorem, ale zdecydowali, że wyjdą coś zjeść. Robert poszedł na piętro, żeby wziąć prysznic i się przebrać. Jenna snuła się po domu. Na nowo uczyła się własnego życia.

W kuchni naląła sobie szklankę wody. Dostrzegła wypalony znicz na talerzu obok zlewu. Wieki temu. Wszystko wydawało się takie odległe. Zostawili to z Robertem za sobą.

Usiadła przy stole kuchennym i przejrzała pocztę, głównie same śmieci, rozrzucone gazety, i poczuła, że być może źle wybrała. Ale wiedziała, że nie mogła dokonać innego wyboru. Musiała sprawdzić. Musiała się przekonać, czy dystans między nią a Robertem można zmniejszyć. Nie mogła tak po prostu odrzucić dawnego życia.

Tylko dlaczego wciąż czuła, że coś jest nie tak? Dlaczego czuła brak i pustkę?

Znała odpowiedź na te pytania.

Wszystkie uczucia zmieniają się z czasem. Dokonała wyboru. A jednak coś się wydarzyło. Nie od razu o tym zapomni.

Jego numer telefonu miała zanotowany na kartce, którą schowała w portfelu. Rozwinęła papierek. Powinna go wyrzucić. Nic dobrego nie wynikłoby z...

Pomyślała o głosie Eddiego, jasnym i wesołym, i postanowiła mimo wszystko zadzwonić. Robert nadal był pod prysznicem. Słyszała, jak płynie woda. Nigdy się nie dowie. Tak, zadzwoni do Eddiego i powie mu to wszystko, co chciała powiedzieć w samochodzie. Wyjaśni, dlaczego zrobiła to, co zrobiła. Tak wiele jest mu winna. Ocalił ją. Kiedy wszyscy się odwrócili, on ją ocalił. Za to go pokochała.

Czy Eddie poczuje się wtedy lepiej? Chyba nie. Powinien jednak wiedzieć. Bała się. Powinna się pożegnać. Chociaż tyle była mu winna. Powinna powiedzieć, że dotarła bezpiecznie do domu. I że już za nim tęskni.

Wykręciła numer i usłyszała trzy sygnały. Widziała Eddiego, jak idzie korytarzem w znoszonych dżinsach i starej koszulce. Jak sięga po czarny telefon w pokoju.

Nie było jednak odpowiedzi. Cztery, pięć.

Jak stoi w kuchni. Jak wyłącza ogień pod patelnię. Jak wyciera ręce w ściereczkę. Jak układa naleśniki na talerzu, zanim odbierze telefon.

Siedem, osiem.

Jak wychodzi spod prysznica i szybko wyciera gładkie ciało jedną ręką. Jak nagi biegnie korytarzem z ręcznikiem przyciśniętym do piersi.

Jedenaście, dwanaście.

Dom, pusty i cichy. Głucha skorupa. Cisza zmacona przez brzęczenie małego czarnego pudełka. Jenna ma nadzieję, pragnie, żeby ktoś odebrał. Ktokolwiek.

Piętnaście, szesnaście, siedemnaście...

POSŁOWIE

Kiedy mój wydawca postanowił wznowić po latach powieść *Cień kruczych skrzydeł*, bardzo się ucieszyłem. Miałem jednak poważne obawy. Bałem się, że spojrzę na moją pierwszą powieść, napisaną trzynaście lat wcześniej, i poczuję, że całe fragmenty trzeba wyrzucić.

Na szczęście skończyło się na ingerencji w dwa pierwsze rozdziały oraz na wycięciu wulgaryzmów pojawiających się w pierwszym wydaniu. (Nie wiem dlaczego, ale kiedy miałem trzydzieści jeden lat, uważałem przeklinanie za najbardziej istotną formę ekspresji pisarza. Być może teraz, kiedy moje dzieci są starsze, wolę im pokazać starego ojca z innej strony...).

Przygotowując kolejne wydanie, śmiałem się z absurdalności pewnych rzeczy - świat bez telefonów komórkowych? Brak internetu? Czasem trudno w to uwierzyć, że w 1996 roku staliśmy u progu rewolucji cyfrowej. Byliśmy tacy dumni z naszej technologii, a teraz telefon wielkości karty kredytowej ma więcej pamięci niż pokój pełen komputerów. Nie aktualizowałem kwestii technologicznych, ponieważ uważam, że książka powinna zachować tę niewinność ery przedcyfrowej.

Moja mama urodziła się we Wrangell na Alasce, a babcia w Point Ellis. Prababcia, Tlingitka czystej krwi, mieszkała w Klawock, ale dokładne miejsce jej narodzin nie jest mi znane. Ja nie urodziłem się na Alasce, nie wychowywałem się w kulturze Tlingitów, choć figuruję w *Central Council of the Tlingit and Haida Indian Tribes of Alaska* i jestem udziałowcem w Sealaska. Krótko mówiąc, jestem Indianinem bardziej przez krew niż kulturę.

Polityka rządu Stanów Zjednoczonych wobec pierwotnych ludów Alaski pozbawiła jedno lub dwa pokolenia Tlingitów kulturowych korzeni. Nie można jednak powiedzieć, że ich tradycja nie przetrwała. Wielu współczesnych Indian stoi na straży języka, rytuałów, sztuki przodków i upowszechnia swoje dziedzictwo w internecie.

Nie jestem specjalistą od tlingickiej teologii. Opisy obrzędów, które przedstawiłem w tej powieści, opierają się na lekturze książek i na opowieściach moich wujów i ciotek (mieszkańcy Alaski są świętymi bajarzami). Przepraszam, jeśli do mojej relacji zakradły się nieścisłości.

Zainteresowanych mitologią Tlingitów odsyłam do następujących książek: *Shamans and Kushtakas* oraz *Heroes and Heroins in Tlingit-Haida Legend* autorstwa Mary Giraudo Beck. Polecam też *Tlingit Afyths and Texts* - zbiór baśni pod redakcją Johna R. Swantona.

W *Cieniu kruczych skrzydeł* chciałem po prostu opowiedzieć ciekawą historię - jedną z tych, które słyszałem w dzieciństwie, gdy siedziałem z rodziną przy ognisku. Te historie wywoływały u mnie gęsią skórę, podnosiły mi włoski na karku.

Pragnę podziękować najwspanialszym bajarzom, jakich znam: mojej mamie Yolandzie Ferguson Stein i jej rodzeństwu: Billiemu, Margaret, Jane, Hall, Valentine, Robinowi, Steele oraz Thorne'owi.

Garth Stein
Seattle, 2009